P2290-2

TWÓRCZOŚĆ

U.I.C.
FEB 17 1987
LIBRARY

8

SIERPIEŃ

ROK X 1954

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK

ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK X ZESZYT 8

WARSZAWA, SIERPIEŃ ROK 1954

Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego, Warszawa
Zamówienie 3781/c z dnia 3.7.54 r. Nakład 4.800.
Druk ukończono w sierpniu 1954 r. 5-B-18411

LUDMIŁA MARJAŃSKA

MIASTO MŁODOŚCI

Czcionkami, napuchłymi treścią,
krzykiem czerwono-czarnej farby
zbliża się do mnie z nową wieścią
miasto moich umarłych.

Miasto dzieciństwa, z którym dziś
łączą mnie tylko groby bliskich,
bo czuła pamięć już wygasła.
I chociaż wiem, gdzie trzeba iść,
ażeby stwierdzić: tutaj żyłeś
— trwa na przedmieściu domek niski —
i stąd odszedłeś, stąd cię wzięto
— lśni nad więzieniem blada gwiazda —
nie jest potrzebna mi ta pamięć
i mijam z twarzą uśmiechniętą
ulice, w które nie wróciłeś.
I uśmiech mój już dziś nie kłamie.

Wygasła pamięć dobrej dłoni
matczynej. Serce już nie boli,
kiedy ojcowski dom odwiedzam
obcy i pusty mimo ludzi.
Mych własnych dzieci dom przesłonił
przeszłość — i na pół martwe serce
zbudził do życia i zespolił
ze wszystkim, co tym dzieciom tworzy
nad głową dach bezpieczny, trwały.

Miasto młodości! Wraca znów
twój stary obraz w starej ramie
podmiejskich, zakurzonych dróg.
Jak cię powitam? Jakim ujrzę?
Już coraz bliżej. Coraz bliżej.
W czerwono-czarnej farbie krzyku
nie było kłamstwa. Nie ma ciebie,
miasto, którego serce biło
tym samym rytmem, co i moje!
Nowa rozkwita w tobie młodość
i krwi przydając twoim żyłom
znajduje inny smak w twym chlebie.

Powracam z nowym blaskiem w oczach
do domu, w którym śpią me dzieci
spokojne, ufne. Wokół życie,
wezbrane niby rzeka wiosną,
pędzi — i stare mosty zrywa.
Oto są moje mocne ręce,
oto jest miłość moja — żywa.

Ludmiła Marjańska

*

* *

I czym jest wiersz dla piszącego?
Zaledwie wątłych słów igraniem.
Zaledwie kruchym echem tego,
Co w twoim sercu pozostanie.

Marnym odbiciem źrenic twoich,
Oddechem tonów skamieniałych.
Uspokojonym niepokojem,
Jak z iskry popiół ocalały.

Słyszę obrazów szumnych natłok
I widzę wiersz jak płynne lustra.
Dlaczego słów mych gaśnie światło
I pozostają nieme usta?

Oto powstała pieśń nieszczelna.
Twardo wdeptana w zgrabne zdanie.
A jeszcze z tobą niepodzielna.
Nie twoja już. I tak zostanie.

*

* *

Strumień ulewy bije jasnością.
Wiatr od lasów. Grom z wysokości.
I macierzanka, czarne jagody
I jarzębina, zagajnik młody.
Chmura przewiewna płynie niczyja,
Kropla się tuli do grzybów cicha.
Wiem, że przemijam.
Wiem, że oddycham.

Czerwienią płonie róża od rana.
O miłowana! o ukochana!
Ptaszek drewniany srebrzyście śpiewa.
Tuż obok, przy nas, szumiące drzewa.
Liście nad nami zgrabnie szeleszczą.
Trawa zdziwiona cień swój rozpina.
Czego chcesz jeszcze?
Jedyna.

*

* *

Umiał grać na strunie rosy, deszczu, burzy,
na klawiszach wisien, róży i tymianku.
Umiał grać na flecie trzciny, muszli, słoneczników.
Umiał grać na drumli śniegu, mrozu, skwaru.
Umiał grać na skrzypcach głazu, piasku, rzeki.
Znał melodię jaskółki, ton słowika.
A na bębnie nie umiał, a na bębnie nie umiał,
a na bębnie nie umiał grać. Nie umiał, wcale.

Jan Śpiewak

ANNA KAMIEŃSKA

BICIE SERCA

Malować ciebie pędzlem i promieniem,
Czystym powietrzem i wieczornym cieniem,

By jak na włoskim, szerokim widoku
Osiołek z Marią mógł schodzić ze stoku.

Zwierzę jest święte, ale nie od tego,
By uszczknąć liścia seledynowego.

To liść buraka. Świecą w dali rżyska,
Wierzb wybuchają zielone ogniska

I gasną w srebrnej wodzie. Na jeziorze
Maleńka łódka grzędę blasku orze.

Po horyzoncie biegną drzewa truchtem
Przenosząc wspomnień uciszony smutek

I zwierząt w dali pasących się spokój.
A serce bije cicho: pokój, pokój.

Anna Kamieńska

Chmielno, 1953 r.

JERZY HORDYŃSKI

Z MIELNA

I

Noc od Bałtyku ogromna
i rozmyślaniom powolna,
a las jak port czuwający
nad rejsem żeglarza z Kolna.

A wiatr, niewierny towarzysz
brygów królewskiej floty,
powtarza chłód i legendy,
zastygłe w podmorski gotyk.

W sól zanurzone maszty,
jak słoje ciemnego drzewa,
liczą zbutwiałe stulecia
walki, niewoli, spodziewań.

Na wypróchniałych burtach
świecą czerwone bursztyny,
ostatni znak po płynących
do niepodległej głębiny.

II

Nie myśl, że chłodne wyrazy, które w nas uderzają,
z ciemnego płyną wnętrza,
gdzie się ukradkiem zaczaiła groza
niedawnych lat.
Pamięć o rozwieszonych na drutach obozach,
śmierć nazywana imieniem: ojciec, syn, brat.
To jest inna surowość — rzeczy, co pragnie spełnienia,
ale nie dojrzeje w gonitwie słów.
Słowo, zanim wypowiesz, już kształt swój odmienia,
jak księżyc nów.
Dlatego prawdziwsze jest może milczenie,
na ciepłym piasku nocne ślady mew.
Gwiazda uderza o wodne sklepienie
jak miłość, troska i śpiew.
Jeszcze przed nami wiele godzin życia,
lecz jaką miarą własne chwile mierzyć,
aby odchodząc można było wierzyć,
że niedaremna była nasza krew?

III

Jak purpurowa fregata odchodzi pora zachodu,
na masztach rwą się obłoki, kołysząc błękitów sklep,
już pęka błysków kaskadą wygięte zwierciadło wody
i okruch rozbitej tafli raz po raz spada na brzeg.

Godzina wypraw dalekich ku falochronom nadpływa,
w ciemnej głębinie syreny zawodzą zielony śpiew,
a już w latarni wysmukłej napięta świateł cięciwa,
za chwilę strzała ognista przeszyje przeloty mew.

Lecz jeszcze smaga czerwienią na piasku twą drobną postać
słońce gasnące wśród piany wzburzonych o zmierzchu wód,
zbadaj okrągłe muszelki, które ci fala przyniosła,
i powróć meduzom szklanym odmętu stalowy chłód.

Ukryj, kochana, przedwieczerz, zanim go zdoła dogonić
pościgiem gwiazd spadających sierpniowy i słony mrok,
niechaj ostatnie promienie chwieją się w gnieździe twej dłoni
jak nad pogodnym wejrzeniem figlarnie puszczony lok.

Jerzy Hordyński

DROGA POKOJU

Wśród drzew przydrożnych, co szumią o śmierci,
Drogowskaz stoi pasiasty jak więzień.
Przed jego godłem — Huta i Oświęcim —
Wiatr gnie gałęzie.
Ptaki, te same, co wczoraj na wiecu,
Nad drogą lecą.

Tak blisko siebie leżą oba miasta,
Że nie wiadomo, czy z prochów, czy z cegieł
Mają zrobione tutaj ciepłe gniazda
Białe gołębie —
Że nie wiadomo, jaką pieśń zanucić,
Śmiać się czy smucić?

Jak wypowiedzieć to, co jest milczeniem,
To, co zakrzepło z krwią w owoc jarzębin?
Jak wypowiedzieć oświęcimską ziemię
I biel gołębi?
Zbrodnia i ufność unoszą się razem
Nad drogą zdarzeń.

Do Nowej Huty, gdzie żywiczną czułość
Znalazło słońce a za słońcem błękit,
Z drutem kolczastym w poselstwie przyfrunął
Orszak gołębi.
Prosi, by żywi umieli w pamięci
Chronić Oświęcim.

Pokój wyrastał wśród uczuć surowych
Jak ludzie Huty na roboczym chlebie.
Dziś tylko usiadł przy wieńcach budowy
Białym gołębiem.
Lecz lud utrwala pamięcią i pracą
To, co w krwi zaczął.

Śpiewają drzewa pieśń w dziwnym narzeczu
O śmierci ludzi zamienionych w węgiel,
O nowych domach, nad którymi lecą
Białe gołębie.
W śpiewie swym z ludźmi zawierają sojusz
W imię pokoju.

Jerzy Feliksiak

Z listów Czechowa do Gorkiego

3 grudnia 1898 r., Jałta

Wielce szanowny Aleksieju Maksimowiczu! Ostatni Pana list sprawił mi wielką radość. Dziękuję z całego serca. W u j a s z k a W a n i ę napisałem dawno, bardzo dawno; nigdy nie widziałem go na scenie. Ostatnimi laty wystawiają go często na scenach prowincjonalnych — być może dlatego, że wyszedł drukiem zbiór moich sztuk. Do swych sztuk teatralnych odnoszę się chłodno. Dawno odszedłem od teatru i pisać dla teatru już nie mam ochoty.

Zapytuje Pan, co sądzę o Pańskich opowiadaniach. Co sądzę? Talent niewątpliwy, a przy tym prawdziwy, duży talent. W opowiadaniu W s t e p i e na przykład ujawnił się on z niezwykłą siłą i nawet ogarnęła mnie zazdrość, że to nie ja napisałem. Jest Pan artystą i człowiekiem rozumnym. Ma Pan doskonałe wyczucie, jest Pan plastyczny, tj. kiedy ukazuje Pan rzecz, to ją Pan widzi, obmacuje ją Pan rękami! To jest prawdziwa sztuka. Oto moje zdanie; jestem bardzo rad, że mogę je Panu powiedzieć. Powtarzam, jestem bardzo rad, i gdybyśmy się poznali i pogawędzili godzinę czy dwie, przekonałby się Pan, jak wysoko cenię i jakie nadzieje pokładam w Jego talencie.

Powiedzieć teraz o wadach? Nie jest to łatwe. Mówić o niedoskonałościach talentu jest to tak, jakby mówić o niedoskonałościach dużego drzewa, co rośnie w ogrodzie; przecież przeważnie chodzi nie o samo drzewo, ale o upodobania osobnika, który patrzy na to drzewo. Czyż nie tak?

Zacznę od tego, że moim zdaniem brak Panu opanowania. Jest Pan jak ten widz w teatrze, który wyraża swój zachwyt tak niepowściągliwie, że przeszkadza słuchać sobie i innym. Brak opanowania daje się wyczuć zwłaszcza w opisach przyrody, którymi Pan przerywa dialogi. Kiedy się czyta te opisy, to chciałoby się, żeby były one bardziej zwarte, krótkie, tak dwa-trzy wiersze. Częste operowanie upojeniem, szeptem, aksamitnością itd. nadaje tym opisom niejaką retoryczność, jednostajność — ochładza je, niemal męczy czytelnika. Brak powściągliwości daje się wyczuć także w postaciach kobiet (M a l w a, N a b a r k a c h) i w scenach miłosnych. To nie rozpęd, nie rozmach pędzla, ale właśnie brak opanowania. Poza tym częste używanie słów, zupełnie nieodpowiednich dla rodzaju Pańskiej twórczości. Akompaniament, dysharmonia — takie słowa przeszkadzają. Często mówi Pan o falach. W odtwarzaniu ludzi inteligentnych odczuwa się napięcie, coś jakby ostrożność; nie dlatego, że Pan za mało obserwował ludzi inteligentnych; Pan ich zna, ale nie wie Pan, od jakiej strony do nich podejść.

Ile Pan ma lat? Nie znam Pana, nie wiem, skąd Pan pochodzi, kim Pan jest, ale wydaje mi się, że dobrze by było, żeby Pan, póki jest jeszcze młody, rzucił Niżnij i ze dwa-trzy lata pożył, że tak powiem, poocierał się o literaturę i literatów; nie dlatego, żeby się Pan uczył na

naszym podwórku i jeszcze bardziej się wyrobił, ale po to, aby ostatecznie, z nogami i z głową, wlazł do literatury i pokochał ją; poza tym prowincja wcześnie postarza. Korolenko, Potapienko, Mamin, Ertel — to wspaniali ludzie; z początku może wyda się Panu, że z nimi nudno, ale potem, po jakich dwóch latach przyzwyczai się Pan i należnie oceni tych ludzi, a wtedy towarzystwo ich z nadwyżką opłaci przykrości i niewygody życia stołecznego.

Spieszę na pocztę. Życzę zdrowia i niech się Panu dobrze dzieje; mocno ściskam dłoń. Raz jeszcze dziękuję za list.

Pański
A. Czechow

3 stycznia 1899 r., Jałta

Drogi Aleksieju Maksimowiczu, odpowiadam od razu na dwa listy. Przede wszystkim życzenia noworoczne; z całej duszy, jak przyjaciel, życzę Panu szczęścia — starego czy nowego — jak Pan woli.

Najwidoczniej Pan mnie trochę nie zrozumiał. Pisałem nie o wulgarności, lecz tylko o niezręczności używania słów cudzoziemskich, o pochodzeniu nie rdzennie rosyjskim, czy też słów rzadko używanych. U innych autorów takie słowa, jak np. „fatalistycznie", przechodzą niezauważone, ale Pana utwory są harmonijne, pełne melodii, w nich każda chropowatość krzyczy wniebogłosy. Oczywiście jest to kwestia gustu i być może przemawia przeze mnie zbytnia drażliwość lub konserwatyzm człowieka, który od dawna przyswoił sobie pewne nawyki. Godzę się w opisach z „assesorem kolegialnym" i z „kapitanem drugiej rangi", ale „flirt" i „czempion" (w opisach) budzą we mnie odrazę.

Pan jest samoukiem? W swych opowiadaniach jest Pan na wskroś artystą, a przy tym prawdziwie inteligentnym. Najmniej ze wszystkiego jest Panu właściwa wulgarność. Jest Pan rozumny, odczuwa subtelnie i pięknie. Najlepsze Pana rzeczy to W stepie i Na tratwach. Czy już pisałem o tym? Są to piękne utwory, wzorowe; widzę w nich artystę, który przeszedł bardzo dobrą szkołę. Nie sądzę, żebym się mylił. Jedyna ich wada — za mało opowiadania, za mało gracji. Jeżeli człowiek zużywa na jakąkolwiek określoną czynność najmniejszą ilość ruchów — oto gracja. U Pana czuje się nadmiar.

Opisy przyrody są artystyczne; z Pana prawdziwy pejzażysta. Ale za częste upodobnianie do człowieka (antropomorfizm), kiedy to morze oddycha, niebo spogląda, step się pieści, przyroda szepcze, mówi, smuci się itp. — takie porównania sprawiają, że opisy stają się nieco monotonne, niekiedy przesłodzone, niekiedy niejasne; barwność i wyrazistość w opisach przyrody osiąga się tylko prostotą, takimi prostymi zwrotami, jak „słońce zaszło", „ściemniło się", „zaczął padać deszcz" itd., i ta prostota jest Panu właściwa w wysokim stopniu, jak rzadko któremu z beletrystów.

Nie podobał mi się pierwszy zeszyt wznowionego Życia. To coś niepoważnego. Opowiadanie Czirikowa naiwne i nieszczere, opowiadanie Wieriesajewa — to ordynarna imitacja czegoś, trochę jakby Pańskiego Małżonka Orłowa — ordynarne i naiwne; takimi utworami

nie zajedzie się daleko. W Pańskim K i r y ł c e wszystko psuje postać naczelnika ziemstwa; w całości ton wytrzymany dobrze. Niech Pan nigdy nie odtwarza naczelników ziemstwa. Nie ma nic łatwiejszego, jak odtwarzać przedstawicieli niesympatycznej władzy — czytelnik to lubi, ale czytelnik najbardziej nieprzyjemny, nieudolny. Postacie najnowszej formacji — jak naczelnicy ziemstwa — budzą we mnie takie samo obrzydzenie, jak „flirt", i dlatego, być może, nie mam racji. Ale mieszkam na wsi, znam wszystkich naczelników ziemstwa swego i sąsiednich powiatów, znam od dawna i znajduję, że ich postacie i ich działalność są nietypowe, zupełnie nieciekawe, i co do tego, wydaje mi się, mam rację.

Teraz o włóczędze. To bardzo dobra, urzekająca rzecz, ale z biegiem lat człowiek staje się ociężały, daje się wessać przez miejsce. A zawód literacki już sam przez się wsysa. Szybko mija czas pośród niepowodzeń i rozczarowań, nie widzi się prawdziwego życia, a przeszłość, kiedy człowiek był tak wolny, zda się, jest już nie nasza, jakby czyjaś obca.

Przynieśli pocztę, trzeba zabrać się do czytania listów i gazet. Niech Pan będzie zdrów i szczęśliwy. Dzięki za listy, za to, że zawdzięczając Panu korespondencja nasza tak łatwo weszła na dobry tor. Ściskam mocno rękę.

Pański
A. Czechow

25 kwietnia 1899 r., Moskwa

Ani słychu, ani dychu o Panu, drogi Aleksieju Maksimowiczu. Gdzie się Pan podziewa? Co Pan porabia? Dokąd się Pan wybiera?

Przedwczoraj byłem u L. N. Tołstoja; bardzo Pana wychwalał; powiedział, że z Pana „znakomity" pisarz. Podoba mu się Pański J a r m a r k i W s t e p i e, nie podoba się M a l w a. Powiedział tak: „Można zmyślać wszystko, co się podoba, ale nie można zmyślać psychologii, a Gorkiemu przytrafiają się takie wymysły psychologiczne — opisuje to, czego nie przeżył". Ma Pan. Powiedziałem, że jak Pan będzie w Moskwie, to przyjedziemy razem do L. N. (Tołstoja).

Kiedy Pan będzie w Moskwie? We czwartek grają C z a j k ę — zamknięte przedstawienie dla mojej persony. Jeśliby Pan przyjechał, to dałbym panu bilet. Adres mój: Moskwa, Mała Dmitrewka, dom Szeszkowa, m. 14 (wejście od zaułka Diegtiarnego). Po pierwszym maja wyjeżdżam na wieś (Łopaśnia, gub. Mosk.).

Z Petersburga otrzymuję ciężkie, jak gdyby pokutnicze listy; ciężko mi jest, bo nie wiem, co odpowiedzieć, jak się zachować. Tak, życie to trudna sztuka, o ile nie jest wymysłem psychologicznym.

Proszę skreślić ze dwa-trzy wiersze. Tołstoj długo wypytywał o Pana. Wzbudza pan w nim ciekawość. Najwidoczniej wzrusza go Pan.

Życzę zdrowia, mocno ściskam dłoń. Pozdrawiam Pańskiego Maksimkę.

A. Czechow

3 września 1899 r., Jałta

Drogi Aleksieju Maksimowiczu, witam jeszcze raz! Odpowiadam na Pański list.

Po pierwsze jestem przeciwnikiem dedykowania jakichkolwiek utworów osobom żyjącym. Niegdyś robiłem to, ale teraz czuję, że raczej nie należało tego robić. Tyle tak w ogóle. W szczególności jednak zadedykowanie Fomy Gordiejewa nie przysporzy mi nic oprócz przyjemności i zaszczytu. Tylko — czym sobie na to zasłużyłem? Zresztą — Pańską rzeczą jest to osądzić, a moją tylko kłaniać się nisko i dziękować. Dedykacja niech będzie możliwie krótka, bez zbędnych słów, tzn. niech Pan napisze „temu a temu poświęcam" — i dosyć. Tylko Wołyński lubi długie dedykacje. A teraz, jeśli Pan chce, dam jeszcze jedną radę praktyczną: niech Pan drukuje więcej — nie mniej niż 5—6 tysięcy. Książka pójdzie szybko. Drugie wydanie można drukować jednocześnie z pierwszym. I jeszcze rada: czytając korektę niech Pan usuwa, gdzie się da, przydawki i przysłówki. Pan używa tak dużo określeń, że czytelnik gubi się w nich i to go męczy. Kiedy piszę: „człowiek usiadł na trawie", to jest zrozumiałe, gdyż jest jasne i nie zatrzymuje uwagi. I odwrotnie, niestrawne i ciężkie dla mózgu jest takie zdanie: „wysoki, o wąskiej piersi, średniego wzrostu mężczyzna z rudą brodą usiadł na zielonej, zdeptanej już przez przechodniów trawie, usiadł bezszelestnie, nieśmiało i strachliwie się oglądając..." Takie zdanie nie od razu układa się w mózgu, a beletrystyka powinna od razu się układać, w sekundę. A teraz jeszcze jedno: z natury jest pan lirykiem, tonacja Pańskiej duszy jest miękka. Gdyby Pan był kompozytorem, unikałby Pan komponowania marszów. Hałasowanie, ordynarność, szyderstwo, wściekłe demaskatorstwo — to wszystko nie pasuje do Pańskiego talentu. Z tego, co mówię, Pan zrozumie, dlaczego doradzę Panu nie oszczędzać w korekcie sukinsynów, kobieli *) i drani, którzy tu i ówdzie przewijają się na kartkach Życia.

Mam oczekiwać Pana w końcu września? Dlaczego tak późno? Zima w tym roku zaczyna się wcześnie, jesień będzie krótka, trzeba się śpieszyć.

No, więc do widzenia. Życzę zdrowia.

Pański
A. Czechow

W Teatrze Chudożestwiennym przedstawienia rozpoczną się 30 września. Wujaszek Wania idzie 14 października.

Najlepsze Pańskie opowiadanie to W stepie.

2 stycznia 1900 r., Jałta

Drogi Aleksieju Maksimowiczu! Przesyłam Panu życzenia nowego szczęścia w nowym roku! Jak się Pan miewa, jak się czuje? Kiedy przyjedzie pan do Jałty? Proszę napisać szczegółowo. Fotografię otrzymałem, jest bardzo dobra, dziękuję serdecznie.

---

*) Kobiel — pies uganiający się za sukami.

Dziękuję za starania w sprawie naszej opieki nad przyjezdnymi. Pieniądze, które już są albo będą — proszę przesyłać na moje imię albo na adres zarządu towarzystwa dobroczynności — to wszystko jedno.

Powieść do Życia już wysłana. Czy pisałem Panu, że pańskie opowiadanie S i e r o t a bardzo mi się podobało i że posłałem je do Moskwy najlepszym czytelnikom? W Moskwie na wydziale medycznym jest profesor A. B. Focht, który doskonale czyta Slepcowa. Nie znam lepszego recytatora. To właśnie jemu posłałem pańskiego S i e r o t ę. Czy pisałem Panu, że bardzo mi się podobał w pańskim trzecim tomie M ó j t o w a r z y s z p o d r ó ż y? Taka w nim siła, jak w W s t e p i e. Na pańskim miejscu wybrałbym lepsze rzeczy z trzech tomów i wydał w jednym rublowym tomie — byłoby to coś naprawdę wspaniałego przez swą siłę i harmonię wyrazu. Bo teraz w tych trzech tomach jakoś wszystko się przemieszało, nie ma słabych rzeczy, ale wrażenie jest takie, jak gdyby te trzy tomy napisał nie jeden, ale siedmiu autorów — znak, że jest Pan młody i że okres fermentu jeszcze nie minął.

Proszę o kilka słów. Ściskam mocno dłoń.

Pański
A. Czechow

Kłania się panu Sredin. My, tzn. ja i Sredin, często mówimy o Panu. Sredin Pana lubi. Jego zdrowie — nieźle.

3 lutego 1900 r., Jałta

Drogi Aleksieju Maksimowiczu! Dziękuję za list, za słowa o Tołstoju i W u j a s z k u W a n i, którego nie widziałem na scenie, dziękuję w ogóle za to, że nie zapomina Pan o mnie. Tutaj w tej błogosławionej Jałcie bez listów można zdechnąć. Próżniactwo, idiotyczna zima z temperaturą stale powyżej zera, zupełny brak interesujących kobiet, świńskie ryje na bulwarach wybrzeżnych — wszystko to może zohydzić i zniszczyć człowieka w bardzo krótkim czasie. Jestem zmęczony, wydaje mi się, że zima trwa już dziesięć lat.

Ma Pan pleuryt? Jeżeli tak, to dlaczego Pan siedzi w Niżnim? Dlaczego? Przy sposobności pytam: co Pana trzyma w tym Niżnim? Co za smoła przykleiła Pana do tego miasta? Jeżeli, jak Pan pisze, podoba się Panu Moskwa, to dlaczego nie mieszka Pan w Moskwie? W Moskwie są teatry itd .itd., a co najważniejsze, z Moskwy jest blisko za granicę, a mieszkając w Niżnim zakabali się Pan tam i nie ruszy poza Wasilsursk. Pan powinien więcej widzieć, więcej wiedzieć, szerzej wiedzieć. Pan ma chciwą, chwytliwą wyobraźnię, ale ona jest jak wielki piec, któremu nie dają dość opału. To się wyczuwa w całej twórczości i poszczególnych opowiadaniach: ukazuje Pan w opowiadaniu dwie-trzy postacie, ale postacie te stoją samotnie, poza masą; widać, że postacie te żyją w Pana wyobraźni, ale tylko te postacie — masy zaś Pan nie uchwycił. Wyłączam z tego Pana krymskie opowiadania (np. M ó j t o w a r z y s z p o d r ó ż y), gdzie oprócz postaci

czołowych wyczuwa się i masę ludzką, z której one wyszły, i powietrze, i dalszy plan, słowem — wszystko. Widzi Pan, ile Panu nagadałem, a wszystko po to, żeby Pan nie siedział w Niżnim! Pan jest człowiekiem młodym, silnym, wytrzymałym, na Pańskim miejscu wyjechałbym do Indii, czort nie wie gdzie, jeszcze bym ze dwa fakultety ukończył. Ja bym, tak, ja bym — Pan się śmieje, a ja tak żałuję, że już mam czterdziestkę, że mam zadyszkę i przeróżne paskudztwa, które przeszkadzają żyć swobodnie. Jakby nie było, proszę być dobrym człowiekiem i kolegą i nie gniewać się na mnie, że w listach prawię Panu kazania jak protopop.

Proszę pisać do mnie. Czekam na F o m ę G o r d i e j e w a, którego dotąd jeszcze nie przeczytałem jak należy.

Nic nowego nie ma. Życzę zdrowia, mocno ściskam dłoń.

Pański
A. Czechow

22 października 1901 r., Moskwa

Drogi Aleksieju Maksimowiczu! Już minęło pięć dni od czasu, jak czytałem pańską sztukę, nie pisałem zaś do tej pory dla tej przyczyny, że ani rusz nie mogłem zdobyć czwartego aktu; wciąż czekałem i — nie doczekałem się. Tak więc przeczytałem tylko trzy akty, ale myślę, że to jest wystarczające, aby sądzić o sztuce. Jest, jak tego oczekiwałem, bardzo dobra, napisana po gorkowsku, oryginalna, bardzo interesująca, a jeśli mam zacząć od usterek, to jak dotąd zauważyłem tylko jedną — nie do naprawienia, podobnie jak rude włosy u rudego — konserwatyzm formy. Zmusza Pan nowych, oryginalnych ludzi, aby śpiewali pieśni wedle nut, które wyglądają na mocno używane; ma Pan cztery akty, bohaterowie wygłaszają morały, wyczuwa się lęk przed dłużyznami itd. itd. Ale wszystko to nie jest ważne i wszystko tonie, że tak powiem, w zaletach sztuki. Pierczychin — jak żywy! Córka jego — czarująca. Tatiana i Piotr — także; matka ich — wspaniała staruszka. Centralna postać sztuki — Nił — jest mocno zarysowny i niezwykle interesujący! Słowem — sztuka porwie od pierwszego aktu! Tylko niech Pan, broń Boże, nie pozwoli, aby Pierczychina grał ktokolwiek inny niż Artem. Niła musi grać Aleksiejew-Stanisławski; ci dwaj zrobią właśnie to, co trzeba. Tylko rolę Niła, cudną rolę, należy zrobić dwa razy dłuższą, należy nią zakończyć sztukę, uczynić ją główną. I niech Pan nie przeciwstawia jej Piotrowi i Tatianie, niech on będzie sobie, a oni sobie, wszyscy cudowni, świetni, niezależni jeden od drugiego. Kiedy Nił chce uchodzić za wyższego od Piotra i Tatiany i mówi o sobie, że jest dzielny, to zatraca się element tak właściwy naszemu robotnikowi — element skromności. Chwali się, sprzecza, ale i tak widać dobrze, co to za człowiek. Niech będzie wesoły, niech zbytkuje chociażby przez wszystkie cztery akty, niech dużo je po pracy — i to już wystarczy, aby podbił publiczność. Powtarzam — Piotr jest dobry. Na pewno Pan nawet nie domyśla się, jak jest dobry. Tatiana to także dojrzała postać, tylko trzeba po 1) żeby była naprawdę nauczy-

cielką, żeby uczyła dzieci, wracała ze szkoły, miała do czynienia z podręcznikami i zeszytami i po 2) należałoby zrobić, aby w I czy II akcie była mowa o tym, że już próbowała sobie odebrać życie; po takiej aluzji trucie się w III akcie nie wyda się nieoczekiwane i będzie uzasadnione. Tietierew mówi za dużo; takich ludzi należy ukazywać po troszeczku, w przejściu, gdyż, jakby nie było, tacy ludzie są epizodami wszędzie — jak w życiu, tak i na scenie. Helenie niech Pan każe jeść obiad w I akcie ze wszystkimi, niech siedzi i żartuje, bo jej jest bardzo mało i jest nieokreślona. Rozmowa jej z Piotrem — nieco za ostra; na scenie wyjdzie zbyt jaskrawo. Niech Pan zrobi z niej kobietę namiętną i jeżeli nie kochającą, to kochliwą.

Do premiery zostało jeszcze wiele czasu i Pan zdąży dziesięć razy skorygować swoją sztukę. Jaka szkoda, że wyjeżdżam! Siedziałbym na próbach Pańskiej sztuki i pisałbym Panu wszystko, co trzeba.

W piątek wyjeżdżam do Jałty. Niech Pan będzie zdrów i niech Bóg ma Pana w swej opiece. Najniższe ukłony i pozdrowienia dla Katarzyny Pawłowny i dzieci. Mocno ściskam dłoń i całuję Pana.

Pański
A. Czechow

MARIA JAROCHOWSKA

DZIADOWSKA MIŁOŚĆ

VI

Wbrew przewidywaniom dziedziczki Franciszek Mrówczak nie zarżnął ani jej, ani nikogo z rodziny jaśnie państwa. Odkąd mieszkańcy pałacu ukradkiem opuścili Osieczany, wspominał ich nawet chętnie, bez obrazy, a jesienią prawie z tęsknotą. Kiedy nad zbrunatniałymi od poschniętych badyli kartofliskami raptem poderwało się furkotliwie stadko kuropatw, Mrówczak zataczał się, jakby mu pióra przylgnęły do oczu oślepiając. Potem długo patrzył w ślad za niepokaźnymi ptaszkami, które kołowały przerzedzoną, nikłą chmurką, aby zapaść gdzieś dalej, i wzdychał z żalem:

— Żeby tu jaśnie pan stał na moim miejscu, to by dopiero było! Już byście wszystkie, komplet, poza ten rów nie doleciały.

Józef Burak, gdy raz wozili z Mrówczakiem ziemniaki z sąsiednich zagonów, przygadał Franciszkowi:

— Co ty się tak, Franek, oglądasz za dziedzicem jak kuternoga za kulą, co bez niej kroku nie stąpnie? Toż sam sidła na szare ptaszki też umiesz zakładać.

— E tam sidła — machnął smutnie ręką Mrówczak. — Z dziedzicami to było dopiero polowanie!

Ożywił się:

— Panowie strzylali, psy leciały, jak wywąchały, to zaraz aport, ptaki w pyskach niosły zabite i znowu dalej żeśmy szli przez wszystko po polach, a szare kury tylko fr, fr, fr przed nami. Słoneczko błyszczy, choć nie dokucza, wszędzie ogniskami czuć, bo się pastuchy przy ogienkach grzeją, a lasy to znów jak podpalone, tu żółte, tam czerwone przecudnie i naokoło cichutko, cichuteńko, jeszcze ciszej niż w kościele przy podniesieniu na rezurekcji. Tylko się te huki od wystrzałów niosły przez świat na wylot. Człowiek się nałaził, jakby dziesięć nóg miał, a nie dwie, ale też co naużywał, to naużywał, za darmo bym szedł na takie polowanie — taka uciecha dla serca.

Mrówczak wziął jednak chętnie ziemię z reformy rolnej, wcale nie współczując osieczańskim dziedzicom.

Potem nie bardzo się zresztą przykładał do roboty na swojej działce. Za to Aniela rzadko schodziła z pola Mrówczaków. Wiosną, latem i jesienią pochylona nad zagonami uśmiechała się tylko śliskimi dziąsła-

mi w rumianej twarzy, kiedy sąsiadki dogryzały jej, że pracuje jak żona takiego, któremu władzę odjęło w nogach, albo jest zdrów, ale siedzi w kryminale.

Anielka nie wspominała już teraz o mężowskim obsuniętym żołądku. Może rozumiała, że tamte by ją zakrzyczały.

Starsze dzieci pomagały matce, młodsze, złożone na skraju pólek, w cieniu, piszczały i wierzgały w szmatach nóżkami. Kiedy na działce pojawiał się jesienią Franciszek z pługiem, ludzie nie musieli już patrzyć w kalendarz ani też pytać Bronia Bratka, czy go ramię nie boli na odmianę pogody. Wiadomo wtedy było z pewnością, że mróz tylko czeka sposobnej nocy, żeby ścisnąć ziemię w objęciach, a śniegowe ciężkie chmury zaczaiły się za widnokręgiem i gdy tylko nabiorą siły, dźwigną się nad Osieczany, aby sypnąć białą kurzawą.

Podobnie w żniwa Mrówczak ostrzył kosę ostatni, kiedy inni wiązali już postronki do pawęży, a przepiórki po polach przycichły, bo już nie bardzo miały się gdzie kryć.

Ci, którzy podziwiali Mrówczaka, twierdzili, że chociaż Franciszek zaniedbuje gospodarkę, może właśnie jest w tym postępowaniu przebieglejszy niż wszyscy inni. Ma tam jakąś własną kombinację, że swych sił nie traci, sieje i zbiera tylko tyle, żeby mu w brzuchu nie burczało, a oszczędza się na coś lepszego, co mu się widocznie ma trafić, bo też Franek na to zasługuje.

Ci, którzy krytykowali Franciszka zawsze i we wszystkim, teraz także uważali, że Mrówczak leni się, gdyż już taką ma naturę, odkąd pierwszy raz w kołysce zawrzeszczał. Wie przy tym, że zawsze znajdą się tacy, którzy z głupoty albo z przymusu, albo z miłości będą robić za siebie i za Franka-spekulanta.

Toteż zarówno zwolennicy Mrówczaka, jak i jego przeciwnicy byli zdziwieni właściwie jednakowo, kiedy Franciszek przyłączył się do tych, którzy mocno się opierali, aby w Osieczanach powstała spółdzielnia produkcyjna.

Wiosną tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku zawiązały się spółdzielnie w Miedziance i Piotrowicach. Wczesnym latem po sianokosach chłopi z Wołowej i Krzewiny podpisali statuty gospodarki zespołowej. Odtąd jedni ludzie w Osieczanach zaczęli chcieć spółdzielni produkcyjnej, a drudzy bardzo jej nie chcieli.

Jeszcze mniej się o tym mówiło w żniwa, kiedy dzień jest długi, gorący i tak znojny, że języki wszystkim sztywnieją, a w czasie krótkich nocy człowiek się tylko spieszy, aby się wyspać jako tako i czasu na gadanie nie będzie gubił.

Zaczęło się dopiero w porze — jak to mówią — między stogiem a kopcem, kiedy zboże zwieziono już do stodół, a z motykami wyjść w pole jeszcze za wcześnie.

Franciszek Mrówczak, jak zwykle we wszystkim zachowywał się odmiennie od innych, tak i teraz występował przeciwko spółdzielni, lecz inaczej niż drudzy.

Na przykład Józefa Terlakowska po prostu słuchać nie mogła o wspólnocie.

Kiedy ktokolwiek o niej napomknął, z Terlaczką robiło się coś dziwnego. Nie potrafiła spokojnie usiedzieć, jakby po ciemku stąpnęła bosą nogą na stłuczoną butelkę albo przez nieuwagę łyknęła kipiącej wody. Gdzieś z głęboka, aż spod bluzki, wypływały jej wypieki na bladawe zwykle policzki, ściskała pięści, aż trzeszczały niczym czereśniowe, chrupkie konarki, zaczynała jednym tchem urągać. Krzyczała, że gdyby ją nawet lucypery smagały ogonami albo sam archanioł z nieba obiecywał swoje złociste pióra, ona nigdy na takie poniżenie nie przystanie, aby pójść w niewolę do tego kołchozu. Filip tak o tę całą spółdzielnię zabiega, bo mu się wydaje, że go w niej zechce jakaś młodsza, jędrniejsza, chętna do zgrubienia w pasie. Na własnej gospodarce wypada żonie dochować przysięganej wierności, a w komunie Filip spodziewa się być sam sobie panem, ślubne oko go nie skontroluje.

Inaczej Bielowska. Zaledwie ktoś przy niej wspomniał o spółdzielni, z oczu Marysi, bardzo okrągłych, brązowych i lśniących, zaczynały płynąć łzy. Szlochała tak, jakby spółdzielnia siłą miała jej wydrzeć tego nicponia, Antka Turkowskiego. Zdaje się, że swym wdowim sercem goręcej kochała go niż własne dzieci, choć się nie o wiele wcześniej urodził od nich i mimo że czasami przygarnął Maryśkę, wolał głaskać młodsze kobiety.

Teofil Marus natomiast spokojnie, bez złości przestrzegał przed spółdzielnią:

— Zakładajcie sobie, mnie nic do tego, nie mój interes, ja wtrącać się nie lubię. Bylebyście tylko nie pożałowali gorzkimi łzami, kiedy już klamka zapadnie.

Marus patrzył się przy tym takim chłodnym, szklistym spojrzeniem, jak niegdyś spoglądał na tych, którzy złapali się w jego żelaza i musiał ich jęczących głucho, skręconych bólem, uwalniać.

Zresztą od kiedy w pałacu osieczańskim nie rezydowali już jaśnie państwo, a z okien budynku, gdzie w Gostowie mieścił się posterunek policji, przestały wyglądać głowy granatowych, znikły także żelazne sidła znad stawu Marusa.

Franciszek Mrówczak nie przeklinał spółdzielni, nie lamentował z powodu niej ani też nie groził. Franciszek po prostu wykpiwał zespołową gospodarkę, śmiał się z niej.

Początkowo niektórzy przypuszczali, że to Jan Kwiatkowski podjudza Franka przeciwko zakładaniu spółdzielni. Zaczęto ich bowiem obydwu znowu widywać razem, tak jak w tygodniach przed parcelacją, w wyszynku u inwalidy nad kieliszkami prawie czarnej wiśniówki domowej roboty. Lecz inni rozpraszali od razu tamte podejrzenia argumentem niezbitym: Przecież Kwiatkowski wcale nie powstawał przeciwko spółdzielni. Odwrotnie. Perorował powoli, uczenie przed kościołem po sumie, jeśli była pogoda i niejeden godził się jeść potem przypaloną zupę, choć była świątecznie gęściejsza, byleby się tylko innym ludziom dobrze naprzypatrywać. Albo Kwiatkowski wyłuszczał swoje w gospodzie gostowskiej w dnie targowe, kiedy każdy rozgrzał już sobie gorzałką mózgownicę, chętnie posłuchał nowego i od siebie rad był dodać coś niecoś.

Powiadał Kwiatkowski:

— Lat temu kilka, przypominam sobie, przestrzegałem, żeby nie brać gruntów z parcelacji majątku ziemian. W samej rzeczy ci, co wtedy wzięli, nie cieszyli się czas dłuższy własnością, ściśle tak, jak ja to przewidywałem. Kolejnym biegiem rzeczy muszą teraz grunta oddawać, aby zostały scalone w zespołach spółdzielczych. Pewno, że niejeden schnie teraz ze skruchy po niewczasie, po co nieprzezornie uległ chciwości, niechrześcijańskiej szkaradzie. Ale taki jest już porządek obecnego ustroju, a ja przeciwko władzy nie mam zwyczaju występować, dlatego przeciwko spółdzielni nie jestem. Owszem, ja mam w zamiarze ze spółdzielnią współżyć jak dobry sąsiad, byleby tylko umiejętnie gospodarowali, bo poniekąd wydaje mi się, że ci, co się za spółdzielczość biorą, to ludzie młodzi, bez doświadczenia, a dufni w siebie. Tacy doprowadzają najprędzej do rujnacji. Lecz jeśliby się zdołali utrzymać, ja im szkodzić nie będę, owszem, możemy się wzajemnie wspierać z obopólną korzyścią. Ciekawe, jaki sobie typ gospodarki wybiorą panowie spółdzielcy, bo typów spółdzielni jest trzy. Ja bym proponował od razu trzeci. Jak się decydować, to już kategorycznie, a nie coraz to przestawiać gospodarkę na coś innego.

Tak rozprawiał Kwiatkowski, dlaczego więc miałby przeszkadzać założeniu spółdzielni buntując Mrówczaka?

A jednak docinki Franciszka bardziej w ludziach nadwątlały chęć przystąpienia do spółdzielni niż wyzwiska Józefy, szlochy Bielaczki, posępne proroctwa Marusa.

VII

Pewnego niedzielnego popołudnia tej właśnie jesieni Tadeusz Florek i Filip Terlakowski wstąpiwszy do Adamskich zastali tam także Mrówczaka.

Stanisław Adamski wyspał się już dobrze po późnym, tłuściejszym obiedzie i widocznie wybierał się gdzieś razem z kumem, bo pluł na cholewy sprószone po rannej wędrówce do kościoła i glansował skórę do połysku.

Mrówczak, w czapce przekrzywionej na bakier, ręce wcisnął w kieszenie bezczynnie, tak jak zawsze mu było najwygodniej, rozparł się na ławie przechylony w tył, prawie jakby leżał i z przyjemnością ciągnął dym z ogarka przylepionego do dolnej wargi.

Ślipiatka Adamska szykowała się na nieszpory, dziewcząt nie było, może poszły do koleżanek.

Terlakowski z Florkiem usiedli statecznie, pomilczeli chwilę, jak wypadało, po czym Tadeusz wyjaśnił:

— My tak po sąsiedzku. A wy widać wybieracie się w goście.

— E tam, w goście — odparł powściągliwie ogromny, kościsty, latem i zimą jednako ogorzały na twarzy Adamski. — To tylko tak sobie za jedną taką, można powiedzieć, sprawą do jednego w Łąkach.

Zofia Adamska odwróciła się prędko od pieca i wytrzeszczając ze złością oczy sarknęła:

— Chłopy takie, żeby ich wnuki już mogły pod kolana obejmować z szacunku, a oni nic, tylko za gołębiami latają jak jakie chłystki usmarkane! Świata nie widzą przez te gołębie.

Znowu przez kilka minut nikt się nie odzywał, jak zwykle wtedy, gdy wszyscy wiedzą, o czym będzie mowa, lecz udają, że myślą zupełnie o czymś innym.

Wreszcie Terlakowski wedle zwyczaju zagadnął ogólnie:

— Pogoda latoś była całkiem sposobna. Na sucho się zwiezło.

— Ano racja — podjął Adamski — nie to, co łońskiego roku. Żniwa ze wszystkiem mieliśmy kradzione od jednego deszczu do drugiego.

— Sypnie wam, sąsiedzie, szacuję na oko — wtrącił Florek — ta wasza pszenica na górce była prima, kłosy jak szyszki, ledwo źdźbło mogło utrzymać ciężar.

Adamski rozpromienił się całym swoim czerwonym obliczem. Ludzie wiedzieli o nim, że się lubi przechwalać, czy ma do tego powód, czy nie ma. I teraz potwierdził z zapałem:

— Chyba że tak. Lepsze można było spotkać tylko u Kwiatkowskiego Jana, ale on ziemię pomaścił dobrze sztucznym nawozem, bogacz. I gdzie mnie tam stać na takie coś, a i tak mi urosła pszenica jak perła! Można powiedzieć, jak... jak...

— Nie gadałbyś byle czego — przerwała mężowi niezadowolona Ślipiatka — większe pół ziarna się wysypało, boś przeczekał czas z koszeniem. Choć tak niby na „Wojciecha oko" zboże widziało się dosyć galante, więcej z tego będzie pośladu niż mąki.

— Są takie sposoby — powiedział ostrożnie Florek — żeby i nawozów sztucznych było, ile się ziemi należy, i żeby roboty w polu na czas zostały wykonane.

Nie odpowiedzieli mu, niby ludzie, którzy w lot zrozumieli, o co chodzi, ale wypada udawać, że się nie rozumie.

I raptem w tej obyczajnej powadze gruchnął ni z tego ni z owego śmiech Mrówczaka, rozległy, od ucha do ucha, nie powstrzymywany.

Wszyscy patrzyli na Franciszka dosyć zgodnie zgorszeni. Mrówczak trząsł się cały z wesołości, ośliniona bibułka papierosa dygotała mu między wargami, kosmyk włosów wysunięty spod kaszkietu fruwał nad czołem.

— A to dopiero — krztusił się i z całej siły trzasnął Adamskiego po kolanie — a to dopiero! Zapisz się, Stasiu, do tej wspólnoty, to ci gawrony będą sztuczny nawóz spod ogonów na pole puszczać, a chomiki takie ci żniwa urządzą, że przed wszystkimi we wsi pierwszy będziesz miał sprzątnięte!

Nikomu to odezwanie nie przypadło do gustu. Terlakowskiemu i Florkowi nie mogło się podobać, gdy ktoś bezwstydnie wyśmiewał się ze spółdzielni, a i Adamskiemu nie bardzo dogadzało, że Mrówczak tak od razu zaczął mówić o tym, co należało poruszać nie wprost, ostrożnie i nie naprędce.

Odczekali, aż Franciszek przycichnie, i Filip Terlakowski zaczął znowu tak, jakby tamten w ogóle się nie odzywał:

— Z wykopkami będzie można latoś wcześniej, bo jakoś słoneczko dopisuje.

Potoczyła się rozmowa spokojna, niespieszna, o tym, kto kiedy ma w zamierzeniu rozpoczynać kopanie ziemniaków, ile czasu zostaje do wyjścia na buraki i że kapusta nieszczególnie się wydarzyła w Osieczanach tej jesieni, głowy ma nieścisłe, więcej w nich powietrza niż liści.

Za chwilę pogawędka z pól zsunęła się między chałupy. Mówiono, że Paweł Włoszakowski już chyba z rok nie przysłał listu do żony. Obiecywał paczki nadsyłać, a nie nadsyła wcale.

— Żeby ten Wróbel nie miał nad Włoszką miłosierdzia — zauważyła Adamska — jej pole stałoby ugorem, bo choć kobieta sama zaorze, zbronuje, zasieje jak chłop, nie wprzęgnie przecie świniaka do pługa ani pstrej kokoszki do brony. Koń musi być, a konia Wróbel pożycza Włoszce.

— Jakie tam miłosierdzie — niechętnie odezwał się Tadeusz Florek, patrząc w polana pod piecem — za darmo Wróbel nie pożycza Weronice Włoszakowskiej, tylko za to ona z chłopakami częściej chodzi na pola Wróbla niż na to swoje.

Lecz Ślipiatce nie trafiły te słowa do przekonania. Nie ustąpiła:

— Jak jest, to jest — uparła się — ale żeby Wróbel nie podał Włoszce ręki, kto wie, co by z nią było, sierocy jej los, chociaż jej chłop bliżej ma do żony niż na tamten świat. A kto się nad sieroctwem ulituje, za każdy raz siedem grzechów pomniejszych ma odpuszczone.

Mówiono także o tym, że podobno autobus znowu ma przechodzić przez Osieczany, że w Wołowej zakwitła drugi raz młoda jabłonka i że Jasiek Sierakowski chce ponoć zostawić żonę, żeby jechać na jakieś kursy budowy, choć wszyscy się dziwią, bo kto ma własne dzieci, niech lepiej te dzieciary kształci w nauce, a po cóż siebie w latach będącego. I jeszcze długo się rozgadywali nad tym, że Józef Burak zapowiada wyprawić takie chrzciny swemu siódmemu chłopakowi, jakich jeszcze w Osieczanach nie było. Na ojca chrzestnego poprosi kogoś znaczniejszego, może aż z Gostowa, i ludzie się wyhulają za siedmiokrotne podawanie do chrztu, bo dotychczas u Buraków zawsze ta święta chwila z braku grosza odbywała się po cichu. Ale w końcu trzeba się postawić.

Rozprawiano nad sprawami dawnymi i nowymi, roztrząsano to i owo, a kiedy o jednym skończyli, zaczynali o drugim, wszystko zgodnie, z umiarem, powoli, poczciwie, nie sprzeczając się, ale potakując sobie wzajemnie.

Tylko Mrówczak, przecież fanfaron i gaduła, tym razem wcale się nie odzywał.

Wtem, kiedy akurat każdy już po głowie szukał, jaki by tu jeszcze wyraz położyć na język, Adamski przypomniał sobie ciekawą nowinę. Powiedział przesypując słówka umyślnie leniwie, niczym ostrożna baba proso przez przetak, bo i tak wiedział, że wszyscy się zainteresują:

— Bronio Bratek powiedział, że mu mówił Malinowski Szczepan, a onemu znowu gadał jeden z Wólki Działdowskiej, który się dowie-

dział od tego kulawego szewca, co koło poczty siedzi, że w Gostowie widzieli, jak tam się podobno pokazał ten gruby rządca, co to u dziedziców służył za pańskich czasów, na folwarku się rządził, kijem ludziom przyświęcał.

Tak wszystkich ta wiadomość poruszyła, aż zapomnieli, że nie wypada okazywać zdziwienia.

— Czego on tu mógł chcieć w naszej okolicy? — zastanowił się Terlakowski popędliwie, ze złością.

— A i to jeszcze — dodał Adamski niby obojętnie, ale rad z wrażenia — że się podobno ogromnie stowarzyszył z Wężykowskim Wiesławem, posłem. Jeden z Gostowa widział, że aż się ściskali w gospodzie jak chłopiec z panną, kiedy jeszcze nie wiedzą, czy się zechcą, mało się butelki na stoliku nie poprzewracały.

Adamska wybałuszywszy oczy powiedziała jakoś nieswojo:

— To już na coś musi się zanosić grubszego, kto wie, na co, jak pan rządca wraca do nas.

Umilkli, jakby wszystkim zrobiło się nijako. Raptem Mrówczak znowu buchnął śmiechem, bulgotliwym, głośnym.

— Ano tak, ano tak — pokładał się na ławie. — Pewno że się zanosi na grube, na całą spółdzielnię produkcyjną. Pan ekonom się zwiedział i se myśli: Pojadę do Osieczan, akurat w te pore się tam nadam na posadę, rządcować sobie będę we spółdzielni. Terlakowski Filip mi będzie dzwonił tak jak na pańskim, a Florka Tadeusza, że to w szkołach kształcony, zrobim karbownikiem, bo na starym Wężykowskim, nieboszczyku, kwiatuszki już nieraz zakwitły. We trzech będziemy ludzi wyganiać do roboty galancie.

— Głupio gadacie — przerwał ostro Mrówczakowi Tadeusz. — Jeśli wasz cel ubliżyć Terlakowskiemu i mnie, to możem rozprawić się w innym miejscu, nie jakeśmy są w gościnie. A co się dotyczy spółdzielni, którą chcecie wystawić na śmiech, to skoro tak do niej nawracacie wciąż, czemu nie, mówmy o spółdzielni otwarcie, tylko bez tych głupot, które wymyślacie.

Zaległa cisza.

Dopiero po chwili Adamski zapytał z niepewnością, ślamazarnie:

— Że niby jak?

— Ano tak na ten przykład — odpowiedział Terlakowski — że gdyby się tak u nas w Osieczanach zawiązała spółdzielnia produkcyjna, to ty byś się, Stasiu, podpisał czy nie?

Adamski powoli rozejrzał się naokoło, omijając wzrokiem żonę. Popatrzył w okno, przyjrzał się ścianom, zatrzymał dłużej oczy na piecu,

chwilę błądził nimi po suficie, aż wreszcie rzekł z determinacją, ale szczerze:

— Żebym tak miał czystą prawdę wyłuszczyć z całego serca, jak księdzu w komży przy konfesjonale, to powiem... sam nie wiem!

Ślipiatka wstrząsnęła się i spojrzała na męża wściekle. Krzyknęła ku gościom w oburzeniu:

— Widzicie go! Zwykłych ludzi będzie do księdza przyrównywał! Byle co plecie, miągawka jedna! Przecież jeszcze w zeszłą sobotę się zaklinał, że go tą komuną nie zarażą.

— Zaklinać się nie zaklinałem, co to, to nie — oparł się Adamski żonie. — Może tam i co wspominałem, że nie podpiszę, bo też u mnie wszystko w głowie faluje, odkąd rozpoczęły się te mowy o spółdzielni. W jeden dzień taki strach mi serce podgania, żebym uciekał w samych gaciach kto wie gdzie, ziemię bym choćby zapchał do kieszeni, byleby na wspólnotę jej nie stracić. A za drugim razem znowu mi się wydaje, że może akurat w tej spółdzielni ładne życie się pokaże, jeśli po różnych wsiach tylu ludzi się podpisało, ułatwienia są różne, domy sobie stawiają. To bym może we wspólnocie miał lepiej. Możliwość, że...

Zofia Adamska skoczyła w tej chwili ku mężowi, szarpnęła go za rękaw, zawrzeszczała:

— A ja ci mówię, że do spółdzielni nie pójdziesz!

Stanisław odepchnął ją i powiedział twardo:

— Ty się, Zośka, nie wtrącaj, bo jeszcze co zarobisz. Tak zrobię, jaka moja wola będzie.

Ślipiatka zamrugała rzadkimi rzęsami, jakby chciała nimi zatrzymać oczy wyłażące jej ze zdumienia. Z gniewu przeszła od razu do lamentu:

— Do bicia się bierze! O święta Barbaro, patronko dobrego konania! Co też się z nim porobiło — żałośnie wezwała obecnych na świadków. — Już go ta wspólnota ze wszystkim przekręciła na odmieńca. Żonie w księgach parafii zapisanej nie da słowa powiedzieć! Rządzenia mu się w domu zachciewa! A to stary zbereźnik!

W uniesieniu kopnęła stopą koszyk z ziemniakami. Pomiędzy toczącymi się kartoflami zaczerniał wyszczerbiony kozik do skrobania z ułamanym ostrzem. Porwała go i cisnęła mężowi pod nogi. Zanosząc się od szlochów krzyczała pełnym głosem:

— Jak masz mnie katować, poniewierać, lepiej od razu nóż wbij w serce na śmierć!

Adamski zgarbił swoją długą postać, wierzchem dłoni potarł się za uchem. Mina mu zmarkotniała.

Wiadomo było we wsi, że prędzej żona trącała Staśka kopyścią, miotłą przeganiała, niż żeby on ją tknął zeschłym badylkiem.

Wmieszał się dopiero Terlakowski. Pojednawczo zapytał Ślipiatkę:

— Wam, kumo, to niby z jakiego powodu tak się ta praca w zespole nie podoba naprzód i z góry, chociażeście jej nie oglądali?

Adamska w pół szlochu przerwała chlipanie i odwrzasnęła ze złością:

— Ja tam już dobrze wiem, przez co mi się nie podoba.

— To może i nas oświecicie.

— A oświecę! Ja nie taka, żebym sobie kazała płacić za każde słowo jak jaki wróżbita. Wspólnoty nie chcę, bo mi ta cała spółdzielnia córek nie wywianuje. A na dziadówki bez posagu żaden kawaler nie popatrzy, choćby urodą świeciły królewską!

— Toć waszej najstarszej Hanusi dopiero idzie na dziewiąty rok, Genia z Marysią jeszcze siedmiu nie mają, a Jadzi chyba dopiero pięć latek minęło — powoli obliczał Terlakowski. — A wy się już o posagi troszczycie.

— To kiedy się będę troszczyć? Jak mój wszystko daruje w spółdzielnię, jak się stało nie odstanie i dziewuchy bez majątku w staropanieństwie się ususzą bez pożytku, niby to ziele gorczycy dobre na okłady dla tych, co ich kości bolą, a dla zdrowych na nic przydatne.

— Nim wasze córki podrosną — zaczął Tadeusz Florek z namysłem — już się chłopaki tak za posagami nie będą oglądały. Każdy zarobi w spółdzielni dość na siebie i na rodzinę, to i bez wiana będą mieli dobrze.

Umilkł a potem dodał jeszcze:

— Czytałem, że w Związku Radzieckim, jak dziewczyna idzie w kołchozie za mąż, to ją zespół wianuje. Młodzi dostają domek, krowę czy co tam potrzeba, różne takie, w zależności od tego, jak się kołchoz potrafi zagospodarować, jak im się wiedzie.

Franciszek Mrówczak zaszurał butami, można by myśleć, że zbiera się do odejścia. Wypluł niedopałek kunsztownie, wprost do kubła aż pod piecem, i przemówił z powagą, grubym głosem:

—Fiu, fiu! Toć się dłużej, Adamska, nie zastanawiajcie. Zaraz dziewuchy zapisujcie do spółdzielni, żeby nie było za późno i tych miejsc rajskich im nie zajęli. Ho, ho, wasza Hanka z pewnością dostanie od spółdzielni we wianie z bydła zazulkę-biedronkę, nakrapianą, wypasioną, tłustą. Obory dla niej dużej nie potrzeba, poręczna sztuka, nie żerna, a pożyteczna. Będzie sobie Hanusia oną bożą krówkę pasła, doiła,

może i mniejszych zazulek się od niej doczeka na pociechę i bogactwo. A Gience z Maryśką, że to w jednej i tej samej godzinie urodzone, ofiaruje spółdzielnia na rozmnóżkę inwentarza — pierwszej igłę, drugiej nitkę. Jak się spotkają w wolnej chwili albo w święto, będą mogły mężom przyszyć guziki do kapot. Jadźce, bo najmłodsza i na urodziwą się zapowiada, należy się na wesele coś okazalszego, grunt czy łąka. Więc ją spółdzielnia obdaruje sadem. Zrobią jej zapis na te tarniny na miedzy, co to między twoim polem, Filip, a Buraka rosną. Z wiosną Dziuńka będzie sobie kwiaty zrywać z tych cierni, w szklankach układać jak jaka profesorka albo sama dziedziczka, a na jesieni tarki zbierać, kisić w beczkach albo marmuladę z nich smażyć do słoików. A jak którego roku tarnina obrodzi, Jadźka owoc powiezie na jarmark, majątek zarobi! Nie ma to jak pannom na wydaniu we wspólnocie!

Tadeusz Florek wstał, podszedł do Mrówczaka i popatrzył mu w błyszczące od śmiechu oczy.

Powiedział głosem stłumionym, ale bardzo wyraźnie:

— Wy nie wymyślajcie takich koszałów opałów, bo wy to po to robicie, żeście są kombinator. Łatwe życie chcielibyście ciągnąć cudzym kosztem. A spółdzielnia i tak powstanie bez waszej łaski.

VIII

Innej niedzieli Bronio Bratek wymyty do czysta, wystrojony i uśmiechnięty wracał po nieszporach do domu. Dawno już przeszły nawet najstarsze baby, które się wloką, jakby im trzewiki przyklejały się do drogi, i Bronio kroczył swoim zwyczajem ostatni za wszystkimi.

Zawsze się tak zapóźniał pogadując z ludźmi pod kościołem do ostatka. Naprzód rozprawiał z tymi, którym do miski z krupnikiem spieszno, dalej z kobietami, które wolą potem kłusem gnać do chałupy, ale za to tutaj nie skąpić sobie w mowie. Wreszcie Bronio odprowadzał tego i owego do szynku inwalidy i opieszale odchodził wzdychając. Nie wstępował do środka, bo składając sobie na wesele nie chciał tracić gotówki. Teraz, idąc przez Osieczany, rozglądał się tu i tam, pilnie wypatrując, czy się przypadkiem coś tu nie zmieniło od czasu, kiedy kilka godzin temu przechodził do kościoła.

Na ławce przed domem Florków Tadeusz czytał gazetę. W sadzie, między drzewami powoli krążył Florek starszy z koszykiem w dłoni,

przystawał raz po raz i schylał swoją prostą postać. Zbierał jabłka przedwcześnie spadłe.

Bronio-kawaler przystanął, grzecznie pozdrowił Tadeusza i poprosił go o łyczek wody.

Z pewnością Broniowi nie chciało się pić, bo dzień był ku zachodowi chłodny, raczej pożyczony z jesieni niż pozostały z lata, a i nie było mu do własnej studni daleko. Lecz widocznie nie wypadało wdawać się w rozmowę bez pozoru. Tadeusz chętnie wyniósł z sieni kwartę i patrząc, jak Bronio gulgoce powolutku, z wysiłkiem, bez przyjemności, zapytał z uśmiechem:

— Cóżeś to, Broniu, taki spragniony? Podniebienie ci musiało stwardnieć, boś je językiem wytarł do sucha przed zakrystią.

— A racja — przyznał Bratek oddając garnuszek. — Ludzie to są teraz bardzo gadatliwi, jeszcze się taki jeden z drugim dobrze nie przeżegna po ostatnim dzwonku, jeszcze woda święcona mu nie obeschła na palcach, już będzie rozprawiał z innymi, opowiadał byle co.

Bronio przerwał, chrząknął na znak potępienia i po chwili dodał:

— Gadali dzisiaj, że gwoździ nie można kupić w całym Gostowie. Trzeba aż do Kutna po nie jechać. Ciągle czegoś brak, a to szkiełków do lamp, a to znów do prania bielidła. Za pańskich czasów tego nie bywało. Towarów widziałeś po sklepach, że i przyśnić się więcej nie może. Tylko pugilares wyjąć, dwudziestówę położyć i brać.

— A dużoś tego towaru kupował, Broniu? — zapytał uprzejmie Tadeusz.

— Ano ja nie kupowałem, bom nie miał pieniędzy, ale jakbym tylko posiadał pieniądze, mógłbym sobie kupować, na co by mi tylko przyszła fantazja i chęć.

— No, ale fantazji i chęci nie mogłeś mieć, Broniu, jak ci brakło pieniędzy.

— Ty, Tadeusz, zaraz moją mowę wywracasz na drugą stronę. Wszystko tak rozbierasz dziwnie, jakoś rozumowo czy co — obraził się Bronio. — A ja przecież tylko o tym, że teraz po gwoździe trzeba się wybierać w podróż aż do Kutna.

— Bo niby skąd ma Polska sypać gwoździami, kiedy jej Hitler poharatał fabryki?

Bronio przytaknął skwapliwie:

— Pewno, że jak Polska zniszczona, nie może być wszystko od razu. Tak samo jak ktoś się żeni, a nic nie ma, musi po kolei każdy przedmiot sobie sprawiać. Słyszałeś, Tadeusz, powiadali także, że podobno idzie na trzecią wojnę.

— A cóż ty, Broniu, tak to mówisz jak wesołą nowinę, cieszyłbyś się z wojny czy co?

— Ja bym się wcale z wojny nie cieszył. Wojna na wszystko niedobra, jak na ten przykład szkodzi żołądkowi.

Z sadu zbliżył się starszy Florek. Wyniósł z domu opałkę, przysiadł koło syna na ławce i z frasobliwą miną począł nadbite jabłka oddzielać od zdrowych.

Bronio poszukał czegoś po kieszeniach daremnie, chrząknął raz i drugi, strząsnął z rękawa jakiś pyłek, aż wreszcie ociągając się spytał wahająco:

— O jednej takiej rzeczy też była dziś mowa, tylko własnym rozumem nie mogę tego rozebrać, prawda czy nieprawda. Może ty, Tadeusz, będziesz wiedział, bo to mówią o tobie, że masz głowę nie tylko do noszenia czapy. I jeszcze to, że się z Partią znasz.

— Zależy, o co się rozchodzi.

— Opowiadają, że się na spółdzielnię produkcyjną zanosi w Osieczanach.

Zygmunt Florek ze złością cisnął na wpół zgniłe jabłko za płot i zamruczał coś pod nosem.

Tadeusz złożył dokładnie gazetę, przyjrzał się z uwagą Bratkowi. Zapytał łagodnie:

— A jakby tak spółdzielnia powstała, co byś, Broniu, na to powiedział?

— Ja bym od razu prosił, żeby mnie przyjęli.

— Też się znalazł amator — żachnął się Florek starszy — uważaj, żebyś swoje morgi doniósł do wspólnoty, bo ci się jeszcze w ścisku rozkruszą, po nic.

— Dajcie spokój, tata — mitygował ojca Tadeusz. — Dlaczegóż by Bronio nie miał chcieć przystąpić do spółdzielni?

— A niby po co ci ta rozkosz? — zaczepił Ponic wprost Bronia-kawalera.

Bratek wyprężył się chełpliwie. Zająkując się z pośpiechu wytłumaczył w ożywieniu:

— Pewno, że przystąpię. Każdy, kto się podpisze pod statutem, zaraz zostanie uszlachcony.

— Że co, że jak? — osłupiał Tadeusz.

— No przecie każdy jeden, który na członka się ofiaruje, dostanie dyplom na pergaminie z trzema pieczęciami z czerwonego laku jak talary. W tym świadectwie będzie stać, że taki a taki zostaje od tej chwili herbowym szlachcicem.

Zygmuntowi Florkowi zadygotały wąsy, charknął nie po swojemu i parsknął zgrzytliwie. Bronio spojrzał na Ponica zdziwiony. Powiadano w Osieczanach, że stary od swego wesela śmiał się tylko trzy razy — w te dni, gdy mu się szczęśliwie rodziły dzieci.

Teraz wykrzywiony dziwnie zapytał Bronia-kawalera:

— A na cóż ci, Broniu, być jaśnie panem?

— Ja tam nie stoję o zaszczyty herbowej tarczy — odpowiedział Bratek skromnie. — Człowiek jest cichy, nie wynoszący się ponad drugich. Ale panny tak w ogóle okrutnie są czujne na tytuły. Nic tylko za tymi honorami się obzierają. Jak zostanę szlachcicem, zaraz u narzeczonej zasłużę na lepszy traktunek, bo drugie panienki, koleżanki, będą jej zazdrościły. Zawsze szlachcic nie to samo, co ktoś rodzony z chłopa.

Tadeusz Florek, choć zawsze taki w ruchach spokojny, wstał porywczo, zmierzył ojca ze złością oczami i groźnie zapytał Bronia:

— Któż ci takich banialuków niegodnych naopowiadał, co ich z daleka na trzy mile kłamstwem czuć?

— To ja sam wiem z doświadczenia. Ja się na niewieścich zachciankach tak rozumiem, jak nie przymierzając ktoś drugi na pszczołach — pochwalił się Bratek zadowolony.

— Nie o to moje pytanie, tylko kto rozpowiada wariactwa o tym niby szlachectwie.

— Jakże! Mrówczak Franek mi mówił we własnej osobie i się przysięgał, że mu o tej kwestyi dał informacyję jeden z urzędu partyjnego. To już nie może być nieprawda — bronił się Bratek, przekrzywiając okrągłą głowę.

W ten sposób Franciszek Mrówczak mącił zrozumienie ludziom, szczególnie tym, którzy myśli mają jak cienkie nitki, łatwe do skłębienia, trudne do rozwikłania.

Tylko z Włoszką nie udało mu się, choć próbował. Raz pod wieczór spotkał Terlakowskiego i Tadeusza Florka, kiedy wchodzili w sień dawnego pałacu.

— A gdzie to kawalerska droga prowadzi? — zapytał.

Florek odpowiedział niechętnie:

— Idziemy do Weroniki Włoszakowskiej.

— A to moje kroki akurat mnie do niej niosą za dworskie progi.

— Kiedy indziej sobie idź, za dużo nas będzie na jeden raz — próbował zbyć Franciszka Terlakowski.

— Dopiero co posyłała po mnie pilnie chłopaka, żebym jej piec przeczyścił, bo dymi z rury, widać sadzami zatkało — gładko wytłumaczył Mrówczak.

— Piec, po nocy?

— Zresztą weselej nam będzie we trzech — dokończył Franciszek mrugnąwszy okiem.

Włoszka była jednak innego zdania.

Uchyliła drzwi i stanęła w nich. Twarz kobiety, łagodnie trójkątna niby pierniczek z odpustowego straganu, zmalała od strwożenia. Za plecami Weroniki w pokoju było ciemnawo, tylko ogień żwawo trzaskał w piecyku.

— Ojej, tyle chłopów, to może do mnie? — zapytała w zmieszaniu, dziwiąc się bardziej chyba na niby, bo prócz dzieci nikt przecież z nią nie mieszkał.

— Do was, kumo, w odwiedziny, nie będzie wam się przykrzyć w towarzystwie — wesoło rozpuścił swoją wartką mowę Mrówczak.

— Kiedy u mnie ciasno, usiąść nawet nie ma na czym, lepiej by wam było pójść gdzie weselej, ładniej, między ludzi, a nie do starej baby, co się zachować nie umie — mówiła Włoszka prędko i nieskładnie.

Głos miała od małej dziewczynki niski i głęboki, trochę niby schrypnięty, jakby z jej gardła odzywała się baba zwalista, słów znająca wiele, a nie ta Weronka drobna, zalękniona, małomówna. Jeszcze kiedy była dziewczynką, kobiety dokuczały starszej Romanowskiej, że jej córka tak mówi, jakby z chłopami pijała gorzałkę i znała się na takich praktykach, o których nawet mężatki, jeśli cnotliwe, nie wiedzą.

— My nie wymagające, byle gdzie sobie posiadamy, żeby tylko było pod dachem, w cieple, w otoczeniu przyjemnym — przymilał się Mrówczak.

Wtedy dopiero Włoszka, widocznie się zdecydowawszy, powiedziała zaciskając po dziecinnemu, między jednym słowem a drugim, wargi wykrojone kształtem prześlicznie delikatnym.

— Jak kobieta jest bez męża, tak jak niby ja, nie uchodzi, żeby tyle chłopów przychodziło do niej w gości.

— My z Terlakowskim nie w gości, ale za sprawą — wyjaśnił Florek chmurnie.

— Jak tak, to proszę wejść. Tylko, że... trzech to już chyba za dużo.

— Nie czuć jakoś dymem, widać z tym piecem nie ma takiego gwałtu — dopowiedział Terlakowski.

— Z jakim piecem — zdziwiła się Włoszka — z moim? Toż jak na was, Franciszku, nie mogłam się doczekać przez pięć dni, Józia jeszcze w zeszły wtorek przetkała mi rurę gałęzią i teraz taki jest cug jak nigdy.

IX

Franciszek Mrówczak plótł na spółdzielnię wszystko to, co tylko mogło ludziom przedłużyć wargi ku uszom w uśmiechu, wykłamywał bajki bardziej do słuchania niż do uwierzenia, kpił i docinał niczym najśmielszy z kolędników, którzy chodzą z szopką i Herodem. W ogóle Franciszek używał sobie tak, jakby za każde cygaństwo dostawał sam jeden pieczone prosię, a tą jego skórkę chrupką, przyjemną zapijał za każdym razem ćwiartką spirytusu.

Zabawiał się tak Mrówczak różnymi nieprawdami do czasu, kiedy jednego popołudnia przejeżdżał przez Osieczany sekretarz Komitetu Powiatowego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w Gostowie. Zatrzymał on się przez chwilę u Florków, potem piechotą podszedł ku zagrodzie Mrówczaka.

O sekretarzu wiadomo było, że pochodzi z niedaleka, zza wielkiego lasu, który ciągnął się już wprawdzie w inny powiat, lecz zawsze była to okolica gostowskiej sąsiednia, ludzi z obu stron tej powiatowej granicy coraz coś łączyło, to wesele, to znów pogrzeb.

Sekretarz nazywał się Edward Płatko, a familia Płatków znana była na wiele parafii z tego, że dziewczyny wcale się w niej nie rodziły, tylko same chłopaki — mocne, bitne, wcale nie wałkoniowate, honorowe.

Mrówczak na progu swego domu wiązał właśnie wędzisko. Towarzysz Płatko przystanął tuż przed nim i bez przywitania zapytał żywo:

— Biorą ryby na takie suche pogody?

— Biorą, jak ktoś sposoby na nie zna — odparł Franciszek pewny siebie.

— Et, do takiego sznurka na patyku trzeba mieć dużo cierpliwości, a krew zimną, że jej nieruchomota i przez pół dnia nie ochłodzi. Jakeśmy byli w lesie, karpia nam się lub lina zachciało, granat rzuciło się do rzeczki, buch, zakotłuje się tylko w wodzie, pobulgoce, i potem ryby choćby dziurawym workiem łap, falki na wierzchu od łuskowanych brzuchów pobieleją. Uciechy z tego tośmy mieli dużo. Ładna rzecz.

— O to, to, to! — ożywił się Mrówczak. — Tak dopiero jest śliczne łowienie. Żeby na przykład Marusowi rzucić granacik do stawu po nocy, choć z jeden raz...

— Teraz to jest zabronione przez nasze władze i słusznie, bo jakby wyglądała planowana gospodarka — przerwał sekretarz Franciszkowi stanowczo, lecz tak jakoś jakby odrobinę markotnie.

Mrówczak spod daszka czapki podartej i nałożonej krzywo spojrzał uważnie na towarzysza Płatko.

Był to człowiek niewiele chyba starszy od Tadeusza Florka, więc od Franciszka młodszy o kilka lat. Twarz miał szeroką, postawę okazałą, prościej się trzymał od leszczynowego pręta, a jego włosy stale były trochę zmierzwione, jakby dopiero co złamał się w nich grzebień i czesanie nie mogło być dokończone. Sekretarz stał teraz przed Mrówczakiem na trochę rozkraczonych nogach, ubrany w zniszczoną kurtkę, od góry do dołu rozpiętą, bez kapelusza, jakby mu było za gorąco.

— Z panem towarzyszem to bym na ryby pojechał — powiedział z uznaniem Franciszek — zaraz poznać, że pan w rybactwie nie fuszer. Samochodem by można gdzieś dalej się dostać, może do samej Wisły. Pan towarzysz by się wystarał o pozwoleństwo, żeby granacik cisnąć, choć ze dwa, trzy granaciki. Przecież władzy nie uchodzi to, by odmówić prośbie samego sekretarza Partii z Gostowa.

— W mojej wsi powiadają o rybakach — odrzekł Edward Płatko prędko, jakby wcale nie słyszał tamtej propozycji — znaczy się mówią o rybakach, że to ludzie cierpliwi, niezaczepni, a głowę mają pełną rozsądku. A o was słyszę, obywatelu Mrówczak, że podobno wasza natura, można powiedzieć, nie bardzo rybacka.

— To mnie z pewnością Florek Tadeusz musiał oszkalować, bo nosi na mnie złość — bez namysłu, z miejsca oburzył się Mrówczak — choć ja przecież na spółdzielnię produkcyjną nic nie mam, owszem, wychwalam wspólnotę. A że się czasem ludzie pośmieją, to co to szkodzi. Jeszcze w Polsce demokratycznej za śmiech nie idzie się do kryminału.

Edward Płatko gwałtownie postąpił krok naprzód, przeszył spojrzeniem twarz Mrówczaka, sfałdowaną w przepoczciwym zadowoleniu. Skronie mu się zaróżowiły na moment, a rękawy kurtki wydały się zbyt obcisłe, jakby w nich przybyło ciała. Jednak sekretarz powiedział głosem prawie zwyczajnym, może tylko trochę ściszonym, niedbale:

— Tu się rozmowa toczy, a w Partii na mnie czekają. Cześć.

Odwrócił się i już odchodząc zagadnął jakby sobie coś przypomniawszy:

— Wy, obywatelu Mrówczak, nie macie jakiego interesu w Gostowie? To bym was podwiózł maszyną.

— Akurat żem się wybierał w tym tygodniu. Mam się spotkać z jednym, może mi tam załatwił, co mi przyobiecał — ucieszył się Franciszek — z chęcią się zabiorę z panem towarzyszem. Automobilem prędzej, honorowiej i człowiek ma okazję użyć świeżego powietrza. Tylko się przewdzieję, bo w takich łachach wstyd bym przyniósł panu sekretarzowi.

— Pośpieszcie się, czasu brakuje.

Za chwilę Franciszek Mrówczak z miną rozpromienioną a chełpliwą sadowił się na siedzeniu samochodu, wystrojony w prawie nowy mundur ormowca, przepasany skórzanym pasem, w półwojskowej czapce z orzełkiem na przodzie, wyczyszczonym na błyszcząco.

W dwa dni potem, około południa Aniela Mrówczak cała potargana przybiegła bez tchu do Terlakowskich. Owinięta szczelnie chustą sfałdowaną przy piersi w niewielką kukiełkę zanosiła się od łkań. W zawiniątku, niewidoczna, skuczała najmłodsza córeczka Mrówczaków, wstrząsana szlochami Anieli. Wydawało się, że to dwa głosy płaczą w kobiecie, jeden niemowlęcy, choć wątły, lecz w uszach świdrujący nieznośnie, drugi babski, rwący się w lamentach.

— O święty Rochu, obrońco od morowego powietrza! Z dzieciakami się co złego przytrafiło czy jak? — przestraszyła się Józefa.

Okazało się, że Franciszek Mrówczak nie wrócił ani przedwczoraj na kolację, ani w nocy, ani przez cały następny dzień.

— Jesce takie było moje spodziewanie, ze się chociaz z mlecazem dzisiaj rankiem zabieze. Ale jak go dotąd nie ma, to juz sama nie wiem, co ze sobą robić. Moze on tam gdzie zasłabły lezy, konający, bez psytomności, garnuska wody nie ma mu kto podać? Albo go psejechała kuleja zelazna, cy tez ktoś na nim swoje pomste wywarł? O Matko Boska Cęstochowska, moze mi go ubili na śmierć? — zawodziła Mrówczakowa. Powietrze świstało przez jej szczerbate zęby, a oczy nikły w opuchnięciu powiek, niby zamulone.

Terlaczka od razu się uspokoiła. Pocieszała dawną kucharkę czeladzi:

— Nie trap się, kobieto, nie ma o co. Taki gagatek jak twój nigdy na dobre nie zginie, nie ma strachu, choćby go z wieży kościelnej rzucali w wielką środę jak Judasza. Ze stryka się urwie namydlonego, z głębiny wypłynie z powrotem, nawet jakby mu kto rurę z żelaza uwiązał przy szyi. Pewno się opił jak świnia i gdzieś zwalił w fosę bez czucia albo go milicja wzięła na posterunek, bo do bicia się brał.

Mrówczakowa bynajmniej nie pocieszona błagała, aby Terlakowscy pożyczyli jej konia, a pojedzie na ratunek mężowi.

— Kiedy Filip dopiero co pojechał do Łąk ze zbożem do młyna — powiedziała Józefa — a nawet żeby był, cóż byś ty, niebogo, wywojowała w tym Gostowie?

— Na klęckach go wyprosę, na ręcach do domu psyniosę, byle mi się tylko nie utracił — szlochała nieładna Aniela.

Niedługo zabawiła u Józefy, zaraz popędziła dalej kołatać do ludzkiej litości. Uprosiła wreszcie Buraka, chociaż Buraczyna wprost sarkała, że mąż ma serce jak nie przymierzając kwaszony ogórek w maju, zupełnie rozmiękłe.

Lecz kiedy Burak ociągając się i marudząc zaprzęgał na podwórzu gniadą do wozu, a stojąca przy dyszlu Aniela milcząco pociągała od chwili do chwili nosem z pokorną wdzięcznością, ścieżką za płotem przeszedł ktoś ociężale. Nie zwrócili na to uwagi. Wtem czyjś cień przesunął się znowu wzdłuż kołków ogrodzenia i odezwał się głos schrypnięty nieco, prawie żałosny:

— Chodź, Aniela, do domu. Co się będziesz wycierać po drogach.

Mrówczakowa z krzykiem rzuciła się za bramkę.

— O najsłodsy święty Antoni, dobrotliwy! Franuś! Zyjes to! Juz myślałam, ze własną rękę na siebie podniosę psez to utrapienie o ciebie!

Burak wyjrzał ciekawie na ścieżkę. Stał tam Franciszek Mrówczak, jakby z postawy mniejszy, zmitrężony. Na brodzie czernił mu się brudnymi kępkami niegolony zarost, ormowski mundur zakurzony był i wygnieciony, pas zapięty zbyt luźno, nawet orzełek na czapce stracił lśnienie, zmatowiał. Franciszek patrzył w dół, w jakiś skrawek drogi, i coś tam kreślił na piasku kijkiem, jak mały chłopak zajęty myślami o czymś innym. Wreszcie splunął i powiedział niechętnie do żony, która ładnie poróżowiała na policzkach głaskała go po ramieniu.

— Konferencyją mieli, to mnie poprosili do udziału i tak zeszło.

Za tydzień odbyło się w dawnym pałacu osieczańskim zebranie założycielskie spółdzielni produkcyjnej. Rozpoczęło się po ostatnim wydojeniu krów, a trwało tak długo, że ludzie podpisywali statut, kiedy już knoty skwierczały w lampkach, bo nafty zostało ledwo, ledwo. Ciżba na zebraniu była wielka. Przyszli tacy, co do spółdzielni mogli wnieść tylko własną biedę, a i ci, którzy we czterech, pięciu większy mieli majątek niż gdzie indziej cała wspólnota.

Tylko Teofil Marus nie pokazał się. Stawił się i Kwiatkowski, i Domin, dawny wójt, i Wróbel. Godnie siedzieli pod ścianą, ale żaden się

nie odzywał. Domin co prawda często przymykał oczy dłużej, nie wiadomo, czy słuchał, czy spał. Wróbel przeciwnie. Wiercił się niespokojnie, jakby coraz go pchły obłaziły, kilka razy wychodził na dwór, znów wracał a najpilniej przypatrywał się tym, którzy wcale nie zabierali głosu.

Tylko jeden Jan Kwiatkowski przytakiwał miarowo głową temu, co mówili Tadeusz Florek i Terlakowski.

Za to Poseł Wężykowski bardzo się rozgadał.

— Ludzie kochani, bracia — wołał wysokim głosem — możecie mi wierzyć lub nie, lecz wyznam z prawdziwym wzruszeniem, teraz czuję, że na tę chwilę czekałem przez całe swoje życie. Może ten i ów pragnąłby mi zarzucić, że popełniałem błędy na drodze mojego żywota. Odpowiedziałbym mu z pokorą: Masz słuszność, przyjacielu, błądziłem, wszak ludzką jednak rzeczą jest błądzić, jak głosi przysłowie, przysłowia są solą narodowej mądrości. Jednakowoż obecnie wyprostowały się ścieżki moje, bo cel widzę przepiękny, gorejący, niczym ów znicz wiecznie płonący w sercach. Celem tym jest dla rzesz chłopstwa pracującego spółdzielczość produkcyjna. I moje miejsce we wspólnocie, bom pochodzenia robotniczo-chłopskiego.

Poseł bucząc donośnie wysiąkał nos w chusteczkę maleńką i różową jak u panienki. Wtedy właśnie wtrącił się Burak wątpiąco:

— W ziemi przecież nie będzie pan robił, bo pan do tego nie zwyczajny.

— Tego bynajmniej nie proponuję ani się nie podejmuję, aby w pracach rolnych brać udział — żwawo odpowiedział Wężykowski. — Osoba ze mnie niemłoda, siły mam nadwątlone ożywioną działalnością publiczną, a więc, kwestia bezsporna, pracy fizycznej nie sprostałbym. Lecz i areał ziemi posiadam niewielki, jedynie domek i tę trochę grządek w ogrodzie. Jednakowoż mógłbym być w rolniczym zespole spółdzielczym pracownikiem nad wyraz pożytecznym.

Albowiem kto na przykład, proszę ja was, poprowadzi wspólnocie buchalterię? A księgowość gospodarki zespołowej jest procedurą niezmiernie skomplikowaną. Musielibyście zaangażować fachowca z miasta, zapewnić mu lepszy wikt, przygotować starannie mieszkanie eleganckie, bo taki przecież byle gdzie kątem nie będzie przebywał. Pensję także pobierałby wygórowaną, a i tak nie wiadomo, na kogo się trafi, czy byłby to człowiek sumienny, uczciwy.

Lub jeśli miałby księgi prowadzić ktoś z miejscowej ludności, obowiązywałoby wysłać go w świat na specjalne kursa. Pół roku co najmniej trwałaby taka nauka albo rok cały. Wydelegowany przez spół-

dzielnię byłby zmuszony na ten czasokres rozłączyć się z żoną, z dziećmi, z gospodarstwem, a wiadomo każdemu rolnikowi, jak w zagrodzie wygląda, jeśli gospodarza nie staje. Pańskie oko konia tuczy — powiada popularne przysłowie ludowe.

Tak więc zwracam uwagę i podkreślam usilnie, że mój wniosek przyniesie korzyść obustronną.

Któż z większym pietyzmem zachowa w swej pieczy skarb wspólnoty, księgowość jej, jak nie ja, krew z krwi, kość z kości, syn osieczańskiego ludu.

Ludziom raczej trafiła do przekonania przemowa Posła. Pora była późna, na dworze poczerniało smoliście, jak to bywa przed brzaskiem, niejednemu od senności piasek się sypał przed oczami, a Wężykowski mówił składnie, rzewnie i uczenie, nie gorzej od samego prałata w Wołowej w czasie odpustu na dzień świętego patrona parafii.

Wkrótce rozpoczęło się podpisywanie statutu.

Po Terlakowskim i Tadeuszu Florku przystąpił do spółdzielni Wężykowski. Pod jego zamaszystym podpisem Włoszka umieściła swoje imię i nazwisko, drobnymi literkami, trochę krzywo, ku dołowi arkusza.

Potem w czapie na bakier, kołysząc się w ramionach, z wargami złożonymi niby do gwizdania, przeszedł do stołu posuwistym krokiem Antek Turkowski.

Wtedy Bronio Bratek zaszurał mocno butami pod ławką, jakby chciał wstać, ale w końcu nie wstał. Gdzieś w najciemniejszym kącie chlipnął szloch kobiety. Jeden poznał, drugi się domyślił, że to płacze Marysia Bielowska. Ludzie zaczęli szeptać między sobą, że Antoni zapisuje się do spółdzielni na złość ojcu, bo się bardzo pokłócił ze starym.

Po Antku długo nikt się nie zgłaszał. Zapowiadało się, że nie ma już więcej chętnych do wstąpienia do zespołu.

W ciszy słychać było, jak trzasnęło coś w ścianie szafy dawnej dworskiej biblioteki, zza okna rozległ się turkot wozu i ścichł po chwili, w ciżbie groźnie chrapnął zmożony snem staruszek, od czasu do czasu westchnął ktoś głęboko, ktoś drugi chrząknął, trzeci zakaszlał.

Nagle z ostatnich rzędów zaczął się przepychać ku przodowi jeszcze jeden kandydat. Zaraz poznano Franciszka Mrówczaka i szmer kręgami rozsunął się po sali. Mrówczak szedł z gołą głową, małymi krokami, nie patrząc na nikogo, bez żartów, jakoś pokornie. Przy stole pochylił się nad statutem i długo manipulował piórem nad arkuszem. Zebrani widzieli tylko plecy Franciszka, przygarbione dziwnie.

Z pierwszego rzędu ław Tadeusz Florek przyglądał się Mrówczakowi wzrokiem krytycznym i zdumionym.

Jednak zaledwie Franek odwrócił się od stołu od razu kilku ludzi równocześnie ruszyło z miejsc, jakby raptem powzięli postanowienie ci, co się dotąd wahali.

Jeden za drugim, po kolei podpisali statut: Stanisław Adamski, Józef Burak, Katarzyna Burakowa, po nich Walenty Kępa, Sierakowski, jego żona, Antonina Sierakowska, i Czesława Stebnicka, wdowa, siostra Terlakowskiego.

Także Bronio Bratek powstał zdecydowanie, roztrącił sąsiadów, jednak rychło usiadł z powrotem, jakby się nie mógł przecisnąć i tak już siedział grzecznie a nieruchomo aż do zakończenia zebrania.

Potem jeszcze przez dobre dwa tygodnie ludzie nie mogli się nadziwić, co też mogło stać się Mrówczakowi, że przystąpił do wspólnoty.

Wyjątkowo nie umieli dociec przyczyn zarówno ci, co nie mogli nawet wspomnieć o Franciszku bez złości, jak i przyjaciele Mrówczaka, choć sami przyznawali, że ich Franek pociągnął swoim przykładem.

CHRZCINY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

I

Chrzciny siódmego syna Buraków stały się wydarzeniem tak we wspomnieniach niezatartym, że ludzie w Osieczanach, zanim się jeszcze opamiętali dobrze po tym wszystkim, co im się przytrafiło, już zaczęli według dnia chrzcin mierzyć czas.

Odtąd lata minione i te, które przyszły później, rozcięte zostały granicą wyraźną niby miedza na początku kwietnia, kiedy oziminy są jeszcze niewysokie.

Wszystko, co się działo, mieszkańcy Osieczan umieszczali po jednej albo po drugiej stronie owej przegrody niewidocznej, a wiadomej.

Więc o Bielowskiej mówiono, że miesiąc przed chrzcinami u Buraków nie dała Antkowi Turkowskiemu drużbować na weselu jego brata, łzami roztopiła jego wolę, z trwogi, żeby sobie nie pozwalał za wiele z pannami. Lub o pierwszym śniegu w tym roku czterdziestym dziewiątym powiadano, że spadł w trzy tygodnie po chrzcinach u Buraków.

I tak o wszystkim, co się tylko miało liczyć według kalendarza,

kiedy kto zachorował albo upił się z rumorem na całą wieś, kiedy się dwie baby mokrymi ścierkami pobiły czy mąż żonę przydybał z kuzynem na gorącym uczynku.

Burakowie od piętnastu lat co sześć, siedem kwartałów odsłaniali noworodkom czółka pod święconą wodę przed ołtarzem regularnie tak, jak Ponic, który odkąd wyedukował się w sadownictwie, mógł co drugi rok liczyć na urodzaj owocu.

Katarzyna i Józef Burak tylko przed ludźmi mocno się wspierali, żadne nie pozwoliło umazać drugiego obelgą. Jednak u nich w chałupie, w czterech ścianach podobno bywało tak nieraz, że Buraczka częściej niż inne kobiety musiała sobie zszywać rękawy potarganej bluzki, a o Buraku napomykano, jakoby z łaski żoninej garści nie potrzebował przed świętami wybierać się do Terlakowskiego strzyc włosy.

Józef był postaci niedużej, choć żylasty w sobie jak rzemyczek od chomąta i mocny. Katarzyna pasowała do niego i wzrostem, i chudością. Gdyby zachciało jej się bezbożności, mogłaby wcale nie klękać w kościelnej nawie, a ksiądz proboszcz by tego nie wypatrzył, bo Katarzyna, stojąc, niewiele była wyższa od tych na kolanach.

Nie na darmo pouczają mądrzy ludzie, że mały człowiek prędzej trafi za grzechy do piekła niż duży, bo w takim ludzkim ogryzku złość nie ma się gdzie pomieścić, podchodzi do głowy, zapala się.

Toteż małżonkowie Burak posiadali natury popędliwe. Józef wpadał w gniew prędzej od Katarzyny, ale też rychlej chłódł. Buraczka dłużej potrafiła się pohamować, jednak kiedy już raz buchnęła z niej ta wściekłość, nie było końca urąganiom.

A że jak wiadomo w ślubnym związku w ślad za przeprosinami, zwłaszcza zimową porą, za dziewięć miesięcy przychodzi pamiątka po uśmierzonej swadzie, u Buraków nigdy nie trzeba było wystawiać kołyski na poddasze, bo nawet nie zawsze zdążyło się tę kolebkę wywietrzyć po jednym dziecku dla drugiego.

Chrzciny były więc dla Buraków czymś tak pospolitym, jak dla kogoś drugiego to, że na wiosnę mlecze zakwitają po przydrożnych rowach.

I Burakowie wcale a wcale nie spodziewali się, aby uroczystość nadania imienia temu najmłodszemu tak wsławiła nie tyle ich samych, ile nazwisko familii, łącząc je raz na zawsze z wypadkami o niezwykłej wadze. Zwłaszcza że Katarzyna i Józef wszystko przygotowywali z namysłem i spekulacją, bynajmniej nie w zamiarze, aby uhonorować przybyłego na świat chłopaka, ale żeby przebłagać siły czyste i nieczyste albo choćby nawet je zbałamucić, byleby tylko w następne pieluchy owinąć już dziewczynę.

Dziecko urodziło się w sam dzień Matki Boskiej Siewnej i Buraczka wyrzekała z goryczą, że Pocieszycielka Strapionych musiała mieć w tej godzinie zaprzątniętą głowę prośbami kogoś takiego, kto jej się naprzykrzał bezustannie. Bo jakże by inaczej Panna Roztropna przyzwoliła na tę hańbę, aby w dniu poświęconym jej szczodrości powiększył się męski ród, a nie babski, w specjalnej opiece Królowej Dziewic pozostający.

W każdym razie siódmego Buraka nazwano na drugie imię Marią, nie tylko po to, że gdyby miał dwie dusze, w takim razie zostały obie ochrzczone i chłopak nie będzie straszył po śmierci, ale także i dlatego, aby umocnić na przyszłość pamięć Panny Łaskawej.

Nad wyborem pierwszego imienia długo deliberowano u Buraków. Wreszcie Józef postanowił, że małemu będzie Cecylian. Wprawdzie nie można było znaleźć w kalendarzu takiego imienia, ale uradzono je przemyślnie, żeby się przypochlebić św. Cecylii. Niebiance tak godnie uczczonej nie będzie wypadało później uchylić się od pomocy przy wymodleniu siostrzyczki dla imiennika świętej.

Za czasów dziedziców i wójta ksiądz wikary nie zgodziłby się przenigdy na takie imię, nie przypieczętowane drukiem w spisie świętych, więc prawie pogańskie. Ale teraz można się było spodziewać, że zastępca proboszcza nie będzie udawał ku ubliżeniu rodziców dziecka, że nie dosłyszy, ani też nie zachce mu się postukiwać obcasem o tafle posadzki. Będzie rad, że się jego przewidywania nie spełniają jak na razie. Bo dotychczas mniemał i z góry ostro już naprzód gromił, że jeśli ktoś przystąpi raz do spółdzielni, odtąd nie będzie korzystał z kropidła ani ze stuły, a kto wie, czy upomni się dla swoich nieboszczyków o „Salve Regina". Więc skarbonę w zakrystii na małym palcu będzie można podnosić.

II

W swojej desperacji Burakowie niemało gotówki przeznaczyli na poczęstunek dla gości. Podejrzewali bowiem, że może dlatego nie darzyło im się dotychczas doczekać w nogach łóżka dziewuchy, ponieważ ludzie, nie podejmowani z okazji chrztów przyjemnie, tłusto a honorowo, nie życzyli im szczególnie córek.

W kumy poprosiła Katarzyna Adamską-Ślipiatkę. Nie dlatego, żeby sobie były miłe. Nie, nawet przeciwnie. Znalazłoby się między tymi sąsiadkami więcej słów cierpkich, niczym niedojrzałe ulęgałki, niż pachnących jak leśne maliny. Lecz Burakowa spodziewała się chytrze,

że skoro małego potrzyma do chrztu kobieta, która obdarzyła swą krwią cztery córki, może przybędzie i jej, Katarzynie, trochę tego sposobu na rodzenie dziewczątek.

W jednej tylko kwestii Burakowie zatroszczyli się o dobro Cecyliana Marii, a nie o zapewnienie sobie następczyni po nim. Poprosili na ojca chrzestnego samego pierwszego sekretarza Komitetu Powiatowego Partii z Gostowa.

Owo zaproszenie wprawiło towarzysza Płatko w niemały ambaras.

— Prawda — powiedział do Józefa i Katarzyny katulając prędko ołówkami po powierzchni swego biurka — prawda, że pierwsze chrzciny w spółdzielni produkcyjnej, to ładna rzecz. Wasz chłopak się urodził na lepsze czasy, sprawiedliwe. Tylko że widzicie, obywatele — i sekretarz spojrzał w twarz Buraków — ja to jestem człowiek niereligijny. Przestałem do kościoła chodzić, kiedy Bóg nie pomógł Polsce przeciw Hitlerowi. Wtedy do wszelakiej świętości straciłem zaufanie, a do partyzantki poszedłem. To mnie nie uchodzi, osobie partyjnej, ni z tego ni z owego stanąć przed ołtarzem.

— Z jakiego tego ni owego? — pociemniał na twarzy Burak obrażony. — Przecie obrzęd chrzcielny wielka uroczystość, uszanować go trzeba, nie przezywać.

— Pewnośmy są za biedne, żeby pana sekretarza w gościach przyjmować, pan sekretarz naszą prośbą gardzi — zawtórowała mężowi Katarzyna lamentująco.

Sekretarz odsunął się od biurka całym krzesłem gwałtownie, z hałasem. Powiedział skonfundowany:

— Co wy, obywatele? Czemu wy tak do sprawy podchodzicie fatalnie? Ja z takiej samej biedy jestem jak wy. Tylko że mi, człowiekowi na partyjnej funkcji, nieporęcznie klękać przed księdzem, powtarzać za nim te tam jego słowa, formuły.

Józef Burak ochłonąwszy odpowiedział z godnością, nadęty:

— Prezydent Bierut Bolesław jest z pewnością także samo partyjny, a słyszałem, jak kto napisze do niego nawet przez pocztę, poprosi w kumy, to Bierut, choć osobiście stawić się nie może, nie odmawia nigdy być za chrzestnego.

— Tak powiadacie — zawahał się Edward Płatko. — No a wy, towarzyszu Kowalski, jaką macie w tej kwestii opinię jako kierownik wydziału rolnego? Wypowiedzcie się.

Mężczyzna, do którego zwrócił się Płatko, nie wtrącał się dotychczas do rozmowy. Burakowie przyszedłszy zastali go w pokoju pochylonego wraz z sekretarzem nad jakimiś arkuszami papieru. Towarzysz Ko-

walski był niewysoki, budowy raczej wątłej, włosy miał jasne, falujące i przystrzyżone porządnie. Może z powodu drobnych kształtów ciała i czupryny jak u chłopca kierownik wydziału rolnego wydawał się na pierwszy rzut oka kimś bardzo młodym. Tylko bruzda ciężko wtłoczona między nikłe brwi świadczyła o tym, że Kowalski dobiega już chyba czterdziestu lat.

— Moim zdaniem — odpowiedział Płatce zapytany, poważnie, głosem cichym, płytko z gardła wychodzącym — po mojemu honor to jest dla sekretarza komitetu, gospodarza powiatu, być za kuma do pierwszego dziecka, które przyjęte zostaje do społeczności zespołu spółdzielczego. To tak, jakby obywatele Burakowie powierzali dzieciaka pieczy samej naszej Partii. A Partia jest przecież zarówno przewodniczką, jak opiekunką mas.

I twarz towarzysza Kowalskiego odmłodniała zupełnie w uśmiechu bardzo jasnym od bieli równych zębów.

— Co się rozchodzi tamtego — pojednawczo zaproponował Józef Burak — to niekoniecznie musi pan towarzysz być obecny w kościele, jak mu nie wypada. Dzieciaka może ponieść ktoś inny w zastępstwie. Byleby tylko w metrykę było wpisane, że to pan sekretarz kumuje i żeby pan sekretarz chrzcin nie ominął, poczęstunku, bo to już by był wielki wstyd dla nas i despekt.

— I to jeszcze, żeby chłopaczyna przez całe swoje życie tego doświadczał, że mu ojciec z matką byle kogo nie wybrali na chrzestnego — dopowiedziała Buraczka pociągając nosem.

— Stoi moja obietnica — zgodził się pierwszy sekretarz. — Tylko żeby muzyka była na tych chrzcinach jak należy, ostra, w tonie zgodna, a nie leniwa. To sobie z towarzyszem Kowalskim pohulamy na cześć chrześniaka i na jego powodzenie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

I

Wszyscy ludzie w Osieczanach opowiadali przez długie lata o chrzcinach u Buraków wiele, lecz nikt tego samego nie mówił, jakby każdy przypatrywał się wszystkiemu skądinąd, jeden bardziej z góry, od sufitu, drugi spod podłogi, ktoś inny z boku przez okno, a jeszcze jeden zaglądał od tyłu i każdy tkwił na osobnym miejscu nieporuszony — przez to co innego zobaczył.

A przecież na chrzcinach jak to na uroczystości w rodzinie. Nikt nie siedzi ciągle w jednym kącie, goście przechodzą to tu, to tam, postoją chwilę z drugimi, porozmawiają, potem znowu się rozejdą i tak ciągle krążą, roją się po całym domu. Może więc wszyscy właściwie widzieli to samo, tylko to sobie tłumaczyli każdy tak, jak mu pasowało najlepiej?

Najmniej o chrzcinach wspominała Weronika Włoszakowska, choć z pewnością spostrzegła nie tylko tyle, co drudzy, lecz nawet więcej. Bo Włoszka do otwierania ust tak nieskora, niczym któraś inna do ich zamykania, miała oczy swobodniejsze dla przyglądania się człowieczym sprawom a i myśl przezroczystą, jak zwykle wtedy, kiedy język jest w spoczynku.

Ludzie zresztą nie zakrywali przed Weroniką swoich serc, wiedząc, że ta kobieta nie doda złym słowem ciężaru ich utrapieniom a radości docinkami nie przepłoszy.

Toteż jedna Włoszka w Osieczanach wiedziała jeszcze przed chrzcinami, jakie dostanie imię najmłodszy z Buraków. Wiadomo, nieostrożnie jest wyjawiać zagadkę imienia, nim noworodek nie zostanie wodą święconą odgrodzony od diabłów, boby się mógł dowiedzieć marny los i po swojemu zatroszczyć szkodliwie o dzieciaka.

Jednak Katarzyna nie mogła już wytrzymać, żeby się nie poszczycić przed kimś wymyślonym chytrze Cecylianem. Co do Włoszki miała przynajmniej pewność, że ta nie rozniesie tajemnicy między gadatliwych ludzi i niedobre moce.

Nawet Adamskiej nie powierzyła Weronika tego, co jej Buraczka wyszeptała na osobności, chociaż Ślipiatka wypytywała Włoszkę tak natarczywie, aż o mało zęby jej się nie rozchwiały. Zofia daremnie przekonywała Włoszakowską, że to prędzej jej, chrzestnej, wypada poznać z góry imię patrona obranego dla dzieciaka, ażeby mogła od siebie przyobiecać coś niecoś świętemu za pieczołowitsze doglądanie chrześniaka.

Weronika przytakiwała milcząco, lecz tego jednego, jedynego słowa, które Ślipiatka pragnęła usłyszeć skwapliwym uchem, Włoszczyne usta nie wymówiły.

Na pewno też dlatego Adamska od początku obrzędowych korowodów wargi trzymała z obrazy wciśnięte do środka, a oczy wybałuszyła ogromnie. Nie bez racji mniemali ludzie o Zofii, że kiedy dziewczyna rosła w brzuchu matki, Wojtasowa musiała zapatrzyć się jakiemuś gadule w usta. Dlatego nie znalazłbyś w całej okolicy bardziej wytrzeszczonej od Wojtasówny.

Nie udobruchało Ślipiatki nawet to, że z nie byle jakim kumem podawała pod ołtarz siódmego Buraka. Sekretarza Płatko zastępował jako chrzestny w kościelnych ceremoniach Wiesław Wężykowski. Nim go Burakowie poprosili o tę zaszczytną przysługę, mało brakowało, żeby sami siebie nie ochrzcili kułakami, było już tuż blisko do bitki między małżonkami i to przy świadkach, bo akurat zaszły wtedy do ich domu Adamska z Włoszką.

Katarzyna wykombinowała sobie Wężykowskiego na zastępcę towarzysza Płatki, a Józef ostro się temu sprzeciwił.

— Jaki on tam poseł — krzyczał Burak cały rozogniony. — Nigdy on naprawdę nie posłował, tylko się do niego ta godność przylepiła od ludzkiego gadania z łaski na uciechę!

Katarzyna odpowiedziała zrazu rozwlekle, dusząc gniew powolną mową:

— Chociaż może on dyplomu na posłowanie nie posiada, zawsze tytuł nosi honorowy i to nie dzisiejszy, jeszcze dobra sprzed wojny. Takie przezwisko z pańska brzęczy. Jak chcesz wiedzieć, to ci powiem. Poseł przez wszystkie czasy wyżej stał od sekretarza. Na sekretarzy teraz dopiero moda naszła, poszli w górę na świecznik. Za dziedziców jeden i drugi wyskrobek byleby tyiko pisać, czytać, liczyć potrafił i wójta omaścił znacznym podarunkiem, mógł pójść do gminy na sekretarza.

— Też od polityki znalazła się specjalistka! — poderwał się ku żonie Burak. — Do Warszawy powinni cię wyznaczyć na dyrektora, żeby się taki wielki rozum przy krowim wymieniu nie pomarnował. Będziesz miała swój honor, jak Posłowi przytrafi się akurat na chrzciny jego dzień urzędowania przy flaszce! Jeszcze z poplątania języka wyrzeknie się przed księdzem nie diabła, ale Boga Ojca Wszechmogącego. Albo zechce mu się pójść za własną potrzebą właśnie wtedy, jak wikary w świętych ceremoniach palec będzie ślinił, żeby dziecku uszu i nosa dotknąć. Cała parafia zrobi sobie z nas pośmiewisko, żeśmy chwalebnego opiekuna wybrali dla syna, i chłopak będzie jego wzór w zachowaniu przykładować, ty kwaczko głupiata!

— Józio, nie śmiej przezywać tej, coś z nią jest złączony na wieki poświęconą obrączką! — rozkrzyczała się na dobre Burakowa. — Ja za takie nieładne słowa, ty capie sprośny, też polano na ciebie potrafię znaleźć pod piecem stosowne, co na twoim haniebnym łbie nie pęknie! Jak o to się rozchodzi, to Poseł od kielicha bardziej się odsuwa, odkąd żeście go wpisali do spółdzielni na buchaltera. Możebne, skoro jest na widoku, boi się zazdrosnego oka, bo chłopy jak to chłopy. Wypominają drugiemu, przyganiają, chociaż każdy by z miłą chęcią tam-

temu wychlał tę przeklętą gorzałkę własnym językiem. Twoje, Józef, pomyślenie krótkie, kaprawe, a nie moje. Ja jak matka staram się o asekurację naszego siódmego, a tyś Herod nie ojciec, tylko swoje własne wywyższenie masz na względzie i potrzebie! Jak chcesz wiedzieć, to ci powiem. Wężykowski Wiesław kawalerem jest i najpewniej już się nie ożeni, bo do panien ani za młodu, ani na stare lata nigdy nie miał zaciekawienia. To i może swojemu chrześniakowi coś odpisze na pamiątkę, kawałątko ogrodu czy trochę żywej gotówki, co jej ze sobą do trumny nie upcha.

— A jakże, odpisze! Toż Poseł nie jest prawdziwym chrzestnym ojcem, tylko zamiast drugiego staje — zmiękł jak gdyby Burak.

— Ale przed księdzem i przed świętym patronem Wężykowski się liczy jako pierwszy, bo to on poniesie dzieciaka z zakrystii do chrzcielnicy, odpowiedzi za niego dawać będzie i zapaloną świecę przyjmie w zastępstwie nowonarodzonego. To jak w Polsce zostanie przy sekretarzach, dziecko będzie mieć u towarzysza dogląd i wstawiennictwo, a jakby się przechyliło w stronę onych posłów, chłopak też nie będzie stratny, to już Wężykowskiego Wiesława będzie obowiązek. Na ten sposób synek z dwóch stron zabezpieczenie ma, ty gąsiorze paskudny!

— Aleś ty przewrotna — rzekł Józef spokojniej i nie bez pewnego uznania.

Katarzyna napadła na męża jeszcze zajadlej:

— Księdzu opłatę za obrządek też nie Płatko wniesie, tylko Poseł, a jeśli będzie honorny, to za Adamską jej część da od siebie. Skoro ksiądz krzyżami namaści chłopaka, co go Wężykowski będzie podawał, Wiesław nie ośmieli się dziecku nie sprawić sukienki, jak ono już samo na nogach ustoi, a i całe ubranie będzie mu wypadało ofiarować, kiedy nasz pójdzie do szkoły pierwszy raz. Jak chcesz wiedzieć, to ci powiem. Z kolędnikami albo po śmigusie chłopak też nie będzie latał do Partii aż w Gostowie, bliżej mu będzie do kamienicy Posła, żeby Wężykowski wyróżnił chrześniaka spomiędzy innych gałganów szczodrzejszym obdarowaniem. A co się tyczy ślubnego prezentu na wesele dla chłopaka, to już obaj się muszą wywiązać z powinności hojnie — i sekretarz, i Poseł.

Buraczka zadyszała się, Józefowi twarz nieco złagodniała, brwi wróciły na swoje miejsce. Jednak, żeby nie zostawiać żonie pieczętującego słowa, postraszył na ostatek kobietę.

— Jeszcze się chłopak poda w Wężykowskiego, do Posła wyrośnie podobny, a nie do Płatki, w trunkach rozsmakuje. Albo ten cały niby chrzestny, jak się opije, dzieciaka ci upuści na beton.

Katarzyna stropiła się. Lecz Ślipiatka ruszyła jej na odsiecz. Dotychczas Adamska łapczywie, z uciechą przysłuchiwała się kłótni. Widocznie jednak pochlebiło jej to, że pójdzie z Posłem w jednej parze przez wszystkich oglądana, bo wtrąciła się:

— O to ja już zadbam, żeby wszystko było tak, jak ma być.

W tej chwili przypomniawszy sobie jednak o czymś obrażającym nachmurzyła się i dodała z pretensją:

— Chocia jak mam mieć uważanie na dzieciaka, kiedy nawet mi nie jest wiadomo, jakim imieniem przemawiać do chłopaka, jakby nie za tydzień miał dostąpić odpuszczenia grzechu pierworodnego, ale wcale. Racja czy nie racja, Włoszakowska?

Lecz Weronika nie powiedziała ani tak, ani nie. Siedziała z odwróconą twarzą, jakby się wstydziła, mimo że nie odezwawszy się nie miała powodu do zmieszania.

II

Ślipiatka twarda została w swej urazie. Nie zapominała o niej przy żadnej sposobności. Nie ułagodziło Adamskiej nawet i to zaszczycenie, że dzieciaka wynoszono do chrztu z jej chałupy, a nie wprost od Buraków, z sąsiedztwa. Tak było najbezpieczniej, aby oszukane niedobre siły nie mogły potem trafić do noworodka. W ten sposób Józef i Katarzyna nie potrzebowali się lękać, że im mamuny załaskoczą chłopaka na śmierć albo boginka go zamieni ze swoim i trzeba będzie bić mocno tamtego podrzutka, żeby demonica, zwabiona płaczem, zabrała sobie potwora-odmieńca, a oddała porwanego.

Stanisław Adamski, promieniejąc ceglastą twarzą, porządkował gości przed progiem w orszak, lecz jego żona nie popuszczała tchu ze swego nadęcia. Medalik, który jako chrzestny podarunek przypięła dziecku do poduszki, był cienki, mizerny, trochuteńko tylko posrebrzany.

Ślipiatka wcale nie wstydziła się takiego lada jakiego prezentu.

Na odwrót. Powiedziała niby to do Włoszki, ale tak, aby jak najwięcej ludzi usłyszało:

— Żebym wiedziała, komu ofiarowuję, sprawiłabym choćby ze szczerego śrybra, okazały jak order. Ale że nie informowana, nie będę przymilać się wszystkim świętym po próżnicy. Tom tylko to maluchneństwo powierzyła tak od wszelkiego wypadku opiece Matki Łaski Bożej, patronki każdego ludzkiego stworzenia.

Dopiero od swego niby kuma, zastępcy, dowiedziała się Ślipiatka imion siódmego z Buraków. I to nie z ust Posła, ale ze słów wypisanych

jego ręką. Jednak nie zdążyła już rozpowiedzieć nowiny między ludzi, mimo że o mało nie wyskakiwała ze spódnic, tak ją język świerzbił.

Wiesław Wężykowski nadszedł do świątecznego domu, kiedy już najmłodszy z Buraków, paradnie wystrojony na biało, leżał w powijakach na stole, bo czas był ruszać do kościoła. Wbrew przewidywaniom Buraka Posłowi nie wypadł jednak w tym dniu dyżur przy kieliszku, tylko widocznie muskał się szczególnie i elegantował. Księgowy spółdzielni ukazał swoją wielką twarz różowiuteńką od mycia i świeżego golenia i jeszcze przez to obfitszą w ciało. Czaszkę, pokrytą zazwyczaj niewyraźnym puchem niczym brzuch młodej kaczki, która utytłała się w kałuży, Wężykowski kazał ostrzyc sobie maszynką do czysta, aż błyszczała jakby wyszlifowana przez fryzjera glass-papierem. Nie brakowało przy ubraniu Posła ani jednego guzika, a wielkie cholewy Wężykowskiego, chociaż nie lśniące, jednak nasmarowane zostały czarną pastą równomiernie i bez smug.

Księgowy, zanim jeszcze pozdrowił kogokolwiek, podszedł zamaszyście do stołu. Wyjął z portfelu niebieską kopertę, wsunął niemowlęciu pod wstążki becika i przemówił dobrotliwie, ale dobitnie:

— Żeby ci się, mój chrześniaku wielce szanowny, pieniądze trzymały przez całe życie.

Buraczka szturchnęła męża, ale leciutko, bo nie ze złości, tylko dla wspólnego porozumienia, choć i tak goście nie powinni byli spostrzec tego.

Ślipiatka zerknęła zaraz na kopertę i nieznacznie ruszyła ramieniem. Ten zlepiony papierek musiał jej się wydać bardzo chudziutki, jakby w środku nie mieściło się nic prócz warstewki powietrza między dwoma bibułkami podszewki.

Księgowy widocznie przeniknął w lot myśli swojej kumy nie bardzo dla niego pochlebne. Nie odzywając się rozwarł ze skromną miną dwoma palcami brzegi koperty i Adamska zobaczyła w jej wnętrzu podłużny, zielony banknot.

— Ho, ho — westchnęła zawistnie, choć nie bez szacunku — Ho, ho, ho... dulary... chyba cała dziesiątka! Ale też nasz Poseł się wypuczył.

I Zofia opamiętawszy się zaczęła zaraz z wielką troskliwością upychać kopertę głębiej w powijaki, niby po to, aby się nie wysunęła. Równocześnie sylabizowała czym prędzej to, co na wierzchu papieru było napisane. Zmyślnie przechylała przy tym głowę, aby ukryć przed innymi poruszania warg.

Na kopercie widniały wykaligrafowane dużym, kształtnym pismem słowa następujące:

„Dla Cecyliana Marii Buraka, syna Józefa i Katarzyny *(de domo* Michno) Buraków, od tego, który w kościele do chrztu go podawał. Na wieczną rzeczy pamiątkę."

Ile z tego Ślipiatka zdołała przeczytać, nie wiadomo. W każdym razie musiała ogarnąć wzrokiem to, co dla niej było najważniejsze, i do tego przed innymi, na kilka chwil wcześniej niż chcieli rodzice chrześniaka.

Więc chociaż Adamska nie mogła już po plotkarsku dogodzić sercu i podniebieniu, jej usta rozkurczyły się łagodniej, a oczy cofnęły nieco pod powieki. W Ślipiatce stopniała złość, bo któraż by kobieta miała głowę na rozpamiętywanie obrazy, skoro trafia się taka piękna okazja do obmowy. Toteż Zofia rozpogodziła się i zaraz zaczęła obmyślać wydziwienie nad cudacznym imieniem chłopaka. Toż takie niesłyszane imiona ksiądz nadawał dawniej za karę, jeśli matka dziecka była z takich, co to się o nich mówi po cichu. Nic nie pomogło ladacznicy połykanie korzonków piwonii, grzech jej nie chciał spłynąć z krwią, ale uformował się na żywą istotę. Więc za występek matki proboszcz wyróżniał dzieciaka takim nazwaniem chrzestnym, jakiego nikt inny nie nosił.

Ale przecież Burakowie postarali się o swojego najmłodszego nie w dzikiej miłości po stodołach rozszarpanej, ale w związku, który Pan Bóg splótł i człowiek niech się nie waży rozerwać. Że też im się zachciało zrobić z chłopaka dziwoląga!

Odtąd ułagodzona już Ślipiatka dyrygowała ceremoniałem pieczołowicie, z umiejętnością, jak mało która kuma potrafi, aż ją goście podziwiali.

Najbardziej byli zadowoleni Burakowie i dumni, że wszystko idzie akuratnie, po porządku, według kościelnych przykazań, wiejskiego obyczaju i ludzkiej przyjemności.

Gdy wikary wypędził już z chłopaka ducha nieczystego i kazał Cecylianowi iść w pokoju, Wężykowski obniósł dziecko naokoło ołtarza z godnością, bez pośpiechu, a Ślipiatka sumiennie główkę małego dotykała, jak należy, co kilka kroków świętego wzniesienia, to tu, to tam.

Z powrotem do spółdzielni gnali prawie kłusem. Adamskiej zależało, aby Cecylian z tym krzyżem, który dostał w kościele, przyszedł wprost do domu jak najprędzej. Toteż popędzała kuma, aż Posłowi spurpurowiała łysina, przestał się dobrodusznie uśmiechać, dyszał ciężko i choć nic nie powiedział, odtąd mniej się już przymilał do Ślipiatki.

Przed progiem chałupy Buraków cały orszak zatrzymał się. Czekał już tutaj najstarszy syn Katarzyny i Józefa, Zenek, który dopadł domu

pędząc z kościoła na krótsze drogi. Zenon trzymał mocno w objęciach czarnego kota, wypożyczonego aż od Antka Turkowskiego spod lasu w tajemnicy przed jego starym. Drugą stronę drzwi tarasowała gromada dzieci gotowych zastąpić drogę kocurowi, gdyby mu przypadkiem przyszła paskudna fantazja skoczyć gdzieś w bok zamiast do mieszkania. Zenek zresztą miał zapowiedziane przez ojca, że gdyby źle kociskiem z figlów pokierował, tyłek chłopaka straci chęć do siedzenia, a gęba nie posmakuje słodkiej bułki.

Toteż najstarszy z Buraków pochylił się i właściwie nie wpuścił, lecz prawie cisnął kota przez próg do wnętrza kuchni. Czereda dzieci westchnęła z ulgą, choć nie bez zawodu, że Zenkowi tak się gładko powiodło. Zaraz jednak co które lękliwsze wstrząsnęło się z trwogi. Ślipiatka bowiem zaklęła ściszonym groźnie głosem:

— Na tego czarnego kocura spadnijcie wszystkie nieszczęścia, coście chciały zaszkodzić Cecylianowi Burak.

Potem dopiero kumotrzy weszli do mieszkania z chrześniakiem, za nimi wwalili się wszyscy inni.

Adamska trąciła Wężykowskiego, a ten wypowiedział uroczyście:

— Wzięliśmy poganina, przynieśliśmy chrześcijanina.

— Nie tak — skrzywiła się z niezadowoleniem Ślipiatka i poprawiła słowa kuma:

— Wzięliśmy niewiernika, przynieśliśmy katolika.

Potem zaraz nakazała ustawić się przybyłym w kuchni przy drzwiach, tak aby dobrze widzieli i słyszeli, sama zaś wraz z Burakami a u boku Wężykowskiego weszła do pokoju.

Ułożyła powijaki z Cecylianem badziej pionowo w ramionach księgowego, poprawiła dziecku czepek na główce, popatrzyła z ukosa krytycznie, czy wszystko jest w porządku, po czym rozpoczęła do chrześcijanina przemowę:

— Twoją kołyską, jak była pusta, zły człowiek nie kołysał, będziesz się chował ładnie. Nie urodziłeś się w piątek, to i twoje życie smutnie się nie zapowiada. Babka do twojej pierwszej kąpieli dolała mleka, żebyś był piękny, jajko wrzuciła — żebyś był okrągły i tulał się jak to jajko. Przy chrzcie świętym krzyku narobiłeś takiego, aż wikary sobie watę do ucha wepchał, więc ci się zapowiada długie życie. Płótna kupiłam i koszulkę ci sama uszyłam, bom twoja chrzestna. Przez to nie będą się łatwo darły na tobie koszule. Czerwoną plamką paznokieć twego dużego palca znaczony, więc fortuna ci powinna sprzyjać. A że twoja chałupa sumiennie jest dziurawcem odkadzona, czarty do ciebie nie śmią się zbliżyć.

Ślipiatka trzepała to wszystko prędko, jakby czytała po kolei z książki. Zebrani w drzwiach wyciągali szyje, stulone dłonie przykładali do uszu, żeby lepiej słyszeć i z powagą przytakiwali głowami celebrującej.

W okienkach powietrze zaczęło popielacieć listopadowym, mdłym zmrokiem. Wicher, który około południa ucichł nieco, teraz zerwał się znowu i walił w szczyt domu raz po raz, jakby po odpoczynku nabrał nowych sił.

Adamska umilkła, zastanawiając się widocznie, czy czegoś nie zapomniała. Musiała jednak niczego nie opuścić, bo wyciągnęła do Wężykowskiego ręce po dziecko.

— Cecylianie Mario — rzekła biorąc poduszkę w objęcia — matka chrzestna wprowadza ciebie w dom, co już od tej pory twoim mieszkaniem będzie dla spania, jedzenia, roboty i rodzicom posłuszeństwa.

Ślipiatka postąpiła kilka kroków naprzód i zatrzymała się w kącie pokoju. Leżała tutaj na podłodze w rogu podkowa z końskiego kopyta. Zofia pochyliła niemowlę i podtrzymując mu zręcznie główkę, odezwała się tym razem powoli, z namaszczeniem:

— Cecylianie Mario, żebyś rósł zdrowo i skrzepł mocny jak to żelazo podkowy, co go woda nie spłucze, ogień nie przepali, żadne złe zęby nie przegryzą.

Dziecko otworzyło oczki i patrzyło nie rozumiejąco, ze spokojem.

Zofia przeszła z chłopczykiem do drugiego kąta. Na niskim zydelku, w środku czystej, białej szmatki szarzało coś maluchnego, zwiniętego w trąbkę, ni to spieczona obierzyna od ziemniaka, ni to suchy listek.

Ślipiatka ciągnęła dalej:

— Cecylianie Mario, żebyś stał się mądrym jak ten wąż, co jego skórkę dostajesz tutaj na powodzenie. Żebyś przemyślny był jak on dla pożytku swojego i drugich.

W trzecim rogu izby oparto o ścianę snopeczek zboża o kłosach dobranych jeden w drugi, pękatych tak, aż się patrzącemu ciepło robiło przy sercu.

Adamska powiedziała do dzieciaka:

— Cecylianie Mario, żebyś gospodarować umiał, co by ci się zboże na polu rodziło samo takie, jak to tutaj. Żebyś pszenicy kłosy miał jak szyszki, żeby przez twoje żyto mysz się nie mogła przecisnąć — taka gęstwina, i żebyś bogaty był.

Ślipiatka przesunęła się do czwartego kąta i zatrzymała nad dwoma garnuszkami, napełnionymi do połowy. Dokończyła:

— Cecylianie Mario, żebyś sprawiedliwy był jak ta oliwa, co zawsze

prawdę wskaże. I dla ludzi dobrych żebyś był poczciwy jak ten miód, co go każdy chętnie widzi.

Chrzestna odwróciła się teraz ku Burakom. Józef trzymał w dłoni kitkę trzciny z tych poświęcanych w Palmową Niedzielę.

Adamska przystąpiła do niego i podnosząc ku górze powijaki zapytała:

— Cecylian pokłonił się czterem węgłom waszego domu. Uznajecie go, ojcze, za swego siódmego syna?

— Uznaję — powiedział Burak łamliwym, wilgotnym głosem, jakiego u niego ludzie nie znali. Po czym ucałował małego w czółko i uderzył go lekko gałązką trzciny po ramionku, że to niby przyjmuje go między swoich, a bije na znak objęcia władzy rodzicielskiej.

III

W tej chwili przed domem zaszumiał motor, rozwarczał się mocniej i ucichł.

Dzieciarnia hurmem rzuciła się do drzwi. Ale zanim dopadła wyjścia, wleciał do kuchni z łomotem niczym burza z piorunami sekretarz Płatko. Z roztrzepanymi jak zwykle włosami, w szeroko otwartym płaszczu spieszył długimi krokami wołając od progu:

— Chyba żeśmy się nie spóźnili.

Na nikogo nie patrząc sekretarz podszedł prosto do niemowlęcia, przyjrzał mu się niezbyt uważnie i rąbnął Józefa Buraka po ramieniu.

— Można powiedzieć chłop jak dąb — roześmiał się głośno, aż echo klasnęło po ścianach — ojca z pewnością przerośnie, choć to prawda powiedziawszy niewielka sztuka. Będzie z dzieciaka spółdzielca prima.

Towarzysz Płatko obejrzał się niecierpliwie i przynaglił kogoś:

— Towarzyszu Kowalski, co z wami? No prędzej. Ale, ale, nie spodziewałem się po was, żeście są taki ceremoniant.

I Płatko stropił się lekko:

— Aha, ja coś zdaje się nie bardzo... Co prawda u nas w lesie czasu na grzeczności nie było — dokończył, rychło odzyskawszy równowagę.

Kierownik wydziału rolnego wszedł do domu Buraków tuż za sekretarzem. Niósł pod pachą pudło z jakimś widocznie instrumentem muzycznym. Złożył ciężar zaraz koło drzwi, zdjął kurtkę, przygładził włosy obiema rękami starannie i zaczął w krąg obchodzić kuchnię witając się z każdym po kolei.

W granatowym świątecznym ubraniu miał postawę młodzieniasz-

ka, lecz twarz jego postarzało dziś wyraźne zmęczenie. Tylko kiedy potrząsał wyciągającymi się dłońmi, za każdym razem uśmiech odejmował mu na moment kilka lat.

Kowalski obszedłszy bez pośpiechu wszystkich, zbliżył się do sekretarza. Podał mu prostokątny, płaski przedmiot owinięty w bibułkę i przewiązany porządnie na krzyż czerwoną wstążeczką.

Płatko wcisnął paczuszkę w głąb poduszki dziecka. Powiedział do Buraków z hałaśliwą swobodą:

— To jest podarunek dla chrześniaka ode mnie, i od towarzysza Kowalskiego również, z okazji tego uroczystego dnia. Niech nam wstydu nie zrobi, niech wyrośnie na wzorowego obywatela Polski Ludowej. Niech umocni i wzbogaci to dzieło spółdzielczości, które jego rodzice budują nakładem swej pracy.

Edward Płatko urwał i wydawało się, że skończył już na tym. Ale on widocznie układał sobie w myślach, co jeszcze chciał powiedzieć, a czego z góry nie przygotował. Bo za moment dodał nie tak już donośnie, spuściwszy powieki i jakoś miękcej:

— I życzę tobie, synku, z całego serca, żebyś w socjalizmie znalazł więcej dobra niż twój ojciec i matka zaznali krzywdy w kapitalizmie.

Sekretarz podniósł głowę, potoczył oczami spiesznie naokoło i wytłumaczył trochę niepewnie, jakby wyrwały mu się nieodpowiednie słowa:

— No cóż, człowiek po zagajnikach się krył przez całe lata, o łzach tyle pamiętał, że podobno słone, do krwi przywykł jak kto drugi do barszczu, na jego sercu młot by kowalski rozpękł się, takie się zrobiło twarde. A tu, jak się pomyśli o tym, co przyjdzie, słabość za gardło ściska ni w pięć, ni w dziesięć i... e, tam...

Towarzysz Płatko nie dokończył i pilnie począł oglądać swoje dłonie, to jedną, to drugą, jakby nic ciekawszego nie istniało w tej chwili w powiecie gostowskim.

— Dziękujem panu sekretarzowi za dobre słowo i za szczery podarunek — pokłoniła się Buraczka nisko a wylewnie.

— W kwestii prezentu — wtrącił Płatko już swoim zwyczajnym głosem, silnym, jakby został mu włożony w krtań jedynie do krzyku, a w szept nie potrafił się przemienić — chciałem zaznaczyć na zakończenie, że moim zdaniem to by było przeciw higienie wkładać dziecku brudne pieniądze do becika. To się tę kwotę wniosło na książeczkę PKO, żeby faktycznie już była dla dziecka. Książeczka tu jest w papierze, o, a towarzysz Kowalski przewiązał nawet wstążeczkę, żeby się przedstawiało kulturalnie.

Sekretarz raz jeszcze wskazał na paczkę i dorzucił:

— No ja już do nadmienienia nic nie mam. To jakie teraz propozy cje? Ja wniosek stawiam, żeby zaczynać zabawę. Towarzysz Kowalsk przyniósł skrzypce, jak się muzyka sfatyguje, on nam zagra coś d przyjemności ucha.

— Pozwólcie, towarzyszu Płatko — odezwał się kierownik wydział rolnego. — Ja tylko coś chciałbym dodać.

Wyjął z kieszeni zeszyt i ołówek, wręczył je Zofii Adamskiej. Po wiedział miałkim głosem, lecz wyraźnie:

— Życzę wam, matko chrzestna, dla tego oto Cecyliana, żeby książ ka, zeszyt i ołówek były zawsze u niego w szacunku, żeby z nich ko rzystał chętnie a z umiejętnością, w nauce postępował na przedz i pokierował się na wykształconego gospodarza.

Ludzie w kuchni i w pokoju zaraz zaczęli szeptać między sobą, ż ten cały Kowalski, choć nikt go nie zna, widocznie nie z tutejszyc pochodzi okolic, jednak orientuje się jak należy w porządkach chrzes nych. Dołożył do winszowań to właśnie z dawnych obyczajów, co Śl piatce z pamięci wyciekło może przez poranną złość, a może z pospol tego zapomnienia. I jak to on, ten kierownik rolnictwa, dopytał si zmyślnie a rychło imienia najmłodszego z Buraków. Chociaż Cecylia był przecież chrześniakiem nie Kowalskiego, ale samego sekretarz

Niektórym jednak, takim jak Terlaczka, Jan Kwiatkowski, Broni Bratek, nawet Mrówczak, wydał się Kowalski jakiś niedopieczony.

— Cóż to — szeptali — za taka władza ślamazarna? Kształt nie poczesny, wzięcie flegmatyczne, przemawia, choć trzeba przyznać do rzecznie, ale tak słabo, że nie potrzeba być glistą głuchą, żeby ni dosłyszeć, i w ogóle ten kierownik od rolnictwa za grzeczny jest, z dostępny dla każdego. A do tego wszystkiego na skrzypcach gra ja jaki muzykant! Płatko przedstawia się już jak całkiem co innego. Ten ja huknie, i to bez wysilenia się, nawet nie poczerwienieje, a każdy przy kuca z szacunku i jeszcze w uszach mu dzwoni. Towarzysz w ceregiel się nie bawi, nikogo o opinię nie pyta, tylko politykę swoją robi. Sekre tarz popisowy. Jakby kogo musnął w czoło, tamten za czapką nie m co szukać, tylko pomykać drzwiami, oknami, byle drugi raz Płatko ni opatrzył go pięścią.

IV

Józefa Terlakowska próbowała nawet pokłócić się o tych towarzysz z Weroniką Włoszakowską wtedy na chrzcinach na poczekaniu i jesz cze potem wielokrotnie przy okazji.

Ale Włoszka jak Włoszka. Wysłuchała zaczepki, niby się nie sprzeciwiła, a za każdym razem powtórzyła jedno i to samo. Że jej się ten Kowalski, owszem, taki wydaje, jak potrzeba, żeby był. Nie spieszy się. Ma czas na każdą ludzką rzecz.

Aż w końcu Terlaczka rozpiekliła się nie na żarty na Weronikę.

— Ty, Werosia — powiedziała do Włoszakowskiej — nie zawistna jesteś kobieta, z poczciwością. Ale też rozpatrzenie w głowie masz jak ta małżowina, co muszlą zamknięta leży w mule nad rzeczną wodą i głowy nie posiada, chociaż żyje. Choćby i z tymi chrzcinami. Byłaś na nich od pierwszego „ave" do ostatniego „amen", nic nie opuściłaś, a jednego z drugim nie potrafisz skleić, nie opowiesz po porządku, coś zobaczyła, tylko tą samą głupotą coraz to człowieka częstujesz bez ładu i składu.

Włoszka wcale się nie obraziła. Odrzekła bez złości:

— A po cóż ja mam rozpowiadać o tym, co każdemu jest wiadome, z języków ludziom nie schodzi, stale i wciąż, aż mdli. Ale jeśli masz na mnie być krzywa, Józia, to ci powiem, jakie są moje myśli, chociaż mi zarzucasz, że zamiast głowy mam nogę jak ta skójka śliska, obrzydliwa.

Weronika westchnęła i wypowiedziała jednym tchem bez przystanków i pauz:

— Burakom tak się tylko wydaje, że oni chłopaków już nie pragną, tylko im się o dziewuchy rozchodzi. Buraki w ogólności za dzieciakami przepadają. Żeby po tym Cecylianie na drugie lata jeszcze mendel takich samych przybył na świat w Burakowej chałupie, radość u nich będzie za każdym razem cicha, choć na cały głos wyrzekania się rozlegną. Bo mimo że u nich takie bitwy, Józef się nie może obejść bez Katarzyny, Katarzyna bez Józefa, tylko sami o tym nie wiedzą. Znowu co do Ślipiatki — to nie dlatego piekła ona wszystkich oczami ze złością, że przed nią zataiły Buraki imię chrześniaka, ale bo ją dnie i noce żałość trapi, czemu ona sama cztery córki wynosiwszy, synem nie może się poszczycić. Biedna ona, Adamska Zofia, choć drugim dokucza. Ceremoniami popisywała się Ślipiatka nie tylko przez to, żeby chrześniakowi na życie bezpieczną wygładzić drogę. Ona miała i to na względzie, żeby partyjnym zrobić na przekór. Jej się zdawało, że jak już założyła się spółdzielnia, wszystko, co z dawniejszych czasów pochodzi, zabronione będzie pod karą i grzywną jak jaki nierząd. Ale się tutaj pomyliła. Bo te towarzysze jeszcze stary obyczaj poparli, a Kowalski nawet wstyd zrobił Adamskiej, bo jej zapomnienie swoją uważnością zatkał. O Wężykowskim, Pośle, moja opinia taka, że on dolary odliczył

w upominku, bo się w spółdzielni czuje nieswój. Za dworskiego panowania on by od Buraka nie odpalił z pychy i cygaretki, a teraz chce się równać z innymi, żeby jego kapelusz nie wystawał nad drugimi w Osieczanach. Pan Sekretarz Płatko w ukropie kąpany. On już takie widoki ogląda, jakie do wsiowych jeszcze nawet we śnie nie przychodzą. Dlatego ludzi nagli, niecierpliwi wszystkich w kupie, zamiast żeby bardziej przetłumaczyć. A że ten kierownik Kowalski potrafi grać na skrzypcach, co to komu szkodzi? Właśnie jak ktoś w muzyce się lubuje albo w farbach, więcej ze świata słyszy i widzi a i do ludzi ma ciekawość. Taki, co od swojej roboty umie się odlepić, dla pięknej rzeczy i dla cudzej biedy jest tkliwszy.

I Włoszka uśmiechnęła się, tak jak tylko ona jedna umiała, prawie niedostrzegalnie, więcej oczami niż wargami, nie dla kogoś na pokaz, ale sama dla siebie, jakoś do środka, cichutko.

Józefa patrzyła na nią z rozdziawionymi ustami w osłupieniu. Wykrztusiła:

— Ty, Werośka, takie rzeczy powiedziałaś, jakie w moim rozumie i przez sto siedem lat by się nie ulęgły. O tych dzieciach, żeby ich Buraki chcieli mieć na kopy, a Ślipiatka za synem wyczekuje, to były wprost salomonowe słowa. A teraz się znowu śmiejesz, jakby ci umizgi z tym Kowalskim zapachniały czy co?

— Ja się śmieję? — zdziwiła się szczerze Włoszka — Coś ci się, Józia, musiało przewidzieć. Wcale u mnie Kowalski nie jest na myśli, tylko mi się tak jakoś przypomniało, że Florek Tadeusz rozmawiał na tych chrzcinach z moimi chłopakami.

— To cóż w tym ważnego?

— Ważnego nic. Tadeusz im powiedział, żeby jak w szkole czegoś nie zrozumieją albo im w jakimś przedmiocie będzie trudno, niech do niego przyjdą, a on już da im pomoc, wytłumaczy, co trzeba.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

I

Jeśli ktoś dopytywałby się jedynego Zygmunta Florka, co się działo w chałupie Buraków owego tak pamiętnego w Osieczanach wieczoru i nocy, o której nikt długo nie potrafił zapomnieć, mogłoby się zdarzyć, że ciekawy wcale by się nie dowiedział, dlaczego tylu ludzi zebrało się właśnie wtedy u Katarzyny i Józefa. Bo Ponic jakby w ogóle

nie zauważył przyczyny uroczystości i jeśli nawet potem wymruczał coś niecoś o tamtych wypadkach, nie wspominał w ogóle o chrzcinach. Gdyby nie pytlowało się o tym wszystkim na prawo i na lewo, na lewo i na prawo, nie każdy słuchając starego Florka zorientowałby się, że wypadki, które ludzie bez ustanku roztrząsali, nie wydarzyły się na weselu ani pogrzebie czy też na zwyczajnej zabawie, lecz przy okazji nadania chrześcijańskiego imienia siódmemu synowi Buraków.

Nikt oczywiście nie posądzał Ponica, aby rozmyślnie przemilczał to, o czym każdemu było wiadome. O Zygmuncie Florku powiadano na pół z szacunkiem, na pół z niechęcią, że dla niego kłamliwe słowa mają kolce jak kasztanowe łupiny. Nie przecisnęłyby się ojcu Tadeusza przez gardło.

Jeśli więc stary nie wspominał o samych chrzcinach, ale raczej o tym, co tam było rozpowiadane, to po prostu dlatego, że z pewnością ledwo wszystkie te ceremonie zauważył i jeszcze na miejscu o nich zapomniał. Nie zadziwił go czarny kot, nie zajęły jego uwagi podkowa, miód i oliwa, nie zdjęła Ponica ciekawość do wężowej skórki ani też nie wzruszył żaden z tych starodawnych obrządków, które z takimi ceregielami odprawiała Adamska, tak że inne kobiety jeszcze po wielu, wielu latach opowiadały o nich swym córkom.

Byli tacy, którzy podkpiwali sobie z Zygmunta Florka, że nie spostrzegł nawet małego Cecyliana. Bo odkąd babka położna zaczęła Ponicowi podawać do ucałowania jego własne dzieci, zaledwie je wykąpała z krwi matczynej, Zygmunt oślepiał zupełnie na cudze.

Zdaje się, że z całych chrzcin u Buraków dla Ponica liczyło się tylko i wyłącznie jedno. To, co w ludzkiej mowie i postępkach dotyczyło spółdzielni produkcyjnych.

Jednak nikt się jeszcze nie spostrzegł na początku chrzcin u Buraków, w którą stronę galopuje Florkowa uwaga. Nawet Terlaczka nie wypatrzyła tego, choć nie na darmo sąsiadki dogadywały Józce, że jej Stworzyciel ofiarował powieki z samej tylko boskiej szczodrości, bez nijakiego namysłu, bo kobiecie na nic się nie przydają. Wyrzekłaby się i mrugania, byle tylko nie zmitrężyć ani ćwierci chwilki podglądania.

Również Bronio Bratek, o którym powiadano, że ma w kościach powietrze niczym gawron, po to, aby lotem piórka mógł się prędziutko przenosić z miejsca na miejsce i nadstawiać ucha, sam Bronio nie wykrył intencji Ponica.

Bo też Zymunt Florek mylił ludzi jak mało kto. Przy tym dotychczas zawsze tak bywało, że kiedy pogwarka zaczynała skręcać ku wspól-

nocie, ojciec Tadeusza odsuwał się, a potem odchodził zupełnie, jakby bał się, że zostanie obsypany krostami od samych słów.

Więc jeśli na chrzcinach Ponic nie trzymał się osobno, z dala od tych, co rozprawiali o wspólnotach, ludzie rozumieli to tak, że w takim ścisku i ciasnocie najhardziejszy odludek nie może mieć własnej kaplicy i musi się powąchać z drugimi.

II

Burakowie zajmowali w dawnym dworskim czworaku kuchnię, izbę i malutki alkierzyk. Przez sień sąsiadowali z Walerym Kępą.

Walerego wszyscy nazywali Fruwak, bo też nafruwał się, nalatał po różnych krainach, w Brazylii łowił węże dla zoologicznych ogrodów, w Alzacji tysiąc metrów pod ziemią, w kopalni, odstrzeliwał dynamitem sól potasową, hodował w gnoju pieczarki pod Marsylią, a w Danii nauczył się tak krowom wybornie masować wymiona, że bydlęta dawały farmerowej więcej mleka niż krowy sąsiadów swoim właścicielom.

Jednak Kępa nic nie zarobił na tych ciągach poprzez morza i światy. Jeszcze pogubił żony i to podobno nie jedną, bo za młodu tęgim był filutem. A że kaleta u niego grubiała i chudła w krótki czas, która kobieta przyschła do życia Walentego, rychło odprysła.

Fruwak wrócił z cudzych krajów w jednej czapce, wojnę jakoś przebiedował zatrudniony w mleczarni dziedzica, a w spółdzielni został oborowym.

Chętnie ustąpił Burakom swoją stancję na chrzcinową zabawę, rozumiejąc, że w mieszkaniu Józefa goście mogliby się zatratować, takie się tam zapowiadało ludzkie tarło.

Katarzyna umęczyła się zresztą mocno za tę grzeczność oborowego i przeklinała ją niejeden raz. Nie mogła przecież wprowadzić zaproszonych w zasmolone ściany, a wiadomo, że u kawalera, wdowca albo latawca nie musi się okien zasłaniać, brud starczy za firanki i gdyby ktoś chciał, mógłby na podłodze bratki sadzić.

Buraczka wynarzekała się, nasarkała, ile dusza zapragnie, jednak nie proszona, z własnej woli wyprała Walentemu koszulę, żeby goście nie mieli ciemnego widoku a Cecylian złego przykładu.

Fruwak dla uczczenia chrzcin przyozdobił krawatem swój świeży jak nigdy kołnierzyk. Pył wielu wertepów kuli ziemskiej osiadł na owym mocno sfatygowanym halsztuku, bądź co bądź jednak taki strzęp jedwabnego materiału nadawał Kępie godność bliższą wójtowaniu niż łapserdactwu.

Oborowy wyświeżony, z roziskrzonymi źrenicami pełnił teraz w swojej niewielkiej stancyjce funkcję niby gospodarza, ale bez kłopotów i wydatków, bo ucztowanie fundowali przecież Burakowie, a niby zaproszonego, lecz bez ceremonii, gdyż na własnych śmieciach się obracał.

W mieszkaniu Katarzyny i Józefa kobiety ułożyły już Cecyliana w alkierzyku w bezpiecznej odległości od zwierciadełka wiszącego na ścianie, aby chłopak spojrzawszy weń nie stał się z tego mańkaty i nie używał lewej ręki za prawą.

Burakowie nakładali na talerze najhonorowszym gościom, lali trunki do ich szklanek, częstowali rozmową powolną a godną.

Po drugiej stronie sieni u Walentego Fruwaka skupili się ci, którym nie pozwalała pchać się na pierwsze miejsce bądź duma wygórowana, bądź niedogodna skromność.

Przyszedł tutaj Maciej Turkowski spod lasu, powaśniony z synem Antkiem, więc wzbraniał się z nim przebywać w jednym na zabawie pomieszczeniu. Maciej nosił przezwisko Kochanyszek, bo mu się ciągle powtarzało w mowie to czułe słowo, tak jak staremu Florkowi jego opryskliwe „po nic".

Był także obecny Jan Kwiatkowski, drobny, suchy w sobie a schludny, łaskawie teraz uśmiechnięty, pełen grzeczności, i Leon Domin z nadąsaną twarzą, dawny wójt.

Aż dwa razy Burakowie chodzili prosić Domina na chrzciny, a on opierał się uparcie. Wymawiał się, że nastały na niego teraz takie szkodliwe lata, że mu braknie do zabawy czasu, myśli i ochoty. Gdyby Katarzyna nie uwzięła się, że na chwałę Cecyliana przywabi do domu całą wsiową śmietanę, dawny wójt nie dałby się nakłonić, zwłaszcza że Józef zaraz przy pierwszych odwiedzinach obraził się za zniewagę odmowy.

Jakoż Leon ustąpił naleganiom Buraczki, lecz przybywszy ulokował się z dala od kręgu paradnych gości na dowód i znak, że nie ogląda się na spółdzielniane dostojeństwa, a jeśli zjawił się — to tylko dlatego, że go prawie przymusili.

I Szczepan Malinowski usadowił się w pobliżu Kępy, mizerny, jakby zawsze trochę wystraszony, sfrasowany i niepocieszony, choć musiało mu pochlebiać, że znalazł się między tymi, co coś znaczą albo przez władzę, albo przez morgi.

Wśród dorosłych wcisnął się także Jędrzej Włoszakowski, starszy syn Weroniki. Chłopcu szło na czternasty rok, był wyrośnięty, z postawy wykuł się na ojca, lecz oczy miał matczyne, czarne, jakby smoła z nich kapała, i aż kosmate od rzęs. Jędrzej cieszył się sławą nie do

cieszenia, sławą urwipołcia nad urwipołciami. Chociaż Włoszka w zmartwieniu nieraz bierzmowała synowi plecy mężowymi szelkami, niewiele to pomagało.

Chłopak był owszem bystry, dosyć nawet chętny do pomocy matce i nie trzeba go było naganiać do roboty, ale pierwszy hultaj od wymyślania psikusów i figlów, prowodyr wszystkich łobuzów.

Teraz jednak Jędrzej przycupnął cichutko niby mysz pod miotłą, bojąc się widocznie, aby go starsi nie przepędzili od siebie. Chłopak nałożył sobie na nos okulary, nie wiadomo jakim sposobem zdobyte, o jednym tylko szkiełku i w pogiętej oprawie.

Zygmunt Florek przyłączył się do owego właśnie zgromadzenia rozłożonego na krzesłach i nieco kulawej ławie Walentego Kępy.

Na pewno ten i ów zdziwił się nieco wybraniem przez Ponica tej a nie innej kompanii. Bo z góry było wiadome, że tam, gdzie się spotkały ze sobą takie głowacze, nie będzie lada jakiego bajania o jakichś tam cudach-niewidach. Nikomu nie zechce się tutaj zabawy w cenzurowanego, fidrygałków, zagadek czy przyśpiewek. Na tym miejscu zanosiło się na coś, co waży niemało, na rozprawę grubą o sposobach rządzenia, na całą politykę o spółdzielniach produkcyjnych.

A stary Ponic omijał podobne zgromadzenia tak skrupulatnie, jak przezorny gospodarz stroni od swojego pola w dzień świętego Piotra w Okowach, bo a nuż snopki wtedy powiązane spaliłby mu piorun.

Może zresztą Florek dostrzegł na Fruwakowej ławie także Filipa Terlakowskiego i dlatego zbliżył się do tamtych. Bo chociaż Ponic zamieniał z dawnym stelmachem słowa skąpe i z rzadka, coś tych dwóch ludzi do siebie przysuwało, jak to bywa między mrukami, kiedy rodzi się między nimi przychylność nie z gadulstwa, ale z przyglądania się sobie. Zdaje się, że te dwa milczki szanowały się nawzajem. Starszy młodszego pewno za jego odwagę, młodszy starszego za uczciwość.

Przy tym w tej przygodnej Kępowej gościnie gawęda przelewała się jeszcze leniwa, spokojna, nikomu papieros nie gasł przy wargach i wcale się nie zanosiło, aby czyjkolwiek kapelusz miał w złości rzucony polecieć na ziemię a cholery wyskakiwać ludziom spomiędzy zębów.

Jak zwykle, gdy spotkali się gardłacze co się zowie, nie franty, ale osieczańscy mądrale, z początku mówił ten, który się najmniej między nimi liczył, Szczepan Malinowski z wygonu:

— Na miedzach — rozprawiał Szczepan głosem zmartwionym, żałosnym — rozmaite duchy się gnieżdżą, żeby dobrze przypilnować granic. Dlatego na miedzach nie trza człowiekowi przebywać, a już broń

Boże przysiąść i zadrzemać przypadkiem. Wtedy południce oblegną nieostrożnego, będą go gnieść, potem przepędzą, wystraszą, że oczy w zyz mu się obrócą na wszystkie czasy albo włosy zrudzieją, lub pokoślawi się całkiem.

— I sromota zostanie na całe życie. Słusznie powiada starodawne przysłowie: ryz, zyz, kuternoga to obraza Pana Boga — przytaknął łaskawie Jan Kwiatkowski i zatarł czysto wymyte dłonie, aż zasyczało.

— A jakże taka południca przedstawia się z wyglądu? — zapytał Walenty Kępa. — U światu bywałem, alem się z takimś czymś nigdy nie spotkał.

— Ano, różne one bywają, wcale wszystkie nie są jednakowe. W naszych okolicach mają szkaradną postać. Z gęby u takiej wystają świńskie kły, gałami łypie ogromnymi niczym krowa, u rąk pazury, a zamiast nóg racice — wyliczał Malinowski. — Ale powiadają, że innymi stronami, przy górach na przykład, trafiają się południce wcale foremne, nawet z urodą. Tylko że wzrost mają nieludzkiej miary, olbrzymi, a każda wyubierana jest na biało. Te to ludzi podobno nie przyduszają, nie przystąpią nawet do człowieka, tylko się wznoszą ponad ziemię, potem kręcą się a kręcą, wirują a wirują szybciuteńko takie siwe, w pasie cienkie, wielgachne okrutnie. Ten, co się przypatruje, oczu nie może odlepić od onej południcy, ćmi mu się w głowie i mowę może stracić z tej trwogi.

— To ja bym taką paskudną biczyskiem po oczach, po kulasach, i jeszcze ją, i jeszcze, żeby jej się tańca odechciało — wyrwał się Jędrzej Włoszakowski namiętnie.

— Cie go, fanfarona, gówniarza! — zgromił chłopaka gniewnie Domin. — Będzie się ciskał z gałązką na siły wyższe, nygus jeden!

— To niech się te bobaki nie wałęsają po ludzkich polach, po co mają miedze obsiadać! — odpowiedział syn Włoszki nieco stropiony, ale jeszcze wcale hardo.

— Cymbał jesteś, igłą albo szydłem w głowie ci układano! Południce granic między polami bronią sprawiedliwie. Miedze — to są strażnice człowieczego dobra, świętej chłopskiej własności. A ten tutaj obwieś szkiełka nasadził sobie na oczy i myśli, że doświadczonym gospodarzom będzie przewodził, żebracze nasienie — złościł się dawny wójt.

Przerwał i zapytał groźnie:

— Te okulary skąd wziąłeś? Z pewnością ukradłeś!

— Wcale nie ukradłem. Żadnym złodziejem nie jestem. Kupiłem od kolegi — wykrztusił mały Włoszakowski.

Kępa ulitował się nad chłopakiem. Powiedział pojednawczo:

— Po prawdzie wielkiej ceny te całe cwikiery nie mają. Tobie, Jędrek, po co one? Patrzysz, a nie widzisz, jak kura po wieczornym fajrancie?

— Oczami widzę dobrze — szepnął Jędrzej. — Tylko chciałem sobie mieć. Tak na pamiątkę. I żeby mnie drudzy chłopacy lepiej szanowali. Bo jak który ma na mnie złość, zaraz się przezywa od bękartów, przez to, że tata do mamy nie chce powrócić. To się muszę ciągle bić i mama się gniewa, że ubranie podarte wciąż.

Szczepan Malinowski nieciekawy Jędrzejowych kłopotów ciągnął dalej to, co zaczął:

— Te błędne ogniki, co się kołyszą nocami po polach, ludzi mamią w ciemności, jednego zaprowadzą do rzeki na utopienie, innego w fosę zapędzą pełną śniegu po brzegi, aż umarznie na śmierć, to są dusze geometrów, co przy rozmierzaniu gruntów poprzesuwali miedze, dopuścili się fałszu.

— To za karę te mierniki muszą się błąkać po świecie — przyznał rację Szczepanowi Maciej Turkowski i jeszcze dodał od siebie:

— Opowiadali mi mój ojciec, kochanyszku, a ojciec znowu usłyszeli od swojego ojca, że za dawnych czasów, jak jeden człowiek odgradzał swoją własność od własności sąsiada, wtedy na takiej każdej miedzy były usypywane kopce z ziemi. Uroczystość następowała wielka, gromadził się naród z całej osady i porządek był taki, że na spód każdego kopca wkładało się nasamprzód różne przedmioty, żużel, takie skorupy, kamienie, a i koniecznie pieniążek. Miedziany lub srebrny, to już, kochanyszku, zależało od kondycji właściciela pola, u bogatszych nierzadko znalazł się złoty talarek. Wszystko to dla zaznaczenia, że nie przypadkiem wzgórki one wyrosły, ale ludzką ręką umyślnie zostały wzniesione, żeby świadczyły o prawie posiadających do gruntu pomiędzy kopcami. A tego prawa naruszać nikomu nie wolno. I jeszcze to się odbywało, że z tej okazji solennej wszystkie chłopaki z całej wsi ciężkie dostawali bicie, aż wrzaski a harmider niósł się stronami do drugich gmin. Cel to taki miało, żeby sobie młodzież zapamiętała dokumentnie, gdzie te kopce usypano i kiedy. Wtedy to umyślono przysłowie i teraz niezapomniane: „Pamiętaj, chłopcze, że tu sypią kopce."

I Maciej zwrócił się wprost do syna Włoszki:

— Żeby tobie, Jędruś, kochanyszku, też takiego mocnego buka przyłożyli jednego, drugim poprawili i trzecim, przydałoby ci się, bo byś sobie miedzów nie lekceważył. Popamiętałbyś, że miedzę zaorać albo choćby naruszyć lekko jest grzechem ciężkim.

— Jażem by się zbić nie dał — cofnął się Jędrzej cały zjeżony.

— Co byś tam miał do gadania, nikt by ci się nie pytał o pozwoleństwo, jakby wszystkich chłopaków lali w kolejności.

— Jażem by się wyrwał, uciekł i skrył.

— Ciekawe, gdziebyś tak, kochanyszku, znalazł kryjówkę? Każdy by cię własną ręką doprowadził do kopca dla swojego dobra i twojej pamięci.

— To ja... ja... jażem by poleciał do Florka Tadeusza pod opiekę — wypalił Jędrzej.

Ponic poruszył się, chrząknął niechętnie, ale nic nie powiedział.

Wszyscy się jak gdyby zamyślili. Od drugiej strony za sienią, z mieszkania Buraków doleciał gwar mocniejący nierównym szumem. Spomiędzy innych głosów gruchnął grzmiący śmiech sekretarza Płatki. Zawtórowały mu wstydliwie babskie dyszkanty, potem trochę przycichło i słychać już było tylko szczęk misek, brzęk talerzy, cieńsze nieco dzwonienie szkła.

Walenty Kępa porwał się i pospiesznie zaczął zapraszać gości, namawiać do poczęstunku.

— Pijmy, jedzmy, radujmy się, bo chrzciny przecie to anielskie wesele — powtarzał z lubością, rad widocznie, że mu to zdanie tak gładko wychodzi. Ślipiatka musiała go nauczyć tej dwornej formuły, gdyż sam Fruwak nie naprzykrzał się Panu Bogu chodzeniem do kościoła, nie był więc bardzo obyty w anielskich sprawach.

Zaraz też Walenty rozlał do szklaneczek, zresztą nie pierwszy dzisiaj raz, samogon delikatnie zaróżowiony od zaprawy soku.

Zygmunt Florek odwrócił swój kubek dnem do góry, przycisnął go silnie dłonią, tak że oborowy nie zdołał kapnąć gorzałki do środka, choć nieomal mocował się o to ze starym, aż o mało szklanka się nie stłukła.

Kwiatkowski upił ze swojego kieliszka tylko odrobinę, resztę odstawił dyskretnie.

Za to Walenty golnął własną porcję z zamachem i z fantazją. Przechylił nisko głowę w tył, a gardłem gulgotał kunsztownie. Tylko kiedy odstawił kielich, twarz pomarszczyła mu się w niemiłosiernym grymasie.

Wszyscy zaczęli czerpać galaretę z wieprzowych nóg, sięgając do michy podobnej nie do płaskiego półmiska, lecz bezdennej niczym wiadro. Nikt się nie odzywał, aby nie mogło się wydawać, że im nie smakuje. Nikt też nie okazywał pośpiechu, żeby jakiś potwarca nie obgadał gości, że ich tutaj przygnała łapczywość za jadłem, a nie przywiodła stateczność dla uczczenia pierwszego spośród sakramentów.

Dopiero po dobrej chwili, kiedy już trzeba było mocno się przechy-

lić, aby dołożyć sobie studzininy, a butla pozieleniała od ubytku poziomkowego płynu, Ponic z przekąsem odezwał się patrząc na Kępę, choć niby zwracał się tylko tak ogólnie:

— Po co się raczyć trunkiem, skoro po tej całej słodyczy aż się niektórym kurczy gęba od ucha do ucha, że i przy kwasie solnym weselsze by mieli miny.

Walenty odpowiedział zaraz żywo i z przekonaniem:

— Spirytusu dla miłego smaku ani dla degustacji nikt nie pije.

— A dlaczego? Żeby zmarnotrawić pieniądz? Pogrążyć się w ruinie? Familię zmarnować? — zgryźliwie pytał Florek, raczej sobie samemu potakując niż nalegając na odpowiedź.

Kępa rzekł na to z wielką powagą:

— Trunek się pije dla przyjemności umysłu, dla wesołości i ładniejszego przemawiania. A już sam śpirt najzdrowszy jest na serce. Bo w nim nie ma żadnych brudów ani paprochów, sama czysta ratyfikacja, ona wzmacnia krew w człowieku.

I oborowy pociągnął lekko nozdrzami, jak to miał w nawyku, kiedy zdarzało mu się poczuć zadowolonym. Wydawało się wtedy, że Kępa węszy z przyjemnością coś smakowitego, czego powonienie drugich jeszcze nie zdążyło uchwycić.

Nos Walentego w twarzy popielatawej i tak zupełnie z tłuszczu wytopionej, że przypominała osełkę do ostrzenia kos, był długi i niezmiernie cienki. Zapewne nos ów sterczałby jeszcze bardziej spiczasto, gdyby nie skracało go w połowie siodełkowate załamanie, prawdopodobnie pozostałość awantury na nie wiadomo jakich manowcach. Oczy Kępy malutkie i zupełnie okrągłe odbiegły od nosa daleko na oba boki, prawie pod skronie. A że i nogi urosły Fruwakowi bardzo chude, niezwykle laskowate, więc nie bez racji Franciszek Mrówczak mawiał do Walentego czule:

— Ty, bracie, całkiem się w słonkę wdałeś albo na bekasa jesteś podobny, tylko że takiego, co mu dziób pękł i zaklęsł się. Słodko chociaż popatrzyć na ciebie, kiedy bez dziedzica ciągi na porębach się skończyli. Tyle, że ci piór brakuje dla okrycia twojej suchości. Nie wiedzieć gdzie się ta wódka podziewa w tobie, jak samymi gnatami grzechoczesz, chudyś jak chrabąszcz.

I teraz sprzeciwił się oborowemu Jan Kwiatkowski.

— Żeby okowita była taka zdrowa, to byście, Kępa, nabrali więcej tłuszczu. A jeśli nawet rozmaite trunki nie wyrządzają szkody ciału, zabójcze stają się dla duszy, moralność podkopują i gubią ją. Bo człowiek pijany nie zdoła się pohamować w żadnym grzesznym poczynaniu.

Walenty na tę przemowę czym prędzej napełnił kieliszki, jakby w obawie, że podkopana moralność skonfiskuje mu flaszczynę.

Znowu nikt się nie odzywał. Zdawało się, że podmuchy wiatru spadają teraz na czworak ze wszystkich stron naraz, tłuką koncentrycznym atakiem w szybki okna, w drzwi, w komin na górze. W kwaśną woń octu i ostrą cebuli, zawieszoną w powietrzu, wtargnął zapach dymu i przemieszał się z tamtymi. Gdzieś w sąsiednim obejściu skrzypiały niedomknięte wrota, raz cieniej, to znów grubiej, zardzewiale. Jeszcze bliżej, tuż, tuż, zawył grubo pies, lecz zaraz umilkł, jakby zachłysnął się własnym skowytem.

Zasłuchali się wszyscy na pół w hałas tej muzyki niefrasobliwie za sienią dudniący, na pół w posępne łomoty, w pogwizdy kłębiące się naokoło za ścianami.

Nagle milczenie przerwał Filip Terlakowski. Dotąd nie wydał ze siebie głosu. Siedział po cichu, od czasu do czasu skręcał papierosa, palił go wolno i nie wiadomo nawet było, czy słyszy, co się dzieje dookoła. Teraz zapytał spokojnie, nieomal ślamazarnie i nie unosząc powiek, jak za dawnych czasów, kiedy zwracał się do jaśnie państwa:

— A o tych miedzach to niby po to była mowa, żeby spółdzielni złą sławę robić?

— Ależ bynajmniej — zaprzeczył Jan Kwiatkowski żywo, z wyrzutem — jakżeż to niesłuszne posądzenia, sąsiedzie Terlakowski. Nikt z tutaj zebranych nie miał złych intencji, o miedzach wspominając. O tak sobie roztrząsaliśmy starodawne wierzenia i obrzędy, jak to bywa, kiedy się spotkają w szanownej kompanii ludzie niemłodzi, którzy niejednego już doświadczyli ze swoją korzyścią i dla drugich pożytku, i obok tego...

— Właśnie że nie tak jest, jak mówicie, kochanyszku! — przerwał ze złością Maciej Turkowski układną mowę Kwiatkowskiego. — Racji tutaj nie ma co sakiem zakrywać, bo przez oka sieci sama błyska widocznie. A ta racja jest taka, że spółdzielnia produkcyjna kasując miedze narusza prawa boskie i ludzkie!

Walenty Kępa wtrącił się łagodnie:

— Wprawdzie w boskich prawach między fachmanów się nie zaliczam, ale to mam rozeznanie na zwykły rozum, że chyba Pan Bóg i wszyscy święci nie popierają tych południc, co po miedzach czatują, żeby wyganiać wędrowników, którzy na momencik sobie spoczęli. Takie rozmaite strzygi, upiory, kurze płucka, chawy — to już z piekła raczej posiadają paszporty i lucyper im ambasadoruje. Co się znowu tyczy ludzkiego prawa, po mojemu jest ono takie, jakie sobie człowiek

z człowiekiem sprawiedliwie ustanowi. Jakeśmy podpisywali statut, tośmy sobie uchwalili, że będziemy się rządzić bez miedz. Nasza wola, nasze prawo, jak się nikomu nie wyrządza tym szkody.

— Łatwo wam, Walenty, takie prawa wychwalać, skoroście do spółdzielni nawet tej jednej miedzy nie włożyli. Pola u was nie było ani tyle, żeby w nim garstkę ziemniaków zasadzić, to i miedzów wam żal być nie może — żachnął się stary Florek, lecz tak jakoś raczej z żalem niż z lekceważeniem.

Leon Domin zaśmiał się:

— Za to teraz Kępa został bogaty w dziury po kieszeniach, przez które się sypie samo złoto.

Oborowy zmarkotniał. Rzekł niewyraźnie:

— Żywej gotówki rzeczywiście u mnie brakuje, bo mi Florek Tadeusz nie chce dawać do ręki.

— To i pieniądzów też w spółdzielni produkcyjnej nie starcza? — zapytał z przerażeniem Szczepan Malinowski.

— A coście sobie myśleli! — wykrzyknął Kochanyszek triumfalnie.

Terlakowski zwrócił się do Kępy spokojnie, choć trochę zakłopotany:

— Wiadomo przecież, zarząd postanowił nie wypłacać wam, Walenty, zaliczki na stół, bo zanadto lubicie korki wybijać z butelek. A co było ostatni raz? Mieliście gumowe cholewy sobie kupić i obsprawiać się po trochu. No i dla całego Gostowa szła funda. Kogo tylko do gospody zawiało, waszym gościem musiał zostać na siłę, przymuszony, czy chciał czy nie chciał. Co się zresztą ludzie mieli opierać? Każdy sobie powiedział: łap okazję od czoła, bo z tyłu łysa. To i teraz lepiej, żeby ktoś drugi się z wami wybierał na zakup, bo i po co za waszą pracę inni się mają opić, ojeść jak jeże na zimę i jeszcze spółdzielnię w Osieczanach spotwarzać.

— Całkiem tak nie miało miejsca ze wszystkim — bronił się Kępa z rozżaleniem. — Zresztą niech będzie, niech. Ja też od początku powiadam, że mi Florek Tadeusz nie daje użyć świata.

— Jak sobie zarobicie na premię, to ją wydacie wedle woli.

— Ja bym wolał sobie zarobić na świat — westchnął Fruwak.

— Znaczy się na dwa litry — zganił go Filip.

— Może być i na litra — zgodził się skromnie oborowy.

— Już wy, Kępa, tę premię zobaczycie, jak będzie z nieba trzaskało żabami. Krowy wiatrem, śniegiem będziecie karmić, bo skąd paszy weźmiecie na tyle sztuk? — ponuro zauważył dawny wójt.

— Jakże — obruszył się Walenty. — Przecież wytłok zakupiony, trzysta metrów, a pasza treściwa przyobiecana.

— To co prywatne krowy członków będą żryć, jak wszystko pójdzie do wspólnoty? Wyciągowego bydła się dohodujecie, jak wam przyjdzie z wiosną wyciągać jałówki na postronkach z obory, bo się nie podniosą o własnej mocy — coraz ostrzej napierał Domin.

Po dobrej chwili milczenia odezwał się Terlakowski stłumionym głosem:

— Cóż to, panie dawny wójcie, tacyście się stali troskliwi dla naszej chudoby? Strachacie się, żeby się cudzy żywy inwentarz nie pomarnował? A za waszego urzędowania toście nawet i nad ludzką poniewierką nie mieli zlitowania. Bezrobotnych pędziliście precz bez miłosierdzia.

— Pan, panie Terlakowski, niech mi pan moich zasług nie wypomina. Robiłem, co mi mój święty obowiązek wobec ojczyzny mocarstwowej i wiary naszej katolickiej nakazywał. Morale w narodzie podpierałem moją niezłomnością. Może miałem wszystko porozdawać darmozjadom, a sam pójść z torbami na żebraczkę? — wycedził Domin niby to obojętnie, ale było słychać, jak mu w gardle kipi.

— Głodu nie kupić, sytość wiele kosztuje — odparł dawny stelmach nie poruszywszy się nawet na ławie.

Domin, który dotychczas siedział na brzeżku krzesła tak, jakby w każdej chwili gotował się rzucić Terlakowskiemu do gardła, teraz przesunął się głębiej, rozparł niczym sam ksiądz biskup na plebanii po uroczystej sumie z asystą.

Wójt posiadał wygląd okazały, godny. Raz dziedzic powiedział do niego na dworskiej werandzie przy Broniu Bratku, który właśnie przyniósł kosz swoich czereśni na sprzedaż:

— Gdyby każdy chłop miał taką aparycję jak wy, Domin, to by hałastra komunistyczna nie mogła pyskować o tej idiotycznej reformie rolnej. Interesujące, czemu to rodzą się obecnie na wsi takie wyskrobki, kurduple. Prawdopodobnie degenerujecie się na skutek waszej ciemnoty.

Rzeczywiście, wójt był pięknym mężczyzną o figurze rozrosłej i kształtnej. Rysy twarzy miał równe, czyste, foremne, a czuprynę nad wysokim czołem ładnie sfalowaną i ogromnie gęstą, choć mocno pobielałą od pozostałych za nim w tyle wiosen i jesieni. Tylko zęby Domina za wargami niezmiernie malinowymi, niby u młodzika, wydawały się jakby trochę za długie, zbyt duże, zanadto ścisłe.

Kiedy Domin za swych kawalerskich czasów chodził w konkury, dziewczęta lubiły mu przygadywać, że te zęby rosną u niego przez całe życie, niczym u chomika albo szczura.

I teraz dawny wójt przesłonił językiem swoje zęby, dopiero co ostro błyskające. Tonem wcale już nie popędliwym, prawie że słodkim przemówił do Terlakowskiego:

— A ciekawe, wiele kosztuje zakładanie tych wspólnot? Słyszałem, że ci, co po wsiach jeżdżą i robią propagandę za kołchozami, jak pan tutaj w Osieczanach, za każdego werbowanego kandydata, jak go omamili, namówili, otrzymują na rękę wynagrodzenie siedem tysięcy złotych litkupu od głowy. A jak się komuna zawiąże na fest, jeden z drugim we wsi położy swoje nazwisko pod statutem, to ten, co tamtych prośbą przyciągnął czy groźbą, dostaje sto pięćdziesiąt tysięcy specjalnej nagrody. Opłaca mu się.

— Nieprawda jest, cyganicie! — krzyknął Jędrzej Włoszakowski grubym głosem, który załamał się jednak w dyszkant chłopczyński.

Maciej Turkowski pogroził synowi Włoszki ręką o czarnych palcach, powyginanych, źle do siebie przylegających:

— Starszym ludziom będzie ubliżał, zbytnik zatracony! Jeszcze ty się, kochanyszku, doigrasz. Kto nie słucha ojca, matki, posłucha psiej skóry, jak mu się rzemieniem do pleców przylepi!

— Nie straszcie chłopaka. Po co ma przytakiwać takim, co tylko swoje lata mają do szacunku, bo sama natura u nich nieładna? Fałsz mówicie zamiast prawdy, zły przykład dajecie młodzieży. I czy to warto tam łgać, gdzie człowiek pieszo zajdzie albo na koniu zajedzie? — powiedział wolno Filip.

— To może nieprawda — z wyższością odrzekł Domin, jakby obelga wcale w niego nie trafiła. — To może nieprawda — powtórzył spokojniuchno — że po kołchozach w Rosji brud, smród panuje i ubóstwo? Tyle każdy przez rok zdoła zarobić, co na plecach wyniesie.

— Nieprawda — odrzekł Terlakowski dobitnie.

— Na własne oczy przeczytałem, w listach było napisane czarno na białym tak a tak, że ból i szemranie między ruskimi się kręci i skarżą się ze swojego poniżenia.

— Jak kto sam chciałby drugich ludzi trzymać w prawdziwym poniżeniu, w nędzocie, to i z czystej kartki białej wyczyta androny na niej nie wypisane.

— A ja panu powiadam, panie Terlakowski, że pan jest za ruble przekupiony! Moskwa panem rządzi!

— A ja panu powiadam, panie Domin, że pan łże ani się nie zachłyśnie, aż ściany schną.

Już od chwili podnieśli się obaj i stali naprzeciw siebie, stelmach niepokaźny, na twarzy czarniawy, tylko o spojrzeniu ciemnym a cięż-

kim, aż się od tego patrzenia chłodno robiło w piersi, i dawny wójt gorącym gniewem na swym wspaniałym obliczu.

Jednak mowa zwaśnionych brzmiała równo, niegłośno, słowa obelywe toczyły się bez krzyku, w głuchym spokoju kłótni.

Tylko kiedy Terlakowski przestał mówić, trzasnęły tępo w ciszy tawy w pięściach zaciśniętych przez któregoś z nich.

Wtedy Jan Kwiatkowski porwał się godzić przeciwników. Gospodarz niewielki, zasuszony, lecz w ruchach bardzo żwawy, przystąpił do potężnego Domina. Złapał kułak tamtego w obie swoje małe rączki jął przekładać, perswadować życzliwie a z rozsądkiem, prędziuieńko:

— Nie przystoi, sąsiedzie, nie przystoi poważnym ludziom. Przecież na chrzcinach my się zgromadzili. Trzeba się wesoło ubawić, żeby pocomek Buraków był wesoły przez całe życie. A nie utarczki słowne, obrażania się wzajemne. Po cóż ten spór o taką rzecz, w której prakyki jeszcze nie ma, sprawdzona nie jest. Wstydziłbyś się, Leon, ty, najtęższa głowa we wsi, osoba pobożna, stateczna, obyta, a tu masz, złości się poddajesz jak w szóstym grzechu głównym, niby jaki za przeproszeniem chłystek. Po was, sąsiedzie Terlakowski, teżem się spodziewał większego umiaru. Kłam zadawać człowiekowi, co piastował samorządowe stanowisko, wysoko zasiadał na stolcu wśród rodaków, to już trzeba postępować bez namysłu. I na czym właściwie zasadza się owo nieporozumienie? Co ci, Leoś, przeszkadza ta cała spółdzielnia? To się dopiero pokaże, jak ona się będzie prowadzić. Może dobrze, a może niedobrze, z góry nic nie wiadomo. Dawniej prędzej ludzki rozum miał możność przewidzieć, co się na korzyść obraca, a co na szkodę. Racja racją, ale przedtem ten był mądry, co się dorobił własną pracą, a w czasach obecnych ten niby góruje rozumem, co nic nie ma w majątku, prawda, kumie Zygmunt Florek? — i Kwiatkowski zatarł swoje dłonie z suchym chrzęstem, jakby były naelektryzowane.

Stary Ponic nie spoglądając na nikogo odrzekł zgryźliwie:

— Ja się tam nie spodziewam dla tej całej spółdzielni wielkiej fortuny. Co się jednak tyczy onych miedz, może mój rozum już zmiękły przez to, że za długo żyję i kłopoty znam, ale ja w te południce, ogniki i gusła rozmaite, po granicach pól się wałęsające, w ogóle nie wierzę. Jak chłopu Stebnickiej Czesławy się zmarło ze suchot, brat Terlakowski Filip siedział w kryminale, to i od niego nie mogło być pomocy, i kobieta musiała odsprzedać kawał gruntu koło wiatraka, natenczas wyście, Domin, te trzy czwarte morgi kupili, a jakoś żadne duchy się nie sprzeciwiły skasowaniu miedzy. Albo kiedy Wróbel

zabrał od was, Macieju, spod lasu ten kawałek pola koło złamanej brzozy, bo was wtedy dwa roki pod rząd grad sprał do ostatniego źdźbła i długu nie mieliście czym spłacić, wtenczas także samo waszej granicy nie obroniły żadne kopce z paradą i biciem chłopaków sypane, ani te strzygi, co niby miedz mają pilnować. Byleby gotówka się znalazła na zakup ziemi, już by mnie tam nijaka miedza nie wystraszyła ani to złe, co na niej siedzi, albo mierników dusze pokutujące.

Wszyscy popatrzyli na Zygmunta Florka z niejakim zdziwieniem, co też stało się staremu? On, taki zawsze hardy, nie pokazujący po sobie, nieużyty, jak powiadają, nie lubiący się z nikim chlebem przełamać, wydawał się niespodziewanie ustępliwy, miększy w sobie, niby od frasunku. Toż to ostatnio powiedział w ten sposób, jakby ni mniej ni więcej coś dobrego zobaczył w spółdzielni i z Terlakowskim postanowił iść noga w nogę, ramię w ramię przeciwko najzamożniejszym potentatom we wsi.

III

Tymczasem Domin i Terlakowski, uciszeni, powrócili z powrotem na swoje miejsca. Dopiero kiedy usadowili się już dobrze i wydawało się, że rozmowa w zupełnie inne strony pobieży, nieburzliwe, Filip odezwał się głucho już właściwie nie do Domina, lecz do wszystkich.

— Pan wójt, jaśnie wielmożny, mi ubliża, żem jest za ruble kupiony. Brudna to jest kłamliwość, więc jeśli tu obecnych coś takiego ciekawi, możecie się prawdy dowiedzieć z moich ust. Nie gotówką moja świadomość kupiona, tylko bólem i potyraniem we więzieniu. Jak mnie brali do aresztu, głupi byłem, w jedno tylko zapatrzony. Mnie się wydawało, że wystarczy panów przegonić precz, a jeśli mieliby zostać, to tylko tak, żeby pagórek nad nimi nieżywymi usypać. Wtedy już od razu wszystko się uporządkuje we wsi, nikt nie będzie miał krzywdy.

Terlakowski urwał, jakby chciał sobie wybrać jakieś lepsze słowo, bo żadne nie wydawało mu się dosyć dobre.

Walenty Kępa spojrzał ku stelmachowi przychylnie. Wydłużona twarz Fruwaka poczerwieniała, pomarszczyła się w niezliczone kreseczki niby owoc głogu późną jesienią. Oborowy mile pociągnął nosem. Widocznie odnalazł już w wysączonym z kieliszków płynie upragniony smak świata.

Odezwał się nie bardzo stosownie, ale przytakująco:

— Głód dowcipny, wszystkiego nauczy.

— Nie o głód się rozchodziło — ciągnął Filip — z nim się już w domu

znałem jak z rodzonym bratem. Bywały lata u nas, że więcej niż mąki kładło się do chleba żołędzia, buczyny. Prawda, jeść dawali za kratami aby zupę i takiego gatunku, że i pies by się nad nią namyślał: zjeść czy wypluć?

— W to to ja już nie uwierzę — przerwał Domin — we więzieniach w naszej przedwojennej Polsce wikt wydawano skromny, lecz pożywny. Inaczej by się różne bezrobotniki tak chętnie nie pchały do aresztu na wyżywienie i przezimowanie. Zresztą kryminalista przy gotówce będący mógł sobie kupić we więzieniu, co zechciał.

— Nie powiadajcie, kochanyszku, jakeście ten kryminał tylko z wierzchu oglądali, nie od środka — sprzeciwił się dawnemu wójtowi Maciej Turkowski, widocznie ciekawy więziennych wspominków.

Terlakowski, jakby nie słyszał słów ich obu, ciągnął dalej:

— Wypiski, znaczy się, kupowanie żywności za własne pieniądze, jak kto takie posiadał, były dozwolone co kilkanaście dni, wtedy kiedy dozorcom przyszło na humor. A robactwa tam było dokuczliwego nie do przeliczenia, a szczurów, a myszów. Wcale nas to obrzydlistwo za ludzi widać nie uważało, bo po nas harcowały niebojące. I to by się zniosło, bo najgorsze było co innego. Najgorsze było, że ludzi wsiowych wzięli w obroty tacy różni aresztanci bez sumienia, a siłami ode mnie mocniejsi, chociażem nie słaby. Jeden z onych matkę zadusił we śnie firanką, bo mu nie chciała sklepiku odpisać, albo drugi sąsiada spalił, żeby mu potem łatwiej było nocą po kryjomu wykopać pogorzelcowi dolary z piwnicy pod domem, co poszedł z dymem. Można powiedzieć same takie kryminalisty dożywotne, co by im raczej śmierć pasowała za karę. A oni z podjudzenia władzy i za jej przyzwoleństwem poniżyli, upodlili naumyślnie tak człowieka, że się prawie przestał czuć człowiekiem. Może i słusznie te myszy po nim skakały jak po czymś, co ani duszy nie ma, ani rozumu, bo zwierzę przecież, nawet takie paskudne, szkodliwe, posiada swoje czucie. W te czasy więzienne człowiek chętnie by się obwiesił, żeby było na czym, albo skoczył w głębinę na utopienie, żeby tylko był dostęp do niej. Ech...

Terlakowski machnął ręką mocno, aż za siebie w tył. Mogłoby się wydawać, że mu się zupełnie odechciało mówienia. Rychło jednak nabrał oddechu i kończył w takim utrudzeniu, jakby dorąbywał ostatnie polano sągu.

— Ja bym nawet o tym wszystkim nigdy, przenigdy nie wspominał, bo to wstyd opowiadać, jak to człowiekiem poniewierali niegodnie. Tyle lat przeleciało od tamtego, że kołysek nowych w gromadzie Osieczany byś naliczył od tego czasu setki, a trumien się zabiło gwoździem

tysiące. I ode mnie przez te roki, co przeszły, nikt nie słyszał, nawet żona moja, Józefa, jak to się działo nie do pojęcia w tych celach za kratami. Dopierom teraz te słowa piekące z siebie wydarł, nie dlatego, że akurat dotyczą mojej osoby. Tylko na dowód, na przykład i świadectwo, że nie przekupny pieniądz wskazuje ludziom kierunek do postępowania, ale im głowy otwiera klucz poniewierki i stowarzyszenia się z drugimi. Bo jakem wtedy, umordowany do niemożliwości, został całkiem na spodzie, trafiło się, naprzywozili do więzienia chmarę takich chłopów, co brali uczestnictwo w strajkach po wsiach. Dopiero pomalutku, pomalutku przyszło do mnie to zrozumienie, że sam nie jestem i duch się we mnie zaczął podnosić. Jeszcze niejedno z nami wyprawiali, ale wtedym już sercem pojmował, że mniej boli, kiedy się jest między drugimi, co to samo czują. Taka to i była moja nauka. Inaczej odtąd zacząłem patrzeć na świat, oboma oczami, a słuchać uszami oboma. Po kolei różne zagadki mi pojaśniały, ułożył mi się porządek spraw.

— A cóż to za taka w was wstąpiła mądrość jak od samego Świętego Ducha spuszczona, dlatego żeście odsiedzieli w kryminale karę za bitkę? — zadrwił Domin z Terlakowskiego niby z ciekawością.

— Na przykład taka — odpowiedział stelmach zduszonym głosem — że nie wystarczyło panów przepędzić z folwarków. Póki na wsi jeden ma cztery konie, a drugi ani źrebiczki, nie może być dobrze dla większości. Jak ludzie swoich mórg razem nie sprzęgną, będą się po gminach wsiowych rządzić tacy jak pan ku biedzie tych, co mają mniej.

IV

W tej chwili otworzyły się drzwi od sieni. Zaraz mocniej wtargnęło brzękliwe dudnienie muzyki, huknął przytup o podłogę, jeden słabszy, zaraz potem drugi mocniejszy, aż echo poszło po kępowej stancji i zakotłował się harmider wypuszczony z mieszkania Buraków.

Do pokoju weszli Zofia Adamska i Wiesław Wężykowski. Ślipiatka niosła oburącz przed sobą wielki sagan zamknięty pokrywą, Poseł w każdej dłoni trzymał sporą flachę wypełnioną po szyjkę. Księgowy miał teraz twarz dobrze już spulchnioną, jak to bywa po nieskąpym napitku, i łysinę jakby mniej wypolerowaną. Odezwał się do siedzących rozlewnie, z serdecznością i z uczuciem.

— Biedne wy, miękuszki, sieroty, jak na wygnaniu tutaj przebywacie. Przybyliśmy, aby pokrzepić wasze nadwątlone ciała i osłabio-

nego ducha. Ta oto dobra wróżka niesie wam jadło smakowite, a ja, jej skromny giermek, likwory i małmazje.

Jędrzej Włoszakowski parsknął śmiechem, zaraz kryjąc w zagięcie łokcia oczy smoliście roziskrzone.

Kępa trącił go w bok, upomniał:

— Cicho siedź, raku! Będziesz się natrząsał z księgowego spółdzielni, kształconego człowieka, z manierami?

— Ja się wcale a wcale nie chciałem śmiać — tłumaczył syn Włoszki skruszony. — Tylko jak pan Wężykowski przezwał Adamską wróżką, tom już nie mógł strzymać. Babka mnie i bratu nie dawała brać do ręki tych żabich oczek, żółtych kwiatków znad strugi, co to je panienki nazywali kaczeńce. Nie pozwalała, żeby nam się oczy nie wytrzeszczyły. U Wojtasów w chałupie widać dzieci przed tym nie pilnowali, przez to Ślipiatka taka wyłupiasta. A tu pan księgowy przyrównuje ją do wróżki-czarodziejki — dokończył chłopak usiłując zdławić powracający mu do gardła skurcz wesołości.

Zofia Adamska tymczasem nakładała gościom na talerze kopiasto, tłusto, a kiełbasy nie żadne okrawki, lecz kawały takie, że wprost w miskach rozpychały kapustę na wszystkie strony.

Poseł rozlewał trunek do kieliszków. Choć zazwyczaj dłoń mu dygotała przy pisaniu albo nawet wtedy, gdy łyżką mierzył do ust, jednak gdy dzierżył butelkę, nie uronił ani kropli.

Rychło potem Wężykowski zaczął świadczyć grzeczności Adamskiej.

— Ale też, moja kumo, macie chody jak jaka dzierlatka, a nie wzorowa matka dzieciom, świetlany przykład dla dziewczątek, prastarych tradycji przezacna skarbnica. Gdy nadaliście taki przyspieszony obrót wędrówce z domu pańskiego po obrzędzie nadania chrztu, wywołaliście z mojej pamięci młode lata, kiedym był młodzieńcem, nie chwalący się niczego, wysmukłym jak trzcina, kształty posiadałem efeba. Dzisiaj już niestety nie to samo. Serce mam osłabione od znojnej pracy wskutek powinności społecznych. Przyznaję otwarcie, w trakcie powrotu z kościoła nie mogłem uchwycić tchu. Jednakowoż nie przestawałem podziwiać was, kumo. Zaraz nasunęła mi się myśl, że skoro posiadacie zręczność sarenki, wasze nóżki muszą być utoczone kształtnie niby u młódki. Szczęśliwiec z tego Stanisława Adamskiego! Chętnie bym się z nim zamienił.

— A czym by się pan mieniał, kiedy pan kawaler do dziś dnia. Widać żadna pana nie chciała — odcięła się Ślipiatka, ale widać było po kobiecie, że wcale jej przypadają do gustu te komplementy, bo wiadomo, jak coś rzadko się przytrafia, tym bardziej się podoba.

— Z ręką na sercu wyznam i ze skruchą, że to raczej ja nie mogłem powziąć decyzji. Przebierałem między pannami co niemiara, zbyt wybredny byłem. Gdybym podobnie wartościową osobę jak wy, kumo, spotkał na gościńcu mego życia, inaczej by się ułożyły moje przeżycia sercowo-osobiste.

— Nic straconego, Wiesiu — potarł dłoń o dłoń Kwiatkowski i uśmiechnął się tak niewyraźnie, że trudno było poznać, czy zachęca księgowego, czy też pokpiwa sobie z niego. — Mężczyzna jesteś jeszcze okazały, szarmant nie lada, nie trudno by ci było znaleźć czcigodną niewiastę, która by zechciała ci umilić twoją samotność, z kawalerstwa wyprowadzić.

— A już dzisiejszy dzień specjalną jest okazyją — dodał Franciszek Mrówczak, który, choć wszedł dopiero w tej chwili, włączył się od razu do rozmowy, jakby słuchał jej od początku. — Bo w chrzciny, kumie, poamorować się ze swoim kumotrem, to żaden grzech, a ładnie, jeśli im do siebie pasuje. Toż w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego oni się przed ołtarzem spokrewnili. Adamska, tak obyczajów znajoma, nie może być przeciwna onym konkurom, z pewnością okaże przychylność. Stasiu też nie będzie żony skąpić, skoro przy kumostwie taka wymiana jest polecana. Kobieta lepiej pójdzie swemu chłopu na smak potem, jak ją rozgrzeją amory drugiego.

— Przestańcie bajczyć takie zberezeństwa plugawe — żachnęła się Ślipiatka i zakryła palcami oczy, choć głos miała zaczepny i nie dało się w nim słyszeć konfuzji. — A co do tego, w zakrystiańskiej książce nie pan Wężykowski mi jest kumem przytwierdzony, tylko tamten drugi z Gostowa, sekretarz.

— To macie prawo używać sobie przez tę noc z obydwoma, każdy jest na inny fason. Ten towarzysz od wielkiej polityki, a Poseł znowu uczony w rachunkach i fatygant w mowie gładziuteńki.

— A wy jesteście wyuzdaniec sprośny, fu! — splunęła Adamska, oburzona już na serio.

Jednak Mrówczakowi te przekomarzania ze Ślipiatką jakoś nie dodały humoru. Z markotną miną usiadł koło Kępy.

— To ty, Franuś, nie tańcujesz? — zapytał go tamten troskliwie.

— Jakoś chęci nie mam. Czasem, jak taka wichura tarmosi się na polu a wyje, to człowiekowi w środku też się coś kotłuje niespokojnie.

Walenty spuścił głowę i wymamrotał melancholijnie:

— Żebym ja tak umiał tańcować jak ty, Franuś, to bym dzisiaj kto wie kim może był. Lemuzynę bym pewno trzymał sobie na własność,

willę pod dachówką z anteną na dachu, garnitury, fraki, nie potrzebowałbym się ognojonymi plecami przylepiać do ścian w oborze.

— Jakże to, nogami miałeś sobie wytańczyć dolary? — powątpiewał Mrówczak.

— Ja, nie ja, ale kobietę miałem, co mnie odeszła, bom jej nie potrafił sprostać w tańcu na zabawach. Do filmów potem ją najęli, w kinematografie się pokazywała.

— To czemuś się nie nauczył przy muzyce podskakiwać?

— Bo żadnej do tej sztuki nie mam zdolności. Za suchy jestem w sobie, żebym w powietrzu mógł chwycić równowagę. Tak samo nie potrafię się utrzymać na wodzie, kości od razu ciągną mnie do dna. Toć i na okrętach służyłem po morzach, rybakowałem też nieraz za sardynką, za langustą, a przecież w tym słonym fachu, jak człek nie umie pływać, węgorze z góry się szykują na jego trupa, jednak nie dałem rady się przyuczyć.

— Baba niedokwaszona jakaś była, żeby chłopa puścić w trąbę przez to, że się nie urodził tanecznikiem — dziwił się Franciszek.

— Co prawda, jak ona ode mnie poszła, to mi już wtedy wiatry po kieszeniach hulały przestronnie, jeden *sous* nie dał rady z drugim *sous* się spotkać, choćby nie wiem jak szukał towarzystwa. A jej się poszczęściło. Taki gruby ją wziął, łysy, też Polak, tylko że hrabia. Ta moja żona nieduże miała serce i płyciutkie, nie mogę powiedzieć, ale tak jakoś umiała wszystko przedstawić, żem ją zawsze musiał pożałować. Bo na to wychodziło, żem to ja winien. Winienem może i był, ale nie tak, jak to ona wskazywała.

— To czemuś się nad taką szalbierką litował?

— A bo kształt ciała miała lekuśki, lekusieńki. I oczami patrzyła lila, lila niczym liliowe gwiazdeczki, tak miękuchno, aż się wydawało, że te jej oczy pachną przecudnie. One były akurat podobne do tych kwiatków bzu, które u Ponica koło lasku rosną. Ja i krokodyla żywego widziałem w swoim życiu, nakundowałem się dość stronami. I pod palmami się sypiało, i na kosówce. Znak mam na szyi, bo mnie jeden kulawy żgnął obok takiego domu, co w nim dziewczyny przyjmują chłopów za liry, znaczy się włoski pieniądz, a nawąchałem ja się szczepionych kwiatów, co każdy ze sto par lakierków kosztuje, a napatrzyłem się takim artystkom, żeby i anielice przy nich pochowały się na stryszek ze wstydu, że się wydają przydactwami, alem takich prześlicznych bzów jak w Osieczanach ani takich drugich oczu jak tamta pod żadnym słońcem nie spotkał, pod żadnym księżycem — szeptał Kępa prędko, żarliwie.

— Gdzieżeś się z tą kobietą zadawał? — zapytał Mrówczak w nagłym ożywieniu.

— Ano w świecie — odrzekł oborowy cicho.

— Aha — powiedział Franciszek ze zrozumieniem. Pomyślał chwilę i zagadnął — Jakeś ty, Waluś, tyle się nafruwał po krajach, dawno ciebie zamiarowałem pytać, znałeś ty się dużo z Cyganami?

— Z Cyganami? Owszem, czemu by nie. Najlepiej się oni mają w takich okolicach, co koło Sztraszburga mają położenie. Naród tam gada z niemiecka, ale to są katany, za Francją wprost przepadają. Mgłów w onych stronach paskudnie dużo. A Cygany to sobie tam często jeżdżą nie na dziurawych wózkach jak u nas, upapranych, skrzypiących niby jedynaście starych bab w kłótni, ale paradują w ogromniachnych landarach pod budami. Koła przy tych landach gumowe, po pańsku. Bywa, że taka cygańska familia posiada kamion, znaczy się automobil ciężarowy, i taki kamion dopiero ciągnie przyczepę od wagonu nie mniejszą z całym ich wędrownym majątkiem.

— To tam same milionery muszą sobie żyć, jak nawet Cygany są w takim powodzeniu. Wartuje dużo ta okolica.

— Mnie się nie spodobała. Chociaż kapustę jedzą te Alzasjeny po naszemu, gotowaną kwaśno, i bociany u nich po dachach klekocą takuteńko jak w Polsce, ale gnojówki są tam położone z frontu domu od drogi, nie tak jak u nas z tyłu za chałupą. I to jeszcze, że na zimę róże w ogródkach zamiast położyć i jedliną okryć, jak należy, oni okręcają na stojączkę gazetami. Całe rzędy tego widać, pręt suchy, na górze papierzyska sterczą. Słyszane rzeczy, cudactwa takie. Poszedłem sobie stamtąd.

— Jeśli te Cygany żyją w takim dostatku, jakby diabłom podebrali srebra, złota, kiedy wszystkie czarty w Palmową, raz na rok muszą iść do kościoła słuchać ewangelii o męce pańskiej, więc chyba one koczowniki wzbogacone nie cyganią alzasjańskich ludzi? — rozpytywał Mrówczak z ogromnym pragnieniem dowiedzenia się.

— Cyganić cyganią, choćby nie mieli potrzeby, bo już taki jest ich cygański honor.

— A na cygańskich wróżbach, takich różnych obietnicach, wyznajesz się, Waluś?

— Ano raz mi jedna Cyganka powiedziała, że mnie myszy zjedzą.

— I sprawdziło się?

— Jeszcze nie — odrzekł z powagą oborowy — ale się jeszcze może sprawdzić.

— To byś, bracie, miał śmierć królewską jak ten cysarz Popiel, co o nim dawniej uczyli się w klasach z czytanek, a teraz już mniej.

Roześmieli się Franciszek z Walentym jednocześnie i jakby cały czas umawiali się tylko o to, sięgnęli po szklanki nalane samogonem prawie do pełna. Wychylili je zręcznie, po czym Kępa zagadnął z ostrożnością, delikatnie:

— Tobie, Franuś, co takiego przyrzekła Cyganka?

Mrówczak obruszył się tak mocno, aż mu lewe ucho sczerwieniało.

— Coś ty, Fruwak, opiłeś się jak cztery dziewki? A bo ja się z Cyganami wącham? Ani się z nimi nie widzę, ani nic.

— Nie na darmo sześćdziesiąty drugi rok mi włazi na kark a spirytus już ze czterdzieści roków moją głowę rozjaśnia do białości. Cały czas przebywając wśród takich podłych, co by własne dzieci jedli, albo takich zacnych, że tylko by przed nimi klękać, miałbym się nie poznawać na kryjówkach serc rozmaitych? Jeśli tobie, Franuś, tańczyć się odechciało na chrzcinach, tylko twoje myśli krążą koło Cyganów, coś w tym musi być serdecznego — wyjaśnił oborowy nieco bełkotliwie i z zadowoleniem stulił nozdrza, a potem mocno rozdął.

V

Huragan jakby przewalił się na drugą stronę domu, bo słychać było, jak czochra się o przyciesie gdzieś za kuchnią Buraków, wplątując swoje poświsty między brzęczenie muzyki.

Wtem za ścianą Fruwakowej stancji, od dworu zachrobotało coś niecierpliwie, potem jeszcze mocniej, natarczywiej i rozległ się ni to jęk żałosny, ni to groźny skowyt.

Wiesław Wężykowski odchylił się od Ślipiatki, otworzył szeroko oczy załzawione tłustawo wśród czerwonych powiek. Zapytał z lękiem rosnącym od słowa do słowa.

— Mara jakowaś prześladuje mnie czy też w rzeczywistości ktoś puka do domostwa?

Zgrzytnęło po szkle przeraźliwie, jakby ktoś przejeżdżał po szybie gwoździami raz po raz i raptem za okienkiem izby zamajaczył straszliwy łeb.

Potwór może wcale nie miał ślepi lub zupełnie zakrywała je potężna biaława grzywa, zmierzwiona w kudłate długie farfocle. Maszkara rozdziawiła podłużną paszczę wywalając jęzor czerwony niczym płat świeżego mięsa. Nawet przez szybę, zmatowiałą od gorąca pieca i ludz-

kiego ciepła, kły błyszczały ślisko, ogromne, spiczaste, a ozór dygotał, jakby bestia dysząc ziała jakimś tchem nieziemskim i palącym.

— Święty Józefie, postrachu szatanów, zmora przyszła krew współdzielców ssać. Ratuj się, Stasiek, ja żem ciebie ostrzegała! — wrzasnęła Zofia Adamska. Skulona wpół szurnęła niczym fryga w kąt za drewniany kuferek Kępy. Przywarła tam, mocno zacisnęła powieki, od razu skurczona z wysokiej w drobniutką, z pyskatej przemieniona w niemowę.

Szczepan Malinowski, bardziej niż zwykle pożółkły na policzkach, wyszeptał:

— Prędzej strzygoń to będzie, bo zmora przecie wsuwa się dziurką od klucza.

Zaklął rozlatanymi wargami.

— Ty, strzygoniu, chodź pod ziemią między nieboszczykami, a na ziemi nie strasz nikogo!

— Toż zmora, czyli strzygoń, jeśli postać psa przybiera, to już obowiązkowo koloru czarnego, a toto przecie białe jest, kochanyszku — odezwał się Maciej Turkowski roztropnie, choć i jemu mowa opornie rwała się z gardła.

— Różańcem jej pogrozić czy kosą się zamierzyć, bo zmorę tylko świętością albo żelazem odpędzi — poradziła z ukrycia słabym piskiem Adamska dzwoniąc zębami.

Filip Terlakowski wstał ociężale i zwrócił się ku oknu. Natychmiast zza jego pleców wyskoczył Jędrzej Włoszakowski, niewidoczny dotąd, bo przykucnął za plecami tamtego. Twarz chłopaka poszarzała, czarne źrenice przybliżyły się ku sobie w lekkim zezie, zupełnie podobnie jak u Włoszki, kiedy się czegoś zalękła. Jednak mały Włoszakowski krzyknął wcale mężnie:

— A nożem tępym to widziadło! Nóż też jest z żelaza!

Porwał wprost z talerza Posła nożyk z ostrzem jeszcze oblepionym strzępami kapusty. Skokiem wyprzedził stelmacha, dopadł framugi okiennej, podniósł ramię ku szkaradzie za szybą. Niespodziewanie znieruchomiał na sekundę i zawołał z ulgą i z triumfem, choć głosem jeszcze kruchym.

— Aleć to przecie Miluś, co go Mrówczak dostali od Wróbla w podarunku. Cni się psinie stróżowanie na polu w takie pogody, więc się wspiął, żeby sobie chrzciny pooglądać.

Wszyscy obejrzeli się na Franciszka. Mrówczak śmiał się do kolek w bokach, że o mało się nie zadławił. Przyciskał rękami żebra, pokła-

dał cały, wreszcie oparł się Kępie o ramię i byłby mu może padł na piersi niczym rozłaskotana swawolnica, gdyby go oborowy nie ofuknął.

— Daj spokój, Franek, wystraszyłeś takim czymś gości obchodu chrzcielnego.

Zebrani siedzieli, jedni napuszeni od obrazy, drudzy nieswoi ze wstydu.

— A czym ja to kazał psowi drapać się po szybach? — bronił się Mrówczak jeszcze wstrząsany chichotami. — Sam sobie skiknął, bo to zwierzę wierne, jak i człowiek nie potrafi. Kochany piesio, czujny a zajadły. Dzieciaka by rozerwał, co dopiero cielę, jak mu wejdzie w paradę. Musi w nim płynąć krew tych Marusowych szatanów, co to ludzi kłami przeganiali od ryb znad stawu. Ulubienie moje, takiegom sobie wymarzył od maleńkości. A wam przez to, że stworzenie urodę ma lwa, zaraz strach zimny po żyłach pobiegł.

— To wam Wróbel Wacław ofiarował tego psa, po nic? — Zygmunt Florek przerwał nagle wydziwiania Mrówczaka.

— Wcale mi go Wróbel nie sprezentował, tylkom pieska od niego odkupił. Na początku troszeczkę uciekał do Wróblowego obejścia, teraz wprost przepada za moją osobą. Ja jestem dla niego pan ukochany. Już on nie Miluś. Dunaj go przechrzciłem, żeby mi się jego nie czepiła wścieklizna na moją stratę. Bo Dunaj znaczy po madziarsku rzeka, niby woda. A wy to musicie być na psach znawca i miłośnik. Nawet żeście nie drgnęli, kiedy Adamska pod skrzynię pełzali w popłochu, a drudzy też się oglądali za spodem stołu.

— Żebym ja się niedobrych duchów miał bać, to bym nie zdołał swojego dorobku przed złymi ludźmi upilnować — posępnie odrzekł Ponic.

— Słyszałem, szkoda was spotkała niemała. Bimbek gdzieś przepadł. Co się też z nim mogło stać? — wypytywał Mrówczak współczująco, ale nos mu się ruszał jak od tajonej wesołości.

— Nie przepadł, a tylko zdechł.

— Cóż to takiego mu zaszkodziło, żywy piesuś jeszcze był, chyba nie stary? Pomór jaki na niego spadł?

— Nie pytałem go, to mi nie powiedział.

— Ale zwyczajnie coś wskazuje na chorobę. Może z nosa mu ciekło, trawki sobie jakieś w sadzie wyszukiwał i zjadał?

— Robota czasu nie darowuje, żeby jeszcze człowiek miał psa podpatrywać, po nic.

— To może pieska zauroczyło czyje oko lub go jakaś ręka skrzyw-

dziła przez to, że z Tadeuszem mieszkał w jednej zagrodzie? — zapytał Franciszek niewinnie.

Ponicowi raptem posiniały wargi. Powiedział jakimś rozlazłym głosem, jakże niepodobnym do tamtego opryskliwego tonu sprzed chwili:

— A cóż komu mógłby Tadeusz zawadzać?

VI

Tymczasem w izbie oborowego zrobiło się jeszcze ciaśniej.

Nadszedł od strony Buraków Bronio Bratek z sekretarzem Płatko. Bronio-kawaler kończył właśnie zdanie zaczęte jeszcze w sieni.

Mowę miał niby to strapioną, lecz przekroczywszy próg natężał głos i ukradkiem świdrował wzrokiem naokoło, czy aby wszyscy słyszą. Widać było, że rad jest takiej sytuacji, gdy sam sekretarz wdaje się z nim w dyskusję. Perorował:

— Ja bym do wspólnoty poleciał z rozkoszą, jak skowronek ze śpiewem do nieba, tylko że nie orientuję się, co narzeczona by na to powiedziała. Za honorowy jestem, żebym ryzykę miał na siebie brać, że ona się na mnie pogniewa, bo co prawda to prawda, ale...

— Klaruję wam i klaruję, a wy furt w kółko to samo — przerwał mu niecierpliwie sekretarz. — Babami się zastawiacie. A to u was samych nie ma świadomości klasowej? Myśmy kobietom dali uprawnienie, które im się od wieków należało, ale nie po to, żeby przeszkadzały w przebudowie wsi. Jasne?

— Kiedy, proszę pana sekretarza, moja narzeczona jest panna nietutejsza, może ona wcale o tym uprawnieniu nic nie wie — zauważył Bronio z namysłem.

— Że jak? — zdziwił się nieuważnie Płatko, jakby źle dosłyszał.

— Ano mówię — odrzekł Bratek dumnie — że narzeczona mieszka w Łodzi. Jak się na wieś sprowadzi po ślubie, będzie chciała mieć z pewnością własny ogródek, bo miastowe w tym się lubują. Jakże ja bym śmiał niewieście odmówić tej przyjemności, skoro ona coraz obdarza mnie prezentami? Jakem ją odwiedzał po św. Janie, odezwała się do mnie w te słowa...

— Zawracanie gitary — żachnął się sekretarz. — Spółdzielnia założy wielki dochodowy ogród warzywny, więc każda poszczególna kobieta nie będzie musiała babrać się w ziemi na skraweczku grządki, czas marnować dla byle paru marchewek. Będzie sobie brać jarzyn od zespołu ile zechce.

— Podziwiam... i podziwiam... tę pełną rozmachu inicjatywę... Da ona... możność białogłowie... mniejsze trudy ponosić w gospodarstwie i podniesie ogólny poziom dobrobytu ludności — odezwał się Wężykowski słowami urywanymi, jakby nimi klaskał.

Walenty Kępa zauważył niepewnie:

— Poniekąd kobiety takie już mają usposobienie sercowe, że odczuwają gorącą wierność do tego, co własnymi rękami wyhodowały. Najlepiej im smakuje ten buraczek, co go każda sama zasiała. Po cóż im zabierać one umilenie życia? I tak u niewieściego rodu oczy częściej mokrzeją niż usta się śmieją.

— Przecież jakby się nawet założyło w naszym zespole w Osieczanach ogród warzywny, i tak każda kobieta może sobie wedle woli uprawiać na swojej działce przyzagrodowej, co tylko dusza zapragnie. Jeśliby jej przyszła nawet fantazja cały hektar piwoniami obsadzić lub lewkonią, nikomu nic do tego — powiedział Filip Terlakowski i spojrzał na towarzysza Płatko. — Prawda czy nieprawda, towarzyszu sekretarzu? — zapytał jeszcze.

Płatko zgodził się od razu, ale jakoś niezbyt chętnie:

— Słusznie. Ale w komunizmie już działek przyzagrodowych nikt nie będzie potrzebował. Jak to na wsi ludziom trudno się dorozumieć, gdzie ich dobro leży. Do celu droga prosta, a oni wolą kluczyć po cygańskich ścieżkach krętych. Przesąd w was głęboko wrósł. Tylko spółdzielczość produkcyjna doprowadzi naszą wieś do dobrobytu, a tu w powiecie jakieś opory ciągle i wciąż. Ci, co się nie pospieszą, będą potem żałować. Faktycznie, co za ludzie.

Płatko przerwał szczerze razżalony. Twarz mu poczerwieniała mocną barwą równo od skroni po grdykę, włosy wyglądały bardziej zmierzwione niż zazwyczaj. Rychło jednak się opamiętał, bo walnął na płask dłonią w stół tak mocno, aż sam wydał się przez sekundę zdziwiony uczynionym rumorem. Zahuczał na cały głos:

— Tak u was jak po grudzie idzie. I przyjdzie do tego jak z tą elektryfikacją w Wólce Działdowskiej. Mieliśmy tam zainstalować światło. Wtedy chłopi powiadają, że żarówki zaczną przyciągać burze. Pioruny niby będą im rąbać w zabudowania, że i zapalenie gromnicy nie pomoże. Ja im przekładam: „Ludzie, czyście głowy pod zastaw komu głupiemu dali, że nie rozumiecie swojej korzyści? Toż elektryczność przedłuży wam życie o połowę, z nocy dzień zrobi, inwentarz będziecie mogli karmić jak się należy". A oni na to: „Ojcy nie miały tej całej elektryki, dziadowie nie miały i u nas się obejdzie". Zeźliłem się i dałem spokój. Jak nie, to nie. Zamiast Wólki zelektryfikowało

się w sąsiedztwie Wołową. Kiedy się ci w Wólce przekonali, co to za zdobycz nowoczesności ta elektryczność, teraz do mnie przychodzą korowodami, żeby do nich też linię podciągnąć. Ale już przepadło. Wstawieni są do planu dopiero za trzy lata.

Walenty Kępa poruszył się na ławie; chrząknął, poprawił sobie głos niezłym łykiem ze szklanki i zauważył z uznaniem:

— Poniekąd bardzo by się przydała elektryka w naszej spółdzielni. O bydło lepiej dałoby się zadbać, mleczność by się podniosła.

Jan Kwiatkowski przytaknął żywo, szeleszcząc pocieranymi o siebie dłońmi.

— Jeśliby już światło zaprowadzono w rolniczym zespole spółdzielczym, podłączyć również wieś byłoby czynem społecznym, pożytecznym a propagandowym dla władzy.

Wiesław Wężykowski wprost się rozrzewnił.

— Jakim to budującym a trafnym przykładem posłużył się pan sekretarz. To zestawienie winno przekonać najbardziej zatwardziałych z opozycji.

— Argument rzeczowy z własnego doświadczenia — odparł Płatko skromnie, ale nieco się rozchmurzył.

Wtedy właśnie stary Florek odezwał się surowo:

— Mnie takie porównywanie wcale do przekonania nie trafiło. Elektryczność wynaleźli z siedemdziesiąt pięć lat wstecz albo i więcej. Więc się naród miał czas oswoić z nią, oszacować to dobrodziejstwo i zapragnąć go. A o wspólnotach zaczęły się mowy mniej niż trzy kwartały temu. To skąd się ma wiedzieć od razu, po nic, opłaci się to człowiekowi czy nie opłaci? Na lepsze się obróci czy na całkiem złe?

Edward Płatko od razu natarł na Ponica obcesowo:

— To wy byście chcieli, żeby się ludzie przekonywali do pracy w spółdzielczej gospodarce przez siedemdziesiąt pięć lat jak do elektryczności!

— Siedemdziesiąt pięć nie siedemdziesiąt pięć — odparł Ponic. — Tylko że chłop jak od tysięcy lat, odkąd Pan Bóg stworzył Adama zawsze się musiał rządzić w pojedynkę, sam o siebie troszczyć, bo każdy jeden czyhał na innego, żeby go obłupić. Jakże teraz od razu na szast prast potrafić mieć wspólny rozum z drugim?

— Za takiego mądrego się macie że już nikt inny wam nie dorówna każdą radą pogardzicie — zaperzał się coraz bardziej sekretarz.

— Taki sam jestem człowiek z roli jak drudzy. Każdą grudkę ziemi na moim polu znam lepiej, niż bym ją obracał na języku. Bom się na

tych zagonkach napracował jak ślepy wół, własnym potem się obmywałem. To ta ziemia ma być już nie moja?

— Wasza zostanie, tylko że drudzy wam pomogą na niej robić, a my znowu drugim.

— Na takie próby mi mojego gruntu szkoda. Mogą mi go zmarnować, po nic.

— Hańba i sromota, żeby nasz aktywista, dobry towarzysz, politycznie mocny, miał ojca wroga! — zawołał w pasji Płatko i pochylił się cały naprzód, jakby chciał pobóść głową Florka.

Natenczas Ponic prawie krzyknął głosem ścieniałym po starczemu:

— Ja żadnym wrogiem nie jestem. Mnie się tylko o to rozchodzi, żeby Tadeusz miał jak najlepiej!

— A stawiacie przed nim zasieki z drutu kolczastego. Na takich ludzi jak wy nie ma rady, tylko po partyzancku trochę przycisnąć, dopiero byście przestali się oglądać, zaraz byście rozeznali, co pachnie, a co cuchnie!

— Pod musem w żadną stronę się nie ruszę. Własnym zrozumieniem muszę rozebrać każdą rzecz. Na ten przykład mogę panu powiedzieć. Chociażem od wspólnoty chciał się trzymać z daleka milami, na to mi przyszło, żem w zeszły miesiąc jedno pojął.

— Ciekawe, co takiego? — pogardliwie zapytał Płatko, zdoławszy się widocznie opanować.

— Ano to, że jak ktoś nie jest za spółdzielnią, to jest przeciwko spółdzielni — powiedział Zygmunt Florek w znękaniu.

Goście chrzcinowi zakołysali się na swoich miejscach w niemym zdumieniu. Kpi sobie stary Ponic czy co?

Lecz przecież wiadomo było, że ojciec Tadeusza żartów tak skąpo używa, jak mało soli daje się do strawy.

A potem ludzie już w ogóle nie wiedzieli, jak to wszystko osądzić.

Bo sekretarz niespodziewanie wstał, podszedł do Ponica, położył swoją rękę na jego ręce i odezwał się prawie pokornie:

— Ja was przepraszam, jak wam niesprawiedliwie coś zarzuciłem, zanadto jestem nerwowy. I to też, że mi się wydaje, że każdy musi rozumieć to, co dla mnie celem życia jest i o com walczył.

Najdziwniejsze było jednak, że Zygmunt Florek wcale nie strząsnął dłoni Płatki, tylko odwrócił się od niego i powiedział ze smutkiem:

— Nasamprzód obrażacie, a potem wam żal, jak to u młodych. A może młodym trzeba być całe życie, żeby coś zbudować nie tylko dla siebie? Mój Tadeusz ma z wami to samo podobieństwo i dlatego go krytykuję. Bo on o siebie wcale nie zadba.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

I

Józefa Terlakowska zarzekała się niczym żaba błota — jak z przekąsem powiadali ludzie — że i za złote góry-pagóry nie wybrałaby się na chrzciny do Buraków, bo wcale nic nie ciągnęło jej do oglądania tych tam półpogańskich guseł nad paskudztwem dopiero co odciętym od pępowiny.

— Jeszcze do tego wszystkiego — narzekała — nawali się, napcha do Burakowego pomieszkania chmara dzieciarów z wszystkich końców wsi, oczywista niepozapraszanych, ani się toto nie umie zachować, ani nie zna umiaru w częstunku, napiera się niemożliwie. Ścisk, zaduch, harmider, że i trzy dni potem trzeba chodzić z głową okręconą szmatami pod octowym pokropkiem, bo takie młoty człowiekowi huczą w skroniach, jakby co najmniej księdzu prałatowi dobrodziejowi nawet zamawiania nie pomogły na chorobę i kanonik kazali bić dzwonami pogrzebowe, paradnie, na całą parafię.

— I co to za wielkie mecyje — dodawała rozogniając się coraz większym potępieniem — że jeszcze jeden gałgan z kobiety siły ssie, chłopu zaspać nie daje po nocy. Matka z ojcem powinni sobie włosy z głów rwać, a nie ludzi z tej intencji bałamucić muzykami, do hulanki wabić zbereźnej.

Jeśli Terlaczka była jednak obecna na chrzcinach i to odkąd się jeszcze nie zaczęły, po czas gdy się już dobrze skończyły, tłumaczyła to tym, że nie mogła się wymówić ze względu na honor swej matki i z powodu męża. Bo jakżeby Józefie, córce, która swej matce dała na starość schronienie bez oglądania się na to, komu Kubielowa w spadku zechce zostawić pierzynę, jakżeby Józefie wypadało nie pójść na uroczystość tam, gdzie stara była w poważaniu wielkim na równi ze chrzestnym? Bo to ona przecież przyjmowała siódmego z Buraków na ten świat boży i ludzki padół płaczu.

Nie było prawie w Osieczanach kobiety, której by matka Józefy nie dzierżyła w pół podczas godzin jej słabości, a na drugi dzień po porodzie nie smarowała masłem i spirytusem. Nieomal w każdej chałupie Kubielowa wychyliła choć raz w życiu kieliszek gorzałki wtedy, kiedy — aby się dziecko ludziom podobało — woda z pierwszej kąpieli zostaje już wylana pod słodką gruszą.

A jeśli któremu kawalerowi ładnie falowała się czupryna, baby zaraz poznawały, że chłopaka musiała odbierać babka Pelagia, bo to ona

zmyślnie kładła dzieciaki po urodzeniu we wnętrze baraniego kożucha i dlatego kręciły się im potem włosy.

I Cecyliana Marię, jak nakazuje zwyczaj, sama Kubielowa wykąpała w dniu, kiedy wikary wpuścił mu do ust sól mądrości i zerwał szatańskie więzy, którymi noworodek był spętany. To ona do balii wrzuciła srebrny pieniążek, a w poduszkę małego wsunęła kawałek chleba.

A gdy ksiądz przy chrzcielnicy fioletową stułę zamienił sobie na białą, nikt inny, tylko matka Terlaczki uroczyście rozwiązała najmłodszemu z Buraków wstążki od czepka, aby ciemię dziecka zostało jak należy pomazane olejem.

Toteż jeszcze by ludzie mogli powiedzieć, że widocznie Józefa poi na codzień matkę serwatką i tłucze kamieniami, skoro wzbrania się przypatrywać, jak w takim zbiegowisku gości właśnie starej podsuwają białe mięso z kury, a nie czarne, głaszczą słowami szacunku.

Przy tym, jak zapewniała Józefa, Filip wprost się rwał na te chrzciny.

Twierdziła, że Terlakowski bardziej by się nie spieszył do Buraków, nawet gdyby tam za samo przejście progu odpust dawali zupełny ze wszystkich grzechów. Z tych, co to, już popełnione, zaczerniły sumienie, i owych mnogich a przyszłych, z których się aż do ostatniego namaszczenia trzeba będzie spowiadać.

Jeśli więc Filip wziął na upór, że na chrzcinach Cecyliana będzie hulał, Józefa nie mogła wypuścić męża samego, boby się mogło temu i owemu wydawać, że odkąd nastały spółdzielnie produkcyjne, mężom już wszystko wolno.

Co prawda sąsiadki niezbyt wierzyły zaręczeniom Terlaczki.

— Taka kobieta — pytlowały — która się urodziła jak zając, od razu z otwartymi oczami, kiedy ma sposobność napatrzyć się wsiowemu zgromadzeniu, prędzej matkę i męża prętem podetnie, żeby w galop gnali z nią na chrzciny, niżby sama miała się przez nich dać ciągnąć na powrozach.

Zresztą co do starej Kubielowej wiadomo było, że Józefa niezbyt się z nią liczy.

Terlaczka chętnie rozpowiadała, że choćby nie wiedzieć jak chwalono Kubielową pod niebiosy i honorowano, matka musi słuchać Józefy, bo jej chleb je, córczyny. I co to niby za taka zasługa babom wyrywać dziecka spomiędzy nóg, a większe dzieciary mamić kłamliwie, że im się braciszków przyniosło w podarunku.

Kobiety powątpiewały również, aby Terlakowski tak obstawał przy wybraniu się na chrzciny. Człowiek był przecież cichy, spokojny, chociaż społeczny i dla drugich uczynny, stronił od wesołej kompanii

w szynku u inwalidy, na muzykach pokazywał się rzadko. Po robocie i o wolnym czasie najchętniej przesiadywał w domu.

Nieraz ludzie wydziwiali, że ten Filip jak sensatem był, tak i sensatem został. Że też mu się w chałupie nie przykrzy, skoro ani tam jest kogo na cholewie pohuśtać, ani obrazki komu pokazywać w kalendarzu albo chociaż skórę złoić za psotę.

Zagadywana Pelagia Kubielowa odpowiadała od lat jedno i to samo. Że zięć w domu czyta książki albo z żoną się ugwarza. I chociaż sąsiadki słyszały o tym, ilekroć zaczepiły w owej kwestii matkę Józefy — a wiadomo, kobieta wszystkiego sobie oszczędzi, tylko nie pytań, toteż i one sobie folgowały — mimo to zawsze jednakie wyjaśnienie jednakie wywoływało osłupienie.

Najbardziej ze wszystkich nie posiadała się ze zdumienia Aniela Mrówczak. Za każdym razem, a tych razy były setki, sepleniła:

— Świat na opak u tych Terlaków. Pseciez baba nie do rozmowy została stwozona, tylko w dzień do roboty, pilnowania dzieci i słuchania męzowych psykazów, a w nocy casem dla psyjemności.

II

Nieomal do połowy chrzcin Józefa Terlakowska trzymała się statecznie. Chwaliła potrawy, nie strojąc ukradkiem grymasów, że to przypalone z niedbałości, tamto omaszczone łojem, który rządy Witosa pamięta. Nie przygadywała uszczypliwie tym, co raczyli się wódką, w ogóle odzywała się mało a grzecznie, żaden dzieciak nie oberwał od niej kuksańca, że się ciśnie między starych, i pozwoliła nawet Bodziusiowi Sierakowskiemu usadowić się na swoich kolanach.

Sąsiadki spoglądały na siebie zawiedzione. Niezdrowa ta Terlaczka czy u spowiedzi dziś była? Uspokoiły się dopiero wtedy, gdy Katarzyna Burak orzekła szeptem na stronie, że Józefie nic nie jest ani nie pokutuje, tylko zbiera siły, żeby swoje pokazać.

Właśnie nadeszła ta pora pierwszej ćwierci nocy, kiedy najhuczniejsza zabawa przycichła na czas jakiś. Ci, co najbardziej stali o jedzenie, mieli brzuchy tak pełne, że i myśleć im się nie chciało. Trunkowi akurat na tyle sobie dogodzili, że do wszystkich naokoło czuli na razie serdeczność milczącą a rzewną. Tanecznicy wyhulali się już siarczyście do pierwszego potu i chłodzili się, zanim obleją się drugim. Jeśli który chłopak smalił cholewki do panny, przestał się o tej chwili do niej przysuwać, a dziewczęta zaniechały strzelania oczami i szeptów między

sobą, jakby nagle znudziły się każdej umizgi i skończyły się wszystkie tajemnice.

Nawet dzieciarni jakby ubyło, bo nie roiła się już tak po mieszkaniu Buraków, nie plątała pod nogami rozhasana i psotna. Tu i ówdzie małe postacie tuliły się do dorosłych sennie, niby sikorki, gdy czują się syte i niczym nie zagrożone. Morzył wszystkich ten niepokonany bezwład przed pierwszym pęknięciem nocy w kierunku świtu, owa rozkoszna zwiotczałość ciała i poplątanie myśli, tak dobrze znane stróżom nocnym i matkom chorych dzieci, birbantom i czuwającym przy trumnach.

Nawet wichura za oknami wydawała się już nie miotać dzikimi szarpnięciami, ale złagodniała, kołysała się śpiewnie.

Goście chrzcielnego obrządku miękko opierali się miłej gnuśności w błogim poczuciu, że gdy ją raz przełamią, będą już do białego rana jeść od nowa, pić na umór, do upadłego wycinać hołupce, zalecać się i okładać pięściami, zanosić się śmiechem do utraty tchu i rozpaczać, aż łez zbraknie.

Jedni z mieszkania Buraków przenieśli się na drugą stronę sieni do Kępy, aby odmianą strząsnąć piasek senności z powiek, drudzy po kątach pogadywali leniwie, muzykanci posilali się przy stole w kuchni wolno, z rozwagą a niezmordowanie, zaś kobiety stłoczyły się ciasno w alkierzyku i podśpiewywały sobie razem, to znów nuciły niegłośno, trochę dla przyjemności Cecyliana, trochę po to, aby drzemkę odegnać od siebie.

Naprzód intonowały chórem wszelkie pieśni pobożne i choć sumiennie nie opuściły ani jednej, jednak przy głoszeniu chwały księcia niebieskiego, Michała Archanioła, tak oczy zaczęły im się kleić od żałośliwych nut, że rade przeszły do skoczniejszych melodii.

Dopiero, kiedy się trochę ocuciły świeckimi zwrotkami, Czesława Stebnicka poprosiła Bielowską, żeby zaśpiewała coś sama jedna.

Maria Bielowska urodziła się nie w gostowskich stronach. Zjawiła się w Osieczanach zza Bugu już po wojnie, dostała działkę ziemi i gospodarowała na niej razem z bratem i trzema dorastającymi synami. Brat Marii nie wiadomo, jakie nosił nazwisko. Nikt go o to nie pytał, bo i tak by się nie dowiedział. Przybysz był głuchoniemy. Wystarczało więc, że wszyscy zwali go Błażejem-niemową.

Błażej, chłop wielki, rozrosły i mocny, niezwykle sprawnym był pracownikiem. Nie tylko swoje obrobił pierwszy przed drugimi, ale chodził i do bogatszych na zarobki. Nawet Teofil Marus, który stale miał pełną gębę wyrzekań na najemników, żaden mu nie mógł dogodzić, jednego niemowę wołał do roboty regularnie. Ludzie twierdzili, iż to dlatego,

że Błażej nie usłyszy ani zelżywych słów, ani się nie poskarży na chudy wikt.

Zdaje się, że Błażej wszystkie swoje zarobki oddawał siostrze, a kiedy Bielowska robiła dla niego zakupy po sklepikach, niemowa zawsze domagał się gestykulując natarczywie, ażeby i sobie sprawiła, co jej potrzeba.

I chłopa Maria podobno miała dobrego. Pod koniec okupacji Niemcy wywieźli go na przymusowe roboty i odtąd wszelki ślad po Bielowskim zaginął. Osieczańskie kobiety jedynie tyle o nim wiedziały, co mówiła Maria. A mówiła krótko i jakby twardo, że mąż ją poważał i dzieci nauczył szacunku dla matki.

Istotnie, synowie Bielowskiej okazywali jej z dobrej woli względy, które w dziw wprawiały podpatrujących sąsiadów, przywykłych do tego, że wyrostków nagoni jedynie do wyręki pomstowanie matczyne lub ojcowe pięć twardych palców.

Bielowska nosiła wiadra wody ze studni sama tylko wtedy, kiedy wszyscy z jej obejścia zajęci byli w polu, a chłopcy całowali ją w rękę nie jak w innych chałupach raz na rok, w wigilię przy dzieleniu się opłatkiem, ale w każdą sobotę wieczór, jakby jej za stary tydzień dziękowali i życzyli dobrze na nowy.

Wcale młodego jeszcze wyglądu, zawsze schludna, dobrze się w gospodarstwie rządząca i otoczona w domu atencją mężczyzn, Bielowska byłaby z pewnością znienawidzona przez wszystkie kobiety, przypiekane zawiścią, gdyby nie to, że wkrótce po sprowadzeniu do Osieczan stała się nieszczęśliwsza od żon katowanych przez mężów, bardziej godna pożałowania od matek, którymi dzieci poniewierają.

Bo zadała się z Antkiem Turkowskim, a jak to mówią: kto raz utopi oczy, ten już przepadł. I Bielowskiej wszystko inne z myśli spełzło, w pamięci się zapadło, jeden Antek wypełnił jej serce i rozepchał je tak, że nic się już w nim nie mogło pomieścić.

Syn Kochanyszka zaś był to bałamut, hultaj jakich mało, niejedną cnotliwą na siano zaprowadził, z wiarołymnymi się znał — wiele byś się ich naliczył w powiecie. Słowem miewał tyle oblubienic, ile dni w miesiącu.

I Bielowską byłby rychło porzucił, gdyby mu tylko na to pozwoliła.

Nawet teraz na chrzcinach Bielaczka, zanim zgodziła się zaśpiewać, sprawdziła nieznacznie wzrokiem, co się dzieje z Antkiem. Był nastroszony, ale siedział w bezpiecznym otoczeniu, naprzeciw pobożnego Buraka, między Tadeuszem Florkiem, nieamatorem zalecanek, a Adamskim,

krótko przez żonę trzymanym. Twarz kawalera mieniła się tajoną złością, to znów prawie jawnym rozżaleniem. Widocznie nie miał już innej rady, jak pod czujnym okiem kochanki zrezygnować z takiej zabawy, jaka by mu się podobała.

Bielowska z ulgą przełknęła ślinę i rozpoczęła pieśń od razu z wysokiego tonu:

Helenko, podnieś firankę
i zobacz, która godzina,
słoneczko już dawno zaszło,
mojego kochanka nie ma.

Głos Marii był bardzo cienki i słabiuchny, ale kobiety lubiły jej śpiewanie, bo takie umiała melodie, których nikt tutaj w okolicy nie znał.

Bielowska ciągnęła dalej namiętnie:

Kochanku, gdzie ty przebywasz,
że do mnie już nie przychodzisz,
czyś dawno zapomniał o mnie,
czy do innej już chodzisz?

Ta i owa z zasłuchanych poruszyła się, jakby zachciało jej się obejrzeć na Antka. Inne wlepiły ciekawy wzrok w Bielowską. Lecz Marysia wcale tego nie spostrzegła. Rozpłomieniona i nagle prawie zupełnie młoda opiewała z żarliwym współczuciem niedole jakiejś obcej, opuszczonej niebogi, odległa niby od niej o cały swój los, niepomna, że to ona sama jest tą zdradzaną, niekochaną.

Kochałam chłopca jednego
i żyłam tylko dla niego,
więcej go kochać nie będę,
łzy gorzkie wylewać będę.

Z kuchni Buraków wyszedł towarzysz Kowalski. Stąpając na palcach zbliżył się do alkierzyka, stanął za plecami kobiet, znieruchomiał.

Drobniutka, kształtna a sprężysta niczym źdźbło trawki Marysia, o brunatnych oczach, szeroko podczernionych smugami utrudzeń czy strapienia, zawodziła żałośnie w coraz to wspinających się ku górze tonach nad cierpieniem skrzywdzonej nieznajomej.

Pójdę na grób-mogiłę,
gdzie moja mama spoczywa,
opowiem swoje zmartwienie,
żeby mi serce wróciła.

Ach, Boże, o co cię proszę,
daj mi wszystkiego po trosze
i to, co kocham nad życie,
ach, Boże, o to cię proszę.

Aniela Mrówczakowa pociągnęła nosem, z miękkim szelestem opadła na podłogę chusteczka wypuszczona z dłoni Antosi Sierakowskiej. Bielaczka natężyła głos:

Skały z marmuru się kruszą,
mego kochanka nie wzruszą,
a ja jak rybka schronienia
pragnę od niego wspomnienia.

Kochanku, idź precz ode mnie,
idź, kochaj inną na wieki,
ja się w tym żalu zostanę,
zamkną się moje powieki.

Józefie Terlakowskiej źrenice zamigotały atramentowym lśnieniem. Marysia dokończyła prawie histerycznie, z mściwością:

Nic więcej nie życzę temu,
który mi życie odbiera,
niech mu głód, nędza dokuczy,
niechaj z rozpaczy umiera.

Gdy staniesz na moim grobie,
ziemia cię z niego zerzuci,
gdy staniesz między pannami,
każda ci o mnie zanuci.

Potem wsłuchiwały się wszystkie jak gdyby w jakieś echo niedosłyszalne, nie istniejące, a jednak brzmiące widocznie w ich uszach. Wreszcie Buraczyna zagadnęła grzecznie Kowalskiego:

— Ładna śpiewka, od serca? No nie?

— Ładna, tylko że smutna — odparł w zamyśleniu kierownik wydziału rolnego.

— Ano takie już te chłopy są, każdy tylko na to patrzy, żeby sobie dogodzić, a babska krzywda nie obchodzi go nic — westchnęła Ślipiatka.

— Widzi mi się, że wasz mąż, owszem, troszczy się o rodzinę — odparł Kowalski.

— To tak tylko przy ludziach, na pokaz — zaperzyła się Adamska — a w domu do buntów się bierze, odkąd się podpisał do spółdzielni.

— No cóż, spółdzielnie przecież nie na przekór kobietom wiejskim się tworzą, ale żeby one miały ulgę — zaczął z zastanowieniem kierownik wydziału rolnego, gdy wtem w jego mówienie ciche, przyjazne wdarł się dyszkant Józefy Terlakowskiej.

— Baby żadnych takich ulgów nie łakome! Choćbyśta gwiazdy z nieba obiecywali, będzieta widzieli, jak kobiety do roboty nie pójdą, to i musi się spółdzielnia rozpaść!

— Nie na babskich łydkach wspólnota stoi — powiedziała Pelagia Kubielowa obojętnie, niby z daleka, tak jak tylko starzy ludzie potrafią, aż wydaje się, że ten ich głos z innego świata dobiega.

— A jakże, nie na babskich! — odwróciła się Terlaczka wściekle ku matce. — Tak się mama tutaj rozhonorowali od tych szacunków, słodkich słówek, że i do kazań się biorą na chwałę i cześć spółdzielni. Kobieta od biedy i orać wydoła, i łąkę skosi, ale jak baby zasztrajkują, to żaden chłop z ich robotą sobie nie poradzi.

I Terlaczka skoczyła chyżo z alkierzyka na środek izby, tam gdzie trochę więcej było miejsca. Wypięła brzuch potężnie, obcisnęła ciasno chustką głowę, że wyglądała niejako łysa, i kucnąwszy, nuże schylać się, to prostować z trudem, bo coraz wciskała sobie oboma rękami do środka te niby to fałdy tłuszczu na kałdunie. Stękała przy tym tubalnym głosem Wężykowskiego:

— Poseł będzie musiał z kancelarii sobie wyspacerować i buraki za kobiety pielić. Zacznie pielonkę w czerwiec, to ją skończy na pierwszy śnieg, bo mu brzucho rozeznanie będzie zasłaniać, co chwast, a co burakowy listek. Jak wypieli czyściuchno do jednej trawki, to już nad kopaniem nie będzieta się mozolić, bo burak wmarznie w ziemię na fest.

Józefa podniosła się zwinnie, stanęła na palce i wyciągnęła się całą swoją postacią w górę, tak że na oczach wszystkich jakby schudła, wydłużyła się strzeliście. Rozkraczyła nogi, nadęła się mocno, aż twarz jej powlokła się czerwoną barwą i przybrała wyraz takuteńki, w jakim zastygało niekiedy oblicze Stanisława Adamskiego, gdy się gdzieś zagapił.

Sztywno wyprostowana sypała niby to ziarno niezdarnie, dłońmi daleko od siebie odstawionymi i bełkotała:

— A Ślipiatki chłop znowuż o ptactwo zadba, cip, cip, tiju, tiju, tiju, kaczkom owsa podsypie, do wody każdą będzie wsadzał, żeby się ochłodziła. Podmaca kury, a jak która jajko zagubi, Stasiu od Zośki dostanie kopyścią za to, że kwoki nie upilnował jak należy.

Teraz Terlakowska skurczyła się cała w sobie, zgięła nogi i zaczęła krążyć naokoło kołyszącym się krokiem Buraka. Zagarniała coś z ziemi ramionami oburącz, potem zakładała sobie pod pachę jakieś inne, niewidzialne pasmo, starała się wygładzać je wzdłuż, a wtedy tamten ładunek wysuwał się spod jej łokcia. Usiłowała pozbierać jedno, lecz drugie znowu gdzieś się zapodziewało. Kręciła się, miotała bezradnie, pot z czoła obcierając rękawem i chrypiała z ponurą złością:

— Burak w czas żniw wybierze się wiązać żyto. A że niewpraw, co sobie podejmie zboże na snopek, powrósło zacznie kręcić, wszystko mu się wymknie spod ręki. Będzie łapał za snopiska, znowu powrósło mu się wymknie i tak tam i nazad, a spiekota z nieba cieknie. Aż przygoni swoich synalków, w ośmiu chłopa zestawią od złotego ranka do ciemnej nocy cały jeden mendel.

Kobiety wokół Józefy parskały, krztusiły się do łez, zanosiły chichotami.

Nawet Ślipiatka i Buraczka, choć powinny były utrzymać powagę, bo przecież szły przekpinki z ich mężów, jednak Terlaczka zrobiła się do tych chłopów tak podobna na mgnienie oka, że nie mogły nie zrywać sobie boków z uciechy.

Józefa zerknęła na towarzysza Kowalskiego i odwróciła się niezadowolona, gdyż kierownik wydziału rolnego, zamiast się zachmurzyć, śmiał się także, niegłośno, ale szczerze.

Terlaczka stanęła naprzeciw niego i krzyknęła z furią:

— Żadna kobieta z Osieczan nie będzie przy spółdzielni robić!

— A dlaczegóżby tak być miało akurat w Osieczanach? — zapytał Kowalski bynajmniej nie wyprowadzony z równowagi. — Gdzie indziej w naszym powiecie kobiety wcale ładne pokazują uświadomienie. W Wołowej wprawdzie, w Piotrowicach też się niektóre przysięgały, że nie wezmą udziału w robotach zespołu. Ale jak przyszło co do czego i te, co pracowały, mogły się pochwalić przyzwoitym zarobkiem, tamte rychło się opamiętały, dołączyły swoje siły do spółdzielców. Zaś w Miedziance to nawet niektóre kobiety lepiej się spisują od chłopów.

— To im widać głupstwo rozum zjadło, głąby kapuściane mają w miejsce głów. Jak im klepek brakuje, trzeba im łby ogolić, czarną

kurę przyłożyć, krew z nosa puścić, może by szaleństwo od nich odeszło. W Osieczanach takich wariatek nie znajdziesz! — tupnęła nogą Józefa, a z jej oczu zogromniałych i w tej chwili błyszcząco czarnych buchała gorąca wściekłość.

— Wy w imieniu wszystkich kobiet mówicie czy też raczej za siebie samą? — zapytał Kowalski leciutko przekrzywiając głowę i z niezmąconym spokojem wpatrując się w Terlaczkę.

— Każda z nas jednaka, żadna komuny nie wspomoże — syczała Józefa, końce słów połykając w pasji.

— No, trzeba by sprawdzić, czy się czasem nie mylicie — pogodnie zastanowił się kierownik wydziału rolnego. — Wy na ten przykład zamiarujecie pracować w zespole? — nagle zwrócił się do Czesławy Stebnickiej.

Siostra Terlakowskiego odpowiedziała nie ociągając się, zdecydowanie, z powagą.

— Jakżem się podpisała pod statutem, to już od tego się nie cofnę, żeby we wspólności robić. Wdową jestem, z czego innego czworo dzieci pożywię, jak nie z pracy rąk?

— A wy? — zapytał Kowalski Anielę Mrówczak.

Ta odparła, rozwlekając wyrazy:

— Jeśli mój psykaze, nie będę mu się spseciwiać.

Towarzysz z Gostowa zagadnął jeszcze o to samo Włoszkę. Weronika przytuliła rzęsy do policzków, odwróciła się nieco, jakby przestraszona chciała uskoczyć w bok, jednak skinęła ciemną głową stanowczo i aż trzy razy, na znak, że ona także będzie wychodzić do roboty.

A stara Kubielowa nie pytana rzekła sama do siebie:

— I ja swoją rękę przyłożę, jeśli to ma do dobrego poprowadzić, chociażem była za stara, żeby we współdzielnię wstępować.

Kowalski spuścił głowę i uważnie począł zapalać sobie papierosa, nie patrząc na Józefę. Terlaczka purpurowiała na twarzy i zieleniała. Gwałtownie odwróciła się ku kobietom i wrzasnęła do nich:

— Jakeście są gule, będzieta na kołchozowym polu się znoić bez tchu, a przez ten czas w żłobku dzieciary wasze będą wymordowane, wygniecione jak wszy!

Kowalski odpowiedział głośniej niż przedtem.

— Nie było takiego wypadku, żeby się jakiemu niemowlęciu lub przedszkolakowi co złego przytrafiło w dziecińcu. Musiałbym o tym słyszeć. A zresztą dzieciniec będzie prowadzić z pewnością jedna z miejscowych obywatelek, którą sobie same wybierzecie w zaufaniu. Jakżeby ona miała krzywdę zrobić dzieciom swoich krajanek?

Kierownik ważył coś w myślach, po czym spytał wprost Terlakowską:

— A gdyby na ten przykład wyście zostali opiekunką dziecińca?

— A juści — nie posiadała się ze złości Józefa — inne będą sobie rodziły, a ja mam ich sraluchom tyłki podcierać! Niedoczekanie ich!

— Nieprzystojnie mówicie — zmarszczył czoło Kowalski. — Trudno z wami dyskutować, bo wam zła wola prawdę zasłania. No cóż, do tego, czego się nie zna, przekonać się niełatwo. Wszystko, co nowe, w bólach na świat przychodzi niczym dziecko.

— A właśnie, że nie — zawołała Terlaczka urągliwie. — Żadna sztuka to rodzenie. Jakby mi się zachciało, wystarczy nogę zadrzeć i już dzieciak się wydziera na prześcieradle!

Towarzysz z Gostowa zmrużył oczy, dłonią uniesioną pionowo nagłym gestem prędko przeciął powietrze, jakby coś tam urywał i powiedział ostro:

— To już nie bujajcie kobiet tu obecnych ani też mnie. Powiedzcie lepiej, że z was od razu wyskakuje osiemnastoletni chłopak z oznaką NSZ w kurtce, rewolwer ma w ręce i prosto strzela mi w pierś. Tak samo w to można uwierzyć, jak w tamto. Jałowa jesteście kobieta, nieródka i przez to wszystkiemu stawiacie sprzeciw, bo drugich szczęśliwość solą oczy wam piecze.

Twarz Józefy stężała, pokrywając się popielatą barwą. Kobieta potoczyła dokoła szklanym niby u paralityka spojrzeniem i zaczęła cofać się w tył krok za krokiem, ciężko, nie po swojemu. Dotarła tak do kręgu bab i byłaby może szła dalej nie zważając, że inne znajdują się jej na drodze, gdyby Weronika Włoszakowska nie zrobiła Terlaczce miejsca koło siebie. Włoszka usunęła się nieco w bok na krześle i pociągnęła Józefę tak, że tamta usiadła bezwolnie.

Weronika powiedziała w ucho przyjaciółce:

— Cicho, Józia, cicho. On ci musiał tak dociąć, boś nas wszystkich srogo naobrażała. Jeszcze ci mało dał za to, cóżeś, oczy psu sprzedawszy, naplotła.

III

Towarzysz Kowalski byłby zatrzymał się dłużej na chrzcinach u Buraków, ale Edward Płatko pociągnął go za sobą z powrotem do Gostowa.

— Zabawa zabawą — powiedział — a do roboty trzeba wracać. Posiedzi się w komitecie do białego dnia, bo do egzekutywy należy się przyszykować na jutro. To wy już, towarzyszu Kowalski, nie rozprawiajcie, nie marudźcie, tylko się zaraz zbierajcie do drogi.

Rychło też obaj towarzysze odjechali.

Przez te wszystkie godziny w mieszkaniu Buraków i w stancji Walentego Kępy powietrze stało się zawiesiste od tumanów machorkowego dymu, aż w tej ciężkiej mgle zamazywały się kontury twarzy, w starych obliczach roztopiły się zmarszczki, młodym przybyło lat, takie wydawały się niewyraźne w zarysach. Otworzono drzwi do sieni na przestrzał, para trochę zrzedła, od razu zrobiło się przestronniej, ludzie odetchnęli głębiej, a i lepiej jeden drugiego mógł zobaczyć. Wałęsali się to tu, to tam po całym czworaku, ten, któremu się zachciało kiszki przepłukać, przepił z drugim, inni uciesznymi opowieściami okraszali przy stole potrawy, w jednym kącie podłoga postękiwała od uderzeń kawalerskich obcasów, grzmotliwie, jakby niejednego mieli ponieść z tańca prosto do grobu, gdzie indziej rozmowa taka się toczyła, przy której wszyscy mieli rację, bo nikt nikogo nie słuchał, tylko rozprawiał o swoim.

Bronio Bratek rozparł się na ławie rozmarzony. Jak rzadko, niepomny na nic, co się dzieje dookoła, cieniutko nucił:

Dzisiaj jest to święta niedzieleczka,
piłoby się świeżą gorzałeczkę
i to tak dzień na dzień,
piłaby się gorzałeczka w każdy dzień.

Kto w niedzielę gorzałeczkę pije,
w poniedziałek się nie myje,
we wtorek bombluje,
jeszcze się nad gorzałeczką mądruje.

A we środę się namyśla,
a we czwartek kochaneczkę ściska,
a w piątek, sobotę
porachuje, porachuje robotę.

We wrzawie i ludzkim rojeniu się jakoś nikt nie zauważył, kiedy wzięło początek to wydarzenie, które tak bardzo wszystkimi wstrząsnęło i na zawsze w gadanej kronice osieczan upamiętniło chrzciny siódmego syna Buraków.

Wprawdzie potem każdy i każda przechwalali się, że kto jak kto, ale on lub ona jedni słyszeli stąpanie jeszcze przed progiem albo jeśli nie, to chociaż im w skroniach przeczucie biło pulsami, ale

zdaje się prawie na pewno, że wszyscy chrzcinowi goście spostrzegli przybyłych, kiedy ci znaleźli się już prawie na środku paradnej izby Buraków.

Wtedy, gdy rozległ się mocno schrypiały głos: „Z daleka my i z szeroka. Z wysoka my i z głęboka", głos ów nie dotarł widocznie do stancji Fruwaka, ale tutaj wielu odwróciło oczy od kielichów, od misek, od cudzych ust.

W rozgardiaszu stołów i krzeseł, byle jak już teraz porozsuwanych, każde nie na swoim miejscu, stało rzędem trzy osoby.

Najwyższy był to mężczyzna kościsty, wzrostu ogromnego, mimo że się mocno garbił. Twarz jego zarośnięta brudnymi kępkami wielodniowego zarostu, choć niewielka i okrągła, nabrzękła była mocno, jakby ów człowiek zbyt blisko ulów się kręcił albo runął obliczem naprzód do rowu z pokrzywami. Oczy ledwo, ledwo widoczne między podpuchniętymi, niczym strączki starego grochu, powiekami, spoglądały dziwnie mgławo. Ubiór obcego niezmiernie był złachmaniony. Nogawki strzępiły się nad butami, niewiele różne od frędzli, a ci, którzy stali bardziej z boku, mogli zobaczyć, że plecy obdartusa wybielone były dokumentnie, jakby całą swoją wędrówkę odbywał katulając się wzdłuż tynkowanych ścian.

Drugi z przybyszów był prawie staruszkiem, odzianym skromniutko, lecz chędogo. Tylko kostur i torba zawieszone na jego ramieniu świadczyć mogły, że przemierza ścieżki wielu wsi, nie jednej, a do parcianki składa chleb raczej uproszony niźli zapracowany.

Trzecia z nieznajomych była to kobieta. Przysadkowatej figury, miała płeć tłustą i spoconą równocześnie, nos gruby, niekształtny, z rozdętymi nozdrzami o ciemnej barwie. Osoba ta ubrana była w płaszcz sfatygowany nieco, lecz ozdobiony przy szyi kołnierzem, wytartym w przodzie, ale bądź co bądź lisim. W dłoni dzierżyła skręcone jedwabne sznury, na których zwieszała się torba do tłumoczka raczej podobna, tak została wyładowana.

Kościsty ciągnął dalej monotonnie, żałośnie, trochę bełkotliwie:

— Prosi dziadek, prosi grzecznie, jak potrzeba, o kropelkę wody i skóreczkę chleba. O skóreczkę chleba i soli grudeczkę, za to wam zaśpiewa przecudną pio- pio- piosneczkę.

Dziad chciał widocznie ostatnie słowo zaintonować, ale się jakoś zająknął na tej nucie i jakby mu fałszywy ton podciął nogi, zatoczył się raptem w bok.

Staruszek podtrzymał go pieczołowicie i zamamlał bezzębnymi dziąsłami, zatroskanym półgłosem:

— Kolega osłabł z tego umartwienia ciała na misjach. Na modłach żeśmy byli świątobliwych w krzewińskim klasztorze. W powrotnej drodze w Łąkach umyśliliśmy poszukać noclegu u poczciwych ludzi, ale nam wichura zmyliła kierunek, pobłądziliśmy. Tyle że kupą się trzymamy, to nam raźniej.

Kobieta nie odezwała się wcale, tylko drobnym kroczkiem odeszła w bok i potulnie przysiadła na brzeżku ławy.

Ludzie wcale byli radzi z niespodziewanych odwiedzin. Dziady, które nogami przebierają całe kawały świata, zawsze więcej sobie przez ten czas naoglądają niż ci, co zelówki drą nie docierając nawet do wojewódzkiego miasta. Dawno nie widziane wędrowne proszalniki mogą urozmaicić przyjemnie zabawę chrzcinową, tym, co się lubią pośmiać, dadzą okazję do wesołości, tych, którzy wolą ulgę sobie sprawiać płaczem, chętnie wzruszą aż do szlochu.

Przy tym zapowiadała się szczęśliwa wróżba dla Cecyliana Marii, jeśli na jego wprowadzenie w kościół święty zjawili się wyciągający rękę za jałmużną i po chrześcijańsku zostali ugoszczeni, jak nakazywał Pan Jezus.

Toteż nie proszonych gości usadowiono przy półmiskach i nie tylko resztki im podsuwano, ale także nie napoczęte kęsy, a otworzonej dla uraczenia dziadów butelki nikt już z powrotem korkiem nie zatykał.

Jedna Weronika Włoszakowska, zamiast jak inni ożywić się z powodu przybycia żebraków, ledwo obrzuciła wzrokiem wielkiego dziadygę, zazezowała, zbladła i skryła się za Józefę Terlakowską.

Mały Bohdan, syn Antosi, pociągnął Terlaczkę za spódnicę. Zaszeptał w podnieceniu:

— Popatrz, ciocia. Fuk, fuk, pyk, pyk, tra-ra-ra, buch, buch.

Józefa wpatrzyła się z wielkim zaciekawieniem w kobietę o wypełzłych włosach, a kiedy tamta spojrzała i na nią, Terlaczka skinęła jej głową bez wylewności, lecz zwyczajnie, jak znajomej. Jednak pękata siedziała bez ruchu, niczym zając w dołku wkrótce po urodzeniu. Pustymi oczami patrzyła prosto w twarz Filipki tak obojętnie, jakby ją pierwszy raz w życiu widziała albo nawet jakby na miejscu Józefy w ogóle nie było w tej chwili nikogo.

Zresztą trójka przybyszów raźno przysunęła się do stołów.

— Wtenczas najlepszy czas do jedzenia, kiedy się chce — powiedział najstarszy żebrak grzecznie i z powagą, siorpnął z garnuszka czerninowej zupy na kaczej krwi uwarzonej, po czym dorzucił:

— Można inaczej to ustawić w mowie, wielmożne państwo, jak na ten przykład tak: gdzie jedzą — jedz, gdzie robią — nie zawadzaj.

Istotnie, dziady przypięły się do jadła, jakby za nic nie chciały nikomu zawadzać.

Staruszek zachowywał się najbardziej obyczajnie, mniej się spieszył od tamtych, nie tknął samogonu, zapijał tylko piwem wolnymi łykami. Natomiast kościsty nie puszczał flachy od siebie dalej niż na odległość sięgnięcia dłonią. Nawet jeśli szklankę miał pełną po brzegi, jeszcze bystro pilnował oczami butelki, niczym zazdrośnik płochej żony, czy mu się gdzieś nie skryje. Kobieta zaś drożyła się wstydliwie a przewlekle o każdy kieliszek, jednak gdy został nalany, w oka mgnieniu świecił pustym dnem. Przybyła nie żałowała sobie także jadła, złoty ząb w jej ustach błyskał wspaniale raz po raz, bo jej się wargi ledwo domykały, tyle sobie kładła na raz na język. Tylko, nim się zabrała do nowej potrawy, odwracała dyskretnie głowę, zasłaniała sobie kartoflany nos palcami stulonymi w trąbkę i przez tę rurkę wąchała dokładnie to, co zamierzała spożyć. Upiekło się nieznajomej, że Katarzyna Burak nie spostrzegła owych manewrów, boby z pewnością sprzeklinała przybyłą za takie przesmradzanie, wcale do dziadów nie pasujące.

Kiedy wędrowcy na tyle długo się posilali, że w ich gębach mogło się już znaleźć miejsce na słowa, Stanisław Adamski zagadnął ich:

— Cóż tam w szerokich światach słychać z polityką i z drugimi rzeczami?

— Ano — odpowiedział staruszek, widać najznaczniejszy wśród dziadów — na całą Polskę od Gór Karpackich po Morze Bałtyckie honor i sława się niesie chrzcin u Buraków Józefów. Takiej huczności, gościnnego podjęcia, zabawy ładnej, marcepanów a napitków w żadnej wiosce nie było, nie ma i być nie będzie.

— Pewno — przyznał z przekonaniem Adamski — chrzcin, wesel, styp i muzyk równych naszym osieczańskim nigdzie nie znajdziesz, choćbyś wszystkie Ameryki, Afryki zjeździł. Jeden tutejszy może poświadczyć, bo on nawet murzyńskim przypatrywał się pląsom. Kępa Walenty mu na imię.

— Daj Boże, żeby tak u was zostało na wieki, daj Boże, boście są ludzie litosierne, chrześcijany, jałmużnikom wspomożenia nie skąpicie.

— Co by miało nie zostać — protekcjonalnie zapewnił starego mąż Ślipiatki — lekkomyślniki żadne nie jesteśma, głowami w dół nie zwisamy jak nietoperze, w Osieczanach ludzie nie muszą mieć siwych bród, żeby dopiero byli mądrzy. Potrafimy się rządzić. Teraz żeśmy założyli zespół spółdzielczy, będzie jeszcze lepiej. A ciekawe, jak się też drugim powodzi gdzie indziej, za Wisłą czy jeszcze dalej?

— Jak kto od łez zaniewidział, od własnych ślochów ogłuchnął niczym my, męczenniki sfrasowane, nie jest w możliwości przyuważyć, co się odbywa na prawo czy na lewo — zachlipał żebrak po babsku.

Bronio Bratek, który naśpiewawszy się, ile dusza zapragnie, to znaczy co tylko umiał, przyłączył się do kręgu otaczającego przybyłych, odezwał z powątpiewaniem:

— Cóż za takie frasunki mogą dokuczać dziadom? Nic swojego nie macie, to się nie musicie strachać o utratę lub choć o uszczerbek. Familię albożeście zostawili z dobrej woli, albo was sama puściła z torbami, tak czy tak kłopot o nią spadł wam z sumienia raz na zawsze. A że mieszkania stałego nie posiadacie, gdy się wam gdzie nie powiedzie albo się zdarzy coś takiego sfastrygować, co się milicyi nie spodoba, wolna droga pieszką w inne strony. O podatkach to już nawet nie wspominam, bo gdzieby wam mieli posyłać te nakazy, jakeście są nigdzie niemeldowane.

— Takim, co ich matki w liście łopianu owijały, bo je na pieluszki nie było stać, po dorosłemu nie skuczno chodzić w gałganach. Lecz ten, co kamaszków miał kilka par, garnitury, kamizelę nie jedną, onucków bez liku, tego dziadowskie łachy pieką — odparł staruszek z godnością, jakby mu Bronio-kawaler w czymś uchybił. — Myśmy z tymi oto dwoma osobami, które przed sobą widzicie na własne oczy, stowarzyszyli się z tego powodu, że jednaka nasza niedola, chociaż każdy z innego zaboru pochodzi: kolega z południowej strony, czcigodna niewiasta ze wschodniej, a moja pokorna persona z północnej — wyliczał żebrak z pewnym namaszczeniem. Umilkł, a ponieważ mowę miał wartką, płynną, do słuchania wdzięczną, gdy przestał mówić, wszyscy się ku niemu przychylili, ciekawi dalszego ciągu.

Lecz przybyły złapał się naraz obiema rękami za głowę, rąbnął nią o ścianę raz i powtórnie. Zawył rozpaczliwie, aż gdzieś z samej głębi trzewi:

— Żaden z nas proszalników nie miał w rodzie! To spółdzielnia produkcyjna nas zdziadziła!

Ludziom mrowie przepełzło od pięt do karku, włosy im zesztywniały przy czaszkach.

Natenczas kobieta z szyją otoczoną futerkiem z lisa upuściła brzęklivie łyżkę na ziemię, wykrzywiła twarz tak strasznie, jakby połknęła rozżarzony węgielek, do oczu przycisnęła chustkę wielką niby serwetka i szlochając spazmatycznie, jęcząc i zawodząc poczęła krzyczeć:

— Dzieciątka moje z bielutkimi włosami, coście się przez spółdzielnie pomarnowały! Ptaszki rozkoszne, do dziś byście szczebiotały, kana-

reczki, żeby wasze mamusie nie podpisały się do wspólnoty! O niewi niątka potopione na sine trupki, o rybeńki, co wam główki potrzaskał jak skorupkie fajansową, o dzidziusie różowe, wychuchane, wystrojone coście do mogiły ciemnej złożone zostały i robaki was zeźrą. Trzeba było, trzeba waszym tatusieńkom na spółdzielnie się zgodzić, żeby was perełki drogocenne, taki okrutny los spotkał? Oj, nie mogie, nie mogi przetrzymać, nie mogie, kiedy wasz obraz, aniołeczki, staje w moje pamięci jak na zdjęciu u fotografa!

— O cym ze ta kobieta tak ksycy, cóz to za takie dzieci były? O la Boga — szepnęła Aniela Mrówczak i osunęła się niezdarnie na ławę

Jej policzki, rumiane nawet przy największym skwarze chłodną świeżością, poszarzały teraz od kropel ołowianego potu.

I innym ścierpły wargi. Zamarli bez ruchu, tak jak kto stał, każdy przygwożdżony niejako do swojego miejsca tym wrzaskiem, świdrującym powietrze, przeraźliwym, nie do zniesienia.

Na jednym Błażeju-niemowie żadnego to wszystko nie zrobiło wrażenia. Z przyjemnością przyglądał się dziadom, a nawet uśmiechał się lekko a przyjemnie. Widocznie w bezszmernej ciszy doznań kaleki gdzie nie docierał żaden z okrutnych jęków żebraków, gesty ich i miotania wydawały się czynione ku ludzkiej uciesze.

Gdyby wtedy w mieszkaniu Buraków znajdował się Tadeusz Florek Terlakowski lub choćby Kępa-Fruwak, z pewnością nie pozwoliliby ludziom tak upaść na duchu.

Ale Walenty kumał się z Wężykowskim przy braterskim wysuszaniu butelek, a Mrówczak był im gorliwym świadkiem, oddanym pomocnikiem i opiekunem. Jeśliby w tej chwili kometa zawadziła ogonem o strzechę chałupy Zygmunta, nawet wówczas ów wolałby podziwiać gwiazdeczki wyryte na brzegu jego szklanki.

Toteż przewodniczący w przewidywaniu, że jedynie nagła śmierć albo koniec świata mogłyby oderwać Franciszka od stróżowania przy flaszczynach, sam poszedł obejść spółdzielcze gospodarstwo, sprawdzić czy wszystko jest w porządku.

Filip Terlakowski pozostawał jeszcze także w stancji Kępy. Może nie ruszał się dlatego, że Domin z Kwiatkowskim przenieśli się na drugą stronę sieni, a stelmacha zmierziło towarzystwo dawnego wójta. Albo ponieważ wdał się w rozmowę ze starym Ponicem i chociaż słowa między nimi kapały powolutku niczym deszczówka z rynny, kiedy już dawno skończyła się ulewa, jednak obaj mieli miny zadowolone.

W izbie Buraków ludzie cisnęli się do siebie, jak gdyby w tłoku mniej im było straszno. Zdaje się, że każdy za słaby, aby się sam odezwać.

oczekiwał pociechy od sąsiada. Stanisław Adamski, który zazwyczaj potrzebował całych nieszpór, aby zrozumieć to, co ktoś inny pojmował w dwa pacierze, do teraz nie mógł się połapać, cóż to takiego się stało. Przecież nie dalej temu jak uderzenie zegara na kwadrans on, Stanisław, zapowiadał, że w spółdzielni będzie jeszcze lepiej, a tu teraz te dziady całkiem inaczej sprawę przekręciły. Jakimże to sposobem jedno przemieniło się od razu w coś drugiego, przeciwnego?

Józef Burak niespokojnie oglądał się na żonę, jak zwykle wtedy, gdy mu się wydawało, że ktoś inny, wyjątkowo nie ona, uwłacza jego czci.

Bronio Bratek żegnał się pośpiesznie na krzyż i na wprost, nie po porządku, myląc sobie lewe ramię z prawym i zamiast do czoła trafiając palcami w nasadę nosa.

Reszta gości wyglądała, jak gdyby odjęło im wszystkie zmysły a ich mózgownice ścięły się styczniowym lodem. Tylko Czesława Stebnicka odważyła się odezwać drżącym wprawdzie głosem, ale rezolutniejącym przy końcu.

— Po co takie lamenty naokólne, a nie wiadomo, co i jak. Niech oni opowiedzą po porządku, czemu niby zdziadzieli, co się tym dzieciom stało, kto je skrzywdził i z jakiego powodu. Trzeba się w tym rozeznać, osądzić.

Babka Kubielowa poparła siostrę swego zięcia cichuteńko:

— I czajka kwilić potrafi, chociaż nic jej nie dokucza.

Lecz inne kobiety zagęgotały tamte dwie. Jakże, toż chyba się nosi w piersi zimne szkiełko zamiast serca, żeby nie pozwolić nieszczęśnikom użalać się nad sobą. Właśnie niech popłaczą, będzie im lżej, nie mają się czego wstydzić, tutaj ludzie są współczujące.

I Ślipiatka, Bielowska, Sierakowska zaczęły obcych wspomagać od siebie szlochami. Stary dziad opamiętał się pierwszy. Schylił się po czapkę, która mu przedtem zleciała z czaszki, mocno otarł nos wierzchem dłoni i zwrócił się w stronę, gdzie siedziała Stebnicka. Rzekł coraz to zanosząc się jeszcze łkaniem.

— Jeśli w moje pokrzywdzenie srogie nie dajecie wiary, wielmożne państwo, lub powątpiewacie w męki tej niewiasty niezasłużone, a od piekielnych gorsze, posłuchajcie, co wam opowie kolega o swojej boleści. On, kiedy mu cały majątek przepadł w spółdzielni produkcyjnej, uczynił w Kalwarii Zebrzydowskiej ślub przed cudownym obrazem, zaprzysiągł, że przeciw ósmemu przykazaniu póki życie nie zgrzeszy, jego usta nie splamią się fałszywym świadectwem. Za to w bulli papieskiej został wymieniony. Świątobliwy to człowiek i kto jemu kłam zadaje, samemu ojcu świętemu robi na przekór. No, opowiedz, Oleś, państwu.

— Na bankrot my zeszli, dziadami zostali, przez to, żeśmy podpisali

Staruszek trącił go i to wcale mocno, jak wydało się tym, co bliże stali. Lecz możliwe, że im się tak tylko przywidziało, bo stary zwróci koledze uwagę wielce delikatnie, z szacunkiem:

— Lepiej nie z tego miejsca zaczynaj, Oleś, boby tu obecni mogli zesłabnąć, pomdleć ze zgrozy. Od ciemnej nocki bierz początek. I powstań sobie, żeby ciebie lepiej posłyszeli, twoje słowo przecież z papieskim sąsiaduje.

Oleś podniósł się i uderzył kosturem w podłogę. Opuchnięty, załzawiony, potargany i odziany w same rozpadające się strzępy, wyglądał w samej rzeczy jak ktoś, kogo haniebna przemoc zmiażdżyła i podeptała.

Dziad jeszcze raz stuknął kijem i rozpoczął ni to mówić ni to śpiewać, głosem chropowatym, ciężkim a tak przejmującym, jakby nie do uszu słuchających docierał, ale wprost żyłami do serca.

— Pewną nocką, nocką ciemną wiatr po naszej wiosce hula, jakieś smutne przeczuwanie niesie ta wichura. Nagle auta zajeżdżają, jest ich może dwieście, policjanci ze strzelbami krzyczą do nas: nieście! Nieście zboże wasze z komór, nieście ze spichlerzy, składajcie na samochody bo się tak należy. Taki nakaz jest z Warszawy, wszystko ziarno rekwirować, żeby robotnikom w mieście na darmochę rozdarować. Myśmy w lament, myśmy w płacz, pomiłujcie się, panowie, jak nam wszystko zabierzecie, nie wytrzyma nasze zdrowie. Z głodu zginiem, chłód nas zmiecie, żeby chociaż wiedzieć, za co. Za co, za co, czy powiecie?

Wasza tylko jest w tym wina — policjanty objaśnili — wyście sami, głupi ludzie, tak ze wszystkim się zgubili. Prawo wyszło z trybunału, prawo tajne przy narodzie, dowiaduje się dopiero, gdy za późno jest po szkodzie. Prawo dyktuje: kto do spółdzielni przystępuje, tego zboże się rekwiruje.

Tak zostali my bez niczego, bez ziarneczka jednego. Ani zasiać, ani mleć, ani sprzedać, ani zjeść. Rozeszli my się na wędrowanie, po dobrych ludziach litośne żebranie.

Dziad umilkł, nie patrząc na nikogo, skulił się cały w sobie i stęknął śpiewnie, z przekorną żałością:

Święty Boże,
Święty mocny,
Święty a nieśmiertelny,
zmiłuj się nad nami, grzesznikami
spółdzielcami.

W izbie Buraków zaległa taka cisza, jak po gradobiciu, gdy ludzie po raz pierwszy wyjdą w pole.

I dopiero rozbrzmiała mocna, dźwięczna mowa Domina, dawnego wójta:

— Toście są teraz zgubieni, w pułapce. Ani tedy, ani sięgdy. Ze spółdzielni was nie wypuszczą, chyba że prosto do kryminału, a znowu we spółdzielni tego samego się doczekacie, co tamci, tylko że prędzej. Od początku mi się ta wspólnota nie podobała, ale obecnie, że mam serce z natury miękkie, to nawet współczucie mnie tknęło dla was.

— Zaraz, zaraz, Leon — prędko wtrącił Jan Kwiatkowski, z szelestem trąc o siebie dłonie — ludzie pogrążeni są w rozpaczy, po katolicku byłoby podać im dłoń pomocną. Może gdyby mózg posuszyć, znalazłoby się jakieś wyjście z katastrofalnej sytuacji. Mądrość uczy, czego szukać i czego się chronić.

— A niechta, lepiej raz upaść niz wisieć bez ustanku — zalała się na nowo łzami Ślipiatka.

Innym brakło już i łez, i przekleństw, i westchnień, i siły do krzyku, i wszelkiej w ogóle chęci do czegokolwiek.

Wydawało się, że wszystko, co się miało spełnić w Osieczanach, spełniło się, że nic gorszego ani lepszego stać się nie może, że nic już nikogo nie zdziwi ani nie pocieszy. I właśnie wtedy wydarzyło się coś, czego nikt nie mógł przewidzieć, choćby co trzecią noc nawiedzały go sny prorocze.

W martwotę mieszkania Józefa i Katarzyny zaczął wciskać się od strony stancji Walentego jakiś szmer, rychło w zgiełk pęczniejący. Aż nagle z sieni wpadł z rozpędem, jakby go gumką z procy wystrzelili, najstarszy z Buraków, Zenon, i wrzasnął z uciechą:

— Rumoś przyszedł! Już jest u Kępy!

Rzeczywiście zaraz za nim wśród zgrai dzieciaków rozszalałych z wesołości ukazał się ryży wariat, triumfalnie prowadzony przez tych, którzy dotychczas zabawiali się u oborowego.

Ludzie mieli pomyślenie tak zmierzwione przez dziadowskie opowieści, że nie chciało im się nawet dziwować, skąd się wziął tutaj ów rudy przygłupek, dawny służka Posła. Zniknął przecież z Osieczan rychło potem, jak Hitler Polskę zawojował. Nieraz go wspominano i wszyscy byli pewni, że Gestapo wyprawiło duszę wariata od dawna na tamten świat. Spierano się tylko, gdzie ta dusza mogła powędrować, bo do nieba święty Piotr nie wpuściłby matołka, piekło się Rumosiowi nie należało, dosyć się nacierpiał na ziemi, a w czyśćcu by nie potrafił pokutować, jak jest przepisane. Żałowano Rumosia.

I oto znowu stał przed nimi ten powsinoga niespełna rozumu, który tak ładnie pokazywał, jak Marus sprawia lanie swojej żonie, albo jak się powodzi panu prezydentowi Mościckiemu w Warszawie.

Rumoś nic a nic się nie zmienił, jakby te dziesięć minionych lat przetoczyło się mimo jego boków i pozostawiło go w środku nienaruszonego. Tylko na głowie nie miał już kaszkietu, lecz watowaną czapkę z nausznikami, jakie mieszkańcy Osieczan widywali u żołnierzy radzieckich.

— Gdzieżeś ty się chował przez te wszystkie czasy, Rumoś? My żeśmy myśleli, żeś już na cmentarzu — klepał wariata po ramieniu rozochocony Franciszek Mrówczak.

— Niech sobie mądrzy umierają, głupim umierania nie trzeba — zaskrzeczał przygłupek po dawnemu.

— Toś może na wojnie był, żołnierzem cię zrobili, co, Rumoś? — nalegał Franciszek mrugając okiem ku innym.

— Głupi nie będą wojować, niech sobie mądrzy wojują — bełkotał wariat z chytrą miną, a potem zaczął ruchami i rwanym słowem opowiadać jakieś swoje niesłychanie skomplikowane perypetie okupacyjnych czasów, kiedy to widocznie niemieccy żandarmi gonili go i nie złapali.

Słuchano go w rozradowaniu i z uwagą.

Tamci, którzy przyszli z wariatem od Kępy, nie mogli wiedzieć oczywista, co się tu przedtem działo.

Co zaś do tych tutaj, mogłoby się wydawać, że zaczadzeni trucizną zgryzoty, otępiali i bezwładni, nie potrafiliby ruszyć palcem, nawet gdyby kwoka wydziobywała oczy któremu z ich dzieciaków.

A jednak przybycie Rumosia jakby ocuciło nieco osieczańskich ludzi. Możliwe, że jak to niekiedy bywa przy nieszczęściu, którego już nawet oczy boskie na pozór nie mogą odwrócić — zachciało się wszystkim koniecznie, koniecznie choć na moment wypędzić z myśli ów straszliwy frasunek. Oddaliby ćwiartkę swego życia i to bez targów, byleby tylko móc pobawić się, pośmiać ostatni raz, najostatniejszy, zanim radość ludzka na siedem zamków w żelaznej skrzyni zamknięta opadnie na dno jeziora i nie wypłynie nigdy.

Toteż Rumoś, choć zawsze lubiany w Osieczanach, tym razem na chrzcinach u Buraków został przyjęty tak przychylnie, jak to się nie zdarzało dotychczas. Nie zażądano nawet od wariata, aby z góry urządził przedstawienie za obietnicę późniejszego poczęstunku. Niech sobie chudziak nasamprzód porządnie podje, będzie miał potem więcej siły do rozśmieszania ludzi rozmaitymi figlami.

Ignac Sierakowski pchnął ryżego prawie serdecznie ku stołom.

— Poczęstuj się, Rumoś. Będziesz miał nawet akuratną kompaniję, dziadowską. Specjalnie na twoją intencyję sproszono, żeby ci się nie przykrzyło.

Tymczasem wysokiego, kościstego żebraka zmorzył sen. Rozwalił długie ramiona na blacie stołu i wtuliwszy czaszkę między łokieć a poprzewracane szklanki chrapał donośnie a charkotliwie. Zarośnięta szczęka opadła mu w dół i za balustradką popróchniałych, nierównych kłów jama ust ziała czarną głębią. Na czole pstrzyły się płatki różowych płanek.

Rumoś przyjrzał się dziadowi dokładnie i oznajmił ożywiony:

— Rumoś szanuje pana Wątroba, pan Wątrob Rumosia raz wódką potraktował, o, w takim dużym kielichu, w takim.

— Toś ty jest jego znajomek, że się z nim po nazwisku znasz? — żartował Ignac, mniemając zapewne, że Rumoś plecie tak tylko sobie, szykując się do jakiegoś nowego konceptu.

Półgłówek zapewnił gorąco:

— Pan Wątrob dobry człowiek. Jak jeszcze po dworach jaśnie pany mieszkały, pan Wątrob nieraz Rumosiowi chleba podarował, co go dostał po prośbie od kucharek z pałaców. Drugie dziady wolały wyrzucić chleb, żeby spleśniał, a głupiemu nie pozwoliły ruszyć, tylko pan Wątrob dawał. A raz Rumosia pan Wątrob wódką w kieliszku poczęstował, o, w takim dużym.

— Co ty tu, Rumoś, wygadujesz — wtrąciła oprzytomniała nagle Zofia Adamska — przecie ten ubogi dopiero po wojnie zdziadział, przed spółdzielniami on był taki sam człowiek, jak my. Wcale mu jakiś tam Wątrob nie jest na imię, wstydziłby się tak cudacznie nazywać.

Wariat zaperzony zaczął przebierać nogami. Powtarzał coraz prędzej.

— Rumoś nie chce, żeby panu Wątrobowi ubliżać. Pan Wątrob dobry człowiek. Zanim Niemcy przyszli robić bum-bum-bum i dziadów prześladować, pan Wątrob miał między dziadami największą sławę. Cała Kalwaria Zebrzydowska znała pana Wątroba. A pan Wątrob nic a nic się nie wynosił. Raz Rumosia wódką poczęstował w kieliszku o, takim.

— Nie cygań, Rumoś, i to jeszcze w chrzciny — rozzłościła się Ślipiatka, ale ton już miała mniej pewny — ten zbiedniały człowiek, jeśli do Kalwarii zawędrował, to nie na żebry, ale w świątobliwych celach. Papieski on pupil.

Półgłówek rozsierdzony odskoczył, plunął przed siebie i prychnął:

— Mądrzy niech cyganią, głupim cygaństw nie potrzeba. Pan Wątrob

żaden pupel nie jest. Pan Wątrob miał między dziadami wielkie poważanie, wielkie poważanie. Rumoś pokaże, jak pan Wątrob śpiewał.

I powsinoga schwycił kostur tamtego, wyprężył się, stuknął z całej siły kijem o podłogę, a potem ni to zanucił, ni zajęczał przenikliwie, zupełnie tak, jak ów dziad niedawno.

Dawniej dziadowie
swego króla mieli,
nic nie robili,
tylko se siedzieli.

Teraz im dają
rumfordzką zupę
i bi-ją w du-pę.

Żebrak, uśpiony z głową na stole, poruszył się przez sen, wymamrotał coś nieprzytomnie i rozciągnął usta niby do uśmiechu. Widocznie przyśniło mu się coś miłego.

Rumoś przygarbił się mocno i dokończył pieśni stękając żałośnie.

Święty Boże,
Święty mocny,
Święty a nieśmiertelny,
zmiłuj się nad nami, grzesznikami
dziadami.

Zadyszany, ale zadowolony z siebie obejrzał się wokoło, pusząc się w oczekiwaniu pochwał. W tej chwili przyskoczył do niego Zygmunt Florek. Nikt nie zauważył, w jakiej chwili Ponic przeszedł od Kępy na stronę Buraków. Ile usłyszał i zobaczył z tego, co się tutaj działo, a czego sam się domyślił.

Ujrzeli go, kiedy już z całej siły szarpał Rumosia za rękaw. Miał surdut rozpięty, co nigdy mu się nie zdarzało przy obcych, na jego zawsze równo brunatne policzki wypełzły wypieki koloru palonej cegły, charczał nieskładnie:

— A tego starego dziada, Rumoś, to znasz, znasz go, Rumoś?

Ryży włóczęga odparł chełpliwie:

— Rumoś z wszystkimi dziadami ma znajomość. Rumoś pana Wróblewskiego też zna. Pan Wróblewski niepoczciwy człowiek. Pan Wróblewski Rumosiowi raz dwa złote odebrał, co je Rumosiowi dał jeden

pan rotmistrz od ułanów, bo Rumoś temu panu rotmistrzowi od ułanów rogatywkę podniósł, jak pan rotmistrz od ułanów womitował po wódce. Pan Wróblewski niedobry człowiek. Pan Wróblewski wziął Rumosiowi dwa złote i powiedział, że Rumosia żadna kobieta i tak nie zechce, to Rumoś pieniędzy nie potrzebuje. A pan Wróblewski jedną taką ma na oku, więc pieniędzy potrzebuje. Rumoś nie chciał dać dwa złote, bo to były Rumosia pieniądze od ułańskiego rotmistrza, ale pan Wróblewski zabrał. A pan Wróblewski swoje pieniądze też przecież miał. Pan Wróblewski różne obrazki sprzedawał lokajom po pałacach. Na tych obrazkach było wymalowane, jak panowie sobie leżą na paniach, golusienieczkie, wszystko widać. Pan Wróblewski niedobry człowiek, tylko pan Wątrob dobry człowiek. Pan Wątrob raz Rumosia wódką w kieliszku poczęstował, o, w takim dużym.

Starszy z żebraków usiłował wydostać się zza stołu, lecz ława zbyt blisko przysunięta zahamowała jego odwrót. Wtedy zasłonił obiema rękami głowę i skamlał.

— Ja nie po dobrej woli tu przyszłem, mnie przymusili, pod przemocą, ja nie chciałem, nie miałem wyjścia...

— A ta, a ta? — zawołała Pelagia Kubielowa, zgiętym palcem przebijając powietrze w tym kierunku, gdzie dopiero co siedziała kobieta w futrzanym kołnierzu.

Lecz obca ulotniła się. Tylko na stole pozostał kaptur z przezroczystej ceraty o niezwykłej, cielistej barwie, jedyny ślad po nieznajomej.

Między ludźmi wrzało, kotłowało się, kipiało, jakby smoła gorąca lała się strugami z powały. Mały, żylasty, aż ciemny na twarzy z gniewu Burak przestępował z nogi na nogę kołysząc się i huczał basem:

— Cepami na śmierć ich utłuc za takie oszukaństwo, za takie świństwo, bezbożnictwo!

Kto wie, co by się potem stało może, gdyby nie to, że nagle w drzwiach od sieni pojawił się Wiesław Wężykowski. Z malinową, prawie aż sinawą łysiną, z oczami, które jak gdyby pływały w bezbarwnej mazi, z wargami rozlanymi w nieprzemijalnym uśmiechu Poseł toczył się niepewnie, potykając się i żeglując ramionami. Nie zważający na nic, nie pamiętający być może, gdzie się znajduje, pogrążony w jakimś sobie tylko wiadomym stanie błogości, do której nikt inny nie miał dostępu, księgowy podśpiewywał ochryple, zacinając się co słowo:

Titina była... chora
więc... poszła... do... doktora...

Dojrzał go Rumoś i policzki wariata pozieleniały między nausznikami czapki, a czoło zrobiło się białe, lśniące. Wariat począł się w przerażeniu cofać bokiem, jakby najmniej miejsca chciał zabierać. Powtarzał bezładnie:

— Rumoś musi zaraz iść. Rumoś jest teraz za listonosza. Rumoś listy roznosi i pakunki. Rumoś list odda i musi iść, bo Rumoś ma dużo listów do roznoszenia.

Istotnie rudy półgłówek wcisnął jakąś niezalepioną kopertę w dłoń Burakowej, dał susa tuż za plecami Posła, runął w drzwi i znikł. Wężykowski nawet się nie obejrzał za wariatem, widocznie wcale go nie spostrzegł.

Buraczka otwierała list niespiesznie, bez zaciekawienia. Pewno sądziła, że pismo trafiło do niej przypadkowo, że to jakiś nieważny świstek, znaleziony w śmieciach przez matołka i dla śmiechu przywleczony tutaj.

Dopiero kiedy rozwinęła wydobyty arkusz, z większą uwagą przybliżyła go do oczu, odsunęła na długość połowy ramienia, znowu żwawo przysunęła do twarzy i raptem miękko niby niepełny worek mąki opadła cała na podłogę.

Kiedy kobiety rzuciły się ratować zemdloną, Józefa Terlakowska podniosła papier. Na arkuszu widniał obrazek przedstawiający rodzinę Buraków. Józef i Katarzyna wisieli na powrozach, każde na osobnej szubienicy. Rysujący uchwycił nieźle podobieństwa. Józef dyndał na haku suchy i krępy, Katarzyna była pokraczna jak i w rzeczywistości. Obok szubienic wznosiła się pokaźna mogiła. Klęczało na niej według wielkości sześciu synów Buraków. Jako ostatni na pagórku grobowym leżał w powijakach Cecylian Maria. Pod rysunkiem wił się ozdobny napis:

„Jak wy się holery nie ustąpicie z tej spułdzielni tak z wami będzie jak na tym Wizerunku że i wieczne Odpoczywanie waszych bękartów wam nie pomoże."

Józefa Terlakowska bardzo uważnie wpatrywała się w kartkę papieru. Przerachowała palcem dzieci na obrazku, zamyśliła się, a potem obejrzała ku alkierzykowi, gdzie w kołysce leżał najmłodszy z Buraków. Spuściła głowę, jakoś zmarkotniała. Lecz wnet uniosła ją znowu i wyrzekła mściwie.

— Co by tu rzec, a nie skłamać? Takeście, Buraki, nad tymi dziećmi ciarami wydziwiały, a teraz one sierotami rychło zostać mogą przez spółdzielnię.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

I

Ilekroć w Osieczanach zdarzyło się, że zaczynano roztrząsać wypadki z chrzcin u Buraków — a trafiało się to tak często, aż byś dniami w roku nie przeliczył, boby ich nie starczyło — tylekroć Franciszek Mrówczak dziwił się ludziom niezmiernie, jak mogli tak się dać oszukać dziadom.

O tym, co się działo potem, gdy Rumoś już uciekł, Franciszek jakoś nie napomykał, choć w tych wydarzeniach właśnie uczestniczył. Lecz widocznie owe wspomnienia mu nie smakowały. Za to chętnie i często szydził z chrzcinowych gości, że się tak zestrachali dziadowskich bałamuctw. Gdyby on, Mrówczak, nie zmarudził nieco u Kępy, bo go wciągnęli w rozmowę polityczną a uczoną, będąc obecny na stronie Buraków z pewnością nie dałby się tak wystrychnąć na dudka, jak cała reszta osieczańskich mądrali.

Przecież trzeba mieć oczy w tyle głowy pod włosami, i to jeszcze kaprawe, żeby nie rozróżnić, kto jest dziadem prawdziwym, a kto udawanym spółdzielcą.

Mrówczak od razu by sobie przypomniał, że przecież o tym wysokim proszalniku z parchami na czole dochodziły go wieści jeszcze grubo przed Hitlerem. Powiadano, że chodzi taki raróg po odpustach, gada wszystko do rymu, jak ze szkolnej czytanki, tnie kielich po kielichu, czterdziestkę po czterdziestce, a jeśli mu pobożni poskąpią grosza, wyrzeka, bo mu się podobno bez wódki chwieje wątroba. Stąd przylepiło się do niego przezwisko Wątrob.

Co do pana Wróblewskiego, o nim wprawdzie Mrówczak nie słyszał, ale też by się zaraz spostrzegł, że taki on jest stateczny, niczym masło w słońcu. Z gęby tamtemu biło, że potrafi durniów doić, jak mrówka mszyce. Gdyby on rzeczywiście pochodził z roli, z morgów, choćby wszystko mu przepadło, postawy by nie stracił. Ten, co własne krowy wypasał, własnym koniem jeździł, już nigdy się tak nie poniży, aby bez honoru każdą rzecz chwalić w gospodarstwie drugiego człowieka.

I ów miastowy koczkodan, który tak baby popłoszył, też we wsiowych porządkach zielonej nie miał orientacji. Z daleka można było poczuć, że ta osoba nie jest żadną dziadówką, ale wielką panią, co dobrze nie umie pietruszki sadzić. Któraż by wiejska kobieta, nawet taka zbiedniała, że w butach stąpając bosą nogą idzie, wstydu na tyle nie miała,

zeby skumać się z dwoma chłopami i niby warszawska płatna nierządnica tryndać się z nimi po drogach, publicznie i po ciemku.

Ale najbardziej drwił i dogadywał Mrówczak osieczańskim od kpów, że pana Wróblewskiego wypuścili z rąk, po prostu dali mu umknąć.

Bo kiedy Katarzyna Burak osunęła się na podłogę bez czucia, a kobiety w żałosnych lamentach szarpały zemdloną na wszystkie strony, obecność dziadów wyschła ludziom z pamięci na moment zupełnie. Józef, który najostrzej przeciw oszustom podżegał, z miejsca zawrócił ku żonie, przerażony do szpiku kości, że mu się chrzciny jeszcze obrócą w stypę.

I tak chytry starowina ulotnił się, jakby go kto wydmuchał przez komin razem z dymem.

Natarli potem na Wątroba, bo moczywąs ocknął się z drzemki akurat prawie w tej samej chwili co Buraczka, niczym umówiony.

Lecz Oleś zaparł się wszystkiego w żywe oczy. Sen go widocznie skrzepił, bo zbudził się jeszcze bardziej opuchły, ale wcale wesolutki. Przebierał językiem w ustach, krzywiąc się jakby piachu mu się tam nasypało, a wszystką swoją ślinę poprzełykał, lecz zgoła niefrasobliwie zarzekał się, że nic a nic sobie nie przypomina z tego, co się stało. To kolega Wróblewski, gęsi ogier, sukinsyn, spoił go i namówił, żeby przyszedł do Osieczan na chrzciny. On, Wątrob, wcale nie pamięta, aby miał śpiewać cośkolwiek i kiedykolwiek o spółdzielni. Przecież sława jego daleka jest i szeroka, w kruchcie zawsze po prośbie zasiada w pierwszym rzędzie, w procesjach nóg nie żałuje, na przedzie, w konduktach tak pogrzebnikom umila drogę żałosnym śpiewem, że nawet krewni przez zmarłego nie obdzieleni westchną za duszę świętej pamięci nieboszczyka.

Skoro więc po wszystkich parafiach ludzie Wątroba tak znają, aż każdy wie, ile mu włosków rośnie w każdej dziurce od nosa, jakże by mu dziadowski honor i zdrowy rozsądek pozwolił zwodzić, że nie publicznym jest proszalnikiem, a jakimś kołchoźnikiem. I tak by się to nie opłaciło, boby go wszędzie rozpoznali. Zresztą Wątrob nigdy żadnej spółdzielni nie widział bliżej niż zza parkanu, stroni od nich jak kret od nafty, gdyż do polityki nie chce się mieszać, milsze mu życie spokojne, bez propagandy. Nic więc nie wiedząc o wspólnotach, nie ważyłby się zabierać głosu w tej materii. Chyba żeby ten cholera Wróblewski dosypał Wątrobowi do gorzałki jakiegoś proszku, ziela szalejowego czy innej paskudnej trutki i dlatego Wątrob coś tam mówił, co się nie liczy, bo to było jakby przez sen albo w majakach choroby, kiedy gorączka zmysły człowiekowi poplątała.

Ludzie zagrozili Wątrobowi milicją, bo świadków tamtych niecnych hymnów przecież znalazło się tyle, żeby się wszyscy nie pomieścili na posterunku.

Ale Oleś i tym nie stropiony odpowiedział filozoficznie:

— Dla Wątroba kryminał to żadna dziwota, choć nie mam ochoty, znajdzie się ochota. Bo jak człowiek musi, to i brak chęci w sobie zdusi.

Franciszek Mrówczak, trochę rozbrojony tą łagodną rezygnacją, nie omieszkał jednak popróbować zakłócić pogodę kościstego obieżyświata.

— Wolnego, panie Wątrob — podrażnił go z niepoczciwą uciechą — już w tej ciupie wszystką ochotę pan straci do karceru. I rym pan pogubi w wierszowanej mowie, od twardego łoża odgnioty się panu porobią na tyłkowych kościach, a kasza nieomaszczona zakole w ząbki.

Wątrob odrzekł bez urazy:

— Jak człowiekowi głowę zmąci trunek, dupa za głupoty wypłaca rachunek. Stary to porządek rzeczy i nikt mądry temu nie zaprzeczy. Takie tylko moje pocieszenie, że na srogą zimę znajdę schronienie. W cieple sobie przezimuję, wiosną może się jaka amnestyja zlituje.

— A nie boi się pan, że się panu wątroba przekręci albo język skorowacieje od świeżej wody? Bo w ciupie to nie to, co w gospodzie ludowej, nic nie podają na rozweselenie, rozgrzanie, wzmocnienie — przedrzeźniał Mrówczak tamtego.

Dziad westchnął i powiedział melancholijnie:

— W sercu czuję bolenia, że dla wątrob braknie pocieszenia. Żeby się nie oberwała naraz, potrzeba ją podeprzeć zaraz. Jak się raz ustali koło brzucha, to się prędko nie porucha. Wspomóżcie wątrob ubogiego, bo go czeka nic miłego. Prosi dziadek, prosi wódki kropeleczkę, a do tej kropelki drugą kropeleczkę, do drugiej kropelki trzecią w kieliszeczku, żeby się spotkały w smutnym żołądeczku. Nie pożałujecie chrześcijańskiego uczynku wcale, Wątrob się za was będzie modlił w kryminale.

I drapichrust gestem tak błyskawicznym, że i jaskółka nie zdołałaby śmignąć prędzej, sięgnął po flaszkę z kropeleczkami.

Nikt się nie ruszył, aby odebrać żebrakowi cenny lek na jego dolegliwości. A Mrówczak odezwał się nawet z pewnym uznaniem:

— To rozumiem! Nałgał, namotał, ludzi tak omanił, że jeden z drugim muchę od krowy przestali odróżniać, a tu, kiedy się zanosi na rozprawę, dziad zamiast się ulęknąć, że oberwie jak jabłonka wałkiem we wigilię, nie traci fantazji, do swojego prosto się kieruje!

II

Wątrob do końca zachował rezon. A jednak niecnota, choć wronami karmiony, przecież nie mógł przewidzieć, że mu się kara za przewiny jakoś upiecze.

A ludzie może dlatego na chrzcinach u Buraków nie załatwili się z Olesiem tak, jak się z początku zanosiło, ponieważ tak się jakoś poczuli znużeni, przybici po tym wszystkim, co zaszło, że nikomu nie uśmiechały się nawet owe mściwe uciechy, do których zazwyczaj się kwapią. Przeważnie każdy tak się strudził, że już tylko pragnął, aby nic się więcej nie działo co najmniej przez kilka niedziel, żeby zostało bodajże tak, jak jest, a już się to wszystko spokojnie rozpatrzy samemu i z drugimi, na jawie i w snach. Potem w ciągu lat, które nadeszły, kiedy w wieczornych pogawędkach raz w raz powracano do chrzcin siódmego syna Buraków, często niejeden dziwił się samemu sobie, dlaczego akurat wtenczas, po ucieczce Rumosia, dał się przygiąć strapieniu do ziemi.

Bo z dziadowskiego szalbierstwa zasłona kłamstwa już została zdarta i raczej można się było prześmiewać z tych proszalników, którym chyba kiełbie we łbie musiały pływać, że spodziewali się oszukać osieczańskich ludzi. Wydawało im się pewno, że jak kto mieszka na wsi, to już siedzi jak tabaka w rogu, połknie ze smakiem każdą brednię i jeszcze pocałuje w rękę z wdzięczności.

Co do pisma przysłanego Burakom, także nie był to powód, aby zmarkotnieć na dobre. Małoż to razy w Osieczanach ci, co się waśnili, posyłali sobie listy bez podpisów, wyzwiskami aż śmierdzące, od pogróżek ciężkie? Często chodziło o pospolitą, jak pokrzywa w krzakach, przyczynę obrazy, o miedzę wyskubaną przez cudzą krowę, o śliwki pozbierane z dróżki, choć utrzęsły się z drzewa zza płotu sąsiada, lub o obmowy poza plecami, które Bronio Bratek z poczciwości albo Terlaczka na złość czym prędzej roznieśli po całej wsi.

Cóż więc dziwnego, że gdy szła sprawa o rzecz tak szczególną, jak spółdzielnia produkcyjna, któremuś tam przestały wystarczać litery i aż wyuczyli się rysować, byle tylko obrzydzić wspólnotę.

Jeśli więc goście chrzcinowi tak osłabli na duchu, to także dlatego, że im zmęczenie osiadło na karkach i po tylu godzinach zabawy nie sposób go było strząsnąć. Krew im zgęstniała od trunków, śledziony wzdęły się, bo trzeba przyznać, poczęstunek u Buraków był mało co gorszy niż wielkanocne organisty, kiedy już z każdego koszyczka, który wikary ludziom pokropił, kawałek święconki przepełzł do organiścinego

wora. Pomyślenia też już nikt nie miał tak samo świeżego, jak wtedy, gdy się mleka napije z pierwszego dojenia. Niejeden liczył sobie, ile kroków ma do domu, rozmyślał — prawą stroną pójdzie czy lewą.

Ludzie byli pewni, byli przekonani, że już nie ma na co czekać. W głowie nikomu nie postało, że oto zatrzymali się o krok przez samą wrótnią do najważniejszego. Zanim spełznie niebo na wschodniej stronie i odezwą się pierwsze gęsi po komórkach, dopełni się jeszcze coś, to właśnie, co datę chrzcin u Buraków wkuje w osieczański kalendarz.

Tymczasem przebyte uniesienia, odpołudniowe znużenie i smutek popółnocny przysunęły jakoś ludzi do siebie, pobratały ich. Józef Burak przysunął się do swojej żony tak blisko, jak chyba nie siedzieli ze sobą jeszcze, odkąd pokłócili się o to, co za imię wybrać dla ich pierworodnego, który pod sercem Katarzyny ledwo dopiero się przewracał z boku na bok.

Maciej Turkowski, spod lasu, pierwszy zagadał do swojego Antka, choć od kilku tygodni nawet rzucić okiem ku niemu nie chciał. Spytał go, czy mu się tak wydaje, bo ma lewe ucho słabsze, czy też aby naprawdę wichura dech traci. Nie znaczyło to wiele, ale zawsze, jak przy zatargu w rodzinie, pierwsze przychylne słowo ojcowskie więcej jest warte niż tysiąc innych powiedzianych w zgodzie.

Młody Turkowski nie szarpnął głową, nie odburknął Kochanyszkowi, jak to najłatwiej mu przychodziło. Przeciwnie, odpowiedział układnie, niczym ów, który już od dziecka w szkole ma z zachowania stopień bardzo dobry.

Tylko Marysia Bielowska od razu się stropiła, ale ona była już taka zawsze. Pan Bóg wprawił jej oczy w mokre miejsce. Płakała, kiedy Antek poswarzył się z ojcem, bo się obawiała, że nuż jej ulubiony, jeśli od swej familii odskoczył, może pofrunąć gdzieś, gdzie go kochające ramiona nie dosięgną.

Teraz, gdy przechylało się ku zgodzie między Turkowskimi, Błażejowej siostrze znowu zaczęło się zbierać na płacz. Przelękła się, że jeśli Antek pojedna się ze starym, jeszcze Kochanyszek zabroni synowi zadawać się z wdową, a Antek spotulnieje i pozwoli sobie rozkazywać.

Bronio Bratek siedział koło Bielaczki i raz po raz chrząkał, jakby próbował dodać jej otuchy tym charkaniem. Wreszcie westchnął smętnie:

— Kawaler to jest jak groch przy drodze, każdy go skubnie...

Miało to chyba oznaczać, że i Bronio czuje się niewesoło na duszy, kiedy tak wszyscy wkoło familijnie się cisną do siebie, a on jeden sam jest niczym żerdka w ziemię wbita na rozstaju.

Wiesław Wężykowski, chociaż także kawaler, wcale się tym nie wydawał strapiony. U boku Kwiatkowskiego całym korpusem oparty o ścianę, tak że plecami zasłoniłby ze trzy największe święte obrazy zasypiał co chwila, budził się, wtrącał jakieś słowa bez ładu i składu i znowu pogrążał się w błogie marzenia. Za to Jan Kwiatkowski ożywił się ogromnie. Jego dłonie trzaskały przesuwane po sobie, świadczyły sobie grzeczności z Leonem Dominem, aż na dawnym wójcie krochmal się rozpuścił od przygrzewania komplementami.

Przywołali też do siebie Adamskich. Oboje przysiedli się chętnie Stanisław dlatego, że lubił sobie pomądrować między tymi, co coś znaczą, Ślipiatka, gdyż wiedziała, że Domin całą spółdzielnię w dołku wody by chętnie utopił i jeszcze piaskiem zasypał po wierzchu, żeby przypadkiem nie wypłynęła na wierzch.

Zapraszali również do towarzystwa Zygmunta Florka, ale Ponic wymówił się, narzekając, że w tym miejscu, które tamci sobie wybrali na schadzkę, wieje mu w plecy od szyby prosto w reumatyzmy.

Istotnie, ojciec Tadeusza kręcił się niespokojnie po całej stancji Buraków, zaglądał tu i tam, miejsca znaleźć sobie nie mogąc, jakby z każdej szpary coś mu tam dmuchało mroźnego.

Wreszcie spoczął niespodziewanie koło Włoszki i Józefy Terlakowskiej. Milczał tak długo, aż kobiety myślały, że Ponic już w ogóle nie odezwie się.

Jednak on zamruczał do Włoszki tak jak ktoś, kto sam do siebie mówi, ale tylko przy tej osobie, którą albo lekceważy, albo ma do niej zaufanie.

— Jakaści wielce długa ta noc i straszna, po nic.

— Noce straszne nie bywają, jeno ludzie — odparła Weronka z szacunkiem.

Florek zamyślił się głęboko, a potem spytał ciszej, miękcej:

— Wasz wciąż listów nie przysyła z tej Anglii?

— Przysłał — szepnęła Włoszka ledwo dosłyszalnie.

I choć nic więcej nie powiedziała, Ponic spojrzał na nią bystro spod oka, a potem rzekł, jakby rozmawiali już o tym ze sobą od kilku godzin:

— Kiedy on wam nie okazuje sprawiedliwości, po nic, nawet i wtedy jak setki mil między wami są położone, nie trzeba się na niego oglądać. Niegodziwe w nim serce bije.

Weronika skurczyła się cała w sobie i nozdrza jej zbielały.

Florek podniósł się, wlokąc nogi nielekko, znowu obszedł izbę wkoło, posłuchał pod jednym oknem, posłuchał pod drugim, wpatrzył

ię z niezmierną uwagą w ślubną fotografię Buraków zawieszoną na cianie w ramce wyciętej kunsztownie laubzegą, podumał, po czym wrócił z powrotem do Włoszki i do Terlaczki. Teraz od razu sarknął z irycją:

— Gdzie się ten Tadeusz tłucze po nocy? Wszyscy się bawią, tylko on eden za innych wywiązuje się z obowiązku.

— Będzie już godzina, jak wyszedł — przytaknęła Włoszka.

Ponic obrócił się ku niej jak gdyby czymś zdziwiony, lecz w tej hwili wtrąciła się gwałtownie Terlaczka:

— Co to za porządki, żeby wasz syn za drugich dyżurował! Mrówzakowi stróża była wyznaczona, sam się do niej napierał. A jak przyjdzie do czego, Franek się podejmuje z dziadami gorzałą, a Tadeusz za niego robi, choć to noc czarna jak cygańskie wesele i wiatr iuje, że się wszystkie wisielce przypominają. Żebym tak ja urzędowała v tej całej spółdzielni, nigdybym na takie niesprawiedliwe coś nie przyzwoliła! Ja bym...

Włoszka uśmiechnęła się lekuteńko, troszeczkę, zaledwie prawym kącikiem warg.

Lecz Terlaczka od razu przygryzła zębami to, co dalej chciała powiedzieć. Nieco zmieszana zaczęła niechętnie:

— Co by tu rzec a nie skłamać? Ten diabeł Kowalski taki mąt mi zrobił w rozumie, że już sama nie wiem, co mi się gada.

Stary Florek chyba wcale tego nie słyszał. Zgarbiony, wyglądał tak, jakby się pasował z myślami, które oplatają go, gniotą, niczym kamionka pęd koniczyny.

Niedaleko Wątrob śpiewał dyszkantem rozochocony:

Dawniej królowa
w dziadku się kochała,
jest ci o tym
historyja cała,
zazdrościła jej cysarzowa
Hadrianowa.

Franciszek Mrówczak wtórował łapserdakowi przytupując z zadowoleniem.

Nie wiadomo jakim sposobem Ponic usłyszał w tym harmidrze pukanie do drzwi. W każdym razie wstrząsnął się i obrócił gwałtownie, jakby — jak to mówią — śmierć jego kości poprosiła w taniec.

A przecież z początku nie było to nawet stukanie, lecz szmer, jakby

ktoś po omacku poskrobał lekko paznokciem koło skobla. Potem dług nikt nie wchodził, aż znowu zapukano odrobinę mocniej.

Żaden z gości nie odpowiedział, nie zaprosił do wejścia. Znowu lę ludzkie serca przeszył. O tej porze, kiedy już nawet sowy zaczynaj łowy kończyć i najedzone ku dziuplom kierują bezszelestnie loty, n wsi może dobijać się do chałupy tylko upiór albo bandyta.

Ponic i Weronika Włoszakowska unieśli się z miejsc równocześnie Wielka Józefa Terlakowska uskoczyła za drobniutką Włoszkę.

— Hadrianowa! — zaniósł się Mrówczak beztrosko refrenem dzia dowskiej pieśni.

Skrzypnęły zawiasy, w drzwiach wąziutko uchylonych ukazała si postać kobiety.

Była to osoba sporego wzrostu. Stała mocno na dużych stopach w dłoni trzymała obdrapaną walizeczkę, a na głowie zamiast nakry cia sterczał jej sfryzowany czub jaskrawo złotych włosów.

Twarz nieznajomej wydłużała się mocno ku dołowi, a z placków ró żowych rozmazanych rumieńców ów na prawym policzku był duż większy, zupełnie nierówny, aż zachodził pod samo oko. Lata tej osob odbiegły już dobrze od trzech dziesiątek i raczej toczyły się ku czter dziestce. Przybyła zmrużyła mocno oczy i zaczęła kręcić na wszystki strony głową osadzoną na długiej szyi, trochę jak ptak, gdy go oślep snop ostrego światła.

Wreszcie spytała głosem wibrującym niczym trel:

— Przepraszam państwa, czy zastałam obywatela Bronisław Bratka?

Zaszeleściło wśród ludzi, a tylko Mrówczak nie posiadając się z ucie chy huknął na całe gardło:

— Broniu, panna do ciebie przyjechała!

Bronio-kawaler już biegł ku przybyłej krótkimi krokami, obciągają na sobie marynarkę.

— To Wisia tak sama przyjechała do Osieczan, nie bała się, trafił aż tu? — bąkał z ogromnym przejęciem, potrząsając niezręcznie dłoni kobiety.

Nieznajoma postawiła walizkę, zwróciła się do Bronia i poczęła mó wić zapalczywie:

— Proczę Bronia, ja już tam dalej nie będę w pracy, boby mni zamęczyli, zagryźli. Niech się oni dadzą wypchać. Nie pozwolę się wy korzystywać, mam narzeczonego i na jego ramieniu mogę się oprzeć Powiedziałam im to wszystko w oczy, trzasnęłam drzwiami i poszłam Niech sobie Bronio wyobrazi, jakie mieli miny! Kupiłam bilet, wsia

łam do wagonu i jestem. Weźmiemy ślub i odtąd kroczyć będziemy przez życie, na dobrą czy złą dolę. Wolę być skazana na proste warunki bytowe, lecz przy Bronia boku i u siebie, a nie męczyć się jako popychadło u takich chciwców, egoistów. Będę pracować jak wieśniaczka, dała się Broniowi poświęcę, nie rozstaniemy się nigdy!

Kobieta zachłysnęła się widocznie, wzruszenie nie pozwoliło jej mówić dalej.

Bronio wpatrywał się w narzeczoną z zachwytem. Wycierała długo oczy rożkiem niewielkiej chustki, ozdobionej ząbkami.

Wreszcie nieco uspokojona — przypomniała sobie widocznie, gdzie się znajduje — zaczęła szczebiotać światowym tonem już do wszystkich:

— Zdaje się, że trafiłam tutaj na uroczyste imieniny. Winszuję, winszuję serdecznie. Bardzo przepraszam, jeśli przeszkodziłam. Przyznam się, że pierwszy raz jestem w Osieczanach, ale chociaż na dworze tak ciemno, niezmiernie mi się tutaj podoba. Z dworca podwiózł mnie miejscowy obywatel i nic za to nie wziął, bo mówił, że i tak w tę stronę jedzie, taki uprzejmy człowiek. Od razu do tego domku zbliżyłam się, bo w żadnych oknach nie świeciło, tylko w tych. Bardzo się złych psów obawiam, lecz na szczęście żaden mi nie zastąpił drogi. Raz się tylko zlękłam, bo kiedy przechodziłam przez taki wielki dziedziniec tutaj obok, w jednym podłużnym budynku, hangar jakiś czy magazyn, drzwi były otwarte na rozcież, a ze środka jakby jęk doleciał. Zaraz jednak powiedziałam sobie energicznie: Jeśli mam osiąść na stałe na wsi, nie mogę być taka nerwowa. Widocznie mieszkają tutaj sami uczciwi ludzie, skoro nie obawiają się zostawiać otwartej bramy przez noc. A w mieście ludzie rozgadują nie wiadomo co o chłopach, że jeden nie ma zaufania do drugiego, że rozboje, grabieże. Ale ja nigdy w to nie wierzyłam. Uważam, że wiejscy ludzie mniejsze mają wymagania i dużo lepsze serca niż miastowi. Na pewno nie spotyka się tutaj fałszu co krok jak w Łodzi.

Narzeczona Bronia popatrzyła naokoło tak mile, jakby spodziewała się, że ją ktoś pogłaska po głowie za to, co powiedziała.

Rychło jednak jej oczy zmrużone, mgliste, słabo odbijające przedmioty, rozszerzyły się w konfuzji: dostrzegła twarze raptem struchlałe.

— Proszę Bronia, co ja takiego powiedziałam, ja bardzo przepraszam, jeśli czymś uraziłam, ja pierwszy raz w życiu jestem na wsi — tłumaczyła pospiesznie.

— Jezu! — zakrzyknął Franciszek Mrówczak wielkim głosem — my się tu bawim, a przez ten czas złodzieje do obory nam się wdarli! Dunaj, do mnie! Pójdź, piesku, do nogi!

Porwał się z miejsca i razem z Walentym Kępą sadzili do drzw
Za nimi ruszył Błażej-niemowa, zwalisty, ciężki, z obiema pięścian
uniesionymi nad czołem. Nie wiadomo, co z tego wszystkiego rozumia
ale wyglądał tak, że gdyby teraz na kogoś runął, trzeba byłoby zbiera
tamtego do płachty po kawałku. Skoczył i Burak, lecz Katarzyn
z wrzaskiem uwiesiła mu się na szyi. Zawodziła:

— Nie waż się, Józef, nie puszczę ciebie, ubiją cię, dzieci osierocis
Józef, Jóóózef!

Szamotali się ze sobą, a kiedy Burak wyszarpał się wreszcie z obję
żony, kobieta rzuciła się w ślad za nim.

— Kto wie, co z Florkiem Tadeuszem? Może już po nim? — jęczał
Terlaczka.

Włoszka frunęła przez kuchnię i już od razu wciskała w palce sta
rego Ponica kubek z wodą zaczerpniętą ze stągwi. Dłoń Weroniki ni
drżała, choć jej paznokcie zupełnie pobielały.

Zygmunt Florek siedział sztywno. Mimo że na twarzy był nie czer
wony, ale żółtawy, jednak można by pomyśleć, że się dusi. Wciągał głę
boko powietrze, a lewa dłoń spoczywająca na ławie otwierała mu si
i zamykała bezradnie, jakby usiłował coś w nią ująć, a nie mógł w ża
den sposób.

Filip Terlakowski ostrożnie zapalał latarnię ściągniętą ze ściany.

Ludzie cisnęli się do drzwi, popychali, potykali o własne i cudz
nogi. Kto pierwszy dobiegł do wrót obory, nigdy tego nie zdołano n
pewno ustalić, choć na wozie drabiniastym nie pomieściłyby się obelg
którymi się ludzie potem obdarzali, gdy się o to właśnie kłócili. B
każdy upierał się, że on właśnie przypędził na podwórze spółdzieln
przed innymi. Ale dowieść tego nie mógł nikt. W ciemnościach wszysc
darli naprzód, na oślep, znacząc sobie drogę wrzaskami, wyciem, pła
czem. Kotłowali się też u wejścia do budynku, jeden zderzał się z dru
gim, to znów odskakiwali od siebie, mąż swojej żony nie poznawał ar
siostra brata, mało brakowało, żeby sobie we własnych familiach po
wybijali zęby.

Dopiero kiedy przypędził Filip Terlakowski z latarnią, ośmielili si
wejść do wnętrza obory i wtedy zgiełk uwiądł w jednej chwili, nib
przywalony potężnym głazem.

Panował tutaj zaduch bydła ciepły i bezpieczny. Było mroczno, ser
nie i nudno. Pobrzękiwały łańcuchy, szeleściła leniwie ściółka.

Zaraz z brzegu na zgnojonej słomie piętrzyła się rudawa gór
mięsa.

Każdy poznał po kolorze Czerwonkę, ową ogromną krowę, urodziw

mleczną, że aż nawet zawistny musiał ją podziwiać, tę, którą Tadeusz Florek przeprowadził ze swojej stajenki do zespołowej obory, kiedy przystąpił do spółdzielni. Żadne inne bydlę nie było tak znaczne barwą, bokami paliło się po prostu w powietrzu.

Teraz jednak sierść na krowie zbrunatniała, jakby ostygła i po tym ludzie od razu poznali, że bydlątko nie na ziemskich już pasie się łąkach. Łeb krowy, wykręcony zupełnie od żłobu na bok, spoczywał przy pokaźnej desce. Z pyska wywleczony był jęzor olbrzymi, gruby, straszny, nie podobny do żadnej rzeczy kiedykolwiek oglądanej, nie do wiary, że się mógł pomieścić w gębuli nawet tak obszernej, jak u krowy. Ozór był przybity do deski siedmioma długimi gwoździami.

Ludzie obchodzili cielsko Czerwonki naokoło, w takiej ciszy, jakby wszystkim usta zamurowało. Nawet westchnienia nie było słychać, nawet kaszlnięcia czy mocniejszego wydechu. W posępnym milczeniu obmacywali krowie grzbiet, dokładnie dotykali sierści, zaglądali do pyska, niezliczoną ilość razy rachowali gwoździe.

Pod żłobem zaskomlało coś przyjaźnie. Zajrzeli i tam. Leżał sobie tutaj Dunaj Mrówczaka, dawny Miluś. Rozwarł wśród kudłatej grzywy okrutną paszczę, wywiesił język, ogonem merdał bez pośpiechu i dyszał sobie, widać bardzo z czegoś kontent.

Walenty Kępa nachylił się nad psem i nagle skoczył prosto na Franciszka. Nos Fruwaka wyciągnął się, że dłutko nie mogło być cieńsze, oczy uciekły już całkiem gdzieś w bok, a sam Walenty, taki łagodny zazwyczaj i dla każdego dobrotliwy, rzucił się ku Mrówczakowi z pięściami i rozkrzyczał się głosem jakimś mokrym a wściekłym równocześnie:

— Jednakiś jest stróż z twoim psem! Straszyć niewinnych ludzi, to on potrafi, a do morderców się łasi! Najlepszej krowy nie upilnowali. Po tom ja dla niej sprężynowe zgrzebło sprowadził, po tom wymię jej masował trzy razy dnia, żeby mi ją zmarnowali! Stryczka mało na tego, co zakatował taką krowę, taką krowę, taką krowę!

Franciszek zaskoczony cofnął się o krok. Kępa natarł na niego z jeszcze większą furią.

— A może tyś im sam otworzył, poprosiłeś do środka łajdaków, żeby sobie gospodarowali! Klucze im ofiarowałeś!

Mrówczak stropił się. Powiedział niewyraźnie a ponuro:

— Po co im klucz, rozryw-ziele mieli, to sobie otworzyli.

— Tyś jest temu winien — ryczał Kępa.

Franciszek poszukał wzrokiem Bronia Bratka. Stał trzymając za rękę narzeczoną, ale oczy wlepił natarczywie w niego, Mrówczaka.

Wtedy mąż Anieli rzekł jednym tchem, jakby zdecydował się na wszystko:

— Mogę powiedzieć, czemu nie? Po prawdzie jedna Cyganka mnie namawiała, żebym jej klucza pożyczył. Może bym i dał, tylkom się przestraszył Płatki, tego sekretarza. Z nim to wiadomo, nie ma żartów. Jeszcze by mi co zrobił.

— Skobel wybili łomem. Byłbym ich przyłapał, tylko się spóźniłem o małą chwilkę. Goniłem, pouciekali — powiedział Tadeusz Florek wyłaniając się z ciemności.

— Tata, co wy tak jakoś, wam słabo? — z pośpiechem zapytał dostrzegłszy ojca. — Pewno, że Czerwonki wielka szkoda, pierwsza klasa była krowa, ale tata, nie trapcie się, bo wam zaszkodzi, nie jedyna Czerwonkę mamy w spółdzielni.

Stary Ponic śmiertelnie blady dygotał całym ciałem.

— Myślałem, że już nie żyjesz — wyszeptał głucho. A potem raptem podniósł do góry obie dłonie, jakby na kogoś chciał rzucić przekleństwo, i zawołał w uniesieniu:

— Psa mi struli, krowę udusili, synowi grożą zagładą! Jak tak ma być, przeciwko nim pójdę. Z marnotrawstwem nic nie będę miał wspólnego, po nic! Ja... ja... ja... od jutra do spółdzielni się przyłączam.

— Na rozum mu padło — zakrztusił się obok Florka Leon Domin. — Dziadowski los Ponicowi się uśmiecha. Na stare lata dziadowskiej miłości mu się zachciało.

Wtedy Filip Terlakowski przybliżył latarnię do twarzy Domina i oświetlił to oblicze blaskiem pstrym a migotliwym, aż zalśniły wyszczerzone zęby tamtego.

Głosem ciężkim niczym grzmot, który przewala się tuż blisko, Filip rzekł:

— Idźcie stąd precz, panie wójcie. Jeszcze wy się przekonacie, co ta dziadowska miłość potrafi.

KONIEC

Belno, 1950.
Warszawa, 1954.

Maria Jarochowska

Z poezji Tarasa Szewczenki

KRÓLOWIE

Fragmenty poematu

Siostrzyco siwa Apollona!
Gdyby wypadkiem ci się chciało
Nareszcie do mnie przywędrować,
I tak, jak ongi to bywało,
Boskiego swego dobyć głosu
Wznosząc się tonem do patosu,
To razem byśmy opiewali
Króle, książęta i tak dalej...
Przyznaję tutaj się otwarcie,
Że już mnie strasznie wynudzili
I chłopi dworscy, i bękarci,
Więc mam oskomę w danej chwili
Na głowy ukoronowane,
Na pomazańców owych bożych...
No cóż? Jeżeli mi pomożesz,
To pokażemy, jak te ptaki
Skubie się z ozdób! Kto wie, może
Dałby się pomazaniec taki
Za łeb przytrzymać! Więc na chwilę,
Chociażby na kwadransik mały,
Racz zstąpić, ciotko, z twych regionów
I opiewając dobrym stylem
Królów i władców wieczną chwałę
Nie żałuj górnolotnych tonów
W boskim dla mego pióra darze.
Zdejmie się kilku królów z tronów,
Z przodu i z tyłu ich pokaże
Naiwnym. Pewny twojej pieczy
Śmiało zaczynam — i do rzeczy!

*

Bodaj ich kaci pościnali,
Królów, najgorszych spośród katów!
Głupcy jesteśmy, służąc dalej
Władcom, co już obrzydli światu,
I tańcząc tak jak nam zagrali...
Gdybyż się pozbyć tych łajdaków,
Doradź, jak tego mam dokonać,
Piękna siostrzyco Apollona!
A może zechcesz mnie pouczyć,
Że mam się pośród chwalców włóczyć?

Gdybym u tronu co zarobił,
To bym ci prezent ładny zrobił!
Mamyż w zakonie tkwić lokai,
Nosić liberię carskiej zgrai
I pieśni składać dla despotów?
Otom ołówek złamać gotów...
Nie! Gdzie w niewoli los człowieka,
Nikt się poprawy nie doczeka,
A więc nie łudźmy się, niebogo,
Do chłopów idźmy między sioła,
Gdzie lud — tam będzie pieśń wesoła,
Uczciwy trud i prosta droga
Ku ludzkim sercom i do Boga.

przełożył **Stanisław Strumph-Wojtkiewicz**

OPĘTANY

W dni one za feldfebla-cara
Kapral Gawryłowicz Bezruki
I opój frajter Dołgoruki
Rządzili Ukrainą. Wiara
Ta jak się patrzy nabroiła,
Rekruckie głowy ogoliła,
A najgorliwiej z nich się starał
Gawryłycz z frajtrem swoim chwackim,
Nie lada jakim totumfackim.
Tak cały naród musztrowali,
Że sam feldfebel ich pochwalił
Za musztrę i za szyk sołdacki.
Sam car im „bardzo dziękowali"
I byli dla nich pełni łaski.
Myśmy milczeli i skrobali
W milczeniu czuby swoje. Dzicy,
Niemi i podli niewolnicy,
Pachołki carskie, lokajczyki
Kaprala zapitego! Nie wam,
Nie wam, w liberiach sprzedawczyki,
Donosiciele carskiej kliki.
Za wolność — prawdę powstać z gniewem!
Wyście bliźniego nie kochali,
Ale od wieków krzyżowali!
Rodzie przeklęty, pełen pychy!
O, kiedyż zdechniesz jak pies lichy?
Kiedyż ojczyzna umęczona

Doczeka wreszcie Waszyngtona
I nowych praw dożyje ona?
Tak, doczekamy — lud gnębiony,
Nie setki nas, ale miliony
Polan i innych Słowian, ale
Gawryłycz ich ciemiężył stale,
A wam, szanowni kijowianie
I wam, kijowskie białogłowy,
Pijany kapral sprawił lanie
I brał was w dyby i okowy.
Pokorni byliście w powrozach,
Ale się znalazł pewien Kozak,
Dziwak, co wiele się nie głowił,
Ale dał w mordę kapralowi
W cerkwi, jak psu. I mimo wszystko
Spośród miliona świniopasów
Znalazło się to kozaczysko,
Co narobiwszy moc hałasu,
Całe imperium podważało
I tyranowi w zęby dało.
A wy, kumotry opętane,
Gdy jęczał kapral ów przeklęty,
Wyście nazwali opętanym
Rycerza, który był jak święty,
A wasz feldfebel — Sardanapal
Świętego, jak zbrodniarza, złapał,
Katorgę mając dla świętego,
A dla siwego, pobitego
Tyrana łaskę miał niezmienną,
A potem na ulicę ciemną
Wyszła tragedia ta, a ja —
O ty, promienna gwiazdo ma,
Z ciasnych mnie pęt oswobodzając,
Ty wiedziesz mnie do Mikołaja
I świecisz nad cesarską zbrodnią,
Podobna niewidzialnym ogniom,
Żywym i świętym. I przede mną
Jak słupy rosną zmorą ciemną
Wszystkie bezbożne jego czyny.
Bezbożny carze, z łotrostw słynny,
Zabójco prawdy, zbirze nędzny,
Ileżeś sprawił u nas nędzy!
A ty, ty wszechwidzące oko,
Choć patrzysz czujnie i wysoko,
Tyś nie ujrzało, jak na Sybir
Najświętszych niewolników gnano,
Jak ich dręczono, krzyżowano,
Jak bezlitosny kat ich wybił.

Tyś na cierpienie ich patrzało
I nie oślepło! Oko, oko!
Nie nazbyt patrzysz ty głęboko!
Śpisz sobie w cerkwi, a carowie —
Niech diabli biorą carów owych! —
Niechże się błogo cieszą sobie
Zgrzytaniem żelaz kajdanowych.
Na Sybir myślą poprzez chmury
Pomknę za Bajkał, spojrzę z góry
Na ciemne nory i wertepy
I z mroku, smrodu i niewoli
Was, wykonawcy świętej woli,
By was zobaczył car i ludzie,
Wywiodę mrocznych i surowych —
Za rzędem rząd w ciężkich okowach.

przełożył **Włodzimierz Słobodnik**

*

* *

Kiedyśmy byli Kozakami,
A unia nie istniała jeszcze,
Nie znaliśmy ni trosk, ni nieszczęść
W przyjaźni żyjąc z Polakami,
Wolnymi szczycąc się stepami.
Dziewczęta na kształt smukłych lilij
W ogrodach kwitły i kochały.
Synowie przysparzali chwały
Matkom, synowie wolni byli,
Rośli, by dni starości srogie
Młodością swoją rozweselać.
Aż tu z imieniem Zbawiciela
Wtargnęli księża i pożogę
Wzniecili w naszym cichym raju.
I morze krwi i łez olbrzymie
Wezbrało. I w Chrystusa imię
Sieroty w mękach umierają.

Głowy schyliły się kozacze,
Jakby ktoś zgniótł stepową trawę.
I Ukraina jęczy, płacze,
Za głową głowa pada. Krwawym
Żniwem oprawca się lubuje,
A ksiądz w szalonej swojej mowie
Krzyczy: „Te Deum! Alleluja!...“

Tak nas, Polaku, druhu, bracie,
Niesyci księża i magnaci
Skłócili, rozdzielili... Przecie
Do dziś by wspólny los nam świecił.
Dłoń podaj Kozakowi znowu
I swoje serce daj mu czyste,
Aby z imieniem Chrystusowym
Nasz dawny cichy raj zmartwychwstał!

przełożył **Eugeniusz Żytomirski**

DO GOGOLA

Biegnie myśl za myślą, leci, ulatuje:
Jedna dławi serce, druga torturuje,
A trzecia cichutko płacze o swej krzywdzie
W głębi mego serca — nie widać jej nigdzie!
Komuż ja tę myśl wyjawię
I czy znajdę kogo,
Kto by pojął i powitał
Moje wielkie słowo?
Wszyscy ślepi i ogłuchli
W kajdanach żelaznych...
Ty się śmiejesz, a ja płaczę.
Przyjacielu sławny!
I cóż z płaczu się urodzi?
Tylko trawka płona!
Nie usłyszy wolnych armat
Ziemia ma rodzona.
Nie zarąbie stary ojciec
Kochanego syna
Za swobodę, cześć i sławę
Swojej Ukrainy.
Nie zarąbie, lecz na wojnę
Odda go carowi:
„Przyjmij, carze, z łaski swojej,
Ten nasz grosik wdowi!"
Odda go carowi-władcy
I Niemcom-ciemiężcom...
No cóż? Niech tam!... My się śmiejem
Albo łzy nam lecą.

przełożył **Marian Piechal**

TOPIELICA

Ballada

Nocą wiatr nie hula w gaju —
Śpi, zanim zaświta,
Gdy się zbudzi — cichuteńko
Osiki zapyta:
— Kto to, kto to czesze warkocz
Na tym brzegu strugi?...
Kto to na przeciwnym brzegu
Szarpie warkocz długi?...
Kto to, kto to — cichuteńko
Zapyta, powieje,
Potem zdrzemnie się, nim nieba
Brzeg zaczerwienieje.

— Kto to, kto to? — zapytacie
Ciekawe dziewczęta.
Oto córka na tym brzegu,
Na tamtym — mateńka.

To zdarzyło się przed laty
Tu na Ukrainie.
W naszej wiosce wdowa żyła
W nowiutkiej chatynie.
Białolica, czarnooka,
Zgrabna i udała,
Strojna w żupan — rzekłbyś — pani
Zewsząd okazała.
Bez uroku ładna, młoda
I wdowa do tego,
Więc Kozacy całą hordą
Za ślicznotką biegą.
Idą za nią w dzień i w nocy,
Taka była miła,
Aż ci wdowa wtem bez sromu
Córkę urodziła.
Urodziła i beztrosko
Wdówka nasza gładka
Obcym ludziom ją oddała —
Taka to z niej matka!
Posłuchajcie więc — co dalej!
Ludzie córkę małą
Wykarmili, kiedy wdówce
Dobrze się hulało.

W dni powszednie i w niedziele
Piła i pląsała
Z żonatymi, z parobkami,
Zanim nie zmarniała;
Ani się spostrzegła, kiedy
Przeszły młode latka...
Biada, biada! Matka więdnie,
Kwitnie córka gładka —
Rośnie, rośnie, aż wyrosła
Hanna czarnooka,
Jak topola pośród pola
Gibka i wysoka.
— Ja Hanusi się nie boję! —
Matuś sobie nuci,
A Kozacy tak się wiją,
Jak chmiel wkrąg Hanusi.
A najwięcej rybak młody,
Żwawy, kędzierzawy
Mdleje, więdnie przy Hanusi
Smagłej i czarniawej.
Spostrzegła to matka stara
I zawoła w gniewie:
— Ty obdarta rozpustnico,
Ja nauczę ciebie!
Już wyrosłaś, czas ci za mąż,
Z chłopcami tańcujesz...
Czekaj, czekaj! Dam ja tobie!...
Matki nie szanujesz!...
Nie, gołąbko! —
I ze złości
Aż zębami zgrzyta,
Taka to ci była matka!
— Gdzież jej serce? — spytaj.
Serce matki?... Biada, biada,
Źle to, źle, dziewczyny!
Miała matka kibić zgrabną,
Serce niematczyne!
Ani wy się spostrzeżecie,
Jak brwi osiwieją,
Zegnie się wysoka kibić,
A ludzie wyśmieją
Wasze lata, młode lata
I rzekną: — Ladaco! —
Popłakała się Hanusia,
Nie wiedziała, za co,
Za co matuś jej się gniewa,
Za co ją złajała,
Za co córkę rozpustnicą

Przy ludziach nazwała.
Rozpustnicą... Podły kacie,
Kogóż ty katujesz?
Za co, za co własne dziecko
Męczysz i mordujesz?

Katowała, mordowała,
Nic nie pomagało,
Jak ten kraśny mak w ogrodzie,
Dziewczę rozkwitało.
Jak kalina przy dolinie
Pod rosą poranną,
Tak piękniała, gdy się myła
Łzami młoda Hanna.
— Toć to czary! Czekaj, czekaj —
Szepce matka podła —
Znajdę ja truciznę dla cię,
Żeby mi pomogła.
I do wiedźmy poszła starej,
Trucizny zdobyła,
I trucizną tą o świcie
Córkę napoiła.
Nie pomogło... Stara matka
Przeklina godzinę,
W której niegdyś urodziła
Niemiłą dziecinę.
— Jak mi duszno! Chodź, córeczko,
Wykąpać się w stawie.
— Chodźmy, mamo! — legła Hanna
Na nadbrzeżnej trawie.
Legła sobie, rozesławszy
Białą koszulinę,
A z tamtego brzegu rybak
Patrzy na dziewczynę...
I ja niegdyś... Ale co tam!...
Lepiej grzech zamilczę...
Jak to dziecię pod kaliną
Bawi się najmilsze,
Tak gnie w słońcu i rozgina
Kibić swą dziewczyna.
Patrzy na nią matka stara,
Aż ze złości sina.
Oniemiała z gniewu, bosa,
Cała rozchełstana,
Jak szalona rwie swe włosy,
Z ust jej bryzga piana.
Rzuciła się na Hanusię,

W warkocze się wpiła.
— Mamo, mamo! Co ty robisz?!...
Fala się wzburzyła,
Zakipiała, zajęczała,
Matkę z córką chłonie...
Szybko rybak kędzierzawy
Biegnie ku ich stronie.
Rzucił się do wody, płynie,
Błękit fal rozrywa,
Płynie, płynie, ot — dopłynął,
Nura dał... wypływa...
I Hanusię utopioną
Już na brzeg wynosi,
I z zastygłych rąk matczynych
Wyrywa jej włosy.
— Serce moje! Dolo moja!
Otwórz czarne oczki!
Popatrz na mnie, uśmiechnij się!...
Nie chcesz?... Losie gorzki!...
Płacze, pada obok Hanny,
Odkrywa, całuje
Martwe oczy. — Popatrz na mnie!...
Nie słucha!... Nie czuje!... —
Leży sobie tu na piasku
I białe rączęta
Rozrzuciła, obok leży
Matka jej przeklęta.
Oczy jej wyłażą na wierzch
I zastygły w męce,
W żółtym piasku się nurzają
Stare, sine ręce.
Długo płakał rybak młody,
Długo się użalał:
— Nie ma dla mniej dobrej doli,
Żyć mnie w stawu falach!...
Podniósł ją i pocałował,
Fala z jękiem płynie,
Rozwarła się, zamknęła się —
I ślad wszelki ginie...

Od tej pory stawek czysty
Zarosła osika;
Nie kąpią się w nim dziewczęta,
Każda go unika.
Gdy spojrzą, to się żegnają,
Mówią, że zaklęty.
Smutno, smutno wokół niego,
A w nocy, dziewczęta,

Wynurza się z wody matka,
Na tym brzegu siada
W mokrej białej koszulinie,
Zsiniała i blada.
Na przeciwny brzeg spogląda,
Rwie na sobie włosy,
A tymczasem sina fala
Hanusię wynosi.
Nagusieńka, drgnie, na piasku
Siądzie... wtem wypłynie
Rybak młody, kędzierzawy
I na koszulinie
Jej zielone trawy kładzie...
Pocałuje w oczy —
I — do wody, bo się wstydzi
Na kibić uroczą,
Na dziewczęcą kibić giętką
Spojrzeć, i nikt nie wie,
Co się wówczas w cichym gaju
Pośród nocy dzieje.
Tylko wicher do osiki
Szepcze w mroku długo:
— Kto to, kto to czesze włosy
Usiadłszy nad strugą?

przełożył **Włodzimierz Słobodnik**

*

* *

A u Kati-Katarzyny
Chata jak pałacyk,
Przyszli do niej Zaporożcy,
Nie lada junacy.
Jeden Siemion Bosy,
Drugi Iwan Goły,
Trzeci Jaroszenko,
Syn wdowy i — patrzą
Na Kozaczkę piękną.
„Zjeździliśmy Polskę,
Całą Ukrainę,
Ale gdzież znajdziemy
Piękniejszą dziewczynę?"
Jeden mówi: „Bracia!
Gdybym był bogaty,

To oddałbym całe złoto,
Żeby choć godzinę
Pieścić Katarzynę."
Drugi mówi: „Gdybym siły
Miał potrójne, bracia,
Oddałbym je wszystkie,
Żeby choć godzinę
Pieścić Katarzynę."
Trzeci rzekł do tamtych:
„Ach, cóż za uroda!
Wszystko, wszystko oddam,
Żeby choć godzinę
Pieścić Katarzynę."
Zadumała się dziewczyna
I tak im odpowie:
„Mam ja brata rodzonego
W niewoli, panowie,
Brat mój miły — jeniec Krymu,
Skazany na męki,
Kto wyzwoli go, ten będzie
Mężem mym mileńkim."
Goście naraz wstali,
Konie osiodłali
I po brata Katarzyny
Na Krym pojechali.
Jeden w Dnieprze zginął,
Jak w ciemnej mogile,
Drugiego w Kozłowie
Na pal w końcu wbili,
Trzeci Iwan Jaroszenko,
Syn wdowy-niebogi,
Wyzwala jej brata
I z niewoli srogiej
Wiezie go z obcego kraju,
Wiezie go z Bakczysaraju.
Drzwi o świcie zaskrzypiały,
Pełna ludzi chata:
„Wstawaj, wstawaj, Katarzyno,
Popatrz-no na brata!"
Spojrzała i zapłakała,
Potem zawołała:
„Ja skłamałam, to nie brat mój,
Ale mój jedyny!"
„Masz, kłamczyni!" — ciął ją szablą,
Zabił Katarzynę.
„W złej chałupie i zła dola —
Chodźmy, bracie, hola!"
Pojechali Zaporożcy,

Tylko wiatr dmie z pola.
Czarnobrewą Katarzynę
W polu pochowali,
Potem sławni Zaporożcy
W stepie się zbratali.

przełożył **Włodzimierz Słobodnik**

*

* *

U dnieprowych wód głębiny
Stoi jawor wśród wikliny,
Wśród wikliny, wśród łoziny,
Wśród czerwonych krzów kaliny.

Bystra fala brzegi ryje,
Jaworowi stopy myje.
Stoi jawor nad urwiskiem,
Nad urwiskiem-zalewiskiem.

Tak jak Kozak zuchowaty
Bez chudoby i bez chaty,
Bez żony, bez jej lubości,
Posiwiały z samotności.

Jawor mówi: — Pochylę się,
W chłodnym Dnieprze zanurzę się!
Kozak mówi: — W głębię skoczę,
Może miłą swą gdzie zoczę!

A Kalina wraz z wikliną
Nad dnieprową, nad głębiną
Pod wiatrem się uginają,
Dziewczęco się uśmiechają.

Wystrojone, rozkwiecone,
Z dolą-szczęściem zaręczone,
Gorzkie piosnki im nieznane,
Lśnią się, gną się, rozśpiewane.

przełożył **Marian Piechal**

*
* *

Czas by już ruszać stąd powoli,
Współtowarzyszko smutnej doli,
Rzucić by wreszcie wiersz nietęgi
I przysposabiać już zaprzęgi
Do długiej i nieznanej drogi
Pod dworca niebieskiego progi —
Czas by nam odejść na spoczynek.
Znużyliśmy się, zestarzeli,
Wiele uczyli i zmądrzeli...
Wystarczy. Pora na spoczynek,
Czas na ostatnią chałupinę...
Spójrz — nie tak smutno jest w tej chacie!

Oj, nie trzeba, moja drużko,
Z tym odejściem spieszyć,
Jeszcze by nam chodzić razem
I światem się cieszyć.
Spójrz-no tylko, moja dolo,
Jakiż on szeroki,
Jak szeroki, jak wesoły,
Jasny i głęboki!
Cóż, pójdziemy, moja gwiazdo,
Wstąpimy na szczyty,
Kiedy inne gwiazdy-siostry
Rozświecą błękity,
W wielkiej liczbie zamigocą,
Zalśnią na wyżynach...
Zaczekajmy, powierniczko,
Siostro ma jedyna!
Pomódlmy się niekłamnymi
Ustami do Boga
I odejdźmy po cichutku,
Gdzie zawiedzie droga.

A tymczasem jedyna obrona
To Eskulap... Zajdźmy po kryjomu
I nie szczędźmy mu grzecznych ukłonów,
A on okpi, oszuka Charona,
Parki także. Minie wiele lat,
Zanim błąd swój pozna chytrus-dziad.

My zaś epos ułożymy społem,
Pobujamy nad ziemskim padołem,
Heksametr może popełnimy,
Aż wyrzucimy na strych rymy,

By miał śniadanie mysi ród,
Do prozy dźwięcznej, niby z nut,
Przejdziemy...
Żar przygaśnie w żyłach,
Praca już będzie zakończona.
Wtedy pójdziemy, moja miła,
Dużo weselsi do Charona.

Bród przez fale mętnej Lety
Znajdziemy niebawem.
Przeniesiemy przez jej nurty
Wiecznie młodą sławę —
Sławę dobrą i świetlaną,
Chociaż, moja dolo,
Można obejść się bez sławy.
Gdy siły pozwolą,
To nad samym Flogotonem,
Nad cichym Styksem, w cieniu raju,
Jakbym nad Dnieprem żył szerokim,
Wciąż będę myślał o mym kraju.
Postawię chatę, mchem wymoszczę,
Otoczę sadem rajskie włości
I tak jak króla cię ugoszczę,
Kiedy wieczorkiem przyjdziesz w gości.
Wspomnimy sobie Dniepr, gdzie wkoło
Wśród sadów chaty obielone,
W stepach kurhany rozrzucone,
I zanucimy pieśń wesołą...

przełożył **Tadeusz Chróścielewski**

IACIEJ GRYFIN

Mistrz urodzaju

Podsunął mi niemal pod nos szeroką łachtę gazety.

— Masz, czytaj!

Sucha, beznamiętna notatka PAP-owka donosiła, że... mistrz urodzaju, Edmund Ratajczak z gromady Rąbczyn w powiecie wągrowieckim, wzywa do współzawodnictwa o prawo uczestniczenia w Wystawie Rolniczej zobowiązując się... Tu najeżone cyframi kilka zdań mówiło, ile „mistrz" postanowił odstawić bekonów, ile zebrać buraków cukrowych, ile uzyskać mleka. Ta ostatnia cyfra swą wysokością trochę mnie zakoczyła, odbiegała ona niemal od przeciętnych województwa, jak zwycięzca Wyścigu Pokoju, Duńczyk Daalgard, od rolno jadących Hindusów. Ostatecznie jednak w wielu wypadkach przestaliśmy się dziś dziwić temu, co wczoraj było niemożliwe do osiągnięcia. Kolega literat nie dał mi zresztą przyjść do słowa. Akurat pisał opowiadanie o Ratajczaku, cieszyły go nowe sukcesy jego pozytywnego bohatera.

— Wyobraź sobie jego wzruszenie — mówił z przejęciem. — Przed oknami własnego domu hitlerowcy rozstrzelali mu ojca, on sam był niedawno w NRD na Zjeździe Chłopów, gdy zabrał głos, olbrzymia berlińska hala trzęsła się od klasków wielu tysięcy ludzi.

Poczułem mimo woli żal do mego przyjaciela, Ratajczaka. Oto kolega ze Związku Literatów pojechał do Rąbczyna, posiedział, pogadał i dowiedział się wielu rzeczy, o których Ratajczak nigdy mi nie wspominał. Może to była zwykła ludzka zazdrość, dziennikarska ambicja. A może sygnał, że w pośpiechu, zaparzony w magiczną wysokość rekordowych zbiorów buraka cukrowego osiąganych przez Ratajczaka, nie dostrzegłem wielu ludzkich spraw. W każdym razie postanowiłem odwiedzić swego znajomego.

Trafiłem akurat na świniobicie. Na dworze już zmierzchało, toteż duża naftowa lampa oświetlała jasno małą kuchnię. Na patelni pryskały smażone skwarki. U powały wisiał przepołowiony, tłusty, buchający parą wieprzak. Rzeźnik z pobliskiego PGR-u w kraciastej barchanowej koszuli to ostrzył nóż na glinianym garnku, to mieszał gotującą się w wielkim saganie kaszankę. Zza uchylonych drzwi sypialnej izby wyglądało kilkoro małych brzdąców, niemiłosiernie umazanych śliwkowymi powidłami. Nawet drzemiący na ławie ociężały kot zdawał się z uwagą asystować tej operacji, w której jeden z przedstawicieli świńskiego rodu zamieniał się w apetyczne kiełbasy, szynki, polędwice i rzeźnik tylko wie, w co tam jeszcze.

Za chwilę na nakrytym białym obrusem stole stał talerz z gorącą kaszanką, słoik chrzanu, długie pajdy pytlowego chleba domowego wypieku. Miejsce patelni zajął czajnik. Bez wielkich ceregieli Ratajczak zaprosił nas na kolację. Kto jadł mało, słyszał od razu upomnienia gospodarza:

— Jedzcie, jedzcie, co to, myślicie, że Ratajczaka objecie? Nie dacie rady. Wczoraj odwiozłem pięć tuczników, dziś zabiłem jednego, a i w chlewie coś niecoś się znajdzie.

Mimo serdecznej gościnności, gromkich żalów, że w domu akurat nie ma ani kieliszka wódki, którą świński pogrzeb dałoby się zakropić, w zachowaniu gospodarza i gospodyni można było odczuć jakiś lodowaty chłód, który niedostrzegalnie kładł się między nami. Ratajczak, jedząc w milczeniu, wpatrywał się w ciemne, wychodzące na ogród okno, jeden z najbardziej rozdokazywa-

nych malców dostał matczyną ręką mocnego klapsa. Może trafiliśmy nie w porę, może Ratajczakowie mają jakiś poważny kłopot?

Gospodarz nagle wyszedł, obiecując, że postara się wrócić jak najprędzej. Towarzyszący nam przy kolacji PGR-owski rzeźnik dopił wolno herbatę, zapalił papierosa. Potem oglądając się w stronę kuchennych drzwi, czy gospodyni nie słyszy, zaczął mówić półgłosem:

— Ratajczak chodzi jak oparzony. Na miejscu wysiedzieć nie może. Dziś już napisał do gazety list, potem go podarł. Naradzał się z sekretarzem Partii i kierownikiem szkoły, Grzesikiem. Ale i oni byli bezradni. A on lata co godzina na pole, patrzy i liczy.

— A o co chodzi?

Widzicie, gdy Ratajczak dowiedział się przez radio o organizowaniu wystaw rolniczych, nie czekał długo. Cały wieczór naradzał się i obliczał z żoną. Następnego dnia ze szkolnego zeszytu jednego ze swych dzieciaków wydarł kartkę i ołówkiem napisał na niej swoje zobowiązanie. W polu miał wiele roboty, toteż poprosił jednego z sąsiadów, aby kartkę oddał w PRN. Jadącego do Wągrowca sąsiada spotkał w drodze deszcz. Kartka zamokła, chemiczny ołówek puścił farbę. Sąsiad chciał sumiennie wypełnić polecenie. Toteż w Prezydium poprosił o kartkę papieru i przepisał treść zobowiązania na nowo. Litery zgadzały się z literami, tylko jedna cyferka, właśnie ta „w mleku", stanęła dęba i skoczyła o kilkaset litrów wyżej. Błędu nikt nie dostrzegł. Maszynistka przepisała dokładnie jeszcze raz. Sprawa była pilna. Pierwsze w powiecie zobowiązanie przetelefonowano szybko do Poznania. W dwa dni później można je było przeczytać w niejednej gazecie.

Rzeźnik skończył opowiadanie. Sytuacja rzeczywiście niewesoła. Dać sprostowanie? Iluż mniej lub bardziej ukrytych wrogów Ratajczaka czyha tylko na okazję, aby zacząć trąbić, że „mistr: cofa się jak rak. Nie wykonać zob wiązania? O ile znam Ratajczaka, to n mogło wchodzić w rachubę. A mo miał się chwycić ostatniej deski ratunk i skorzystać z propozycji zrozpaczone sąsiada, który teraz solidarnie prop nował odstawienie części mleka ze sw jej obory?

— Co robić, panie? — pytał moc przeżywający tę sprawę rzeźnik Przecież mleka nie napompuje się studni. Krowy Ratajczaka dają już wi le. Można gadać do nich przez cały okr gły rok, a i tak już nie dadzą wie więcej.

Siedzieliśmy długi czas zaduma Wreszcie zniechęcony milczeniem rze nik wyszedł do przerwanej roboty. sąsiednim pokoju gospodyni usypia najmniejszego z malców. Gospodarz n wracał.

*

Knot naftowej lampy zaczął fil wać. Trzeba go było przykręcić. W izb zapanował półmrok. Wspomnienia n sunęły się same, nie proszone...

Ratajczaka poznałem dzięki dość os bliwemu zdarzeniu. Do Wągrowca prz jechałem z poleceniem wydawania g zetki powiatowej.

Gdy nasz wóz propagandowy zajech na podwórko i jeżdżący z nami ca personel drukarni powiatowej gaze reprezentowany przez jednego i jedyne zecera zapowiedział przez mikrofon, witamy przodującego chłopa, wydało się, że Ratajczak ze złości zamiast ze zeskoczy z dachu. To, co nurtowało g spodarza, bez ogródek wypaliła nam g spodyni:

— Jeździ komisja jedna za dru jeszcze chłop nie zdąży dobrze wejść dach, już musi złazić. Mierzą burac sko wzdłuż i wszerz, wypytują o wszy ko, a później zabierają się i nigdy w

:ej nikt ich nie ogląda... żeby chociaż ze dwie rolki papy przywieźli.

Ratajczak zaczął od tego, że nie chciał : nami rozmawiać. — Przodujący? To :o mi z tego? — prowadził przy nas mo- nolog — Za miesiąc, za dwa zawali mi się stodoła. Diabli wezmą wtedy przo- dującego chłopa. Przyjedziecie na po- grzeb.

Z papą było wówczas znacznie trud- niej niż dzisiaj. Jednak papa była. Ra- tajczaka właśnie to denerwowało, że okoliczni kułacy dzięki znajomościom kupują papę w GS-ie, a potem ją maga- zynują. Towarzysz z KP zapytał, czy Ra- tajczak może podać nazwiska. Gospo- darz spojrzał na żonę, kobieta wzruszyła ramionami i milcząco wskazała wzro- kiem na stodołę. Ratajczak wymienił na- zwiska wykupujących papę bogaczy. Na miejscu napisał od razu korespondencję do powiatowej gazetki. Był to pierwszy krok Edmunda Ratajczaka. Następnego dnia w Rąbczynie zawrzało. Bogacze byli zaskoczeni, nie spodziewali się ataku chłopa, który pilnował tylko buraków, a sprawami gromadzkimi i polityką in- teresował się tyle co zeszłorocznym śnie- giem. Tydzień później miejscowa GS sama dostarczyła Ratajczakowi dwie rolki papy.

Tak się złożyło, że o osiągnięciach Ra- tajczaka napisaliśmy raz i drugi. Nasze zradiofonizowane auto docierało do wie- lu gromad. Gazetkę rozprowadzali ro- botniczy aktywiści i młodzież wiejska. Zaczęli pisać do nas chłopi. O różnych sprawach. O tym, że syn jednego z go- spodarzy jest oficerem, córka pracuje w Prezydium PRN, a on zalega z dosta- wą kilkuset kilo zboża. Bywało, że skry- tykowany zamiast na punkt skupu przy- jeżdżał ze zbożem do redakcji i prosił o sprostowanie, „że on już się wywiązał". Dyrektor POM-u dzwonił wprost do drukarni i groził drukarzom, że konfi- skuje cały nakład, ponieważ skrytyko- wano pracę POM-u. — POM jest pań- stwowy, a wiadomo, komu Państwo może się nie podobać — grzmiał groźnie roz- złoszczony dyrektor. Były jednak i inne odpowiedzi. Sołtys z Przysieki, Kasjan Szperkowski, chłop roślejszy od dębu, położył rękę na siewniku niczym nie- gdyś rycerze na Ewangelii i wobec ca- łej gromady poprzysiągł, że Ratajczaka z jego burakami zapędzi w kozi róg.

Gdy się Ratajczak o tym dowiedział, z początku machnął lekceważąco ręką. Był przekonany, że z burakami nikt nie da mu rady. Gdyby buraki znały ludz- ką mowę, Ratajczak mówiłby z nimi go- dzinami. Nie wierzycie? A jednak. Ra- tajczak zna buraki niemal na wylot, umie dogodzić ich najwymyślniejszym zachciankom. Gdyby chciano ukarać Ratajczaka, wystarczyłoby mu zabronić uprawy buraków. Ratajczak odczułby to nie mniej boleśnie niż najsurowszą ka- rę. Dla niego buraki — to nie tylko tony i kwintale, kwity za odstawę, gotówka, wytłoki, cukier.

Edmund Ratajczak do Rąbczyna do- tarł dopiero w maju 1945 roku. Niemal spod Berlina przyszedł pieszo, pchając przed sobą wózek, w którym płakała roczna wówczas Marysia. W domu nie zastał mebli, okna były powybijane, pół dachu zerwane, siedmiohektarowe go- spodarstwo ogołocone z wszystkiego, co tylko dało się wziąć. Edmund z zazdro- ścią patrzył na swoich sąsiadów, którzy mieli więcej możliwości i szczęścia przy „rozbiórce Hitlera". Dlatego też nie ma- jąc innego wyboru został pierwszym z trzech śmiałków, którzy w Rąbczynie podpisali umowę z Państwem na kon- traktowanie buraków. Ratajczak sam do tej umowy nie miał wielkiego zaufania. Nie posiadał wówczas ani konia, ani krowy, ani świni — dawanie takiemu zubożałemu dłużnikowi, za jakiego uwa- żał siebie, zaliczki w cukrze traktował jako niepewny dla Państwa interes. Za wypożyczone do obróbki pola konie trzeba było chodzić na odrobek. Kułac-

ką uprawę wypadło nieraz poprawiać szpadlem. Gospodarz nie skarżył się i nie narzekał. Wszystko złe traktował jako dopust boży. Do Państwa o dalszą pomoc się nie zwracał, bał się, że sprawiając tyle kłopotu narazi się komuś i spowoduje rozwiązanie umowy, którą uważał za wielką okazję. Cukier, który otrzymał od Państwa, wymieniał na chleb i na słoninę. — I kawy nie musieliśmy już pić gorzkiej — wspomniał w jednej z rozmów. Jesienią otrzymał 13 cetnarów cukru. Sam nie wierzył w swoje bogactwo. Jeszcze raz wybrał się na zachód, tym razem po konia. W okolicznej wiosce kupił jałówkę. Mając dwie sztuki inwentarza poczuł się gospodarzem. — To pole — opowiada do dziś — na którym rosły pierwsze buraki, zrobiło ze mnie człowieka.

I oto Kasjan Szperkowski postanowił Ratajczaka prześcignąć. Zaczęła się uporczywa walka. Niejednej nocy Ratajczak nie dospał. Okoliczni kułacy zaczęli płatać mu figle. Nieraz jak grzyb po deszczu wyrastała na patyku kartka z takim zachęcającym napisem:

„Jak przyjdą Amerykanie, to za twoje buraki będziesz wisiał, czerwony komunisto."

Od miana komunisty Edmund Ratajczak był wówczas równie daleko jak biegun północny od południowego. W ogóle nic poza burakami nie obchodziło go na świecie. Ratajczak nienawidził polityki, uważał, że odebrałaby mu ona czas, jaki może poświęcić burakom. Gdy w kilka dni później ktoś wjechał pługiem w buraki i wyorał niemały kawałek buraczyska, w Ratajczaku aż zakipiało z wściekłości. Nie szedł jednak do nikogo na skargę. Wziął tylko długie, na dębowym trzonku widły do podawania snopków. Żona płakała, nie chciała go puścić, a Ratajczak noc w noc czatował w burakach.

Może to dziwny zbieg okoliczności, a może właśnie po prostu ścisły związek — że właśnie w parną lipcową noc nie spało wówczas w powiecie wągrowieckim dwóch ludzi: pilnujący buraków średniorolny chłop Ratajczak i utrzymywany przez kułaków bandyta Twardowski. Oto gdy Ratajczak zaciskał w ręku widły, w niewielkiej odległości od Rąbczyna Twardowski złaził z gościnnego kułackiego stryszku. Zwykłą rowerową pompką pompował przygotowaną przez bogacza Żmudzińskiego dętkę od gumowej platformy. Potem niczym bóbr wypływał na pełen żabiego rechotu stawek. Trochę to zakrawa na fantazję. Ale tak było. Twardowski chciał na Odrze powtórzyć przeprawę, którą trenował na kułackim stawku. Marzył o instrukcjach od Amerykanów, o stworzeniu związku „Rycerzy przeciwko spółdzielczości". Już teraz mistrz nocy nieźle pokazywał różki. W jednej z gromad, gdzie chłopi zamierzali założyć spółdzielnię, najpierw podpalono zabudowania sołtysa i sekretarza Partii. W innej gromadzie herszt żądał ustąpienia ze stanowiska tamtejszego prezesa ZSCh Siudmiaka. Gdy to nie poskutkowało bandyta podpalił mu zabudowania, a później w liście pisał, że „pożarowi przyglądał się z wielką satysfakcją". Do Rąbczyna także bali się przyjeżdżać niektórzy gminni aktywiści. Wystarczyło aby na zebraniu któryś z małorolnych napomknął o założeniu spółdzielni, a już następnej nocy wyciągał go z łóżka uzbrojony po zęby Twardowski. Rozmowa była krótka: „Będziesz agitował za spółdzielnią — spalę, wstąpisz — zabiję". Gdy robotniczy aktywiści przyjeżdżali na wieś, Twardowski jechał do ich domów i demolował im mieszkania. Wrzucał kamienie do mieszkań, w których spały matki z dziećmi. Na Ratajczaka też nie mogli bogacze spokojnie patrzeć. W gromadzie u kułackich braciszków Machnikowskich ukrywało się wówczas kilku gotowych na wszystko łajdaków. Jak ćma koło lampy kręci

ę wokół Rąbczyna Twardowski. Bogace jednak respektowali stare ludowe rzysłowie, że „lis nie kradnie kur w obliżu swojej nory.“ Toteż wobec Rajczaka prowadzono jedynie walkę podzdową. Chciano, by się ugiął, by na b, na szyję nie prześcigał w zbiorach ogaczy, którym zależało na utrzymaniu itu „dobrych gospodarzy“. Były jedak dni, że Ratajczakowi było ciężko. niżając nieraz głos, oglądając się na szystkie strony, czy kto nie podsłuchu, o gromadzkich sprawach mówił do as szeptem. Wieczorem brał jednak wity i szedł w pole.

W tym mniej więcej okresie wybiero w Rąbczynie radnego. Kułacy mieli voich kandydatów, ale pracujący przetosowali swojego — Ratajczaka. W razie z miejsca powierzono mu stanowiko przewodniczącego Gminnej Komisji olnej. Teraz zamiast sprawami swoje tylko gospodarstwa trzeba się było kże interesować życiem wielu gromad. dy Ratajczak objechał na rowerze kila wiosek, zobaczył, ile jest do zrobiia. W cztery oczy, sam na sam z przeodniczącym GRN, Matuszakiem, stękał narzekał, obawiał się tych nowych dla iego spraw. Ambicja kazała mu jednak ozostać. Ratajczakowi pomagał w pray radny, członek jednej ze spółdzielni. ie raz i nie dwa wypytywał go Ratajzak o życie w spółdzielni produkcyjnej. półdzielca machał niechętnie ręką i choiaż nic nie mówił, robił przy tym takie iny, że najgorszego można było się doyślić. Ratajczak wyczuwał, że radny a mu dużo do powiedzenia, tylko wiocznie się obawia. Z ciekawości zajrzał o tej spółdzielni. Ludziom powodziło ę tam nieźle. Chwalili sobie życie i ieszyli się z coraz lepszych zbiorów. W rzypadkowej rozmowie usłyszał Ratajzak, że radny otrzymuje paczki z Ameyki, jeździ do Poznania i tam sprzedaje łote zegarki. Co niedziela funduje luziom wódkę i po cichu szepcze, że z odstawami nie ma się co śpieszyć, chociaż w spółdzielni zboża było wbród. Takie sygnały otrzymała GRN z różnych stron. Zainteresowano się radnym. Ratajczak prędzej by się spodziewał własnej śmierci. Znajomek okazał się byłym łotewskim obszarnikiem, który przyparty do muru tłumaczył się spółdzielcom, że był parobkiem u swojej żony.

Ta sprawa w jakiś dziwny sposób oddaliła Ratajczaka od spółdzielczości. Zresztą na rozmyślania nie było zbyt wiele czasu. W całej okolicy rzuciły się wówczas na buraki mszyce. Tylko pole Ratajczaka pozostało nietknięte. Sąsiedzi chcieli go podpatrzyć, ale nie było to łatwe. Dowiedzieli się tylko tyle, że jakąś własną mieszaniną opryskał buraki. Pytania sąsiadów zbywał żartami. Był to jeszcze jeden powód do zawiści, na którą jak na żarzące się węgle dmuchali bogacze.

Ratajczak czekał właśnie na deszcz dla buraków. A tymczasem sąsiedzi donieśli mu, że Szperkowski posadził buraki tuż przy stawku. — Masz go, chytrego ogrodnika — myślał Ratajczak. Konewką może podlewać, jak rzodkiewkę. — Inny informator przynosił usłużnie wiadomość, że straż pożarna w Przysiece w trosce o honor gromady i pełniącego obowiązki sołtysa Szperkowskiego tak postanowiła przeprowadzać ćwiczenia strażackie, aby jednocześnie podlewać buraki. Ratajczak wierzył w to, co mówili ludzie, później znów wątpił. Aż raz przy rąbczyńskiej kuźni zobaczył przypadkowo wóz z Przysieki. Gospodarza nie znał, widział tylko na tabliczce nazwę gromady. Siląc się na spokój Ratajczak zapytał, jak u Szperkowskiego zapowiadają się buraki. Staruszek podkręcił wąsa z ukontentowaniem:

— Synu, prędzej beczkę soli zjesz, nim takie buraki wyhodujesz. Wasz Ratajczak niech się schowa pod kapelusz...

Akurat wtedy po raz pierwszy w dziejach gromady miała się odbyć w Rąb-

czynie sesja Gminnej Rady Narodowej. Przewodniczący Matuszak w trosce o reprezentację szepnął Ratajczakowi na ucho, że po sesji wszyscy radni udadzą się na pole, aby przyjrzeć się burakom. Zwinął się wtedy Ratajczak za dwóch, uprzątnął podwórze, wysypał piaskiem.

Następnego dnia po sesji przed szkolny budynek wysypali się radni, goście i ciekawscy. Niby ojciec dzieci — prowadził ich Ratajczak w pole. Obok niego dreptała Messyaszowa, radna i przodująca chłopka z Ochodzy. Gospodarz był nawet na nią zły. Zamiast podziwiać buraki terkotała o kobiecych sprawach. Zasypywała Ratajczaka dziesiątkiem pytań. Usiłował się przed nią odpędzić jak przed natrętną muchą. Kobieta miała na języku wciąż nowe pytania. A czy żona chodzi na zebrania? Po co? — myślał w duchu Ratajczak. — Jeszcze tego brakowało. — I na głos wyjaśniał, że żona nie chodzi, bo jest chora. — Musicie pamiętać — pouczała go Messyaszowa — że trudno wyobrazić sobie, żeby żona przodującego chłopa była zacofana. U nas w Ochodzy jest partyjniak, Klemens Kamiński, chłop był nawet na wycieczce w Związku Radzieckim. Ale na wszystkie zebrania chodzi sam, a żonie kazał siedzieć w domu. Nam chodziło o konkurs hodowlany. A mężowie nie pozwalają. Żadna żona nie miała niby czasu. Aż na powiatowej naradzie wygarnęłam wszystkim w oczy. Kamiński siedział i nie odezwał się ani słowa. Ale od tej pory zmienił się nie do poznania. Jego żona teraz jedna z pierwszych. Raz byłam z nią w powiecie. Teraz u nas co innego. Kamińska nagrodę w konkursie dostała, nawet Kamińskiego po nią do ZSCh posłała. Chłopu było trochę niesporo, ale poszedł. Teraz z niego zupełnie inny człowiek. I wy, jak czytacie dzieła Lenina, to przecież wiecie, że sami mężczyźni socjalizmu nie zbudują.

Ratajczaka ogarniała zazdrość, że ta niewielka kobieta wie o wiele więcej od niego. Że nieraz potrafi postawić taki pytanie, na które trudno od razu znaleźć odpowiedź. Dzieła Lenina — Ratajczak miał je w domu od kilku lat. Nie czytał ich jednak wcale. Trafiły one do Rąbczyna niezwykłą drogą. Pracownicy jednej z instytucji, słysząc o Ratajczaku, przysłali mu w prezencie paczkę książek. Gospodarz rzucił się na nie łapczywie. Szukał nowych rzeczy o burakach. Gdy ich nie znalazł, odłożył książki do szafy. Teraz sięgał po nie z powrotem. Ani się spostrzegł, jak zaczął dyskutować z nauczycielem Grzesikiem. Obaj mieli zająć się upowszechnieniem wiedzy rolniczej. Zwykle Grzesik zagajał zebranie, a Ratajczak na podstawie własnej praktyki prowadził wykład. Dyskusja przeciągała się nieraz do północy. Aby odpowiedzieć na wszystkie pytania, Ratajczak musiał wiele czytać. Na marginesach książek zaczęły się pojawiać dopiski i uwagi. I wtedy wielokrotnie spotykał Ratajczak słowo... Partia. Stosunek jego do Partii trudno byłoby określić słowami. Szanował władze partyjne i rządowe za to, że teraz buraki cukrowe może kontraktować on, średniorolny chłop, a nie dziedzic z Redgoszczy, Janta-Połczyński. Za to, że jako przodownik otrzymał srebrny Krzyż Zasługi i radioodbiornik „Pionier". Podziwiał Partię za jej siłę i mądrość, ale partyjnych w gromadzie myślał niechętnie. Było ich zresztą tylko kilku. Sekretarz mieszkał poza wsią. Na zebrania partyjne nie zapraszano bezpartyjnych. Licząca sto kilkadziesiąt numerów gromada Rąbczyn, z wioskami Augustynów i Nowa Wieś, nie miała politycznego kierownika. Toteż gdy Ratajczakowi obrodziły buraki, wybrał największy i pojechał do Wągrowca. Śmiało wszedł do sekretarza i bez słowa położył na biurko prawdziwą „cukrową głowę". Sekretarz ucieszył się bardzo. Jednak więcej mówił o Szperkowskim, który zebrał buraków

hę mniej, ale na współzawodnictwie zedł zupełnie inaczej. Na jednym z ań przyznał, że nie sztuka z kawa- ka ziemi wyciągnąć z jednej uprawy oki, zadziwiający plon, ale sztuka gać wysokie urodzaje z pół w całej nadzie, z wielohektarowwych różno- nych upraw. Od słowa do czynu u erkowskiego niedaleko. Konkurent ajczaka pierwszy podpisał spółdziel- statut i kiedy zaczęli w Przysiece połową gospodarkę, nie mógł odżało- , słysząc o osiągnięciach starszych łdzielni. Gdy rozbierali stary budy- i od czasu do czasu przerywali pra- „na papierosa", Szperkowski złościł na samego siebie. Ile byśmy mogli ć bydła, trzody, okien inspektowych, byśmy tak założyli spółdzielnię o a lata a choćby rok wcześniej.

atajczak chodził wówczas w aureoli wy. Przemawiał przez radiowęzeł po- towy, jeździł na różne zjazdy i na- y.

wtedy Ratajczakiem może po raz rwszy w życiu wstrząsnęło coś do bi. Wracając z jednego ze zjazdów rał się samochodem z aktywistami, rzy mieli wstąpić na zebranie zało- ielskie w gromadzie Graboszewo. tywiści przyobiecali, że wpadną tylko krótko, pogadają z aktywem robot- zym z kopalni soli w Wapnie i pojadą zez Rąbczyn do Redgoszczy. Ratajcza- wi nie chciało się iść pieszo, więc wy- ał okrężną drogę byle samochodem. Graboszewie nastąpiła jednak niespo- ewana przeszkoda. Kilku chłopów dpisało spółdzielczy statut. Potem jed- z kobiet rzuciła półgłosem uwagę, że a nie ma nic przeciwko spółdzielni, ko żeby zespołowego bydła nie po- erzać gospodarzowi, który niegdyś „za na" był pastuchem fornalskiego bydła rzed dwudziestu laty przypędził z pa- wiska jej krowę mocno pokaleczoną, ekomo pogryzioną przez psa. Gospody- do dziś nie wierzyła, żeby to uczynił pies. — Moje kury weszły jemu na grządki — wspominała starą historię — byłabym mu wynagrodziła, ale żeby zaraz kaleczyć stworzenie i to do tego nożem?

Zaatakowany chciał dać gromką replikę, ale co stateczniejsi gospodarze powstrzymali jego zapędy. Nikt nie chciał grzebać w dalekiej przeszłości, gdy przed gromadą stała ważna decyzja. Potem nagle nastąpiła przedłużająca się, drażliwa cisza. Nikt nie prosił o głos. Gospodarze kurzyli papierosy. W kącie, przy piecu, gospodynie szeptały między sobą. Na próżno dobry organizator, instruktor KP, tow. Głów, mówiąc niektórym z zebranych po imieniu prosił o zabieranie głosu. Nawet przemówienie robotnika z kopalni soli nie wywołało żadnego odgłosu. Milczenie. Jeden kwadrans, drugi, trzeci. Było już po północy. Za stołem prezydialnym towarzysze kręcili się trochę zaskoczeni. Jednak ani jeden człowiek nie śpieszył się z opuszczeniem świetlicy będącej przed laty dworską jadalnią. Z upływem czasu wszystkie oczy zwracały się na sekretarza partyjnego, Wardę. Młodo wyglądający człowiek o bystrych oczach siedział wraz z żoną w pobliżu drzwi i co chwila poprawiał nerwowo szalik, jakim miał okręcone widocznie przeziębione gardło. Dziwne wydało się, że sekretarz mimo kilkakrotnych zaproszeń nie usiadł za stołem. Ratajczak, jak zresztą wszyscy obecni, nie mógł zrozumieć, dlaczego sekretarz nie podpisuje statutu. Miejscowi wiedzieli, że sekretarz najwięcej agitował za spółdzielnią. A teraz siedział jak niemowa. Nie wypowiedziana wśród ludzi dojrzewała prawda. Im bardziej jednak stawała się ona wyrazista, tym trudniej było zebranym zdecydować się rzucić sekretarzowi w twarz ciężkie słowo:

Dwulicowiec, tchórz...

Warda wyczuwał, że o niego wszystkim idzie. Sam poderwał się na krześle.

— Ja jeszcze poczekam, zobaczę to...— Głos mu się załamał w pół zdania. Żona

szarpnęła go za rękaw marynarki, nie krępując się wcale upominała go krzykliwie:

— Siadaj, obejdzie się bez łaski. Albo — zagroziła — zostawię cię z dzieckiem i pójdę do matki.

Sekretarz usiadł. Znów długie milczenie. Ratajczak patrzył na to wszystko rozszerzonymi oczyma. Wreszcie jeden z chłopów nie wytrzymał.

— Ludzie — pytał wszystkich — mamy przez głupoty tracić takiego człowieka?

I nie znajdując poparcia ani Wardy, ani nikogo z miejscowych, żywo gestykulując opowiedział całą historię.

Warda od dłuższego czasu choruje na płuca. Dziś był w Ośrodku Zdrowia. Lekarz kręcił z niezadowoleniem głową. Kazał się dobrze odżywiać. O to nie było kłopotu. Ale zakazał się przemęczać. Wieść o tym obiegła gromadę. Ukryty wróg albo zwykła ludzka głupota uchwyciła się choroby Wardy jak tonący brzytwy. Jak gad wypełzł kułacki argument: „przyjmiemy go do spółdzielni, to będziemy musieli na niego robić". Przy studni dowiedziała się o tym Wardowa. Z płaczem opowiedziała wszystko mężowi. Sekretarz we wszystkich innych sprawach umiałby sobie poradzić, tam, gdzie chodziło o niego, gdzie wróg sięgnął najboleśniej, opadły mu ręce. Zagryzł wargi i walcząc z sobą przyszedł na zebranie założycielskie. Teraz sprawa stała się jasna jak na dłoni. Warda łowił każde wypowiedziane słowo. Gdyby ktoś usiłował okazać mu tanią litość wyszedłby z pewnością trzasnąwszy drzwiami. Warda milczał, jakby czekał na zdanie gromady. Wreszcie z ławy stojącej pod przeciwległą ścianą podniosło się dwóch gospodarzy. Podeszli do Wardy. Trochę niezdarnie zaczęli go ściskać jakby się przynajmniej z rok nie widzieli. Rozległy się pojedyncze oklaski.

— Potrzebny nam księgowy, poślemy cię na kurs — zapewniał ktoś serdecznie.

Warda podszedł do stołu i złożył ósmy zdaje się podpis. Teraz sypnęły się dalsze. Jednak podpisywali sami mężczyźni. Najstarsza z kobiet podniosła się i bez ogródek zaczęła przygadywać młodszym. — Chłopów trzeba pilnować — mówiła twardo — i wiecie, co znaczy babska ręka w gospodarstwie. Jakże jej może zabraknąć w spółdzielni? Ja podpisuję pierwsza!

Była trzecia nad ranem, gdy ostatnia z kobiet składała swój podpis. I wtedy jeszcze, chociaż zadyszany, Głów odpowiadał na wszystkie pytania. Jedna z gospodyń, znając najlepiej górnika z kopalni soli, zagroziła mu wprost: — Jak nie będziemy mieli chleba, to przyjdziemy do kopalni.

Górnik podniósł się za stołem, chwilę zbierał myśli. — Do nas, jak Wam będzie dolegać, zawsze przyjść możecie, a jakbyście w spółdzielni chleba mieli nie mieć, to... powiesicie mnie na sośnie przy kopalni...

Ratajczak nie mówił ani słowa. Ale na równi z chłopami graboszewskimi cieszył się z założenia spółdzielni.

Nadeszły potem dni, w których Ratajczak chłonął po prostu materiały IX Plenum, tezy przedzjazdowe. Postanowił zwrócić się z prośbą o przyjęcie do Partii. Linia frontu wielkiej pomocy dla rolnictwa przebiegała i przez jego gospodarstwo. Za duże osiągnięcia otrzymał od Państwa nowoczesny opielacz do buraków, produkcji NRD. Cała wioska przybiegła oglądać. Niczym Srebrny Krzyż przypinany z dumą do klapy niedzielnej marynarki, wystawił go na pokaz na środku podwórza. Akurat wtedy Państwo przysłało do rąbczyńskiej szkoły maszynę elektrostatyczną, oglądali ją z nie mniejszym zainteresowaniem niż dzieci szkolne chłopi i gospodynie. Ratajczak rzucił wtedy myśl, aby pokazać, że i oni dbają

swoją szkołę, w której teraz nie jeden, ak przed wojną, a czterech uczy nauczy-ieli — gromada postanowiła kupić dla zkoły mikroskop.

Sprawę zebrania funduszy i kupna po-vierzono Ratajczakowi. Będąc właśnie v Poznaniu w poszukiwaniu mikrosko-u, Ratajczakowi wpadła do ręki gazeta, obaczył złożony dużymi literami, gru-y, sześcioszpaltowy tytuł. Wyrokiem Vojskowego Sądu Rejonowego w Pozna-iu kułacki terrorysta, Twardowski, zo-tał skazany na karę śmierci — jego vspólnicy na kary długoletniego więzie-ia. Po trzy razy czytał Ratajczak wy-owiedziane na rozprawie sądowej sło-va średniorolnego Witczaka z Kujawek, tóry wraz z wnukiem schwytał ban-ytę.

— Proszę Wysokiego Sądu, ja jeszcze ie jestem za spółdzielniami. Ale nie nogłem patrzeć, jak ta ludzka gangrena iszczy ludzi i dobytek. Jak mu bezpie-zeństwo zaczęło deptać po piętach i za-nykać jego meliniarzy, to przyszedł do nnie, myślał, że starca łatwiej zastraszy. Vlazł do stodoły i kazał ugotować ko-ację. To ja mówię do wnuka: raz kozie mierć. Szykuj postronek. Wziąłem gar-ek z zagotowanymi pomyjami. Idę do andyty. Chodź do chlewa — mówię — am będzie poręczniej. Twardowski miał v obu rękach pistolety, przez ręce rzewieszony Mauzer. Gdy mu postawi-em garnek z pomyjami, myślał, że żar-uję, chciał zdzielić mnie pięścią. Wtedy dołu uderzyłem go w podbródek — andyta fiknął kozła. Wnuk złapał go za ogi i zaczął krępować postronkiem. Ja vskoczyłem mu na piersi. Bandyta rzu-ał się jak ryba w sieci. Toteż obwią-aliśmy go sznurami i położyliśmy w wińskim korycie. Proszę Wysokiego Są-u, u nas bogacze opowiadali, że Twar-owski może zamienić się w kota, że rzyma z tamtym na księżycu, że ma roń zaczarowaną, więc jak zobaczyłem, e jego pistolet leży u mnie na gnoju, więc sobie raz w górę na „ryzykę" pu-kłem. A byłbym zapomniał powiedzieć: kobietę wysłaliśmy po milicję... Zrobi-łem swoje i tyle, proszę Wysokiego Są-du.

— Jednego łajdaka na świecie mniej— pomyślał wówczas Ratajczak — wspo-minając noce nieprzespane przy pilno-waniu buraków.

*

...Siedząc teraz w mieszkaniu Rataj-czaka ze wspomnień, z notatek, z prze-prowadzonych rozmów chciałem odtwo-rzyć pełną historię jego życia w ostat-nich 10 latach. Trochę zazdrościłem sza-rym dniom pracy, które tu niedostrze-galnie pisały najbogatszy reportaż. Roz-myślania przerwał powrót gospodarza. Ratajczak wrócił od obrządku weselszy, uśmiechnięty i nawet gasząc oborową latarkę powiedział z przechwałką w głosie.

— Koń ma wielki łeb, niech się mar-twi.

Pogadaliśmy jeszcze trochę i poszliś-my spać. Rankiem, skoro świt gospo-darz wyciągnął mnie w pole, ciągnące się równym kawałkiem od budynków aż ku gruntom augustynowskiej spół-dzielni. Ratajczakowa już uwijała się w burakach. Nawet czterech malców z Ra-tajczakowej „piątki" miało już powie-rzone zadania. Każdy z nich trzymał na długim łańcuchu pasącą się zresztą spo-kojnie krowę. W sumie czterech brzdą-ców pilnowało czterech krów. Jałówka chodziła luzem. Ratajczak jakby mając pretensje do całego świata mruknął pod nosem:

— I te dzieciaki muszą harować od rana do nocy. Kobieta, jak to wszystko widzi, grozi, że rozwód weźmie...

Moją uwagę, że w spółdzielni produk-cyjnej wszystkie krowy paść będzie je-den człowiek, gospodarz puścił mimo uszu. Ratajczak wolał mówić o swoich

osiągnięciach. Były one naprawdę piękne. Oto od pierwszych dni maja kosił już bujną ozimą mieszankę. Na to miejsce zasiał teraz lniankę. Liczył, że ten niewielki kawałek pola wyda 20 litrów oleju. I teraz dziwnie szybko przeszedł Ratajczak do drażliwej sprawy przekręconego zobowiązania. Już nie stękał i nie lamentował, a po prostu wskazywał na możliwości rozwiązania. Za tydzień zacznie kopać dwie morgi wczesnych ziemniaków. Po wykopkach na to pole „przyjdzie zaraz mieszanka", „zielona taśma" będzie funkcjonować bez zarzutu. Już teraz Ratajczak zdecydowanie orientował się na to podwyższone zobowiązanie. Do poprzedniego gotów był się nawet nie przyznać. Widocznie tamto nie zaspokajało jego ambicji. Powodem tej zmiany była chyba i augustynowska spółdzielnia. Gospodarz bowiem co chwila podkreślał: Popatrzcie na moje pole i zobaczcie tam za miedzą... Rzeczywiście w burakach trudno było dojrzeć jakiś chwast, ziemniaki obsypane aż miło popatrzyć. A teraz zobaczcie tam... Spółdzielnia powstała dopiero zimą, sąsiadujący z polem Ratajczaka kawałek ziemi należał widocznie poprzednio do kilku właścicieli. Siew przeprowadzony był także nierówno, na nawrotach widać było opuszczone miejsca. Na skraju rdzewiała pozostawiona Bóg wie jak dawno grabiarka. Ratajczakowi to sąsiadujące spółdzielcze pole widać sprawiało więcej kłopotu niż wszystkie inne troski razem wzięte.

— Ja na miejscu przewodniczącego z Augustynowa chyba bym się wściekł, gdybym miał mieć takie pole. — A on zagląda do kieliszka. Skarżą się ludzie w okolicy, którzy mają grunty jeszcze niżej położone, że nie mają wilgoci. Wszystko trzeba robić z głową. Jak chcę w roku przyszłym zebrać dobry plon, muszę już teraz o tym myśleć, a mało kto jeszcze u nas myśli, żeby na zimę dać orkę z pogłębiaczem, zapomina się o włóce. Wywozi się gnój i przeoruje byle jak, aby go tylko wrzucić do ziemi. A ja już słomę na ściółkę przycinam, ziemia ma później lżejszą robotę. Przecież ona też nad plonem pracuje, jak człowiek, trzeba jej pomóc. Wszystko byłoby dobrze — ciągnął dalej Ratajczak — ale roboty tyle, jedno człowiek skończy, już drugie czeka. Wyniki jednak, trzeba przyznać, są. A w spółdzielni — zaczął liczyć — jakby mi tak dali wolną rękę, kilku ludzi do pomocy, maszyny odpowiednie, zaryzykowałbym na naszej ziemi ciągnąć i do 800 q buraków z hektara. Wiem, że to dużo...

Wieczorem poszliśmy na gromadzkie zebranie. Sala była pełna po brzegi. Gospodarze siedzieli z przodu, gospodynie skupiły się bliżej pieca, na parapetach okien, w przejściach między rzędami ławek widać było młodych. Zebranie prowadził mały, ruchliwy nauczyciel przysłany do Rąbczyna z powiatu. Widać spieszyło mu się bardzo, bo mówił szybko, połykając niekiedy końcówki zdań, bo zaraz po zebraniu TWP organizowało odczyt O wnętrzu ziemi. Najpierw poprosił o głos Ratajczak, mówił powoli, z zastanowieniem, powtarzając niektóre wyrazy.

— Musimy wszyscy ciągnąć w jedną stronę. Czy spółdzielcy, czy indywidualni, bo zgoda buduje — niezgoda rujnuje. I widzicie, jak wzięliśmy się w kupę, to aniśmy się spostrzegli, jak kupiliśmy dla naszej szkoły mikroskop. Za co jako przewodniczący Komitetu Rodzicielskiego składam całej gromadzie podziękowanie.

Ratajczak przyjrzał się spółdzielcy z Augustynowa, Janowi Kilińskiemu, i nie przepuścił okazji, żeby nie przypiąć łatki swoim sąsiadom przez miedzę, uczynił to jednak niezręcznie napomykając znowu o burakach.

— ...bo mówimy spółdzielnie, a indywidualni potrzebni. Choćby i ja w swoim gospodarstwie, co roku sieję buraki w

zędy o innej odległości. Chcę spraktyować! Jak mi nie wyjdzie, to najwyżej iebie „uranię“, a w spółdzielni — to krzywdziłbym wszystkich.

Średniak Bąkowski popatrzył pytająo na spółdzielców, i wśród nich słowa atajczaka wywołały poruszenie. Wreszie jeden z nich zgniótł w ręce niedoałek papierosa, rzucił go na ziemię i ie prosząc nawet nikogo o głos zaczął nówić zaczepnie i trochę krzykliwie.

— Proszę towarzyszy... My szanujeny naszego przodującego chłopa, ale z ą spółdzielnią, to mu się trochę pokiełasiło. Jak znacie spółdzielnię w Potazycy, to słyszeliście pewnie i o Ignacu Vyrwasie. Chłop mieszka poza wsią, na ebrania gromadzkie przychodził rzadko. nigdy nie zabierał głosu. Nigdzie nie ależał. Przed kilku laty znalazł na wym polu jakieś inne, daleko dorodniejsze kłosy jęczmienia. Wybrał je i osiał na oddzielnym kawałku ziemi. Z ych kilkunastu kłosów po kilku latach ebrał się worek dorodnego jęczmienia ie posiadającego nawet nazwy. Gdy sieemdziesięciu pięciu chłopów podpisyvało spółdzielczy statut, podpisał go i gnacy Wyrwas. Wniósł wkłady tak jak inni. Pozostawił sobie jednak ten woek jęczmienia. Gdy przyszły siewy, Vyrwas jakby się rozchorował. Mało adł, do żony się nie odzywał ani słovem. Nieraz rozwiązywał worek i na grubiałych od pracy rękach przesypyvał jasne ziarna. W końcu, gdy zobaczył, jakim rozmachem bierze się do pracy nłoda spółdzielnia, sam zgłosił się do rzewodniczącego. — Co jedna głowa, to ie siedemdziesiąt kilka — powiedział. — w spółdzielni agronom stale pod ręką. Przyniosę wam mój jęczmień, tylko żeby o posiać oddzielnie, żeby moja robota ie poszła na marne. — Jak powiedział, ak zrobili. I to, co Wyrwas zaczął na ndywidualnym, jeszcze lepiej prowadzi a spółdzielczym. I Ratajczak nikogo by ie „uranił“, gdyby w spółdzielni różne doświadczenia robił. Każdy by mu jeszcze pomógł.

Gdy spółdzielca usiadł, poderwała się do mówienia również członkini spółdzielni, Główska.

— Mówta sobie, co chcecie, jeszcze u nas nie jest tak, jak ma być. Ale teraz wiem, że żyję. Wpierw chodziłam za robotą od jednego gospodarza do drugiego, miesiącami czekałam za pieniędzmi. Teraz swoje zrobię, dostanę zaliczkę, a potem przy rozliczeniu resztę i nie potrzebuję czyjejś łaski.

Nauczyciel za stołem kręcił się niecierpliwie i co chwila spoglądał na zegarek, obawiał się, że nie zdąży na pociąg. W kącie podniósł się cicho jeden z miejscowych gospodarzy i zaczął naraz mówić o Ratajczaku.

— Z Ratajczaka mamy wielką korzyść. I na mszyce podał nam prosty sposób, i w gazetach od czasu do czasu o Rąbczynie wspominają, ale ja się pytam... Edmund, mów, jak stoisz przed gromadą. Zalegasz z podatkiem?

Ratajczak zrobił się czerwony jak burak. Takiego pytania się nie spodziewał. A tamten zapytał znowu:

— Czemu nie płacisz? Przecież pieniądze masz.

Gdyby taką uwagę zrobił jeden z przeciętnych rąbczyńskich gospodarzy, Ratajczak przyjąłby tę sprawę głębiej. Ale akurat tak się złożyło, że krytykujący zalegał z podatkiem co najmniej parę razy więcej i powód tego był wszystkim w gromadzie znany. Miłość do monopolówki. Toteż zaraz rozległy się jakieś docinki, wrzawa, w której przeciwnik Ratajczaka szybko doszedł do wniosku, że najlepiej będzie wycofać się ku drzwiom.

— Sprzedaj krowę i zapłać... jak brak ci za buraki! — dociął jeszcze zawistnie.

— Ty mnie nie ucz — odkrzyknął mu Ratajczak. — Podatek zapłacę a krowy nie sprzedam. Mam z czego...

I teraz zaczął już wyjaśniać całej gromadzie:

— Widzicie, u mnie ostatnio co rok to prorok. Stale ktoś przyjedzie czy to z Poznania, czy z Warszawy, trzeba, żeby ta gospodarka jakoś wyglądała. Postawiłem nowy płot i szopę. Kupiłem meble i jak to w gospodarstwie — pieniądze się rozeszły. Zalegam jakieś trzy tysiące.

I żeby się za wiele nie tłumaczyć, dorzucił zadzierzyście:

— Za dziesięć dni zacznę kopać ziemniaki, będzie za nie z dziesięć tysięcy... zapłacę.

— Towarzyszu Ratajczak — przerwał mu sekretarz Organizacji Partyjnej, Strzyżewski — nie o to idzie, wiemy, że zapłacicie, tylko czy wypada odkładać spłatę podatku na szary koniec. Przecież na was patrzy wielu.

Ratajczak poczuł na swoich barkach ciężki trud przodownika, zobaczył wpatrzone w siebie kilkadziesiąt par oczu, pomyślał, że tych ludzi nie zaspokoi choćby najpiękniejszymi słówkami.

Tej nocy również nocowałem u Ratajczaków. Noc była parna, mimo otwartych okien dosyć duszno. Nie mogłem prędko usnąć. Naraz z sąsiedniego pokoju usłyszałem ściszony głos Ratajczakowej, której przed chwilą mąż dopiero skończył składanie sprawozdania z gromadzkiego zebrania.

— Ja tam ciebie nie rozumiem. Od dziesięciu lat wykonujesz wszystkie obowiązki, nie mogliby ci dać trochę ulgi? Patrz, kułaki wykręcają się jak piskorze, zwlekają z dziesiątkami tysięcy. A nam przydarzyło się pierwszy raz po wojnie. I to tylko 3 tysiące. Chociaż też ładny grosz, ale nie taki jak u innych.

— Ty tego nie rozumiesz — odparł chłodno Ratajczak.

Urażona gospodyni odwróciła się zapewne do ściany. Słyszałem, jak trzasnęła zapałka. Gospodarz zapalił papierosa. Zaległo długie milczenie. Sądzę, że Ratajczak błądził teraz myślami po swojej miedzy z augustynowską spółdzielnią albo po polu z wczesnymi ziemniakami. Przez uchylone drzwi widziałem jak w ciemnościach żarzył się czerwony ognik papierosa.

*

Niedaleko Rąbczyna, w tej samej gminie Wągrowiec-Północ, bogacz Kozłowski zasypywał GRN dziesiątkami pism i odwołań. Przytaczał całe dziennik ustaw, setki paragrafów, zarzucał biedocie naruszenie praworządności. Te święte oburzenie i zamiłowanie do „prawowania“ się wypływało stąd, że pan Kozłowski poza posiadaniem swojego gospodarstwa dzierżawił od jednego z poznańskich mecenasów kilkanaście hektarów ziemi, którą z kolei z lichwiarskim „narzutem“ oddzierżawił za zboże i odrobki miejscowej biedocie. Urwało się ucho u dzbana, gdy syn jednego z dzierżawców wrócił z wojska, został sekretarzem organizacji partyjnej i — jak pisał Kozłowski: „pierwsze, co uczynił, to podbuntował ojca do zerwania umowy“. Pan Kozłowski poczuł się zagrożony w swoich dochodach, tak samo „zainteresowany“ poczuł się pan mecenas. Obaj wyciągnęli tyle prawnych kruczków i z takim zapałem zapisali wiele kart papieru, że trzeba było pomóc towarzyszom z GRN Wągrowiec-Północ w odparciu tej swoistej kułackiej nawałnicy. Wypadło sprawę załatwić w Wydziale Rolnictwa PRN. Idąc po schodach przypomniałem sobie mimo woli b. agronoma Lewandowskiego, który tak niesławnie odbywał drogę po schodach wągrowieckiego „Metropolu“. Tera wraz z kułackimi kombinatorami Lewandowski odsiadywał karę długoletniego więzienia. Byłem ciekawy, jak wypadnie spotkanie z nowym kierownikiem Wydziału Rolnictwa. W przedpokoju do jego „gabinetu“ zapracowana maszynis

a a zarazem pewnie sekretarka kiwta przyzwalająco głową.

— Wejdźcie!

W dużym, jasnym pokoju o gotyckich nach zastałem dwóch żywo rozmawiaych ludzi. Obaj rozmawiający — ednior olny Ratajczak i przewodniczą- spółdzielni produkcyjnej w Stołężye, Mika — przywitali się i bez wielch ceregieli wskazali miejsce na ławce ok siebie. Krzesło za biurkiem kiewnika wydziału stało puste. Siedzimy, zmawiamy, mija pięć minut, dziesięć, ętnaście. Zacząłem się niecierpliwić. idzę, że Ratajczak i Mika też uśmieają się do siebie.

— Popatrzcie — wzdycham — jaka ata czasu, kierownik sobie gdzieś poedł. A tu czeka nas trzech. Dawno tu teście?

— Ja od samego rana — odpowiada ka.

— Co??

— A tak... i to nie tylko dziś, wczoraj ło tak samo.

— Warto by do gazety skrobnąć, nic się nie zmieniło.

— A jednak — wtrącił się do rozmo- Ratajczak — zmieniło się i to dużo. zecież do niedawna przewodniczący ółdzielni to teraz nasz kierownik wyiału, a i spółdzielni w powiecie osiemiesiąt.

Tęgi, opalony na brąz Mika przeszedł się po pokoju. Schylając się poprawił koniec zawiniętego trochę chodnika. Przyjrzał się kwiatom stojącym na biurku, tak jakby dostrzegł je tu pierwszy raz, chociaż sam zrywał je dzisiaj na łące.

— Widzisz, Ratajczak — mówił powoli — niełatwa z tobą sprawa. Głowę do gospodarki to ty masz, daleko takiej drugiej szukać. I to nawet dobrze, że gdy w spółdzielni sąsiadującej przez miedzę z tobą dzieje się źle, to ty nie możesz usiedzieć na miejscu. A ja, bracie, powiem ci prawdę w oczy... Można by cię nazwać „cukrowym królem", buraki ciągniesz z hektara jak nikt. Ale trochę się boisz, że twoje osiągnięcia rozpłyną się w spółdzielni jak cukier w szklance herbaty. A powinieneś tak jak Szperkowski, powierzono mu w spółdzielni prowadzenie ogrodu — to hoduje kalafiory, z których każdy może iść na wystawę, prawdziwe kolosy. Niektóre po 5 kg. wagi. Ale on nie tylko o ogrodzie myśli, a całą spółdzielnię swoim przykładem ciągnie w górę. A ty powinieneś być z tymi z Augustynowa, nawet dlatego, że tam trudno, że partyjny jesteś...

Ratajczak zamyślił się głęboko.

Wągrowiec — czerwiec.

Maciej Gryfin

VI Zjazd Literatów Polskich

Apel do pisarzy świata

Kraj Rad i kraje demokracji ludowej, już nie deklaratywnie, ale czy nami stwierdziły możliwość współżycia pokojowego obu istniejących dzi na świecie ustrojów. Wymiana handlowa i znaczne ożywienie stosun ków kulturalnych winny przyczynić się do rozładowania sztucznie i jed nostronnie, nie przez nas szerzonych nastrojów wojennych.

Wojna nie może być celem narodów budujących socjalizm, gdyż w bu dowie, a nie w zniszczeniu widzą swoją przyszłość. Nasza akcja poko jowa nie jest grą taktyczną, nie jest obliczona na pokaz, u siebie w domu głosimy hasła pokoju, pragnieniem pokoju przepojone jest życie młodzieży, której dajemy za cel tworzenie wielkich budowli socjalizmu wskazujemy jej drogę do pełnego wyzwolenia człowieka.

Widząc grozę przyszłej wojny zagrażającej straszliwymi środkam zniszczenia samemu już istnieniu życia ludzkiego na ziemi — wzywam naszych kolegów, pisarzy całego świata, do wzmożonego wysiłku w wal ce o pokój. Jednym z podstawowych warunków rozładowania nastrojów wrogich powinno być zaprzestanie szerzenia wzajemnej nienawiści, służenie prawdzie, gdyż kłamstwo i nienawiść tworzą atmosferę sprzyja jącą tym siłom, które w wojnie widzą swe ocalenie.

My, pisarze kraju, który ucierpiał od wojny najgorzej, kraju, na któ rego ziemi na Kongresie we Wrocławiu po raz pierwszy padło hasło międzynarodowej walki o pokój — wzywamy pisarzy Anglii, Francji Niemiec, Włoch, pisarzy Europy i całego świata, aby tak samo jak silna jest ich miłość do swych narodów i do wspaniałego dorobku ich kultur walczyli z reaktywizowaniem ośrodków nienawiści i agresji.

Wzywamy ich do krucjaty przeciw wojnie, do walki o usunięcie z życia narodów wszelkich form zbrojnego załatwiania konfliktów.

Rezolucja VI Zjazdu Związku Literatów Polskich

Po wysłuchaniu referatów i dyskusji Walny Zjazd Delegatów Związku Literatów Polskich, nawiązując do przełomowych uchwał II Zjazdu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, dotyczących w szczególności radykalnego podniesienia poziomu naszego rolnictwa i socjalistycznej przebudowy wsi polskiej, stwierdza, że w wykonaniu tych żywotnych dla narodu zadań konieczny jest jak najszerszy udział pisarzy polskich.

Zjazd oceniając stan naszej literatury pięknej stwierdza, że obok niewątpliwych sukcesów w dążeniu do realizmu socjalistycznego mamy duże braki i niedociągnięcia.

Najważniejszym ogniwem naszej twórczości jest tematyka współczesna. Literatura o tematyce współczesnej nie nadąża jeszcze za rosnącymi potrzebami czytelnictwa mimo wielu cennych pozycji. Za rzadko

idzimy w niej prawdziwy i wyrazisty obraz ludzi budujących socja-
lizm.

Zjazd wyraża pragnienie, aby ten stan rzeczy uległ pomyślnej zmia-
ie. Zjazd zaleca nowowybranemu zarządowi troskę o podniesienie na
yższy poziom pracy ideowo-wychowawczej w środowiskach związko-
ych, zaleca przemyślenie pracy w sekcjach i metod jej udoskonalenia,
aleca zobowiązanie pism związkowych do stałego i głębszego zaintere-
wania się sprawą tematyki współczesnej, zaleca dopomożenie pisa-
om w głębszym powiązaniu ich twórczości z terenem, zwłaszcza wiej-
im. Zjazd zaleca poświęcenie najbliższego rozszerzonego plenum za-
ządu głównego, które powinno się odbyć w styczniu — lutym przyszłe-
o roku, problematyce wiejskiej w naszej literaturze współczesnej.
jazd zaleca poczynienie wszystkich innych kroków, które nowoobrany
rząd główny uzna za wskazane dla odrobienia opóźnień w tej dzie-
zinie.

Walny Zjazd Delegatów Związku Literatów Polskich zwraca się do
szystkich pisarzy polskich z gorącym apelem o bezpośredni udział
w walce naszego narodu pod przewodem Polskiej Zjednoczonej Partii
obotniczej o socjalistyczną przebudowę wsi polskiej, o wychowanie
owego człowieka, o zwycięstwo socjalizmu i humanizmu.

Po Zjeździe Literatów

Literatury nie mierzy się od zjazdu do zjazdu. To rzecz wiadoma. Miarą teratury, jedyną jej miarą są książki. Nie od zjazdu do zjazdu więc, ale d książki do książki. Książki tworzą etapy, milowe słupy, okresy. Nie jest ównież rolą zjazdów ogłaszać programy czy chociażby hasła wskazujące ierunki natarcia. Programy literatury rodzą się w świadomości pisarzy kontaktu z życiem, z rzeczywistością polityczną kraju, a dojrzewają pracy i wysiłku całego narodu. Nie jest również rolą zjazdów pisarzy stalanie proporcji i hierarchii zjawisk literatury. Żadne zjazdy nie wy-ęczą krytyki.

Zjazdy pisarzy spełniają inne funkcje. Konfrontują. Z konfrontacji do-wiadczeń, artystycznych przekonań, załamań i nadziei wyłania się żywe blicze literatury. W toku zjazdowych dyskusji ujawnia się stopień zaanga-owania literatury w sprawy narodu, stopień jej nadążania czy też opóź-nienia w procesie rozwojowym, któremu podlega całe społeczeństwo. Zjazdy wyraźniają potrzeby chwili dzisiejszej. Ujawniają w sposób bezpośredni postawę literatury wobec rzeczywistości.

Obecny, szósty z kolei, Zjazd Literatów miał szczególnie ważne zadanie do spełnienia: skonfrontować doświadczenia i postawy pisarzy Polski Lu-dowej u progu dziesięciolecia.

Omawiając VI Zjazd Literatów Polskich nie wystarczy, jak się na ogół czyni, umieszczać go w cieniu XI Sesji Rady Kultury. To ścisłe zestawie-nie zawęża niesłusznie znaczenie konfrontacji, które miały miejsce na VI Zjeździe Literatów. Psychoza tzw. „nowego kursu" nie zaciążyła bynaj-mniej tak dalece na dyskusji zjazdowej, aby zasłonić inne, nie tylko do-

raźne zadania konfrontacji. Tocząca się w czasopismach dyskusja przedzjazdowa wiele przejaskrawień i przechyleń XI Sesji wyprostowała. Dokonania literatury dziesięciolecia są zbyt oczywiste, by można było przejść nad nimi do porządku dziennego i zaczynać wszystko od nowa, z pozycji, jak proponowano na Sesji Rady Kultury, 1950 roku.

Z samej troski o obiektywizm omawiając ten VI Zjazd Literatów niesposób nie spojrzeć wstecz i nie przypomnieć konfrontacji minionych.

Zjazdy: krakowski, wrocławski, łódzki, zjazdy, które odbywały się w pierwszych latach niepodległości, przypomniane z dzisiejszych perspektyw, jakże wydają się bardzo odległe. Dyskusje tamtych lat odbijały nie tylko konflikty pojęć i postaw moralnych, ale były także terenem walki ideologicznej toczonej z nieprzejednanych zdawałoby się stanowisk. Konfrontacje były równie gwałtowne, jak zielone. Pojęcie realizmu w literaturze, ujmowane niekonkretnie, wiecznościowo jeszcze, z iluż spotykało się zastrzeżeniami. Realizmowi przeciwstawiano psychologizm, co miało być przedłużeniem na terenie literatury walki dwóch postaw — „socjalistycznej i liberalnej". Jakże daleko było wówczas do samego postulatu realizmu socjalistycznego!

Zjazd szczeciński (1949) miał charakter przełomowy. W tym sensie uproszczonym, w jakim w ogóle zjazd może być przełomowy. Procesy polityczne, które dokonały się w kraju, ugruntowanie się władzy ludowej, rozpoczęcie realizacji wielkiego planu odbudowy i przebudowy ekonomicznej struktury — wszystko to sprzyjało wzrostowi świadomości ideologicznej. Wytknięcie jasnej, wyraźnej drogi do socjalizmu sprawiło, że realizm socjalistyczny stanął przed pisarzami jako program polskiej literatury. Program bardzo uproszczony jeszcze, ledwie że sprowadzony do hasła. Daleko mu było wówczas do tej złożoności, jaką dzisiaj w świadomości ogółu pisarzy posiada. Jednak już zjazd szczeciński odwrócił zasadniczo proporcje wartości. Już zjazd szczeciński postawił w defensywie grupę pisarzy idealistów, którzy swoją drogę w przyszłość poprowadzili bocznym torem literatury. Szeroka droga w przyszłość ogółu pisarzy polskich — miała prowadzić w kierunku realizmu socjalistycznego.

Zjazd warszawski 1950 roku zarejestrował dalsze pogłębianie się w świadomości pisarskiej nurtu ideologii realizmu socjalistycznego. Pierwsze warszawskie konfrontacje (z 1950 r.) ukazały już trudności i złożoność procesu dojrzewania realizmu socjalistycznego. Z jednej strony próby mechanistycznej adaptacji metody realistycznej, które dały pierwsze półfabrykaty literatury, faktografię, tzw. „produkcyjniaki". Z drugiej strony wyłaniające się już niebezpieczeństwo przerysowań naturalistycznych. Były to nieuniknione ułatwienia i nieuniknione niebezpieczeństwa. Nowa literatura stawiała na obranej drodze pierwsze kroki trochę na ślepo. Mimo że istniały wzory. Wzory literatury radzieckiej. Literatura radziecka, współczesna powieść radziecka przyczyniła się wybitnie do sfermentowania problematyki artystycznej. Pod jej natchnieniem zaczęły wschodzić pędy nowego. Wzory literatury radzieckiej wyznaczyły kierunek walki. Doświadczenia jednak pisarzy, kontakt bezpośredni z życiem nie mogły obyć się bez własnych niepowodzeń i błędów. Mimo błędów jednak, jak dzień dzisiejszy pokazał,

ierunek natarcia był słuszny, prowadził w stronę rzeczywistości politycz-
ej kraju, w stronę nowego w najszerszym pojęciu.

Minione pięciolecie (licząc od zjazdu szczecińskiego) — to okres bujnego
ozwoju ideologii artystycznej. Nie tu miejsce na wymienienie trwałych
vartości literackich powstałych w tym okresie. One są już owocowaniem
deologicznego dojrzewania literatury. W krew całej literatury, bez względu
ıa stopień doskonałości kształtu artystycznego, weszła już bowiem prawda
ı tym, że życie jej i rozwój zależą od związku z rzeczywistością. W krew
ałej literatury weszła prawda o służbie społecznej pisarza, o jego zaanga-
owaniu w sprawę socjalizmu. Walka o tematykę współczesną, toczona
d 1950 roku, to przeniesiona na teren literatury walka o wychowanie no-
wego człowieka, o odbudowę kraju, dobrobyt i pokój. Dzisiaj na progu
dziesięciolecia literatura polska posiada w takim stopniu, w jakim nie
miała nigdy, poczucie swego nierozerwalnego związku z życiem narodu.
Posiada w stopniu nieznanym jej nigdy jeszcze poczucie wagi swego po-
wołania w skali narodowej i w skali ogólnoludzkiej. Zaangażowanie po
łusznej, sprawiedliwej, słonecznej stronie świata daje polskiemu pisarzowi
ę żarliwość, jaką tylko głęboka, niezachwiana wiara we własną użytecz-
ność dać może.

Nie tylko najpiękniejszym, co podnoszono powszechnie, ale i najistotniej-
szym, najbardziej ważkim głosem pisarskim na VI Zjeździe Literatów było
przemówienie Jarosława Iwaszkiewicza. Wobec powagi jego słów zacichły
pogłosy XI Sesji Rady Kultury, zmalała ważność toczonego sporu z admi-
nistracją kulturalną, wywietrzał patos wołania o prawo do nowości. Iwa-
szkiewicz mówiąc o *wielkiej roli pisarza polskiego, który obok pisarzy ra-
dzieckich, obok pisarzy chińskich jest trzecią grupą pisarską, na którą się
zwracają oczy całego postępowego świata,* ukazał więź łączącą literaturę
polską z walką o pokój, o szczęście ludzkości. *My nie piszemy tylko dla
siebie. Ta wielka szansa przypadła naszemu pokoleniu w udziale, w prze-
ciwieństwie do naszych poprzedników — biedaków z ubiegłego stulecia,
jak na przykład biedna Orzeszkowa, która gdzieś w Grodnie, w zakamarku
musiała sama wysnuwać swoje myśli i swoją ideologię. Jesteśmy teraz
wszyscy w innej sytuacji. Piszemy dla całego świata i odpowiedzialność
nasza za każde słowo powinna być tym większa...*

Pisarz polski nie tworzy w oderwaniu, pisarz polski nie musi sam wysnu-
wać swojej ideologii — to stwierdzenie Iwaszkiewicza donośniej niż ana-
lizy dokonań dziesięciolecia mówi o sytuacji panującej w naszej literaturze.
Pisarzy polskich, mimo wszelkich różnic artystycznych, mimo przedziałów
światopoglądowych, łączy — i o tym przede wszystkim Zjazd zaświadczył —
jeden wspólny cel: wraz z całym narodem budowa przyszłości, budowa
socjalizmu.

O tej więzi nierozerwalnej łączącej cały naród pięknie świadczy wystą-
pienie na Zjeździe Zygmunta Lichniaka, krytyka i publicysty katolickiego.
Lichniak apeluje o klimat literatury odpowiadający *uznaniu, zrozumieniu
i ukochaniu łącznego celu, któremu różnymi sposobami, na różnych odcin-
kach naszego życia wspólnie służymy.*

Ta wspólna postawa wobec rzeczywistości, wobec zasadniczych celów

stojących przed literaturą przebijała przez wszystkie bez wyjątku spory, konflikty i zapalne miejsca literatury, które wystąpiły w konfrontacjach zjazdowych. Julian Przyboś wołający o prawo do nowości, Mieczysław Jastrun występujący przeciwko literaturze przeżutej i ułatwionej, Jerzy Putrament wzywający do bliższych związków z terenem, Melania Kierczyńska domagająca się przede wszystkim od literatury odbicia współczesności — wszyscy, ofensywni czy defensywni, stali na tych samych pozycjach. Przynajmniej we własnej intencji.

Rzecz prosta nie intencje są decydujące. Przybosiowy postulat nowości wbrew intencjom poety miał właśnie charakter wiecznościowy, niekonkretny, oderwany. Nawet bardzo zdawałoby się starannie odmierzony cel jego wystąpienia — atak na biurokrację kulturalną — sprowadzał się do atakowania zewnętrznej strony zjawiska istniejącego, do atakowania redaktorów, „popsujów", tych zaledwie narzędzi, wiatraczków atmosfery. O ileż precyzyjniej analizuje złożoność „grozy Apokalipsy" Tadeusz Drewnowski. Przeciwstawiając się mitologizacji „majaków" Drewnowski dokonuje próby klasyfikacji błędów interpretacyjnych realizmu socjalistycznego, które zaciążyły na atmosferze i rozwoju literatury w wymienionym pięcioleciu:

Było to — fałszywe interpretowanie marksistowskiej teorii odbicia w sztuce jako kalkomanii rzeczywistości, interpretowanie tej teorii w duchu wrogiej nam estetyki naturalistycznej.

Było to — zapoznawanie osobliwości literatury jako dźwigni wychowania społecznego, opatrzne traktowanie dydaktyki literatury w duchu wąskiego utylitaryzmu, będące samobójstwem sztuki.

Było to — identyfikowanie metody realizmu socjalistycznego ze stylem w sztuce, obwoływanie realizmu socjalistycznego jako swoistego „kazionnego" monostylu, który może być potrzebny w kancelaryjnej biuralistyce, lecz jest nie do zniesienia w sztuce...

Było to — rozumienie postulatu krzewienia nowego życia w literaturze jako postulatu przedstawiania jakiejś sielanki przyszłości, nic lub mało mającej wspólnego z surową lecz piękną rzeczywistością. Było to więc rozumienie perspektywy socjalistycznej, rozumienie pozytywnego bohatera, rozumienie optymizmu w sztuce w duchu bezkonfliktowości...

Kiedy nie umiemy uświadomić sobie do końca i zrewidować popełnionych błędów, dopuszczamy myśl o wyrzekaniu się samych założeń, a więc myśl — jak wiadomo — z gruntu błędną. Jeśli nie umiemy w dyskusji uściślać naszych pojęć i założeń, wtedy zjawia się najgorszy doradca, rodem z zatrutych administratorstwem mózgów, podsuwający zamiast dialektyki walki, dialektyki poszukiwań — dialektykę przykręcania i odkręcania śruby podatków, jakimi literatura ma być rzekomo obciążona. A wtedy ogólne mądre wskazania polityki kulturalnej naszego państwa zaczyna nam przesłaniać politykierstwo kulturalne. Mądrą hierarchię pożytku społecznego literatury zaczynają zamącać chwilowe koniunktury, giełdziarskie haussy i baissy.

Istniejące przeszkody obiektywne, do których należy także biurokracja kulturalna, nie przesłoniły jednak na Zjeździe istotnych wewnętrznych

rzyczyn hamujących lub skrzywiających rozwój literatury. Tym hamulem wewnętrznym paraliżującym świadomość pisarską jest niedostateczny związek pisarza z bujnym otaczającym go życiem, niedostateczne przyswojenie sobie przezeń celów i zadań literatury. *Wszyscy musimy pamiętać* — mówił Lucjan Rudnicki — *że podporą naszej kultury jest ciężka praca rolnika i robotnika przemysłowego. To jest podstawa kultury.* Te słowa Lucjana Rudnickiego otwierają olbrzymie perspektywy. Ujął je w podsumowaniu dyskusji Kazimierz Brandys. *Mówiąc o prawdzie elementarnej, jaką jest wolność artysty, wolność wyobraźni, pamiętajmy, że istnieją inne prawdy elementarne, jak ta, że czytelnik nasz żąda od nas spłacenia zaciągniętego długu, ukazania w naszej twórczości pozytywnych bohaterów żyjących obecnie w Polsce Ludowej — robotników, pracowników naszej ojczyzny.*

Tematyka współczesna nie jest dzisiaj ledwie postulatem. Już na zjeździe warszawskim z 1950 roku sprawa literatury dnia dzisiejszego była polem konfrontacji. Droga do powieści współczesnej została przetarta. Mamy książki współczesne, które nie są już tylko „produkcyjniakami". Ale zagadnienie literatury współczesnej w dosłownym sensie tego słowa stanowi dzisiaj i stanowić będzie jutro środek ciężkości ideologii artystycznej. *Co jest dzisiaj* — mówiła Melania Kierczyńska — *centralnym ogniwem, bez którego, jeśli za nie nie uchwycimy, nie popchniemy naprzód naszej literatury? Takim centralnym ogniwem jest dziś literatura mówiąca bezpośrednio o sprawach naszych przemian, o sprawach naszego dnia dzisiejszego.*

Ten postulat wyznaczający od roku 1950 drogę rozwojową literatury ma w roku 1954 inny, głębszy, bardziej złożony niż przed czterema laty sens. Literatura, wszedłszy na drogę współczesności, już z niej nie zejdzie. Tematyka historyczna jest już właśnie w roli petenta. O jej docenienie *w imię wszechstronności naszego pola widzenia* występował Michał Rusinek. Nie ma i nie może być mowy o odwrocie. Ale zagadnienie literatury współczesnej nie sprowadza się już do samej tematyki tylko. Zagadnienie to obrosło schematem i niejednym już nieporozumieniem. Przed pisarstwem sięgającym do współczesności stoi cały świat odkryć, cały świat nowości. Właśnie!

Najtrudniejsze — mówił Jerzy Putrament — *byłoby zobaczyć to, co się rozwija, co jest dziś być może małe jeszcze, te elementy świadomości socjalistycznej, które są u wielu ludzi dopiero w zaczątku. Zobaczyć tak, ażeby pokazując je zrównoważyć te wszystkie obumierające formy świadomości ludzkiej, których jest jeszcze tak dużo.*

Wiktor Woroszylski mówiąc o powieści współczesnej dostrzega na materiale konkretnym niebezpieczeństwo *specyficznej odmiany bezkonfliktowości, która trwa w naszych dziełach i wydatnie przyczynia się do zniekształcenia w nich dialektycznego obrazu współczesności... Rzecz polega na tym, że pozorne zaostrzenie konfliktu (zamiast pospolitej świni — demon) w istocie likwiduje konflikt nowy, powszechny, trudny do rozwiązania na rzecz konfliktu rzadkiego, nieinstruktywnego dla czytelnika, schematycznego, zmierzającego do łatwo dających się przewidzieć rozwiązań. Ten drugi ma zresztą pewną przewagę nad pierwszym, tę mianowicie, że*

w swoim odwołaniu się do wrogości postaci negatywnej, do jej związków z imperialistyczną dywersją wydaje się być bardziej niewątpliwy politycznie, niż ryzykowny na pozór wariant, kiedy obiektywny szkodnik jest jednocześnie lojalnym członkiem Partii. Ale właśnie obawę przed takim konfliktem i zwekslowanie go — skłonny jestem uważać za swoistą odmianę schorzenia bezkonfliktowości...

Do zagadnienia literatury dzisiejszej, związanej z bieżącym życiem narodu, wnieśli interesujący materiał własnych doświadczeń Helena Bobińska, Władysław Kowalski, Jacek Bocheński, Bogusław Kogut, Seweryna Szmaglewska i Józef Hen. W tej samej sprawie — odbicia współczesności w satyrze — wypowiadali się Jan Huszcza i Zbigniew Mitzner, który zresztą zbytecznie wyolbrzymiał poczucie niższości ważnej dziedziny literatury.

Sformułowania Putramenta i Woroszylskiego, obok analizy błędów interpretacyjnych realizmu socjalistycznego dokonanej przez Drewnowskiego, wniosły interesujący, ważki materiał, który przyczyni się do pogłębienia naszej krytyki literackiej. Nasza myśl krytyczna zawdzięczać będzie wiele cennemu referatowi Konstantego Simonowa, który przedstawił toczącą się obecnie w Związku Radzieckim wielką dyskusję literacką poprzedzającą jesienny zjazd radzieckich pisarzy. Również wypowiedzi André Wurmsera i Nazima Hikmeta miały poważny ładunek ideologiczny.

*

Drugi Zjazd Partii, stawiając przed narodem jako pierwszy, główny cel wysiłków przeobrażenie wsi polskiej, zobowiązał wszystkich do pracy na tym polu. Literatura, która siły do życia czerpie ze wskazań Partii, nie może nie skorzystać z tej okazji, aby ściślej zespolić się z narodem. Zjazd Literatów sprawie tej poświęcił stosunkowo niewiele miejsca. Duży tematycznie zakres obrad zjazdowych — sprawy dziesięciolecia, sprawy tematyki współczesnej w ogóle, sprawy kryteriów realizmu socjalistycznego — uniemożliwił gruntowną analizę zadań czekających literaturę na odcinku wiejskim. Sprawa tematyki wiejskiej padała w wielu przemówieniach. Zahaczył o nią Putrament. Z interesującymi, trafnymi uwagami o powierzchownej, nijakiej znajomości zagadnień wiejskich przez ogół pisarzy wystąpił Bogusław Kogut. Były to jednak uwagi fragmentaryczne. Sprawie wsi, sprawie odbicia jej konfliktów w literaturze zostanie poświęcona specjalna narada.

*

Konfrontacje VI Zjazdu Literatów dały bogaty materiał do przemyśleń. Życzliwa atmosfera Zjazdu sprzyjała szerszemu, otwartemu stawianiu spraw. Nie unikano spraw drażliwych. Przejaskrawienia, nieuniknione w żywej, bezpośredniej dyskusji, sprzyjały rozładowaniu wielu narosłych od czasu psychozy „nowego kursu" kompleksów. Sprawa pogłębienia związku z życiem narodu przeważyła wszystko inne. Literatura polska do-

konalszymi, bliższymi narodowi dziełami odpowie na apel Partii wyrażony przez Edwarda Ochaba:

Wielka literatura i sztuka może się rodzić tylko w największym związku z życiem, w służbie dla ludu, w ogniu walki o wielką ludową sprawę. Dlatego też wydaje się nam rzeczą słuszną, że my — żołnierze PZPR, spotykamy się z Wami, partyjnymi i bezpartyjnymi przedstawicielami naszej literatury pięknej, walczącej o wspólne nasze socjalistyczne ideały, widzimy w Was braci żołnierzy wielkiej robotniczej sprawy, głęboko narodowej i zarazem międzynarodowej...

Śmiało stawiajcie w swej twórczości trudne problemy naszego burzliwie rozwijającego się życia, oświetlajcie głębokie przemiany i dramatyczne konflikty w stosunkach między ludźmi, w walce nowego ze starym w duszy człowieka i w świadomości mas ludzkich.

*

To omówienie VI Zjazdu Literatów nie jest i nie może być podsumowaniem zjazdowej dyskusji. Dyskusja bowiem nie została ani wyczerpana, ani zamknięta. Toczyć się będzie nadal. Pogłębienie teoretyczne zagadnień współczesności, jak również — jak przede wszystkim — nowe dzieła literatury będą dopiero dopełnieniem zjazdowych konfrontacji.

Zbigniew Bieńkowski

KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI

Pisarz w terenie

Trzy i pół roku temu w Nowej Kulturze Tadeusz Borowski wydrukował obszerny artykuł pod tytułem Pisarz w terenie. Artykuł był pełen właściwej Borowskiemu werwy. W zakończeniu obiecywał, że plon wielkiej akcji wyjazdów w teren w jednym tylko roku 1951 zamknie się bilansem: 38 powieści współczesnych, 16 tomów opowiadań współczesnych, 6 tomików poetyckich, 4 sztuki teatralne. Budżet ten jednak nie został zrealizowany. Lata następne nie potwierdziły optymizmu, jakim Borowskiego napawał fakt, że w 1950 roku osiemdziesięciu pisarzy wzięło udział w akcji wyjazdowej. Ale Borowski trafnie przewidział, że akcja wyjazdów w teren stanie się dla literatury naszej jakimś progiem.

Jak ta sama impreza wygląda w piątym roku jej realizacji? Piąty już bowiem raz pisarze wspomagani stypendiami wyruszają w tzw. teren. Wyjazdy te mają już swoją historię. Wiele nad nimi dyskutowano. Doczekały się nawet kilku pomników literackich: dramaturdzy nasi aż dwakroć wprowadzili na scenę pisarza w terenie, raz nieudanie (w sztuce Rojewskiego Tysiąc walecznych) i raz bardzo zgrabnie (w Takich czasach Jurandota). Akcja wyjazdów terenowych doczekała się owoców: z nią łączy się powstanie Przy budowie oraz Władzy Konwickiego, Lewantów Brauna, Pamiątki z Celulozy Newerlego; z takiego pobytu w terenie powstały Mądre zioła Żukrowskiego i nowa powieść (dopiero skończona) Witolda Zalewskiego. A lista ta daleka jest od kompletności.

Mimo tak istotnych — „tytułowych" — argumentów istnieje niemała grupa osób interesujących się tym zagadnieniem, którzy kwestionują celowość centralnego organizowania akcji wyjazdów pisarzy w teren; uważają oni, że wysiłek organizacyjny i materialny włożony w doroczne przeprowadzanie takich akcji jest niepotrzebny. Twierdzą oni, że Pamiątka z Celulozy, Lewanty czy Władza bez subwencji terenowych zostałyby również napisane, tak jak napisane zostały Zgodnie z prawem czy Dziadowska miłość. Rzetelny pisarz — twierdzą przeciwnicy stypendiów — żadnej zachęty nie potrzebuje.

O co jednak głównie w tej całej sprawie chodzi?

Nie można wyobrazić sobie powieści w pełni współczesnej, w której autor ograniczyłby się wyłącznie do środowiska inteligenckiego i to inteligencko-mieszczańskiego, to znaczy środowiska znanego mu doskonale z autopsji, z wieloletniego w nim życia. Najbardziej istotne, naprawdę nowe przemiany dokonywują się właśnie poza tym środowiskiem — wśród robotników, na wsiach, u młodzieży. Powieść współczesna powinna omawiać i ukazywać te właśnie nowe zjawiska, nowe problemy, nowe elementy naszego życia. Nie może zajmować się ona wyłącznie marginesem. A nawet wówczas, gdy autor poświęca ją całkowicie tematowi inteligencji pracującej, to bez znajomości innych środowisk — na nasze, inteligenckie środowisko oddziaływających — jej problematyka będzie płaska, jej treść kaleka. Dlatego pisarz w pełnym znaczeniu tego słowa współczesny musi bardzo poważnie poszerzyć krąg swych społecznych doświadczeń. Do tej pory literat czerpał co najmniej tyleż

przeżyć osobistych, co z lektury książek, co z tradycji obyczajowej przekazywanej mu w kulturalnym spadku. Literatura mieszczańska nie przekaże mu jednak żadnej prawdy o człowieku czasów budowy socjalistycznej; literatura radziecka, opisująca kraj o bardzo specyficznych warunkach geograficznych i politycznych, tylko w pewnym stopniu ułatwia nam zadanie. Brak nam zresztą nie tylko znajomości nowego człowieka, brak nam znajomości nowych sytuacji społecznych, nowych konfliktów. Jan Kott pisał kiedyś bardzo słusznie o konfliktach socjalistycznych ludzi naszej epoki. Trzeba więc dokładnie poznać te zasadnicze konflikty, trzeba je w pełni zrozumieć — dopiero wtedy wyobraźnia pisarza może skutecznie pracować. Nie tak dawno słyszeliśmy głosy kwestionujące skuteczność zdobywania wiedzy o nowej klasie i nowym społeczeństwie przez człowieka wychowanego w starym społeczeństwie, będącego dzieckiem klasy kończącej swą historyczną rolę. Być może, iż mówiący tak mają pewną rację — być może najwięksi pisarze nowej epoki będą się rekrutować spośród pokolenia urodzonego i wychowanego w zupełnie nowych warunkach. Ale czy wolno nam w imię literatury przyszłej — która jak każda literatura nie powstaje z niczego! — uchylać się od obowiązku pisarskiej walki o człowieka współczesnego, pisarskiej walki o najlepszą literaturę współczesną? Oczywiście, że nie. A literatura współczesna to znajomość spraw, ludzi i konfliktów poza kręgu mieszczańsko-inteligenckich doświadczeń. Znajomość, której się nie otrzymało w żadnym spadku, którą trzeba samemu zdobyć. A zdobyć ją można tylko w... terenie.

Teren to przeraźliwie modne i niepokojąco wieloznaczne słowo, nadużywane w żargonie biurokratycznym, dziejące cały świat wokół nas na „centralę“ „teren“. W zjednoczeniu przemysłowym słowa te mają treść bardziej oczywistą niż w słowniku literackim. Gdzie dla twórcy jest owa „centrala“ i gdzie jest ów „teren“? Oto pytanie!

Marian Brandys jeżdżąc do Nowej Huty na pewno przebywał w terenie, ale czy Kazimierz Brandys przez wiele dni obserwujący budowę pierwszej partii domów MDM-u tego terenu nie oglądał? Czy geografia jest tutaj najważniejszym wyznacznikiem? „Centrala“ w pojęciu pracy pisarskiej właściwie nie istnieje. Terenem jest w zasadzie wszystko, gdyż wszystko — sąsiedni dom i własna ulica również — są obiektem nowego, powstającego życia.

Sformułowania, jakie niedawno padły na pewnej publicznej dyskusji — kwestionujące jakoby słuszność naszych terenowych kontaktów — wywołały falę replik w młodym pokoleniu pisarskim. Tak się złożyło, że równocześnie na tapecie przedzjazdowych dyskusji pojawiła się sprawa powieści tzw. produkcyjnych. Zostały one srogo skrytykowane. Nie zawsze zresztą sprawiedliwie. Przy czym niejednokrotnie owi „antyprodukcyjni“ Zoilowie nie omieszkali zapomnieć, jak bardzo wiele zawdzięcza nasza nowa literatura temu, że tzw. „powieści produkcyjne“ zostały napisane, gdyż one to były taranem wyważającym drzwi nowej tematyce. Nie przypadkiem równocześnie zaczęto mówić o powieściach produkcyjnych i o wyjazdach w teren. Powieść produkcyjna — powieść o pracy ludzkiej — nie obejdzie się bez znajomości spraw spoza kręgu inteligencko-mieszczańskich doświadczeń.

Najpospoliciej obserwowaną formą kontaktów terenowych są tzw. wyjazdy. Pisarz na dłuższy lub krótszy przeciąg czasu udaje się do jakiejś fabryki, wsi, instytucji. Obserwuje jej życie, bada jej problemy, poznaje ludzi. Inaczej niż reporter obserwuje tę społeczność. Inaczej — gdyż zupełnie inne sprawy inte-

resują pisarza, inne reportera. Zupełnie innymi oczami patrzą oni na ten sam obiekt. Dlatego niesposób spełnić postulatu Mariana Brandysa, by pisarze przebywający w terenie zużywali swe doświadczenia — przed napisaniem powieści — w formie reportażu. Pisarz wyjeżdżający z fabryki może nic nie wiedzieć o zakresie i technologii produkcji (co jest właśnie balastem złych powieści produkcyjnych), o organizacji pracy, nie zna nazwisk osób pracujących — to wszystko interesuje reportera. Pisarz szuka faktów ilustrujących konflikty socjalistyczne, a nie maszyn, szuka żywych ludzi, a nie metryk.

W fabryce celulozy przebywał czas jakiś Newerly. Na gdańskiej stoczni uwijał się Braun. Jarochowska prawie rok mieszkała w spółdzielni produkcyjnej. Zalewski nieustannie odjeżdża i wraca do swej Przypisówki. Ściborr-Rylski pracował w kopalni, a potem w „Ursusie". Konwicki jeździł do huty szkła w Piotrkowie. Brandys przed napisaniem Obywateli przebywał wiele na budowie MDM-u, uczył czas jakiś w szkole, a może nawet w „terenowym" celu podjął się pisania cotygodniowych felietonów w Życiu Warszawy. Breza przesiadywał miesiącami w małym porcie bałtyckim. Marian Brandys mieszkał kilka miesięcy w Gołotczyźnie, wśród Koreańczyków, potem jeździł na obozy harcerskie... Ryzykuję twierdzenie, że nie mamy ani jednej powieści współczesnej, która by nie powstała jako rezultat ścisłych uprzednich związków z terenem. Każdy bowiem rzetelny pisarz odczuwa konieczność kontaktu z nowym życiem, kontaktu, jaki naprawdę może uzyskać tylko i wyłącznie oddalając się z własnego zawodowo-towarzyskiego zespołu.

Co jednak odróżnia kilka wymienionych powyżej przykładów — od szerokiej fali corocznych wyjazdów w teren?

Odróżnia je z góry uplanowana celowość podejmowanego wysiłku poznawczego. Pisarz powinien mieć książkę w głowie — to znaczy znać problem swej powieści i jej zamierzony sens — zanim wybierze sobie teren, na jaki chce pojechać. Pisarz musi wiedzieć, do czego mu wyjazd ma służyć. Może się wtedy okazać — jeżeli ta świadomość jest w istocie pełna — że środowisko, które chce poznać w obcych miastach, posiada pod ręką, we własnym mieście. Jeżeli bowiem za słuszną uznamy tezę, że literatura nie jest historią fabryk, nie jest reportażem, nie jest fotografią — to prawdy o ludziach budujących nowe miasta wcale niekoniecznie należy szukać w Nowej Hucie. Brandysowi wystarczyło właśnie MDM. Poznanie terenu nie oznacza rozszyfrowania siatki autentycznych ulic, ale zrozumienie problemów, jakimi ludzie żyją. Stosunkowo niewielka przestrzeń naszej ojczyzny sprawia, iż większość zasadniczych, węzłowych problemów jest problemami równocześnie wszystkich ludzi. Jeżeli się głęboko zna psychikę człowieka, jeżeli się głęboko rozumie istotę przemian politycznych zachodzących w Polsce — można napisać świetną powieść o wsi nie znając słownika rolniczego. Odwrotnie: gruntowna znajomość tzw. realiów życia wsi połączona z kiepską znajomością problemów politycznych i społecznych jak dotąd rodziła jedynie powieści schematyczne. Nie znaczy to, bym autorów piszących o wsi odstręczał od przebywania na wsi, ale znaczy to, że nie każdy wyjazd w tzw. teren może dobrze służyć sprawie literatury. Są bowiem wyjazdy przedwczesne, są wyjazdy formalne, są wyjazdy podobne do błąkania się ślepca w obcym mu zupełnie mieście.

Niektórzy pisarze skorzystali z urządzanej przez ministerstwo akcji wyjazdów w teren. Inni organizowali sobie kontakty z terenem poza tą akcją. Upierać się będę, że Newerly i tak by trafił

o Włocławka, a Braun do stoczni czy onwicki do Piotrkowa — gdyby im ikt w ministerstwie nie pomógł. Tak ak nikt nie pomagał Ściborowi-Rylziemu czy Jarochowskiej. Natomiast zeba zauważyć, że niepokojąco wiele isarzy, jacy przewinęli się przez akcję yjazdową — nic poza oficjalnymi wymaganymi sprawozdaniami nie złoyło, albo też to, co potem napisali, ma goła problematyczną wartość literacką zamiast być książką do czytania, staje ę wyłącznie jednonakładową pozycją ydawniczą. Oczywiście zawsze się tak zieje, że wśród dużej ilości drukowaych książek jedynie kilka przekracza róg jednego wydania, a jeszcze mniej zyskuje poklask krytyki i czytelników; noże należy honorować tezę, że dopieo istnienie takiej przeciętnej, średniej teratury o charakterze jednak współzesnym stanie się gruntem, na jakim ykwitną okazałe dzieła.

Osobiście uważam, że w 1950 r. — roku jej zainicjowania — akcja wyazdowa była konieczna i dobroczynna. Była konieczna w roku następnym w jeszcze dalszym. Była konieczna jao pchnięcie pisarzy na nowe szlaki, okazanie im kraju, który nie zawsze nali; było to podsunięcie im kierunku isarskiego marszu. I dlatego nie jest noże przypadkiem, że znakomita większość tych wybitnych pozycji naszej rozy, jakie służą nam dziś, by dokunentować niezbędność takiej akcji — ochodzi właśnie z pierwszego okresu yjazdowego. W pierwszym rzucie akcji wyjazdowej skorzystali ci pisaze, którzy odczuwali już przemożną onieczność kontaktu z „terenem", któzy potrzebowali tego dla powstających w nich i już istniejących zamysłów wórczych. Oni by i tak pojechali w ten teren" — ale tutaj skorzystali z okazji. Słabiej natomiast wypadła ta akcja w latach następnych, gdy już stała się ona przejawem jakiejś koniunktury, gdy zaczęli z niej korzystać pisarze nie umiejący potem swych doświadczeń terenowych przetopić w prozę czy wiersze, może właśnie dlatego, że szukali oni tego „terenu" bynajmniej nie z wewnętrznej potrzeby twórczej i bynajmniej nie w związku z już ułożonym planem pisarskim, ale sądząc, iż „teren" natchnie ich, niczym duch święty, pomysłami, tematami, ogniem twórczym. Ich wyjazdy w teren nie były ukoronowaniem czy dopełnieniem pełnego zżycia się z problematyką Polski Ludowej, ale przeciwnie — w najlepszej zresztą wierze — miały one to zżycie się albo inicjować, albo wzmocnić. Pisarz, który co dzień i stale nie żyje pełnym życiem własnego społeczeństwa, pisarz, który nie widzi stale wokół siebie bogactwa problematyki i konfliktów dni dzisiejszych — nie dostrzeże ich nawet zmieniwszy na kilka tygodni miejsce zamieszkania.

W dyskusji, jaka toczyła się w okresie Zjazdu — sprawa pobytu pisarzy w terenie zabierała wiele miejsca. Wszyscy dyskutanci podkreślali wagę i absolutną konieczność wyjścia poza własne środowisko inteligenckie. Wszyscy uznawali konieczność przebywania w terenie. Mało kto jednak stanął specjalnie w obronie obecnego systemu organizowania dorocznych akcji wyjazdowych, gdyż nazbyt wyglądają one na „doprowadzanie" pisarzy do owego, jakby wydzielonego z naszego codziennego życia, „terenu". To jest trochę prowadzenie za rękę — dobre dla młodzieży, a mało szczęśliwe wobec pisarzy świadomych przecież swych obowiązków artystycznych i obywatelskich.

Istnieje sto dobrych i słusznych powodów, by w trakcie powstawania dzieła literackiego służyć pisarzowi pomocą, nawet materialną. Za właściwe uważam stypendia przyznawane na określone dzieła twórcze — warunkowanie ich jednak jakimiś rygorami tereno-

wymi jest śmieszne i freblarskie. Literaturę tworzą ludzie dorośli. Dorosłemu człowiekowi można pomóc, ale nie trzeba go prowadzić za rękę. Trzeba natomiast od takiego dorosłego człowieka wiele wymagać.

Należy wymagać od pisarzy gruntownej znajomości spraw, o jakich piszą, żywej i ciekawej twórczości o tematyce współczesnej oraz należy bezwarunkowo zaprzestać forowania książek słabszych tylko ze względu na ich temat.

Należy wymagać od autorów gruntownej znajomości życia współczesnego — ten warunek *sine qua non* zawiera w sobie już warunek przebywania w terenie. Specjalna „akcja terenowa" stwarza jednak sugestie, iż teren istnieje poza obrębem rodzinnego miasta — i to rozumianego zupełnie dokładnie i dosłownie, administracyjnie. Czytałem podania o stypendium terenowe pisarzy mieszkających w Krakowie, którzy pragnęli je uzyskać, by pisać wiersze o... Nowej Hucie. A tymczasem teren istnieje wszędzie i uczestnictwo w życiu terenu musi być dla pisarza podyktowane nie względami stypendialnej koniunktury, ale głęboką troską o własne powołanie społeczne. .

Niedawno jeden z aktywnych pisarzy został przewodniczącym Stołecznego Komitetu Frontu Narodowego. Wiem, że wielu pisarzy bierze czynny udział w pracach zespołów poselskich swego miasta czy województwa. Wiemy, że są inni pisarze, którzy nie stronią od najpełniejszego uczestnictwa w życiu swego społeczeństwa. Zdobywają oni w ten sposób ogromny zasób wiadomości, jakie się im przydają w ich pracy zawodowej, twórczej. Natomiast nie jestem pewien, czy jakakolwiek maskarada zawodowa daje pożyteczne rezultaty. Słyszeliśmy o pisarzach, którzy porzuciwszy biurko poszli pracować do fabryki czy kopalni jako zwyczajni robotnicy. Inni przyjeżdżają „na zakład pracy" — jak się to cudnie mówi — maskują swe pisarstwo, ujawniają się więc jedynie jako bibliotekarze, redaktorzy gazetek itp.; a ponieważ są mało zżyci z miejscowymi problemami i ludźmi, stosunkowo niewiele korzyści zakładowi dają przy niemałym szumie czynionym swoją osobą. Nie słyszałem, aby autorzy chwalili sobie wyniki tego rodzaju maskarady zawodowej. Pisarstwo nie jest zawodem wstydliwym. Wspólny język z człowiekiem pracującym w hucie łatwiej znajdzie pisarz, który przyjdzie go pytać o sprawy zawodowe i polityczne, jeżeli będzie to czynił mądrze, taktownie, rozsądnie, jednym słowem po ludzku — niż taki, o którym będzie wiadomo, że maskuje pisarstwo jakąś inną pracą. Co innego pisarz posiadający równocześnie, prócz literackiego, jeszcze inny zawód — Centkiewicz jest inżynierem-meteorologiem, Lutowski — lekarzem — poszerza to bardzo poważnie ich znajomość życia.

Nie może i nie powinno być podziału w życiu pisarza na „teren" i na „centralę", na wyjazdy i na przebywanie w Domu na Krakowskim Przedmieściu. Pisarz powinien co dzień i stale żyć pełnią życia politycznego i społecznego, jakim żyje jego naród. (A tymczasem znam kolegów, którzy całymi tygodniami nie czytają gazet!) Pisarz powinien potrafić wybierać z ogromnego bogactwa współczesności to, co jemu przydaje się w pracy — i nie powinien w tym względzie oczekiwać na nic i na nikogo. Niedawno zdarzył się wypadek, iż autor nie napisał powieści współczesnej tylko dlatego, że instytucja, od której miał otrzymać potrzebny mu materiał dokumentacyjny, zapomniała o tej prośbie. Gorszy mnie bardziej ten pisarz niż owa instytucja. Napór wybranego tematu jest przecież tak silny, że dopełnienie jego nie może zależeć od niczyjej dobrej czy złej woli. Pisarz czekał na pomoc — czekał, gdyż nasz

stem pomocy pisarzowi przyzwyczaja do oczekiwania, a nie do wychodzenia naprzeciw.

Nie można oczywiście układać reguł pracy pisarza w terenie. Odrzuciłem przed chwilą zasadę maskowania się, ale nie wykluczam, iż któremuś z kolegów może się ona przydać. Nie udało się — i nie uda się nigdy ustalić, czy na przykład lepiej jest przebywać w jakimś nowym dla siebie środowisku stale przy miesiące (a może pół roku!) czy przeciwnie — wpadać tam co jakiś czas na kilka czy kilkanaście dni. Zależy wszystko od właściwego każdemu sposobu obserwacji.

Jedno jest tylko pewne: nie zauważy nowych problemów w nowym miejscu wśród nowych dla siebie ludzi ten, kto nie dostrzega tych problemów wśród ludzi, z którymi styka się stale co dzień w swym normalnym miejscu pobytu.

Miał rację Tadeusz Borowski pisząc, że wyjazdy w teren, które wprowadziły do literatury pracę jako ośrodek fabularny, odegrały rolę przełomową. Dziś jednak powiedzieć „wyjazd w teren" — to właściwie nie powiedzieć jeszcze nic. Wymagania nasze z latami rosną. Tu nie chodzi wcale o to, czy mają istnieć stypendia terenowe, czy też należy powiększyć nimi ogólną kasę stypendiów przeznaczonych na doraźną pomoc twórcom opracowującym konkretne dzieła. Nam chodzi już w tej chwili o to, żeby pojęcie „pisarza w terenie" było istotniejsze i głębsze. Żeby było ono dojrzalsze. Rokrocznie — od lat pięciu — wcale nie takie małe ilości pisarzy opuszczają swe pielesze domowe i wyruszają „w teren". A równocześnie instancja najbardziej autorytatywna — Zjazd Walny Pisarzy — musiał stwierdzić w swej rezolucji, że „literatura o tematyce współczesnej nie nadąża jeszcze za rosnącymi potrzebami czytelnictwa mimo wielu cennych pozycji. Za rzadko widzimy w niej prawdziwy i wyrazisty obraz ludzi budujących socjalizm". Skoro takie słowa znalazły się w rezolucji Zjazdu, wolno zapytać pisarzy udających się w teren o rezultaty ich akcji. Odpowiedzi na to pytanie dostarcza stale nasze życie wydawnicze. Nie jest ona bynajmniej przyjemna. Ta dysproporcja między akcją a jej rezultatami wskazuje dobitnie na to, jak dalece niedostateczne jest uzbrojenie ideowe i artystyczne pisarzy wyruszających w owe „tereny". Jak dalece nie staje im pasji dla sprawy rewolucji i zrozumienia reguł wielkiej przemiany — skoro z terenu owego nie potrafią oni nic wynieść. Dopóki dla reszty naszych twórców „terenem" intensywnego poznawania nie stanie się życie codzienne — jak stało się to już dla kilku naszych piszących — dopóty chromać będziemy w tematyce współczesnej, gdyż tematyka ta będzie wynikać z oderwania się od prac i zajęć codziennych, wynikać będzie z egzotyzmu podróży. Jest w mych marzeniach doza jak gdyby „lewackich" fantazji i paradoksalnego sformułowania, ale kto wie, czy wychowanie młodego pisarza socjalistycznego nie powinno zacząć się od zakazu w y j a z d u w teren i od żądania, by jego egzaminacyjne prace literackie składane były z tematyki jego dni codziennych, normalnych, stale obok niego przepływających. Kto bowiem terenu nie odnajdzie pod swymi stopami — nie odszuka go w Polsce całej. Tylko dlatego Wojciech Żukrowski odnalazł swój socjalistyczny Wietnam, że przedtem napisał kilka książek, w których problemy własnego kraju stały mu się bliskie. Skalę tę w naszej praktyce codziennej należy zmniejszyć — do Polski i do własnego domu, własnego miasta, własnej wsi.

Dlatego niesłuszny wydaje mi się — w doświadczeniu lat — końcowy akcent artykułu Tadeusza Borowskiego, doma-

gający się, by w akcji wyjazdowej niezbędnie uczestniczyli krytycy. Krytykom wyjazdy w teren nie zaszkodzą — ale czy naprawdę są im one tak nieodzowne? Słabości nazbyt wielu książek o tematyce współczesnej bynajmniej nie biorą się ze złej znajomości realiów „terenu", ale ze słabej znajomości ogólnych reguł naszego życia państwowego, społecznego, z braku żarliwej pasji ideowej. Krytyk rzetelny — a więc odznaczający się i taką pasją, i dobrą znajomością marksizmu a równocześnie artystycznie czuły — potrafi celnie obnażyć słabości pisarza nie podejmując z nim drobiazgowej dyskusji nad „terenem", co jest w ocenie książki co najmniej zbędne. Dla krytyka bowiem, jak i dla pisarza, „terenem" jest przede wszystkim Polska Ludowa brana jako całość. Więc pełnowartościowym skrawkiem tego terenu jest ziemia moimi nogami co dzień deptana.

Czy trzeba pisarzom mówić: jedźcie w teren, tropcie nowe konflikty, modelujcie nowych ludzi, wychodźcie poza opłotki swej inteligenckiej, zawodowej koterii? Czy trzeba to mówić? Przecież ten spośród twórców, który czuje organiczną łączność z Polską Ludową, i tak już w tym t e r e n i e stale przebywa, dawno go już sobie znalazł, stale po nim szuka i uczy się go. My do terenu nie dojeżdżamy — my tam stale jesteśmy. Dla nas wyjazdy nie są delegacją, ale oczywistością. My wiemy, że jeżeli kogoś w teren trzeba aż namawiać, aż wysyłać, kto sam w teren nie trafi — tego podróż będzie próżna. Bowiem nie potrafi on jeszcze najważniejszego — nie potrafi patrzeć, słuchać, rozumieć; brak mu może jeszcze tego serca — socjalistycznego serca — by móc patrzeć w serca, w których socjalizm rośnie.

Kazimierz Koźniewski

RONISŁAW BACZKO

Za waszą i naszą wolność

dee solidarności z narodem rosyjskim i niemieckim w ideologii Towarzystwa Demokratycznego Polskiego *)

„Z jakiej warstwy społecznej rekrutoali się owi rewolucjoniści polscy? — sał Julian Marchlewski (Pisma wyrane, Warszawa 1952, t. I, s. 173) polskich demokratach połowy XIX w. pochodzenia znaczna ich większość ależała niewątpliwie do szlachty. Przeażali wśród nich wojskowi, oficerohe-emigranci. Poza tym młodzież ciągnięta w konspiracyjną działalność ewolucyjną. Dla większości tych emirantów pobudką był wyłącznie patriozm; ich najgorętszym celem było wywolenie Polski spod obcej przemocy. Vobec istniejących w owym czasie waunków jedyną możliwością złamania ły ciemiężców narodu polskiego był ich rewolucyjny skierowany przeciwo władzy monarszej Romanowów, absburgów, Hohenzollernów i dlatego . patrioci-spiskowcy musieli się łączyć ruchem rewolucyjnym (...) Ale jeśli stąpili oni w ten czy inny sposób na rogę rewolucyjną, to ideologia rewoicyjna owych czasów prowadziła tych atriotów aż do socjalizmu."

Ta ocena w znacznym stopniu odnosi ię również do Towarzystwa Demokrazcznego — jednej z ważnych organizaji demokratycznych czwartego i piąteo dziesięciolecia ubiegłego wieku — właszcza zaś do jego radykalnego krzydła.

W ideologii Towarzystwa, przede szystkim jego radykalnego skrzydła, patriotyzmem szła w parze gorąca wiara w międzynarodową solidarność ludów walczących o wspólną sprawę przeciwko „tyranom". „Polityczna sytuacja, w jakiej została postawiona Polska, jest — pisał Engels — całkowicie rewolucyjna i nie pozostawia ona Polsce żadnego innego wyjścia — jak być rewolucyjną lub zginąć"[1]). Toteż już nazajutrz po upadku powstania listopadowego działacze postępowi, przyszli przywódcy Towarzystwa, zawiązali serdeczne, bliskie kontakty z demokratycznymi ruchami na Zachodzie. Kontakty te utrwaliły się we Francji — w początku lat trzydziestych istnieje najściślejsza więź między Buonarottim i ruchami babuwistycznymi a działaczami Towarzystwa, w szczególności Krępowieckim. Głęboka wiara w międzynarodową solidarność ludów, w ich braterstwo we wspólnej walce nie znikła i później w latach odpływu fali rewolucyjnej — ze szczególną zaś siłą pojawiła się ona w ideologii i w praktyce politycznej TDP w okresie rewolucji 1848—49 r.

„Nikomu nie tajno — pisał Demokrata Polski — iż cała Europa, również rządy jak i ludy, mają dziś to instynktowne przekonanie, iż Polska to rewolucja." [2]) Ale właśnie dlatego Towarzystwo odróżniało, odcinało rządy od ludów. Sprawa Polski jest sprawą l u d ó w — jest natomiast z istoty swojej wroga sprawie r z ą d ó w, związanych węzłami wspólnych interesów z ostoją reakcji w Europie, z rządami Świętego Przymierza. Czartoryszczyzna, liberalna szlachta, stawiała zaś właśnie

* Fragment monografii poświęconej poglądom społeczno-politycznym i filozoficznym T. D. P.

na rządy; pomoc rządów miała zapewnić obszarniczym i burżuazyjnym kręgom władzę w kraju, ale bez poruszenia mas, bez zagrożenia interesów szlacheckich. „Porządek“ trwający w Europie miał również zapewnić liberałom „porządek“ w kraju, miał być gwarancją bezbolesnej, nienaruszającej interesów szlachecko-pańszczyźnianych przemiany w kierunku kapitalizmu. Czartoryszczyzna orientowała się w szczególności na Anglię. Jej przywódcy antyszambrowali u Palmerstona, żebrali u niego pomocy. W rezultacie przekształcało ją to w narzędzie w rękach burżuazji angielskiej, narzędzie wykorzystywane do intryg i rozgrywek antyrosyjskich. „Od samego początku swego istnienia — pisał Marks o zorganizowanym przez czartoryszczyznę w Londynie „Towarzystwie Literackim Przyjaciół Polski“ — było ono ślepym narzędziem w rękach Palmerstona“[3]).

Towarzystwo Demokratyczne ostro wystąpiło przeciwko tej antynarodowej w swej istocie koncepcji „stawki na rządy“, wskazując zarówno na jej aspekt międzynarodowy, jak i na jej aspekt wewnętrzny. Towarzystwo niejednokrotnie demaskowało przy tym obłudę burżuazyjnych rządów ich deklaracji o sympatii dla Polski.

Historia polskiego ruchu narodowo-wyzwoleńczego w okresie międzypowstaniowym udzieliła narodowi polskiemu dotkliwej lekcji — gdzie są jego wrogowie, a gdzie jego przyjaciele. Nauczyła go, że nie były jego przyjaciółmi rządy coraz bardziej reakcyjnej burżuazji, bojącej się Polski właśnie dlatego, że „sprawa Polski była sprawą rewolucji“. Towarzystwo próbowało wyciągnąć z tej lekcji wnioski — i wyciągało je często bardzo słusznie. Marks z pełną aprobatą cytował słowa ulotki TDP rozpowszechnianej w Anglii w latach pięćdziesiątych:

„Polska potępia sojusz z dzisiejszym władzami Europy, nie chce być wy zwalana przez żaden z istniejących rzą dów i stoczyć się do narzędzia intry dyplomatycznych“ [4]).

I rządy, i narody zdawały sobi sprawę, że sprawa Polski to sprawa re wolucji — toteż „powstanie Polski — stwierdzał Demokrata — od początku zrywa z tą, że tak powiemy, urzędow Europą“[5]). Ale przeciwstawiając si rządom lewica Towarzystwa podkreślał jedność sprawy polskiej ze sprawą lu dów.

„Istnieje solidarność między luda mi — stwierdza akt założenia TDP — z której płynie to następstwo, iż za grożenie wolności jednej części zgub nym dla całości być może. W połącze niu bowiem interesów ogółu szczęści każdego w szczególności ludu może by zapewnione... Przyszłość Polski zależ zatem od przyszłości innych europej skich ludów.“

Jest przy tym rzeczą niezmiernie cha rakterystyczną, iż lewica Towarzystw wskazuje na to, że nie jest to jakaś ab strakcyjna solidarność: warunkiem te solidarności, podstawą jej jest walk o przeobrażenie społeczne. Polska wte dy może liczyć na pomoc, przyjaźń in nych ludów, gdy twardo stanie na dro dze demokratycznych przeobrażeń, gd „Polska — jak stwierdzał akt założe nia Towarzystwa — wcieli się do ogól nych wyobrażeń, do ogólnego postępu gdy i w niej prawa ludzkości w najob szerniejszym znaczeniu rozwijać si będą“.

Lewica Towarzystwa żarliwie propa gowała tę wiarę w nierozerwalną jed ność interesów ludów w walce przeciw ko rządom, w walce o nowe ideały spo łeczne i polityczne. Nie rozumiała prz tym, że inaczej już wyglądają zadani tej walki na zachodzie Europy, a ina czej w półfeudalnej Polsce — dla dzia

czy Towarzystwa zlewało się to w kiś jeden rewolucyjny akt wspólnej alki ludów o sprawiedliwość. I tę eę wspólnej walki i solidarności lu- ów propagowało Towarzystwo nie tyl- o w Polsce, propagowało ją również zagranicą, zwracając się tam z odez- ami i apelami.

„Wiek dzisiejszy — pisała Centraliza- ia do czartystowskiego stowarzysze- ia wyrobników w Anglii, Irlandii Szkocji — jest wiekiem walki na nierć przeciw wszelkim uciemiężeniom· prawa ludu jest jedną, nierozdzielną tą samą; ludy zatem we wszelkich wy- wobodzenia usiłowaniach powinny stać rzy sobie i wzajemnie się wspierać, by dzieło powszechnego usamowolnie- ia przyspieszyć swoim świętym przy- nierzem, bezbożne przymierze królów ozbić i nowy, na odwiecznej sprawie- liwości oparty porządek założyć."

Wychodząc z tych założeń, z głębo- iego przekonania o wspólnych intere- ach ludów ideologowie lewicy Towa- zystwa występowali przeciwko nena- wiści narodowościowej i rasowej jako przecznej z patriotyzmem i szkodliwej la sprawy Polski.

„Nienawiść narodu przeciwko naro- lowi jakiego bądź kraju — pisała jed- na z sekcji — z jakiegokolwiek bądź zerpane źródła... (są) środkiem sprzecz- nym z demokratyczną zasadą wznieca- nia, rozwijania i utrzymywania moral- nej potęgi ludu polskiego." [6])

Przyszłe stosunki między narodami po wycięstwie rewolucji demokratycznej widzieli ideologowie lewicy Towarzy- stwa jako stosunki wzajemnej współ- pracy i pomocy, stosunki oparte na no- wych zasadach, w których granice mię- dzy krajami łączą narody, a nie dzielą ich.

„Internacjonalność demokratyczna — pisał Heltman do Worcella i Darasza w dniach Wiosny Ludów, gdy bliskie wydawało mu się już urzeczywistnienie tych ideałów — w idei zasadniczej i rzetelnej przeciwi się bezwzględnym teoriom przestrzeni dotychczas wznieconym, albowiem w stanie rzetelnym międzynarodowego braterstwa kwestia niepodległości jest zupełnie wyczerpana, byt przeto narodu nie tyle zawisły od granic słupami oznaczonych, ale od usamodzielnienia żywiołów granicznych. Narody sąsiednie skojarzone wspólnością interesów żywotnych zniweczyć muszą proces wynarodowienia jako aksjomat pasożytniczy despotyzmu, zniweczyć muszą pod karą zerwania przymierza i wynikłych konsekwencji." [7])

Wszystkie te ogólne postulaty międzynarodowej solidarności ludów, łączności z nimi usiłowało Towarzystwo realizować nie tylko w teorii, ale i w praktyce. Nie jest przypadkiem, że w tych sprawach zarówno w ideologii, jak i w praktyce Towarzystwa, zwłaszcza zaś jego lewicy, mamy stosunkowo najmniej wahań, że w pełni ujawnia się tu demokratyczny nurt jego ideologii. Wypływało to z obiektywnej logiki sytuacji, w której „najlepsi synowie Polski szli podtrzymywać wszędzie rewolucyjne klasy." [8]) Patriotyzm, szczere pragnienie odzyskania niepodległości Polski kazały najlepszym ludziom całego polskiego obozu demokratycznego walczyć o jej niepodległość tam, gdziekolwiek walczono o sprawę wolności ludów. Dlatego też spotykamy działaczy Towarzystwa we wspólnej walce i na barykadach niemieckich, i francuskich, nie żałujących swojej krwi i życia, idących „przez Polskę do ludzkości".

Ogólne idee Towarzystwa nabierały jeszcze większej, głębszej treści, wówczas gdy konkretyzowano je, gdy wcielając je w życie ustalano stosunek do konkretnych ruchów rewolucyjnych innych narodów. Warto na zakończenie

tej partii naszych rozważań zatrzymać się na jednym takim przykładzie, tym bardziej że posiada on dzisiaj szczególną ostrość i wymowę polityczną. Chodzi o sprawę stosunku do Niemiec.

Więzy serdecznej przyjaźni i braterstwa z niemieckim ruchem demokratycznym zawiązali polscy działacze postępowi natychmiast po powstaniu, podczas przemarszu emigrantów przez Niemcy — przemarszu, który stał się manifestacją solidarności i gorącej sympatii dla polskiego ruchu wyzwoleńczego. Te więzy utrwalono w pierwszych latach popowstaniowych (z ramienia Towarzystwa np. jeździł Krępowiecki do demokratów niemieckich w 1832 r.). Więzy te podtrzymywali w kraju Związek Plebejuszy i Dembowski. Na emigracji podtrzymywał je Lelewel współpracując w przededniu Wiosny Ludów z Marksem i Engelsem, stojącymi wówczas na czele Związku Komunistów (sam Lelewel nie dostrzegł zresztą w Marksie i Engelsie przywódców nowej klasy, proletariatu, widział w nich wielkich rewolucjonistów i demokratów niemieckich, gorących przyjaciół Polski). Walka narodowo-wyzwoleńcza Polski znajduje w tym okresie — w latach trzydziestych i czterdziestych — serdeczny oddźwięk w szeregach demokracji niemieckiej — wiersze o Polsce piszą i Heine, i Herwegh (ten ostatni utrzymywał zresztą bezpośredni kontakt z Towarzystwem Demokratycznym). Najkonsekwentniej, z punktu widzenia interesów proletariatu, walczą o sprawę Polski Marks i Engels, widząc w niej sprawę żywotną dla całej demokracji niemieckiej.

W okresie Wiosny Ludów Centralizacja TDP—Heltman, Worcell i Darasz — odnawia kontakty z niemieckimi ugrupowaniami demokratycznymi, a pod dowództwem Mierosławskiego walczy w Badenii wielu Polaków, demokratów.[9]) W tym samym okresie pojawia się w Demokracie Polskim cykl artykułów po święconych sprawie jedności Niemiec— jednemu z centralnych wówczas dl niemieckiej rewolucji burżuazyjno-de mokratycznej problemów. Artykuły te pełne nadziei na powodzenie powstani badeńskiego, stawiają również spraw stosunku Polski do Niemiec, konkrety zując ogólne internacjonalistyczne zało żenia ideologiczne Towarzystwa. Auto artykułów jest nieznany — na podsta wie ówczesnego składu Centralizacj można domniemywać się, że był nin bądź Worcell, bądź Darasz. Rzeczą nie zmiernie ciekawą jest przy tym, że ar tykuły te precyzując programowo stosu nek demokracji polskiej do sprawy nie mieckiej — napisane zostały pod nie wątpliwym wpływem i oddziaływanien artykułów Marksa w Nowej Gazeci Reńskiej. Demokrata w sprawozdaniac swoich o sytuacji w Niemczech, o ob radach parlamentu frankfurckiego po wołuje się niejednokrotnie na Nową Ga zetę Reńską jako na główne źródło in formacji.[10]) Wpływ Marksowskiego sta nowiska daje się zresztą odczuć zarówn w sformułowaniach, jak i w postawie niu zagadnienia jedności Niemiec i sto sunku do niego polskiej demokracj wreszcie w ocenie parlamentu frank furckiego i w innych sprawach.

Towarzystwo zdaje sobie sprawę wiekowych urazów, które nagromadzi ły się w toku dziejów między naroden polskim a narodem niemieckim, wie, ż trzeba przełamać opory i niechęci. Dla tego też bardzo ostro stawia spraw odróżnienia n a r o d u n i e m i e c k i e g o od a r y s t o k r a c j niemieckiej, od feudalnych klas rzą dzących.

„Arystokracja to niemiecka, płó zwichniętego systemu feudalnego, stał się niewyczerpanym źródłem ucisk wewnątrz i łupiestwa na zewnątrz.

rafy, Barony i Rytery niemieckie w rcerskiej zbroicy lub krzyżackim hacie ciągnęły jak wędrowna szarańza, jak drapieżne ptactwo wietrzące rew i ścierwo... Zwycięstwo rewolucji zniesienie wszelkich przywilejów... ednolitość polityczna i społeczna odnieni te nałogi... Dawne względem nas rzechy nie ciążą na niemieckim narozie, ale na jego monarchizmie i na jeo arystokracji. Nie naród przeto niemiecki jest wrogiem naszym, ale monarchizm i arystokracja pruska i austriacka, ale dynastia Hohenzollerów i Habsburgów." [11]) Toteż stosunki narodem niemieckim, wówczas gdy wycięży w nim demokracja — wyobrażała sobie lewica — zostaną ugruntowane na nowych zasadach, nieznanych przedtem. Gdy w toku petraktacji Towarzystwa z demokratami niemieckimi stanęła sprawa przyszłej przynależności państwowej terytoriów zamieszkałych przez mieszaną ludność polsko-niemiecką, lewica Towarzystwa w rozstrzygnięciu tej sprawy dochodzi, choć nie bez oporów, do uznania prawa do samostanowienia, wskazując na to, że przyszła Polska nie będzie toczyć z demokratycznymi Niemcami walki o „kawałek ziemi", lecz będzie sprawy te rozstrzygać w imię „rzetelnego międzynarodowego braterstwa" [12]).

Za warunek demokratyzacji Niemiec uważa Towarzystwo likwidację rozbicia i ustanowienie jedności Niemiec. Jedność demokratycznych Niemiec oznaczać będzie również i nowe stosunki z Polską — i o tę jedność trzeba walczyć, bo jest to zarazem walka o Polskę.

„Niemcy monarchistyczne, Niemcy federacyjne... to nasz wróg śmiertelny, to sprawdzenie starego przysłowia — że póki świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem. Niemcy zaś wyzwolone, Niemcy jednolite politycznie i społecznie... to naród sąsiadujący z nami spokojnie i poczciwie, to zadanie raz na zawsze kłamu owemu przysłowiu i urzeczywistnienie solidarnego ludów braterstwa.

Jednolitość przeto Niemiec, ale jednolitość zupełna, zarazem polityczna i społeczna... jest sprawą ogólnej rewolucji... a więc i sprawą Polski." [13])

„Wstręt i obrzydzenie do germańskiego drapiestwa łatwo może pomieszać pojęcia i nie odróżnić demokracji niemieckiej od monarszego germanizmu... Monarszy germanizm to nasz wróg śmiertelny. Polska demokratyczna musiałaby na nowo łamać się z nim i walczyć na zabój... Jedna tylko d e m o k r a t y c z n a j e d n o l i t o ś ć N i e m i e c wyrwie to zło z korzeniami, utnie łeb ohydny i przybije go na wieki do grobowej deski. Jednolitość Niemiec to śmierć monarszego germanizmu, grób owego odwiecznego nam wroga... a każda kropla krwi przelana w sprawie j e d n o l i t o ś c i (mowa o udziale Polaków w powstaniu badeńskim — przyp. nasz) nie wypłynie zmarnowana, bo będzie dla podźwignięcia Matki-Ojczyzny." [14])

Przytaczamy te cytaty nie tylko ze względu na ich zadziwiającą aktualność — dziś, po stu latach, gdy między Niemcami a Polską ustanowiły się nowe stosunki i gdy — w nowych warunkach historycznych — sprawa „demokratycznej jednolitości" Niemiec jest sprawą zniszczenia imperializmu niemieckiego, sprawą „powszechną a więc i polską". Wydaje się nam, że bardzo plastycznie pokazują one istotny rys ideologii całego polskiego ruchu demokratycznego, szczytną jego tradycję walki „za wolność waszą i naszą".

Idea międzynarodowej solidarności ludów została w ideologii Towarzystwa wzniesiona na wyższy poziom i pogłębiona w toku współpracy lewicy Towa-

rzystwa z demokracją rosyjską, w toku współpracy z Hercenem.

Tradycja współpracy z rewolucyjnym ruchem rosyjskim była tradycją żywą w całym polskim ruchu demokratycznym lat trzydziestych-czterdziestych. Wywodziła się ona przede wszystkim z tradycji współpracy między polskimi szlacheckimi rewolucjonistami a dekabrystami. Dla dekabrystów, pierwszych bojowników przeciwko caratowi, żywił polski ruch rewolucyjny głęboką cześć i podziw, uważał ich walkę za swoją własną. Toteż pamiętny obchód ku czci dekabrystów podczas powstania, zainaugurowany i przeprowadzony przez Towarzystwo Patriotyczne nie był rzeczą przypadkową. W ciągu 5 lat, które minęły od chwili stracenia dekabrystów, pamięć o nich w Polsce i tradycja współpracy z nimi nie zaginęła. Ta tradycja służyła radykałom z Towarzystwa Patriotycznego w walce z własną reakcją, z jej próbami dogadania się z caratem — do tradycji dekabrystów sięgano też, aby pchnąć naprzód sprawę rewolucyjną w Polsce.

„Towarzystwo Patriotyczne — pisał J. W. Janowski — w swojej broszurze wyjaśniającej genezę Towarzystwa Demokratycznego — ...popychało naprzód opinię publiczną i sam sejm, który był tylko jakby kłodą tamującą na wezbranej rzece bystry bieg wody. Dosyć tu powiedzieć, że obchodem 25 stycznia „za męczenników wolności rosyjskiej", na którym kilkadziesiąt tysięcy ludu po ulicach Warszawy przeciągało manifestując nienawiść do despotyzmu carskiego, nie do Moskali, wpłynęło niemało na decyzję sejmu, który tego samego dnia Mikołaja z tronu złożył. Na tym to obchodzie Towarzystwo Patriotyczne wywiesiło owe białe chorągwie z czerwonymi napisami: „Za waszą i naszą wolność", którymi dziś wraz z całym narodem szczy cą się ówcześni przeciwnicy jego".[15])

„Pierwsze nabożeństwo Pestelowi i je go towarzyszom odprawiono w Warsza wie"[16]) — wspominał później Herce widząc w tym zalążku sojusz polski i rosyjskiej demokracji.

Założyciele TDP rekrutowali się, ja o tym mówiliśmy, przede wszystkim kręgów Towarzystwa Patriotyczneg Krępowiecki był jednym z główny organizatorów manifestacji warszaw skiej i wygłosił w czasie niej płomien ną mowę nad symbolicznymi trumna mi dekabrystów. TDP kontynuowa tradycję manifestacji ku czci dekabry stów. Gdy czyta się publikacje Tow rzystwa, bardzo często napotyka s wzmianki, wspomnienia o ruchu dek brystów, nadzieje na odnowienie się ru chu rewolucyjnego w Rosji rozpatry wanego jako sojusznik w walce polski demokracji.

Wzmianki te zaczynają się od preh storii Towarzystwa. Gdy w marc 1832 r. grupa przyszłych założycieli T warzystwa skupiona wokół Krępowi ckiego wystąpiła przeciwko Komitetov Lelewela i jego kompromisowej polity wobec czartoryszczyzny, jeden z wy suniętych zarzutów głosił, że:

W „samej Rosji nasz ciemiężca n nieprzyjaciół, bo i tam język wolnoś zrozumiany został. Odezwy więc szlachetnych Rosjan były obowiązkie Komitetu".[17])

W stosunku do Lelewela wszelkie z rzuty w tej sprawie były zresztą ni usprawiedliwione. Bezpośrednio niem po tej interwencji ukazała się znan piękna odezwa Lelewela do Rosjan, której stwierdza m. in.:

„Między ludami wolności pragnący stoi przymierze. Okazywało się to jav nie, gdy przed siedmiu laty zbliżone tym celu serca polskie z rosyjskimi ro wijały nad brzegami Newy wiel

myśl słowiańskich ludów federacji. Obwiło się wtedy przymierze między polskim i rosyjskim narodem... Wśród ciętej walki myśli nasze zwracały się pamiątek zacnych uczuć waszych. tymże dniu, w którym sejm wyrzekł niepodległość ludu, lud warszawski polski w uroczystym obchodzie czcił mięć waszych wolności męczenników, imiona Pestela, Murawiewa, Bestuewa, Rylejewa i tylu innych ofiar rutnej zemsty pamiętne zawsze dla osjan, równie są drogie sercu Polaków." [18])

Gdy Krępowiecki w swojej mowie stopadowej rzucał szlachcie w twarz karżenie o zaprzepaszczenie powstania, znów jako jeden z motywów przełodnich pojawia się oskarżenie o to, że odepchnięto tych Rosjan, którzy chcieli współdziałać z powstańcami polskimi", a wśród źródeł rewolucji polskiej azwie Krępowiecki Rylejewa „jednym pierwszych męczenników Rosji zaordowanym przez Tyberiusza Północy". [19]) Również i odezwa Towarzystwa emokratycznego D o o b y w a t e l i ż o ł n i e r z y podkreśla, że gdyby czasie powstania śmiało przeprowazono reformy społeczne, zniesiono pańczyznę i uwłaszczono chłopa, wówczas apotkałoby to na gorący odzew ze strony żołnierzy rosyjskich.

Kult dla dekabrystów nie był zresztą właściwy wyłącznie Towarzystwu Demokratycznemu. Był on szeroko rozowszechniony w całej demokratycznej migracji. Podtrzymywana i kontynuwana była tradycja obchodów ku czci ekabrystów. „Obchodziliśmy w koszach śmierć męczenników wolności — Murawiewa, Bestużewa, Rylejewa, Petla i innych" — notuje np. w swym amiętniku Wojciech Darasz [20]). Demokrata Polski donosi o obchodzie ku czci ekabrystów zorganizowanym w Londynie 14 lipca 1841 r., na którym przemawiał Worcell.[21]) O tym, jak wielkie było zainteresowanie dla dekabrystów, świadczy również wymownie fakt, że Konarski w redagowanej przez siebie Północy drukuje z numeru na numer przez szereg miesięcy pełny tekst urzędowego sprawozdania o procesie dekabrystów. Tradycja dekabrystów dawała polskim demokratom przekonanie, że wśród Rosjan są elementy rewolucyjne, z którymi można nawiązać kontakt. To przekonanie doprowadziło Szymona Konarskiego do kontaktu z Karawajewem, ta wiara kazała i Zaliwskiemu w czasie partyzantki szukać kontaktu z Rosjanami [22]). I znów scementowane krwią przymierze Konarskiego i Karawajewa przechodzi do tradycji zarówno demokracji polskiej, jak i demokracji rosyjskiej. Mocno podkreśli tę właśnie tradycję wydawnictwo TDP, Noworocznik Demokratyczny, do obrazu Karawajewa i Konarskiego nawiąże Hercen w swym płomiennym wezwaniu P o l a c y w y b a c z a j ą n a m, do którego wypadnie nam jeszcze wrócić.

W tej pieczołowicie chronionej i pielęgnowanej tradycji czci dla dekabrystów odzwierciedlały się, konkretyzowały internacjonalistyczne zasady polskiego obozu demokratycznego. Tradycja ta odzwierciedlała rzeczywistą, obiektywną jedność interesów między rosyjskim ruchem rewolucyjnym a polską demokracją we wspólnej walce przeciw caratowi.

Do solidarności polskich i rosyjskich mas ludowych w walce z tym uciskiem feudalno-pańszczyźnianym apeluje Ściegienny: „W przyszłej wojnie staną chłopi i mieszczanie polscy i rosyjscy z jednej strony, a panowie i królowie polscy z drugiej strony — chłopi będą strzelali nie do chłopów, ale do panów." [23]) Bezpośredni kontakt z rosyjskim ruchem rewolucyjnym w tym czasie podejmu-

je — czy też ma zamiar podjąć — Dembowski [24]).

Z tej tradycji wyrosły też i próby nawiązania bezpośredniej współpracy z rosyjskim ruchem rewolucyjnym przez demokratów na emigracji.

„W 1845 r. — wspomina Hercen taką próbę — polscy demokraci w Londynie zwrócili się z serdecznym przemówieniem do Rosjan pytając siebie i ich: »Skądże ta nienawiść zbyt zaciekła, aby mogła być długotrwała, zbyt długa, aby mogła być naturalna? Czy myślał ktoś z was o niej, czy zdaliśmy sobie z niej sprawę? Wzywali oni nas do zgody i do wspólnej walki. Głos ich nie doszedł nas, ale już wówczas młodzież wszystkich rosyjskich uniwersytetów łączyła się z polską młodzieżą, przysyłaną do nas przez rząd.«“[25]) W roku 1847 przemawia na zorganizowanym przez Towarzystwo obchodzie rocznicy 29 listopada Bakunin. Mowa Bakunina, obok wielu niesłusznych i fantastycznych nieraz idei, pełna była gorącego przekonania o sile rosyjskiego ruchu rewolucyjnego, nienawiści do caratu i nawoływania żarliwie i gorąco do sojuszu między polskimi i rosyjskimi rewolucjonistami (za tę mowę został zresztą Bakunin wkrótce wydalony z Francji). Odpowiedziało na ten apel Towarzystwo. Demokrata Polski, ukazujący się wówczas pod redakcją Darasza, po zamieszczeniu tekstu mowy Bakunina pisał:

„P. Bakunin... okazał, iż w łonie samej Rosji tleją zarzewia ognia wolności, który nie długo może, jak utrzymuje, rozpłomienić się w pożar zniszczenia dzisiejszego porządku rzeczy. Co więcej, pan Bakunin oddając hołd męczeńskiej wytrwałości Polski... zapowiedział odnowienie tego wielkiego przedsięwzięcia, które zakończyło się śmiercią Bestużewa i jego światłych towarzyszy... Niechaj te nowe żywioły, które p. Bakunin widzi w Rosji, objawią się życiem, nie chaj rozpoczną bój z uciskiem... a wten czas sojusz między narodami będzi mieścił rzetelną i niewzruszoną podstą wę... Polska przyjmie ich prace z tak radością, z jaką przyjmuje wszystki usiłowania uciśnionych ludów.“ [26])

Mówiąc o „towarzyszach Bakunina Demokrata miał zapewne na myśli Her cena i Bielińskiego — o Bielińskim i je go działalności miało już wówczas To warzystwo pierwsze wiadomości od sa mego Hercena.[27])

Ta nuta — opartej na tradycji deka brystów wiary w rodzącą się demokra cję rosyjską — pojawia się równie wielokrotnie w późniejszych dokumen tach Towarzystwa. Przytoczmy jak charakterystyczne jeszcze dwie wypo wiedzi:

W 1848 r., gdy Wiosna Ludów by jeszcze w pełnym rozkwicie, Demokra ta Polski mówiąc o perspektywach re wolucji w Polsce i o jej sojusznikac pisał m. in.:

„Co zaś do rewolucji rosyjskiej nie wątpimy, że przykład Pestlów Murawiewów tam znajdzie równie po święconych naśladowców, nie wątp my, że w niejednym moskiewski szeregu spotkamy pobratymców i przy jaciół...“ [28])

A w 1849 r., przeciwstawiając się re akcyjnym koncepcjom panslawistyc nym, Darasz pisał, że wypowiada się z federacją słowiańskich narodów, a przeciwko panslawizmowi:

„Powtarzamy — federacja słowiań skich narodów — nie panslawizm. Pan slawizm — to car. Nie z nim lud po ski może i powinien wejść w kontak ale z następcami Pestla, Murawiew i ich towarzyszy.“ [29])

Ta zapowiedź nowych kontaktów zo stała wkrótce zrealizowana i zacieśni na w postaci nawiązania więzi z Her cenem.

Oczywiście, nie należy na podstawie przytoczonych wypowiedzi przypuszczać, że panował wówczas w Towarzystwie tylko taki ton i tylko taka tendencja w sprawie przyjaźni z rosyjskim ruchem rewolucyjnym. Sprawy nie mają się tak idyllicznie. Trzeba pamiętać o sytuacji, w której słowa te są pisane, i o klasowej ograniczoności ludzi, którzy je piszą. Niejednokrotnie spotykamy w publikacjach Towarzystwa treści nacjonalistyczne wypowiedzi utożsamiające carat z narodem rosyjskim i przenoszące na cały naród nienawiść do caratu. Obok głosów pełnych wiary w przyszłość ruchu rewolucyjnego w Rosji, wiary w nową Rosję są często głosy zniechęcenia, niewiary w możliwości rewolucyjne tkwiące w narodzie rosyjskim. Niemałą rolę w nacjonalistycznych wypowiedziach odgrywa podtrzymywane przez Towarzystwo — nieustannie — hasło przywrócenia granic z 1772 r. Wprawdzie Towarzystwo wysuwało to hasło jako protest przeciwko ustalonym na Kongresie Wiedeńskim uchwałom, jako hasło wymierzone przeciwko Świętemu Przymierzu — ale w niczym nie umniejszało to zawartego w nim zatrutego żądła nacjonalizmu. Za hasłem tym kryła się negacja prawa narodów do samostanowienia, kryły się za nim nacjonalistyczne, trochę jeszcze szlacheckie, i trochę już burżuazyjne — tendencje zaborcze.

Błędne stanowisko w sprawie granic 1772 r. hamowało rozwój ideologiczny Towarzystwa, zwłaszcza jego lewicy, przeszkadzało z jednej strony w rozwinięciu konsekwentnie internacjonalistycznej postawy, z drugiej zaś hamowało również rozwój ideologiczny Towarzystwa w sprawach wewnętrznopolskich, w walce z ideologią obszarniczo-pańszczyźnianą. Słusznie wskazywał Ogariew, że sprawa granic z 1772 r. „jest przedmiotem troski staropolskiego, szlachecko-rycerskiego pokolenia", że jest ona „ideałem pana z długimi wąsami, w kontuszu i czapce na bakier" [30]). Niewątpliwie ten „ideał" hamował, cofał wstecz do szlachetczyzny myśl demokratyczną polską XIX w.

Jeśli mówimy o tym wszystkim, to bynajmniej nie po to, aby osłabiać siłę i znaczenie poprzednio cytowanych wypowiedzi. Na odwrót — wydaje się, że podkreśla to ich znaczenie. Świadczą one o tym, że w stosunku do Rosji carskiej — państwa uciskającego i zaborczego — pojawiają się w polskiej myśli demokratycznej kiełki nowego — internacjonalistycznego stosunku, kiełki krzepnące i rosnące. Torują one sobie drogę z trudem, przezwyciężając tradycje niechęci, szlacheckich zatargów i sporów — ale jednak nabierają na sile, ale jednak one właśnie są przejawem i dowodem krzepnięcia i dojrzałości idei międzynarodowej solidarności ludów, charakterystycznej dla Towarzystwa.

O tym, że tak właśnie mają się sprawy, najlepiej świadczy porównanie z obozem reakcji. Nie lubiano w obozie czartoryszczyzny i w szeregach liberalnej szlachty tradycji dekabrystów — i było to zrozumiałe. Czartoryszczyzna nie łączyła bynajmniej swych planów powrotu do władzy w Polsce z obaleniem caratu; na odwrót, wyobrażała ona sobie, że powrót ten dokona się w drodze wytargowania Polski u caratu — być może w rezultacie wojny Anglii i Francji z Rosją. Oczywiście „liberalni" i „postępowi" działacze nie pochwalali caratu i samodzierżawia — to było przecież „barbarzyństwo" — i chętnie widzieliby złagodzenie tego „barbarzyństwa" przez wprowadzenie, powiedzmy, monarchii konstytucyjnej. Ale nie rewolucja rosyjska miała tego dokonać — czartoryszczyzna nie lubiła

rewolucji niezależnie od kraju i narodowości. Nie chciała ona naruszenia „porządku“ w Europie, a rewolucja rosyjska naruszałaby taki porządek, podczas gdy „ucywilizowany carat“ porządek taki podtrzymywałby. Przecież czartoryszczyzna szła — mimo całego swego nacjonalizmu — nawet na uznanie uchwał Kongresu Wiedeńskiego, widząc w tym platformę dogadania się i z rządami burżuazyjnymi Anglii i Francji, i z caratem! Toteż tradycja dekabrystów wysuwana przez obóz demokratyczny biła obiektywnie również i w obóz reakcji, w jego plany „dyplomatycznego odzyskania niepodległości“, w jego reakcyjną stawkę na rządy. Dlatego właśnie nie lubiano tej dekabrystowskiej tradycji — chociaż sam książę Adam pozwalał sobie na takie lub inne liberalne gierki, a w latach pięćdziesiątych próbował nawet kaptować dla siebie Hercena. W ewentualnej demokratycznej rewolucji w Rosji widziano, w przeciwieństwie do obozu demokratycznego, nie sojusznika, a wroga. Warto tu — dla uwypuklenia różnicy stanowisk — zestawić dwa głosy. Polemizując z Towarzystwem Trentowski, dopowiadając jak zawsze do końca to, co u innych liberałów było zawoalowane, pisał: „Są tacy, co przewidują rewolucję w Rosji i pokładają w niej nadzieje dla Polski. Że rewolucja nastąpi kiedyś w Rosji, wielkie jest prawdopodobieństwo, gdyż przygotowuje ją niczym nie ograniczone jedynowładztwo cara (jakie liberalne, postępowe, nieprawdaż? — przyp. nasz). Atoli czy wychyli się z niej coś dobrego dla nas? Godzi się wątpić... Dzieje pokazują, iż podczas gwałtownych wstrząśnień i przeobrażeń państw z jednej ostateczności wpada się koniecznie w drugą, przeciwną, iż po absolutnej monarchii nastanie anarchiczna republika lub odwrotnie. Jakaż więc rewolucja zajść może w Rosji? Żadna inna krom utworzenia republiki“ [31], po czym idzie dłuższy, przesycony skrajnym szowinizmem wywód skierowany przeciwko tej „anarchicznej republice“.

Taki jest jeden głos — przesycony nacjonalizmem, nienawiścią do narodu rosyjskiego i rewolucyjnego ruchu w Rosji. A oto głos drugi — Heltman w latach powstania Manifestu TDI rozważa rozmaite możliwości odzyskania niepodległości Polski. Za jedną z takich możliwości uważa Heltman wybuch rewolucji w Rosji. Wówczas naród rosyjski przywróciłby Polsce niepodległość, „oddał wszystkie przez tyranów poczynione zdobycze“. Co więcej — w tym wypadku również i „społeczna organizacja“ Polski byłaby w harmonii ze „społeczną organizacją nowej Rosji [32]).

Zestawienie to jest niezmiernie charakterystyczne, występują tu jaskrawo dwie tendencje. Jedna nacjonalistyczna i pełna strachu przed rewolucją i druga, torująca sobie drogę przez nacjonalistyczne przegrody i nieufności, demokratyczna tendencja sojuszu i przyjaźni wolnych narodów polskiego i rosyjskiego, pełna wiary w siłę ludu rosyjskiego. W rzeczywistości te tendencje nie zawsze będą występowały tak ostro, nie zawsze w warunkach ucisku narodowego, polski ruch demokratyczny potrafi się konsekwentnie oprzeć nacjonalizmowi, ale tym ważniejsze jest zobaczenie tych tendencji w całej ich przeciwstawności wówczas, gdy zarysowują się one jasno i wyraźnie.

Warto tu zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt sprawy wykorzystywania przez liberałów nacjonalizmu i szowinizmu antyrosyjskiego dla osłabienia polskiego ruchu rewolucyjno-wyzwoleńczego. Nacjonalizm był wykorzystywany dla wykazania rzekomego patriotyzmu obozu liberalnego, miał on w

szczególności odwrócić uwagę od społecznych konfliktów ówczesnej Polski za gromkim antyrosyjskim hasłem „wspólnym wrogu" ukryć hasło: przedtem być, a potem jak być". Nacjonalizm pozwalał w toku analizy przyczyn utraty niepodległości skierować całą uwagę na przyczyny zewnętrzne, i odciągnąć ją od odpowiedzialności szlachty za upadek Polski, co w rezultacie rzutowało się na całą koncepcję historii Polski. Wskazuje na to Marks pisząc, że „swoimi skrupulatnymi badaniami nad warunkami ekonomicznymi, które chłopów polskich przekształciły w poddanych, stary Lelewel dużo więcej uczynił dla wyjaśnienia przyczyn upadku swej ojczyzny niż gromada pisarzy, których cały bagaż sprowadza się do obelg rzucanych pod adresem Rosji" [33]). W każdym wypadku nacjonalizm antyrosyjski wymierzony był przeciwko podstawowej ówczesnej „prawdzie żywotnej" Polski — prawdzie o jedności walki o wyzwolenie narodowe i walki o obalenie feudalizmu — osłabiał polski ruch narodowo-wyzwoleńczy, osłabiał jego więź z międzynarodowym ruchem demokratycznym, pełnił zatem funkcję szkodliwą i reakcyjną.

Na tym tle jasno też widać, jakie doniosłe znaczenie polityczne i ideologiczne dla sprawy wyzwolenia narodowego Polski i dla rozwoju polskiej postępowej myśli społecznej posiadały wszystkie próby nawiązania kontaktów i współpracy z rosnącym wówczas i przybierającym na sile rosyjskim ruchem rewolucyjnym, z rosyjskimi rewolucyjnymi demokratami. Nawiązanie w latach pięćdziesiątych przez lewicę TDP kontaktu z Hercenem było pierwszą próbą nawiązania na trwałe i w szerszej skali takiej współpracy.

Pierwszy raz zetknął się Hercen z działaczami Towarzystwa w 1847 r. w Wersalu — wówczas właśnie opowiadał im o Bielińskim i o rewolucyjnej publicystyce w Rosji. Działacze Centralizacji nie docenili wówczas tych wiadomości — czekali na informacje o spiskach, o ruchu zbrojnym [34]). Był to sporadyczny kontakt — do nawiązania ścisłej współpracy doszło między Hercenem a tzw. Centralizacją Londyńską, z Worcellem i Daraszem na czele, po klęsce rewolucji 1848 r.

Punktem wyjściowym zadzierzgnięcia trwałej współpracy, poprzedzonym zresztą poprzednimi osobistymi kontaktami, była sprawa stworzenia wolnej drukarni rosyjskiej w Londynie. Hercen marzył wówczas o stworzeniu takiej drukarni, z której dochodziłoby do Rosji demokratyczne, rewolucyjne słowo. Była to zdaniem Hercena najlepsza droga spełnienia swego rewolucyjnego obowiązku wobec Rosji. „Dla uchodźców rosyjskich — pisał Hercen w liście do redakcji Demokraty Polskiego— którzyśmy opuścili ojczyznę z naszej dla niej miłości, należy wznieść wolną mównicę dla słowa rosyjskiego poza granicami Rosji... Założenie drukarni rosyjskiej w Londynie jest czynem najpraktyczniej rewolucyjnym, jaki dziś Rosjanin może podjąć, oczekując na wypełnienie lepszych. Takie jest głębokie me przekonanie." [35])

Po ukazaniu się w Londynie w zmontowanej przez Centralizację drukarni pierwszych numerów Demokraty Hercen nawiązał kontakt z Worcellem w sprawie możliwości stworzenia drukarni rosyjskiej. Centralizacja ofiarowała mu pomoc w urządzeniu drukarni, sprowadzeniu czcionek rosyjskich z Paryża i urządzeniu jej na miejscu w Londynie.[36]). Drukarnię zakładano w warunkach ścisłej współpracy i wzajemnego zaufania, głębokiego przekonania o wspólności sprawy, której ma ona służyć — najlepszą ilustracją tej przyjaznej atmosfery jest fakt, że powsta-

wała ona, jak pisał Demokrata, „obok i w połączeniu z polską drukarnią Towarzystwa Demokratycznego Polskiego".[37]) Tę atmosferę głębokiego patriotyzmu przepojonego ideą międzynarodowej solidarności ludów polskiego i rosyjskiego, braterstwa polskiego i rosyjskiego ruchu rewolucyjnego oddał Hercen w jednym z pierwszych druków Wolnej Drukarni — w Apelu do Rosyjskich Żołnierzy w Polsce:

„Polacy podali nam rękę j a k o R o s j a n o m. Taki był sens rozmów, które prowadziliśmy w ich kręgu. Ocenili oni naszą miłość do narodu rosyjskiego. Zrozumcie i wy ją i kochajcie zarazem Polaków za to, że są Polakami."[38]) A w swej przepięknej „legendzie o Worcellu" Hercen przytacza jego słowa: „Kochamy Was (mowa o Hercenie — przyp. nasz) właśnie dlatego, że kochacie swoją ojczyznę". W tym samym duchu — jak stwierdza Hercen — zamieścił Worcell dwa swoje artykuły w La Nation, do których omówienia przejdziemy niżej.[39])

Nie trudno dostrzec, jak głęboka treść ideologiczna kryła się w tych sformułowaniach. Świadczą one o tym, że w toku współpracy z Hercenem pogłębiło się w lewicy Towarzystwa zrozumienie głębokiej więzi patriotyzmu z internacjonalizmem, miłości własnej ojczyzny jako nieodłącznie związanej z prawdziwym internacjonalizemem. Nie szedł ten proces gładko, nie obyło się przedtem — jak dalej zobaczymy — bez nacjonalistycznej czkawki w szeregach Towarzystwa, był to jednak niewątpliwie doniosły krok naprzód w rozwoju ideologicznym lewicy Towarzystwa — podnosił on na wyższy szczebel ideę międzynarodowej solidarności wszystkich ludów i braterstwa ludu rosyjskiego i polskiego. Idea ta znalazła potwierdzenie w czynach: druki Wolnej Drukarni Rosyjskiej szły do Rosji przez — użyjmy terminologii nielegalnego ruchu robotniczego — „technikę" Towarzystwa. „Myśmy pisali i drukowali: nasi przyjaciele z Polskiej Demokratycznej Centralizacji rozpowszechniali nasze druki nad brzegami Morza Bałtyckiego i Czarnego" — mówił Hercen; a w jednym z listów dodaje: „Polacy z Centralizacji rozsyłają drukowane ulotki i świetnie dochodzą one do adresatów."[40]) Równocześnie zaś Demokrata drukował na swoich łamach wezwania Hercena do narodu rosyjskiego, jego publikacje i odezwy. W ten sposób płomienne Hercenowskie słowa, słowa rosyjskiej demokracji, docierają wówczas po raz pierwszy po polsku do naszych kół demokratycznych, torując drogę przyszłej ścisłej współpracy polskich i rosyjskich rewolucjonistów.

Co przenika publikacje Hercena, opublikowane wówczas w Demokracie a kolportowane równocześnie w Rosji? Centralnym ich motywem jest niewątpliwie demokratyczna, głęboko patriotyczna i internacjonalistyczna idea wzajemnej solidarności ludu rosyjskiego i polskiego, głąboka wiara w ich przyszłą braterską współpracę.

Publikacje Hercena w sprawie polskiej w latach sześćdziesiątych spotkały się z bardzo wysoką oceną Lenina, który wskazywał na to, że bronił on wówczas „nadal wolności Polski", przeciwstawiając się zgrai liberałów rosyjskich i ocalając honor demokracji rosyjskiej.[41]) Ta wysoka ocena Leninowska w całej pełni odnosi się również do artykułów i przemówień Hercena z lat pięćdziesiątych, artykułów przepojonych głębokim demokratyzmem, wyjątkową śmiałością w stawianiu sprawy polskiej i stosunku do niej demokracji rosyjskiej. W odezwie P o l a c y w y b a c z a j ą n a m, opublikowanej również w Demokracie, Hercen pisał:

„Polacy coraz bardziej zbliżają się do
s.
Mówimy o Polsce demokratycznej,
dowej, współczesnej.
Dla nich ta Polska, która nienawi-
iła Rosji, o której marzyli jej oligar-
owie i jej dowódcy, staje się tak
mo obca, jak Rosja petersburska...
Myśmy zawsze szukali tego zbliżenia...
urawiew, Pestel i jego przyjaciele
erwsi wyciągnęli rękę do Polaków...
Wielki Polak Konarski, niosący z za-
anicy pierś swą katom w polsko-ro-
jskich guberniach, i nieznany rosyjski
icer Karawajew, umęczony za chęć
alenia Konarskiego od śmierci — oto
rys przymierza, o które dziś idzie.
...Połączmy się z Polakami we wspól-
ej walce za naszą i waszą
olność."
Tym bojowym zawołaniem kończy się
dezwa.[42])
I ten przewodni motyw — wspólna
alka nowej Rosji i nowej Polski —
rzewija się przez cały czas u Hercena.
ercen jasno i wyraźnie, wielokrotnie
z naciskiem podkreśla prawo narodu
olskiego do niepodległości, uważa, że
alka narodu polskiego o niepodległość
est również i sprawą rosyjskiej demo-
racji, nawołuje żołnierzy rosyjskich
w Polsce, aby nie walczyli przeciwko
Polakom, aby szli z nimi razem. Hercen
odkreśla niejednokrotnie, że uważa
swoją współpracę z demokratami pol-
kimi nie za coś przypadkowego, ale
a pierwszy przejaw trwałego sojuszu
trwałej przyjaźni między wolnymi, de-
mokratycznymi narodami, i że tak to
również traktują demokraci polscy.
W napisanym specjalnie dla Demokraty
Polskiego artykule pod znamiennym
tytułem Rewolucyjne przy-
mierze polsko-rosyjskie
Hercen pisał m.in:
„Pracujemy z całego serca nad
wzmacnianiem najbardziej braterskiego,
najściślejszego przymierza między de-
mokracją polską a rewolucyjną mniej-
szością Rosji." [43])
A w wygłoszonym podczas wiecu zor-
ganizowanego w 1853 roku przez TDP
w rocznicę 29 listopada przemówieniu,
zakończonym wzniesionym po rosyjsku
— właśnie po rosyjsku, chociaż cała
mowa była po francusku — okrzykiem:
„Da zdrawstwujet niezawisimaja Pol-
sza i swobodnaja Rossija" — w tym
przemówieniu Hercen stwierdza:
„Przyszedłem do Was, polskich przy-
jaciół, nie jako jednostka odłączona od
swoich, nie jako wyrzekający się swo-
jej ojczyzny, proszący o zapomnienie
swego rodowodu. Przeciwnie, głośno
mówiłem o swojej miłości do Rosji,
o mojej niezachwianej wierze w jej
przyszłość. Oni przyjęli mnie jako
przypadkowego przyjaciela
przyszłej Rosji, nienawidzącej brudnych
sprawek swego rządu..., pomagającej im
w dziele wyzwolenia Polski." [44])
Gdy po zakończeniu tego przemówie-
nia Hercena otoczyli polscy demokra-
tyczni wychodźcy, gdy w obliczu ty-
sięcy ludzi wziął go płacząc w swe ob-
jęcia Worcell — to był widomy, prze-
piękny symbol prawdziwości tych słów,
dowód tego, jak głęboko oddziałały
i zapadły w serca i umysły demokra-
tów polskich, przede wszystkim Wor-
cella, słowa Hercena.
Również i działacze TDP (aczkolwiek
nie wszyscy — wrócimy jeszcze do
tego) traktowali nawiązaną współpracę
i sojusz z Hercenem nie jako doraźną,
przypadkową akcję. Hercen pomagał
finansowo Towarzystwu w utrzymywa-
niu polskiej drukarni i w wydawaniu
pisma — ale nie to było najistotniejsze.
Był to tylko przejaw czegoś znacznie
istotniejszego i głębszego.
„Boże mój, Boże mój — wspomina
Hercen reakcję Worcella na pierwszy
drukowany tekst Wolnej Drukarni Ro-

syjskiej — Wolna Rosyjska Drukarnia w Londynie! Ileż przykrych wspomnień zaciera we mnie ten kawałek papieru zasmarowany farbą!"

„Trzeba nam iść razem — powtarzał on (Worcell) często później — mamy wspólną drogę i wspólną sprawę..."[45])

Programową odpowiedzią lewicy Towarzystwa na apel Hercena było, napisane — jak się można domyślać — przez Worcella, oświadczenie redakcji Demokraty Polskiego w związku z otworzeniem Wolnej Drukarni Rosyjskiej.

„Obok drukarni polskiej Towarzystwa Demokratycznego Polskiego i z nią w połączeniu staje Wolna Drukarnia Rosyjska założona staraniem i nakładem obywatela Hercena Aleksandra, znanego w świecie literackim i politycznym pod przybranym nazwiskiem Iskandra. Obywatel Hercen otwiera tym sposobem pole najświętszych i najważniejszych obowiązków względem swojej ojczyzny — Rosji, i względem całej ujarzmionej Europy... Czas był, aby wolnomyślni mężowie Narodu Rosyjskiego podjęli rozpoczęte przez poprzedników swoich dzieło i wstępując w ślady wielkich swych męczenników: Pestlów, Bestużewów, Murawiewów, Rylejewów, Kochowskich, podali sposobność Polsce do spełnienia powinności Krzyżanowskich, Łukasińskich, Dobrowolskich, Machnickich, Umińskich, Łogowskich, Dąbków i Sołtyków. Nie inna też pewnie była myśl braci naszych za listopadowego powstania, skoro właśnie w tej chwili, kiedy sejm polski w sali sejmowej detronizował Mikołaja i zrywał z rządem rosyjskim — tedy lud polski czcząc publicznym obchodem po ulicach Warszawy zawiązywał przymi rze z ludem rosyjskim, kiedy na cze swych rewolucyjnych szeregów i n placu bojów wywieszał chorągie za waszą i naszą wolność. Obywat Hercen zrozumiał obowiązek narodu r syjskiego. Cześć mu. Do nas nasza p winność należy. Czas, czas wie ki okazać, kiedy z rzą dem Mikołaja nigdy, t dy z ludem rosyjski przeciw jego szata skiemu rządowi w ka dej chwili zawrzeć s jusz braterski jesteśm gotowi. Zmieniają się czasy i dzi je... Są rzeczy, o których się ani n śniło naszym politykom. Zapytajm braci naszych, niewolników wojenny zapytajmy męczenników polskich pędz nych na Sybir lub na Kaukaz, zapyta my synów Polski zakutych w dyby rel rutne, czy nie doznali po cierniow swej drodze, spółczucia i miłości lu rosyjskiego. W chwili w kt rej myśl Pestlów i Krz żanowskich w życi wprowadzona i wyk nana będzie, zerwan zostanie tama polskie i rosyjskiej wolnośc i wolności całej Eur p y."[46])

Trudno przecenić znaczenie i wym wę ideologiczną tego dokumentu. W rastał on z całej dotychczasowej trad cji i współpracy polskiego i rosyjskie ruchu rewolucyjnego i świadomie jak widać — do niej nawiązywał. A nie tylko nawiązywał — właśnie w ty dokumencie jaskrawo widać, jak w to współpracy z Herceneem wzniosły s na wyższy szczebel zasady internacj nalizmu w ideologii lewicy Towarz stwa. Nigdzie przedtem w dokume tach Towarzystwa nie było tak jasneg wyraźnego odgraniczenia rządu od lu

syjskiego, nigdzie przedtem nie była k dobitnie i przekonywająco wyrażo- wiara w siły ludu rosyjskiego. Na czególnie mocne podkreślenie zasłu- je tu fakt, że uwypuklenie sprawy zyjaźni między demokratyczną Pol- ą a demokratyczną Rosją ujmuje De- okrata w aspekcie nowych stosunków iędzy wolnymi narodami w skali mię- zynarodowej.

Dowodem wyjątkowego znaczenia, ja- e przypisywał Demokrata współpracy sojuszowi z Hercenem, jest fakt za- ieszczania stale w ciągu lat 1853—54 łamach pisma podstawowych doku- entów Wolnej Drukarni, w szczegól- ości dokumentów poświęconych spra- ie polskiej, kładących fundamenty eologiczne pod sojusz polskiego i ro- yjskiego ruchu demokratycznego. Wa- ę tego sojuszu uważano za słuszne odkreślić również i wobec międzyna- odowej opinii publicznej. Gdy w 1854 r. angielskiej gazecie Morning Advertiser ukazał się jakiś paszkwil na Her- ena, powołujący się w dodatku na myślone świadectwa, Centralizacja DP, Worcell i Żabicki w imieniu Cen- alizacji składają protest. Stwierdzają nim, że jak go nazywają, nasz „przy- ciel i sprzymierzeniec", Hercen, cie- y się ich pełnym zaufaniem. Worcell Żabicki oświadczyli równocześnie, że ałkowicie zgadzają się z Hercenem sprawach dotyczących Polski, że olacy wybaczają nam — pierwszy produkt współpracy polsko- syjskiej, i że również wspomnianą już owę, wygłoszoną na rocznicę powsta- a, całkowicie aprobują. Równocześ- e ten sam protest pod znamiennym tułem Polski Centralny omitet Demokratycz- y — Niepodległość Pol- ki sprawą demokracji stał jako oddzielna broszura opubli- owany po angielsku.[47]) Ale nie tylko prace Hercena poświęcone sprawie polskiej publikowane są w Demokracie. Opublikowane zostają również prace poświęcone sprawom rosyjskim — m. in. pierwsza odezwa Wolnej Drukarni Do braci w Rosji, Dzień św. Jerzego, Głos z nieba. Regularnie również informuje Demokrata o wychodzących spod prasy Wolnej Drukarni innych wydawnictwach Hercenowskich — chodzi najwyraźniej o to, aby jak najszerzej zapoznać polską opinię demokratyczną i na emigracji, i w kraju (chociaż do kraju Demokrata docierał wówczas słabo) z poglądami Hercena, zbliżyć do niej rosyjską myśl rewolucyjną, wykazać, że „idziemy wspólną drogą".

Temu celowi służy również zamieszczony w Demokracie artykuł Worcella poświęcony samej osobie Hercena. Artykuł zawiera dokładną informację biograficzną o Hercenie, podkreślając, że „życie jego było ciągłą walką przeciw petersburskiemu samowładztwu". Wysoko ocenione są w tym artykule filozoficzne prace Hercena. „Ogłosił on długi szereg rozpraw o filozofii nowożytnej, szczególnie o nauce heglowskiej. Lubo bardzo śmiałe, rozprawy te omijały sidła cenzury." Wskazuje następnie Worcell na to, że Hercenowi nie wystarczyły ogólne rozważania filozoficzne i że „uczuł on potrzebę zajęcia się życiem rzeczywistym", wymieniając takie jego prace, jak Z drugiego brzegu, Listy z Włoch i Francji i Moje pożegnanie. Podkreśla artykuł znaczenie pracy Hercena O rozwoju wyobrażeń rewolucyjnych w Rosji, która „zaznajamia świat... z rewolucyjnymi żywiołami ukrytymi w Rosji".

„Tych, równie jak wszystkich innych pism Hercena — stwierdza artykuł na zakończenie — cechą najwybitniejszą

jest duch czysto rewolucyjny. Jest on w ciągłej walce ze starym światem, w ciągłym oporze przeciw wszelkim ograniczeniom, zaporom, reakcjom. Jedną ma cześć — dla bezwzględnej wolności, jedno zamiłowanie — niepodległości."[48])

Jakże trafnie oceniono tu rewolucyjny poryw, rewolucyjnego ducha twórczości Hercena! Nie jest przypadkowe, że ocena ta wyszła właśnie spod pióra Worcella. Zgodnie z Hercenowską intencją niesprowadzania współpracy demokracji polskiej i rosyjskiej w Londynie do współpracy przypadkowych jednostek, podkreślaliśmy dotychczas, jak wypływał ten sojusz z ogólnych tendencji torujących sobie drogę w polskim ruchu demokratycznym. Ale nie można mówić o całym tym okresie, nie mając ciągle przed oczyma wspaniałego wzoru osobistej przyjaźni Hercena i Worcella. Ci dwaj ludzie byli sobie bliscy, łączyły ich osobiste, jak najserdeczniejsze uczucia i jak największy wzajemny szacunek. Trudno po dziś dzień bez wzruszenia czytać karty Byłoje i Dumy poświęcone pamięci Worcella, przeniknięte głęboką miłością do Worcella jako człowieka, jako krystalicznej i świetlanej postaci. Nie mamy równie pięknego i prawdziwego, głęboko ludzkiego obrazu Worcella w całej naszej literaturze. Ta osobista przyjaźń, która wyrosła i ugruntowała się właśnie na drogach stykania się i przemian polskiego i rosyjskiego ruchu rewolucyjnego w XIX wieku, jest żywym symbolem trwałości i rozwoju sojuszu polskiej i rosyjskiej demokracji. Jakże wiele podobieństwa jest w drogach życiowych tych dwóch ludzi, którzy, każdy po swojemu i w specyficznych warunkach, przechodzili od szlacheckiego rewolucjonizmu do rewolucyjnego demokratyzmu. Prześledzenie tej paraleli byłoby niezmiernie poucza-

jące nie tylko dla lepszego zrozumie
końcowego etapu — przyjaźni Worce
i Hercena — ale i dla dróg kształtov
nia się polskiego ruchu demokraty
nego, jego osiągnięć i trudności, j
rozwoju i wahań. Paralela ta wa
jest, tak jak sama postać Worce
szczegółowego, odrębnego opracowa
Nie przypadkowo zetknął się z Her
nem właśnie Worcell — uczestnik r
mów z dekabrystami, który już wte
podzielał program Stowarzyszenia
łudniowego Słowian, a o sobie mó
że wyraża „dążenie tysięcy Polak
i Rosjan" zmierzających do połąc
nia.[49]) „Nasz patriotyzm — mówił W
cell 1834 r. na zebraniu poświęcon
dekabrystom — jest to nienawiść ins
tucji caratu, lecz nie jest nienawiś
narodu, byłoby to bowiem niesłus
i nierozumne. Myśmy (mowa o wsp
pracy z dekabrystami — przyp. na
zmierzali i dążyli ku temu, aż
w każdym z obu krajów, w Polsce i
Rosji, panowanie ludu zastąpiło tyra
i wspólny węzeł połączył różne nar
szczepu słowiańskiego w jedną fe
rację." [50])

Tak pojmowany patriotyzm przen
nięty najgłębiej ideą walki „o woln
naszą i waszą" prowadził też kon
kwentnie Worcella po jego drodze
ciowej. Wyrosła z niego osobista pr
jaźń z Hercenem i zawiązany, prz
wszystkim dzięki osobistej pracy W
cella, sojusz lewicy TDP z demokra
rosyjską w Londynie.

Swój stosunek do Hercena wyłc
Worcell najpełniej w opublikowan
w belgijskiej gazecie La Nation dw
artykułach poświęconych współpr
polskich demokratów z rosyjsk
i personalnie Hercenowi. Artykuły
(przytaczaliśmy już wysoką ocenę, j
dał im Hercen) raz jeszcze potwierdz
jak wielką wagę przywiązywał W
cell do zapoczątkowanego sojuszu p

ej i rosyjskiej demokracji i są zazem pięknym przejawem tego soszu.

Artykuły rozpoczynają się od zawiamienia o powstaniu „drukarni polo-rosyjskiej“ i od biografii Hercena, órą referowaliśmy już wyżej, przy ym życiorys w tych artykułach jest wiele bardziej szczegółowy. Artykuł pisany jest wyjątkowo ciepło, przyźnie, pełen jest osobistej sympatii dla ercena, dla jego talentu i rewolucyjch zasad. W centrum artykułów stoi rawa stosunków między polską a rojską demokracją. Tę sprawę chce zede wszystkim Worcell spopularyzoać, do niej przywiązuje szczególną agę.

Witając Hercena jako „wykonawcę stamentu Murawiewów i Pestlów“, do órego „serdecznie wyciągamy dłoń“ podkreślając znaczenie zawiązującej ę przyjaźni Worcell stwierdza:

„Hercen — założył podwaliny przytego sojuszu między polską a rosyjją demokracją... P o l a c y w y b a z a j ą n a m — to wspaniały apel yrażający nadzieję braterskiego paktu zyszłości z dzisiejszą uciskaną Polą.“

P o l a c y w y b a c z a j ą n a m to dokument wyjątkowej wagi policznej, który, jesteśmy pewni, przyłość potwierdzi w całej pełni.

„Witamy jak najgoręcej zadanie reizowane przez ludzi demokracji rojskiej. T a p r a c a, d o k t ó r e j H e r c e n m i a ł c z e ś ć ł ą c z y ć s w e i m i ę, o z n a z a ć b ę d z i e n o w y k r o k a p r z ó d n a d r o d z e p o w z e c h n e j s o l i d a r n o ś c i, a k t ó r e j s t y k a j ą s i ę u d y, k t ó r e c h c ą b y ć o l n e i k t ó r e n i m i b ę d ą, ó w c z a s g d y p r z y j a ź ń o ł ą c z y r o z m a i t e r o d z i n y w s p ó ł c z e s n e g o s p o ł e c z e ń s t w a.“[50])

Worcell patrzał dalej i widział więcej niż ktokolwiek spośród ówczesnej demokratycznej emigracji polskiej. Całą swoją żarliwą wiarę w przyszły sojusz polskiego i rosyjskiego ludu wkładał też w ugruntowanie i pogłębienie współpracy z Hercenem. Jego też zasługą jest, że dała ona tak doniosłe rezultaty w latach 1852 — 54.

Ale to pięknie zapoczątkowane dzieło wkrótce upadło. Różne się na to złożyły przyczyny — i duże, i małe. Najważniejszą z nich był niewątpliwie nieprzezwyciężony nacjonalizm i liberalizm w szeregach lewicy samego Towarzystwa. Współpraca z Hercenem była dowodem pogłębienia dojrzałości ideologicznej lewicy Towarzystwa, dalszej jego radykalizacji — nie przypadkowo przecież tak sarkał i z taką żółcią mówił o tej współpracy Mierosławski. Ale nie znaczy to, jak to już wykazywaliśmy uprzednio, że ograniczoność i chwiejność lewicy zostały całkowicie przezwyciężone. To, co z jednej strony dawało o sobie znać w postaci pozostałości liberalizmu, to z drugiej strony pojawiało się jako czkawka nacjonalistyczna. Wzmogły się te nacjonalistyczne tendencje zwłaszcza przed wojną krymską, gdy, jak pisał Hercen: „nienawiść i strach znów wzmocniły wrogi stosunek do nas“.[51]) Na tym tle, do którego dołączyły się jeszcze rozmaite drobne sprawy emigracyjne, doszło do zerwania Centralizacji z Hercenem, przy czym jako nosiciel nacjonalistycznych tendencji występował — jak wskazywał Hercen — przede wszystkim Zienkowicz. Hercen starał się usilnie przeciwdziałać temu zerwaniu. W całym tym okresie okazuje on dużą pomoc ideologiczną lewicy Towarzystwa, zwłaszcza Worcellowi, wskazuje na konieczność pogłębienia współpracy, przezwy-

ciężenia nacjonalistycznych tendencji w Towarzystwie. Zresztą również i później Hercen stara się pomóc Centralizacji, wskazuje na braki Demokraty Polskiego, który w tym okresie był oderwany od problematyki kraju, dzieli się doświadczeniem Kołokoła, wskazuje, że Demokrata „nie trafia w istotne społeczeństwa polskiego potrzeby".[52]) Również i Worcell przeciwstawił się narastającej groźbie zerwania, ale w końcu uległ, poddając się również złudzeniom powstałym w toku wojny krymskiej. Hercen w Byłoje i Dumy z goryczą wspomina o tym zerwaniu, żałując tak pięknie rozpoczętego wspólnego dzieła.

Ale mimo wszystko, mimo wszystkich oporów, mimo ciążących resztek nieufności i nacjonalizmu, dzieło Hercena i Worcella torowało sobie drogę. W parę lat później Hercenowski Kołokoł, który wyrósł z Wolnej Drukarni Rosyjskiej założonej przy „jak najwydatniejszej — jak mówił Hercen — współpracy przedstawiciela polskiej demokracji" dzwonił na całą Rosję, nawołując do przymierza z wyzwoleńczo-demokratycznym ruchem powstania styczniowego. A drogą, którą sojuszowi polskiej i rosyjskiej demokracji torowali Worcell i Hercen, poszli śmiało, złączeni bezpośrednią współpracą, Sierakowski i Czernyszewski, Potiebnia i Dąbrowski, i tylu innych bojowników lat sześćdziesiątych. Rozszerzyli oni wąską jeszcze ścieżkę, którą wyrąbywać zaczęły artykuły Hercena i Worcella, publikacje Wolnej Drukarni Rosyjskiej i Demokraty Polskiego. Polska i rosyjska klasa robotnicza przekształciły tę ścieżkę w szeroki gościniec wspólnego marszu do ostatecznego wyzwolenia polskich i rosyjskich mas pracujących. Tą torowaną przez najlepszych synów narodu polskiego i rosyjskiego drogą kroczy dziś niepodległa i wolna Polska Ludowa, złączona braterskim sojusze
z Krajem Rad. Na tym sojuszu opier
my naszą wolność, czerpiemy zeń si
dla twórczej pracy ludu polskiego na
szczęściem swojej ojczyzny, wnosz
przezeń swój wkład do — jak mów
Worcell — „powszechnej solidarnoś
ludów, które chcą być wolne".

„Zwrot ten — mówił Towarzy
Bierut o historycznym zwrocie w wi
lowiekowych stosunkach między nar
dem polskim a narodami: rosyjskir
ukraińskim i białoruskim — któ
stał się możliwy dzięki zwycięstwu R
wolucji Październikowej w wyniku ro
gromienia hitleryzmu przez Armię R
dziecką, był przedmiotem dążeń na
lepszych Polaków i Rosjan na prz
strzeni ostatnich 150 lat."[53])

Wyrazem tych dążeń, które dziś wł
czamy do naszych tradycji, które dz
służą nam do umocnienia sojuszu
Związkiem Radzieckiem, była m.i
twórcza współpraca z Hercenem lewic
TPD, a przede wszystkim Worcella.

Bronisław Baczko

PRZYPISY

[1]) Marks-Engels — Dzieła, t. X
str. 671.
[2]) Demokrata Polski, 1843, str. 114.
[3]) Marks i Engels Dzieła, wyd. ro
t. X, str. 521.
[4]) Marks-Engels — Dzieła, t. X, wy
ros., str. 521.
[5]) Demokrata Polski z. 1.XI.45.
[6]) Kwestia czwarta — Poitiers, str. 26.
[7]) List z dnia 28.5.1849 r. cyt. wg Łuczakó
ny; Wiktor Heltman, str. 222.
[8]) Lenin — t. VI, cyt. wyd., str. 416.
[9]) Por. Łuczakówna, Wiktor Heltman, st
120—123.
Historia współpracy polskich i niemie
kich demokratów w tym okresie zasł
guje na szczegółowe, nowe opracowan
historyczne, które by wydobyło tę ład
kartę naszych tradycji.
[10]) Por. np. Demokrata Polski z 20.VII.48,
VIII.48, 13.I.49 i inne.
[11]) Demokrata Polski z 9 czerwca 1849.
[12]) Łuczakówna — op. cit., str. 222—3.
[13]) Demokrata Polski z 9.VI.1849.
[14]) Demokrata Polski z 7.VII.1849.
[15]) J. W. Janowski — O początku d
mokracji... str. 9—10.
[16]) Hercen — Dzieła, t. VII. Petrograd 191
str. 224.

) Janowski — O początku demokracji..., str. 16.
) Cyt. wg. Wiosna Ludów, t. V, str. 23, 24.
) Por. Myśl filozoficzna Nr 4/6, str. 221.
) Wojciech Darasz — Pamiętnik migranta, Wrocław 1953, str. 72.
) Demokrata Polski — t. IV, str. 55.
) Por. Handelsman — Francja — Polska, str. 156.
) Por. tekst Złotej Książeczki, Wycech, Ks. Piotr Ściegienny, W-wa 1953, str. 148.
) Por. F. Wiesiołowski — Pamiętnik z r. 1845—46, 1868, str. 24.
) Hercen — tamże, str. 258—259. Nie udało się nam ustalić, kogo personalnie ma tu Hercen na myśli.
) Demokrata Polski z 18 grudnia 1847.
) Por. Hercen — Byłoje i Dumy, cyt. wyd., str. 579.
) Demokrata Polski z 1 września 1848.
) Cyt. wg Limanowskiego Historia demokracji polskiej, Warszawa 1947, t. II, str. 249.
) Ogariew — Wybrane pisma społeczno-polityczne i filozoficzne, Moskwa 1952, str. 384.
) Por. Trentowski — Wizerunki..., str. 398 i in.
) Por. Łuczakówna — Wiktor Heltman, str. 78—79.
) Łuczakówna powołuje się na zniszczony w czasie wojny rękopis Heltmana (Zbiory Batign, rkps. 2385). Łuczakówna dla wiary Heltmana w naród rosyjski nie znalazła innego określenia niż „naiwna!"
) Marks, Engels — Dzieła, t. XI, cz. I, str. 508.
) Hercen — Byłoje i Dumy, cyt. wyd., str. 579.
) Demokrata Polski — 1852, str. 55; por. Hercen — Dzieła, t. VII, str. 234.
) Por. Demokrata Polski 1862, 30 maja, por. Hercen — Dzieła, t. VII, str. 189.
) Demokrata Polski 1852, str. 49.
) Hercen — Dzieła, t. VII, str. 69.
) Hercen — Byłoje i Dumy, cyt. wyd., str. 593—594.
) Hercen — Dzieła, t. VIII, str. 130—134. Wiadomości o stronie organizacyjnej tej sprawy są bardzo nikłe; warto byłoby wydobyć — jeśli coś ocalało — z archiwów dane o tej współpracy, abyśmy mogli pełniej zobaczyć tę tak cenną dla nas tradycję.
) Por. Lenin — Pamięci Hercena, Dzieła wybrane, t. I, str. 757.
) Hercen — Dzieła, t. VII, str. 258—259. Por. Demokrata Polski 1853, str. 86—87.
) Hercen — Dzieła, t. VIII, str. 86. Por. Demokrata Polski z 8.VI.1854.
) Hercen — Dzieła, t. VII, 395.
) Hercen — Byłoje i Dumy, cyt. wyd., str. 581.
) Demokrata Polski 1853, str. 49, (podkr. nasze).
) Tekstu nie udało się nam, niestety, zdobyć. Referujemy wg uwag Lemkego, wydawcy dzieł Hercena. Hercen — Dzieła, t. VIII, str. 80.
) Demokrata Polski 1853, str. 86. Autorstwo Worcella wynika z identyczności z częścią tekstu artykułu Worcella opublikowanego w belgijskiej La Nation, numery 319 i 320 z 15 i 16.XI.1853.
) Cyt. wg Limanowskiego — Stanisław Worcell, Warszawa, 1948, str. 124.
) Por. Informacje bibliograficzna w notce 48 (podkr. nasze).
) Hercen — Byłoje i Dumy, cyt. wyd., str. 593.
) Jeż T. T. — Od kolebki przez życie, t. II, str. 248.
) Bolesław Bierut — O Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, str. 41.

W Ś R Ó D K S I Ą Ż E K

JAROSŁAW IWASZKIEWICZ: *Wiersze z różnych epok.* Warszawa, 1954. Czytelnik; str. 303.

Wiersze z różnych epok skłaniają do rozważań nad całokształtem poetyckiej twórczości Jarosława Iwaszkiewicza, podobnie jak każda tego rodzaju antologia. A leżący przed nami tom jest właśnie taką antologią ułożoną w chronologicznym porządku i zaznajamiającą czytelnika z wieloletnim rozwojem poety.

Debiut pisarski Iwaszkiewicza przypada na rok 1912. Wiersze swe jednak rozpoczął on publikować nieco później, w 1914 r. Próżno studiowalibyśmy listę jego dzieł pragnąc natrafić na zbiorek, który by skupiał wszystkie *iuvenilia* autora Lata 1932. Nigdy nie wydał on takiego tomiku. Toteż chcąc zetknąć się z jego pierwszymi próbami poetyckimi, musimy wertować roczniki periodyków polskich, wydawanych w tym czasie w Kijowie. Jedynie niektóre spośród swych najwcześniejszych utworów pisarz ocalił przed zapomnieniem. Znakomitą ich większość skazał na niepamięć. Motywację tego tak surowego wyroku stanowi jednoznaczna i negatywna ocena poetyckiego programu Chimery. Początki twórczości Iwaszkiewicza upłynęły pod znakiem oddziaływania tego czasopisma. Miriamowski estetyzm wycisnął wyraźne piętno na większości jego liryk z tych lat. Nie darmo cechuje je uporczywa niechęć do prozaizmów, kult fałszywej „poetyczności" i skłonność do wybujałej ornamentacji. Reperkusje tego wpływu, który wywarły na młodzieńczą twórczość poety postulaty padające z łamów Chimery, odnajdziemy jeszcze w Oktostychach. Ich zasięg nie ograniczy się do młodopolskiego słownictwa, do „kontyny" i „kruży" (Aubada), do „smętu" (Prolog) i do „zagadki wszechbytu" (In modo d'una canzona), lec sięgnie nieco dalej.

Przerzucając Oktostychy zauważamy skłonność artysty do posługiwania się „rekwizytami poetyckimi", tj. takimi zwrotami, które ze względu na swe znaczenie posiadają dodatnią wartość estetyczną, niezależną od wartości całe frazy, które winny automatycznie budzić zachwyt wśród odbiorców, choć nie zawsze im się to udaje. Chodzi nam tu o takie wyrażenia, jak np. „berło prądu" (Na wodzie), „koral pocałunku" (Spotkanie), „namiot płomienny" (Włosy), „szmaragdami wysadzane steczki" (Primavera). Nagminne ich stosowanie pociąga za sobą „upiększanie", a co za tym idzie — odrealnianie świata, które staje się jedną z najbardziej charakterystycznych właściwości Oktostychów, a i pewnych utworów w późniejszych zbiorkach poety. Iwaszkiewicz przebiera przedmioty i wydarzenia przedstawiane w kostiumy mające urzekać swą urodą każdego, kto tylko pochyli się nad kartami tomiku. Dlatego właśnie nazywa on wiosło „berłem prądu", a włosy „płomiennym namiotem", dlatego steczki są wysadzane „szmaragdami". Ta zdobnicza manier zdradza niekiedy wyraźnie kryjące się poza nią treści ideologiczne. Dzieje się tak wówczas, gdy poeta zmierzając do „upiększenia" ukazywanych zjawisk zestawia je z wytworami inwencji artystycznej. W Primavera drzewa przypominają haft, w Chwili jesieni liście winogradu kojarzą się z deseniem. Celem pisarza jest niewątpliwie „estetyzacja" zaobserwowanych przezeń realiów. Toteż zestawia on je z produktami ludzkiej działalności artystycznej, tak jakby kierował się przekonaniem, iż podobne zestawienie po

większy urodę opisywanego pejzażu, podobieństwo bowiem do dzieła sztuki, tworzącego miarę wszelkich wartości, świadczyć może jedynie na korzyść krajobrazu.

Następnym tomem poety są Kasydy. Wprawdzie ukazały się one drukiem w 1924 r., niemniej jednak powstały wcześniej, gdzieś pomiędzy 1917 a 1920 r. Toteż zajmując się rozwojem poetyckiej twórczości Iwaszkiewicza musimy zatrzymać się nad nimi, zanim przystąpimy do rozważań nad Dionizjami, choć ten tom opublikowany został w 1922 r.

Kasydy to zbiór poematów prozą. Pisarz sięgnął po formę niezmiernie rzadką w polskiej poezji. Miał bardzo wielu poprzedników. Modlitwy, Pokusa, Noc letnia Z. Krasińskiego, O bohaterskim koniu walącym się domu J. Kasprowicza... Oto lista najważniejszych pozycji utrzymanych w ramach tego gatunku. Ma on natomiast znacznie liczniejszy poczet przedstawicieli w literaturze innych narodów, a nade wszystko — francuskiej. I tu mimowiednie nasuwa się nam nazwisko J A. Rimbauda, którego tom poematów prozą Iluminacje tłumaczył w 1920 r. Iwaszkiewicz pospołu z M. Rytardem. Skojarzenie to — jak okazuje się po chwili — nie jest pozbawione podstaw. Uważna lektura Kasyd wskaże na właściwe temu okresowi filiacje twórczy Oktostychów z francuskim poetą.

Konstrukcje poematów prozą, zebranych w Kasydach, zdradzają brak spoistości. Pojawiają się metafory kojarzące barwę z dźwiękiem (np. „czerwone pasaże fletów“ w Zimie) i zdania takie jak „Cisza jest królem“ (Helena). Obraz poetycki przestanie zestawiać ze sobą rzeczy pod pewnym względem do siebie podobne. Rodowód tej praktyki pisarskiej Iwaszkiewicza zaprowadzi nas w stronę Oktostychów. Tam zetkniemy się już zarówno z „zachwianiem więzi kompozycyjnej“, jak i z wyrzeczeniem się podobieństwa pojmowanego jako podstawa metafor i porównań. Były to jednak pierwsze oznaki tych arealistycznych tendencji, które wzmogły się dopiero w Kasydach.

Arabian nights wyznacza ucieczkę pisarza w egzotyzm. Nie jest to przypadek odosobniony. W Oktostychach mieliśmy już do czynienia z tym zjawiskiem. Nasza miłość roiła się od nazw odległych państw, dziwnych roślin i owadów. A wcześniej jeszcze — w 1914 r. — powstała powieść poetycka Ucieczka do Bagdadu, będąca również wyprawą w dalekie kraje. Znaczenie tych literackich ekspedycji nie polegało jedynie na „upiększaniu świata“, stanowiącym wtórny ich produkt. Właściwy sens egzotyzmu dostrzegł sam poeta pisząc w Europie (1921 r.):

Za ciasno nam. Stąd zadźwięczały
w naszych powieściach pagody
I zobaczyliśmy z okna odległy szczyt:
Gaurizankar.

Przerażony prozą mieszczańskiego życia pisarz uciekał w kierunku mistycznego raju, umiejscowionego to w Syrii, to znów pośród nieokreślonych przestrzeni. Oczywiście, obraz takiego kraju stawał się jedynie pejzażem nowej Arkadii, przeciwstawianej burżuazyjnemu porządkowi społecznemu. Tę intencję Iwaszkiewicza wyjawia najlepiej Groteska (Oktostychy), gdzie nagle jawi się konfrontacja legendy o szczęśliwej ziemi z mieszczańską powszedniością, konfrontacja powtarzana później w Żywotach i Deformacjach (Kasydy), a stanowiąca rzeczywisty podtekst egzotyzmu poety.

Z trzecim tomem jego wierszy, z Dio-

nizjami, łączy się zazwyczaj fakt zaliczenia autora Oktostychów pomiędzy Skamandrytów. Ta utarta formuła krytyczna nie ostoi się jednak przed rewizją. Owszem, autor Kasyd publikował swe utwory pospołu ze Skamandrytami, owszem, ogłaszał je w tych samych co i oni pismach — najpierw w Pro Arte, a później w Skamandrze i Wiadomościach Literackich — ale te osobiste związki nie zaważyły na jego liryce.

W Dionizjach zabrzmiały na chwilę strofy nasycone pochwałą prężności i piękna istnienia. Tomik ten otwierał przecież wiersz Do Dionizosa. Optymistyczny witalizm rychło jednak opuścił karty zbioru. Jego miejsce zajęło przerażenie światem, dyktujące poecie Modlitwę. Spowodowało ono narodziny bezpośredniej repliki na jego pierwotne uniesienia. W Piosence dla zmarłej (Księga dnia i księga nocy) czytamy:

Bo sens nie w szarpaniu
Ani jest w radości,
Ale w cierpliwości
I wielkim czekaniu.

Przestrach, który budziło w poecie burżuazyjne społeczeństwo, stoi u podstaw utopii azylu. W Ustach fanatyków (Dionizje) woła:

Zwijajcie wasze czarne żagle
I nie przychodźcie odtąd do mnie —
Skryję się w zbożu zwiędłym nagle
I każdy o mnie już zapomni.
Sam ja zamieszkam w białym domku
W jakimś małym miasteczku,
Będę rozdawał co niedziela
Ubogim dzieciom po ciasteczku.

We fragmencie tym sformułowany został program ucieczki przed „strasznym światem" a zarazem zawarto w nim wiarę w możliwość znalezienia samotni, w której można przeczekać istnienie. (Stąd bierze się w późniejszej Piosence dla zmarłej apologia „wielkiego czekania".) Ten mit jakiegoś pustkowia, gdzie można się schronić uciekając spod władzy burżuazyjnego społeczeństwa, odezwał się również w Iwaszkiewiczowskiej prozie. Bohater opowiadania Nowa miłość, napisanego w 1925 r., pragnie się ocalić przed namiętnością, która grozi wtargnięciem w jego życie. Dlatego nie wpuszcza do swego mieszkania kochającej go kobiety. Wierzy, iż jego pokój jest doskonałą pustelnią, odgradzającą go od spraw, które toczą się „na zewnątrz". Iwaszkiewicz zdaje się podzielać jego iluzje. Straci je dopiero w Lecie 1932 i w Pasjach błędomierskich.

Wydana w 1929 r. Księga dnia i księga nocy rozpocznie nowy okres twórczości poety. Znamiennym rysem stanie się tu poszukiwanie ładu. Pisarz wprowadzi surowe rygory kompozycji, opierając równocześnie metaforykę o podobieństwo zestawianych ze sobą przedmiotów czy też wydarzeń. Pierwsze kroki w tym kierunku poczynił on w Dionizjach. Operował tam jednak bardzo często monologiem wewnętrznym lirycznego podmiotu, rozluźniając związek pomiędzy poszczególnymi frazami utworu. Nie powtórzy się to w Księdze dnia i księdze nocy, podobnie zresztą jak i w późniejszych jego tomikach. Zapanuje w nich całkowita spoistość konstrukcji. Obrazowanie stanie się klarowne. Pisarz będzie unikał piętrzenia metafor, dbając o jasność i przejrzystość swych poematów.

Ani Księga dnia i księga nocy, ani Powrót do Europy (1931 r.), ani Lato 1932 (1933 r.) nie gardzą literacką pożyczką czy też zaciąganiem długu u mowy potocznej. Autor Kasyd korzysta z obrazów spotykanych w dziejach liryki, z meta-

r ukutych w języku mówionym. Czerpie z tych źródeł pełnymi garściami. Widzimy to już wertując Oktostychy. W Serenadzie natrafiamy na „bladą tarcz miesiąca“, a w Prologu na „złoty grot zachodzącego słońca“. Częstotliwość tych objawów potęguje się jednak dopiero w okresie, którego początek wyznacza Księga dnia i księga nocy. Tam pojawiają się „mroczne lice“ (Nie sieją białych kwiatów w ogrodzie...), a więc obraz zaczerpnięty z arsenału artystycznych środków poetyckich epoki romantyzmu, tam to zetkniemy się z „mroźnym miesiącem“, który „nad mogiłą stoi“ (Piosenka dla zmarłej), a więc z metaforą wskazującą na pieśń ludową jako na źródło swego pochodzenia. Ba, znajdziemy również wtapianie w język liryki zwrotów zaczerpniętych z mowy codziennej. Poeta — jak wydaje się — najzupełniej świadomie posiłkuje się metaforyką, wypracowaną wcześniej przez poezję czy też przez mowę potoczną. Tym samym przeciwstawia się on w swej praktyce pisarskiej hasłom rzucanym przez te ugrupowania mieszczańskich artystów, którzy podstawowym zadaniem wszelkiej twórczości czynili zerwanie z tradycją, a przynajmniej całkowite wyrzeczenie się ukształtowanych przez nią form.

Naczelnym i najważniejszym chyba rysem tego okresu w poetyckiej twórczości Iwaszkiewicza, rysem rozstrzygającym o jej znaczeniu jest humanistyczna treść większości jego wierszy. Wypowiadają one uczucia proste, właściwe wielu ludziom, takie jak np. wspomnienie lat minionych, miłość kraju rodzinnego, smutek rozstania, cierpienie. Humanistyczne wartości przejawiły się wcześniej w liryce Iwaszkiewicza. Wykryjemy je przecież w Oktostychach i w Kasydach. W Rozstaniu tkwi gorycz rozłąki, tworząca zasadniczy motyw poematu; w Powrocie — czułość dla rzeczy dokonanych, w In modo d'una canzona rozważania nad upływem czasu. A czyż podobnych treści nie kryją Kasydy? Wzruszenie krajobrazem patronuje utworom: To, Henri Rousseau, Powrót, powszechne i proste doświadczenia mieszczą się w Do Lidii i w Sierpniu. Proces narastania humanistycznego nurtu w poezji Iwaszkiewicza, rozpoczęty Oktostychami, spotęgował się w późniejszych tomikach pisarza. W Księdze dnia i księdze nocy zjawiły się utwory tak doskonałe, jak cytowana tu Piosenka dla zmarłej, jak Wiosna, jak niektóre poematy z cyklu Przypomnienie, jak Wieczór latu na to dany... lub Głos słyszałem dziś żałosny..., lub fragmenty Smutnego lata i Podróży zimowej. Ludzkie treści zwyciężą w Powrocie do Europy, by wreszcie odezwać się pełnym głosem w najświetniejszym bodaj z przedwojennych zbiorków poety — w Lecie 1932. Niesposób tu wyliczyć wszystkich, głęboko humanistycznych wierszy pomieszczonych w tym tomiku. Nie trzeba być bystrym obserwatorem, by wyłowić z Lata 1932 wiersze, które śmiało mogą wejść do antologii liryki polskiej lat międzywojennych. Wystarczy rzucić okiem na Bezlistne drzewa w słońcu całe, Ja tylko tak udaję..., W zimowym odbiciu dymu... czy Sam jak drzewo ponad wodą...

Już w debiutanckim tomiku poety kryły się akcenty krytyki burżuazyjnego społeczeństwa. Iwaszkiewicz konfrontował swój poetycki „raj“ z prozą mieszczańskiego życia. Konfrontację tę kończyło potępienie świata, w którym autor Oktostychów rozpoczynał swą działalność. Wzmogło się ono

jeszcze w Kasydach, gdzie krytyka objęła również swym zasięgiem tragiczna dolę bezrolnego chłopa (Słońce). Następnie jej rozwój zaczął przybierać coraz ostrzejsze formy. W Księdze dnia i księdze nocy poeta skieruje swą uwagę na rozpaczliwą sytuację burżuazyjnej Polski i na nędzę prostego człowieka (Podróż zimowa), w Powrocie do Europy zdobędzie się na trafną ocenę swego młodzieńczego egzotyzmu (Europa), na refleksję nad niedostatkami buntu, który manifestowała jego twórczość (Późny wieczór), na jawne sprecyzowanie swych patriotycznych uczuć (Wisła i Ren; Do przyjaciela wroga). Te sygnały protestu uderzą nas z niemniejszą siłą w Lecie 1932.

Żadna chyba z przedwojennych poetyckich publikacji Iwaszkiewicza nie posiada owej osobliwej „tonacji", która cechuje ten jego zbiorek. Zdarzają się w nim wprawdzie pojedyncze wiersze odzwierciedlające lęk pisarza wobec śmierci, nigdzie jednak nie narzucą one swej wymowy całemu tomikowi. Natomiast tu w strofach Sam jak drzewo ponad wodą... stanowiących podsumowanie Lata 1932 znajdują się słowa:

Stawy, trawy, wicher, woda,
Cienie skrzydeł, chmury nieb —
Przedwieczorne przerażenie —
To codzienny dziś mój chleb.

Aura „przerażenia" owija więc zbiorek. Powtarza się w nim nieustannie.

„Upiększanie" świata było specyfiką Oktostychów. Zobaczymy je również w Kasydach. Opanuje ono Naszą drogę i Przychylność, wyciśnie swój ślad na Helenie i Bajce. Dionizje, a w szczególności Księga dnia i księga nocy staną się objawem osłabienia tych tendencji. Jedynie najsłabsze wiersz
owych tomikach będą pozostawać na
w kręgu oddziaływania estetyzmu. J
siła wzrośnie jednak w Powrocie
Europy, gdzie pojawi się mani
artystowskiej postawy pisarza —
Pawła Valéry. Zbiorek ten mi
to zdradzi wewnętrzne pęknięcie.
przez wiersze w nim zgrupowane
gnie cezura. Wytacza ją stosunek
estetyzmu. Trwa tam jakby spór p
rza z samym sobą, dotyczący pojmo
nia świata. Zderzenie tych dwu pr
ciwstawnych programów staje się w
ściwością nie tylko całego tomiku,
nawet poszczególnych jego utwor
Rezultatem tego starcia jest pora
estetyzmu w Lecie 1932. Linia
markacyjna odgradza w Powro
do Europy poematy wypełni
ornamentacją (Do S. B., Tęskn
do Italii, Do Tadeusza Z
lińskiego) od wierszy opierając
się tej pokusie (Na młodą li
Gospodarstwo, Zaproszen
do podróży, Do Leopol
Staffa). Poeta powoli wyzbywa
balastu artystostwa, wyrażając w sw
wierszach proste, ludzkie wzruszen
W Inne życie (1937 r.) jedn
wedrze się nowa fala zdobnictwa.
wpłynie ona atoli na „zachwia
kompozycyjnej więzi", nie zamąci k
rownego obrazowania poety. Rola t
ponownego wtargnięcia estetyzmu w
rykę Iwaszkiewicza jest jednak w
równaniu z Oktostychami
Kasydami ograniczona. Artystow
postawę zajmuje pisarz jedynie w n
których swych utworach. Nie stan
ona przeto dominanty Innego
cia. Znakomita większość wierszy
nim zamieszczonych jest przesiąkni
humanistycznymi treściami. Dotyczy
przede wszystkim najlepszych utwor
zbiorku, a więc Breughla i Ob
ków, Zimy i Innego życ
Modlitwy i Świtu jesienn

. „Rozdarcie“ tomiku tworzy zeń dоment konfliktu poety, wahającego się między estetyzowaniem a humanizem. Najbardziej rzucającym się w oczy głosem antagonizmu będzie kontrersja Do Menalka i Źródła retuzy. Pierwszy z tych poematów st krytyką artystostwa tej filozofii, órą zawiera drugi spośród nich. Truo chyba o bardziej jaskrawy przykład alki toczącej się na kartach Innego ycia!

Ostatni zbiorek przedwojennych liryk vaszkiewicza przynosi rezygnację z dnego z najbardziej dlań charakterycznych mitów. Poeta wierzył najerw w możliwość ucieczki poza grace mieszczańskiego społeczeństwa. rzypuszczał, iż taka wyprawa przyborzy mu wzruszeń, tłumionych przez rozę burżuazyjnego życia.

Próbom ucieczki z trybów mieszczańciego świata, ucieczki w przestrzeń, owarzyszyła ucieczka w czas. Pisarz worzył mit przeszłości i zwracał się ku iemu w poszukiwaniu ocalenia przed ym społeczeństwem, w którym żyć muiał. Stąd brała się w jego twórczości iejednokrotnie zauważana obsesja rzezy minionych. Dostrzegaliśmy ją w Oktostychach i w Kasydach, później w Dionizjach. Ciągnęła ię ona dalej poprzez Księgę dnia księgę nocy, Powrót do Europy, Lato 1932 aż ku Innenu życiu. Tu dopiero mit ów rozviewa się. Pisarz dostrzegł jego iluzoryczność.

Dwa cykle wierszy pisarza, powstające w okresie okupacji: Ciemne ścieżki i Plejady są przedłużeniem konfliktu wypełniającego Inne życie. Zderzenie estetyzmu z humanistycznym nurtem liryki Iwaszkiewicza vytworzyło cezurę połowiącą niejako całość utworów z tych lat. Batalia toczona ze sobą zaczyna tu wchodzić w stadium końcowe. Hasło zwrotu do życia rzucone w Ach, Jarosławie, myśl o żywych, proszę staje się zapowiedzią kierunku dalszego rozwoju autora Lata 1932. Wskazuje nań również intensyfikacja „ludzkiej“ problematyki jego wierszy, tak bardzo widoczna w całym cyklu Plejady czy też w Powrocie. Przemienia się ona w przesłankę powojennych utworów poety. Zadecyduje o powstaniu Ód olimpijskich, Podróży do Patagonii i Warkocza jesieni.

Pierwszym zbiorkiem Iwaszkiewicza, wydanym po 11-letnim milczeniu były Ody olimpijskie. Ukazały się one w 1948 r. Poszukując pozycji, na których znajdował się poeta piszący ten tom, zatrzymamy się nad słowem humanizm. Niewątpliwie, ono najlepiej tłumaczy tok utworów zawartych w tej książce. W Na otwarcie XIV Olimpiady Iwaszkiewicz wołał:

Oto niebo jasnym namiotem osłania
was, młodzi chłopcy, młode dziewczęta,
którzy wyciągacie dłoń w górę
nie dla pozdrowienia ducha ciemności,
ale dla przysięgi
na wszystko, co wam święte, że będziecie
strzec w sobie człowieka i wszystkiego,
co godne człowieka.

Obrona tego, „co godne człowieka“, kazała mu potępić faszyzm. Dlatego też każdy prawie poemat tego zbiorku mieści konfrontację urody igrzysk helleńskich z ponurym obrazem okresu okupacji. Rzecz prosta, pisarz nie dostrzegał praw rządzących biegiem historii, nie widział sił społecznych, których dziełem były ustawy norymberskie i obozy koncentracyjne. Nie znał mechanizmu walki klasowej, nie wiedział, z czyich ust padną wezwania do nowej wojny, lecz jego postawa wyrażająca „tęsknotę do prostego człowieka“ zakładała sprzeciw takim apelom. A przebija ona poprzez wszystkie powojenne

liryki Iwaszkiewicza. Nie darmo poeta poświęcił Podróż do Patagonii wypowiedzeniu najprostszych uczuć — tęsknoty za krajem rodzinnym, która podyktowała mu słowa:

O Polsko, drzazgo niewymowna
Tkwiąca na zawsze w czole, w sercu,
w dłoni,

przywiązania do pejzażu, do codziennych spraw człowieczych, nie darmo inne jego wiersze traktują o analogicznych zagadnieniach.

Walka o pokój znalazła w Iwaszkiewiczu jednego z najbardziej żarliwych jej propagatorów. Znakomita część jego ostatnich utworów porusza tę właśnie tematykę. Obrona pokoju urasta do rzędu jednego z centralnych problemów pisarza, pragnącego

Żeby to wszystko w słońcu błysło
I żeby było tak jak żywe
I żebyś ty to widział wszystko
I żebyś był jak ja szczęśliwy.

W latach powojennych twórca Innego życia bierze rozbrat z estetyzmem. Całkowity zanik „upiększania" świata przypada na lata późniejsze. W latach 1950—1952 obrazowanie pisarza w zupełności przestaje służyć celom zdobniczym. Ze zjawiskiem tym łączy się ostateczna odprawa udzielona artystostwu w Na wydobycie pancernika „Gneisenau", gdzie poeta zauważa całkowitą nieprzydatność ornamentacji do rozważanych przez siebie spraw. Dlatego pisze:

A cóżbyście wy powiedzieli,
Tokarze, spawacze, nurki,
gdybym, aby was opiewać,
wzywał Zeusowe córki?

To dawnym poetom trąbiły trytony
I trójzębem rozdzielały przepaście
wód —
Dzisiaj morze gniewne smaga
Wasz uparty, codzienny trud.

W ślad za tym pożegnaniem estetyzmu podążyło trafne, realistyczne spojrzenie na ograniczenia przedwojennej twórczości poety. W Liście do prezydenta Bieruta dokonuje on retrospektywnego przeglądu swej poetyckiej działalności, dając trafną ocenę estetyzujących dążeń. Mówi:

Ja zbytnio zaufałem przebrzmiałej
mądrości
Zmęczone oczy pasąc pięknością
widokiem —
I olśniony tęczami wtedy nie
dostrzegłem
Ugiętego pod jarzmem prostego
człowieka.

W roku 1953 Iwaszkiewicz publikuje na łamach Przeglądu Kulturalnego Warkocz jesieni. Jest to jedno z najpoważniejszych osiągnięć jego liryki. Stanowi ono świadectwo zbliżania się artysty do realizmu. Jego związek z realizmem potwierdza jeszcze niesłabnący kult konkretu.

Warkocz jesieni posłużyć może za przykład czerpania z mowy potocznej, wplatania wyrażeń, które w niej pozyskały sobie prawo obywatelstwa, pomiędzy frazy poematu. Praktyka ta, zapobiegająca skostnieniu języka liryki, zaważyła również na „bezpośredniości" stylu Iwaszkiewicza, łatwiejszej do zaobserwowania już w Biletach tramwajowych (Księga dnia i księga nocy), a osiągającej po wojnie swe apogeum w Podróży do Patagonii. „Bezpośredniość" ta polega na zbliżeniu toku zdań do opowieści kogoś, kto prowadzi z nami rozmowę. Taki „monolog" poety, jeśli nie chce przypominać tyrady aktora, musi posiłkować się całymi zwrotami, wyłowionymi z mowy powszedniej. Autor Lata 1932 sprostał temu zadaniu. Prowadził i nadal prowadzi walkę przeciwko „zesztywnieniu" języka poezji

ıilkę, będącą jedną z cech wielkich ralistów.

Wiersze z różnych epok ızedstawiają nam wybór liryk wybit- ıgo polskiego poety i to wybór mający ıe tylko zorientować odbiorcę w po- ıczególnych okresach rozwoju pisarza, ıcz zarazem — zapoznać z najwybit- ıejszymi jego osiągnięciami. Toteż ıożna by sądzić, iż ten pokaźny tom ıdzie panoramą wszystkich najtrwal- ıych, najbardziej wartościowych utwo- ıw Iwaszkiewicza. I tu musimy zgło- ć pretensję do twórcy Warkocza esieni, nie jako do artysty, lecz ıko do autora antologii. Wybór jego ıematów w Wierszach z róż- ıych epok jest nazbyt szczupły. ıryteria stosowane przy układaniu go ıyły przesadnie surowe. Czemuż poeta ıilczeniem pominął Kasydy, choć ıomik ten z całą pewnością obfitował ı utwory godne przypomnienia, że wy- ıienimy tu tylko To, Żywoty, ıegenerację, Henri Rous- eau, Słońce. Dlaczegóż pozosta- ıił niepamięci cykl Bilety tram- ıajowe (Księga dnia i księ- ıa nocy), dlaczegóż nie przypomniał ıiała i Do Menalka (Inne ycie)? Na pytania te nie znajdziemy ıdpowiedzi. Wybitni pisarze mylą się ıiejednokrotnie oceniając swe dzieła. ıch los stał się udziałem Jarosława waszkiewicza.

Lech Budrecki

WITOLD WIRPSZA: *List do żony.* Wiersze. Warszawa, 1953, Państwowy nstytut Wydawniczy; str. 38, 2 nlb.

Witolda Wirpszę można zaliczyć do ıoetów, którzy potrafią utrwalać im ylko właściwą ciekawość życia, umie- ą ujrzeć je poprzez pryzmat własnej ndywidualności, jednocześnie zaś prze- ıosić do literatury nowe, nie dosyć je- ıczce opisane sprawy. Ze swoją ciekawością odkrywania nowych spraw dla sztuki był Wirpsza w początkowych swoich utworach poszukiwaczem rzadkich wrażeń, ezoterycznych uczuć, nieznanych barw i dźwięków (na przykład Sonata). Metafora i obraz były budowane na podstawie dowolnych konstrukcji myślowych, ale silnie wizualnych. Styl odkształcał rzeczywistość słyszaną i widzianą, czemu służyły dowolne skojarzenia: na przykład przy próbie emocjonalnego przekładu dźwięków muzycznych na język poetycki.

Jednocześnie jednak dostrzeżemy drugi nurt wyrażanych treści, choć przygłuszony i niejasny. Są to sformułowania refleksyjne odnoszone do spraw dla poety centralnych — porządku świata, miejsca w nim człowieka w imię praw rozumianych najogólniej jako humanistyczne (O duchu praw nowych).

Zbliżanie się poety do realizmu socjalistycznego i jego filozofii daje w sumie ciekawą ewolucję następnych lat. Stocznia jest wyjściem do konkretnej obserwacji życia i łączonej z nią ogólniejszej myśli oceniającej. Ale poemat został przełamany przez niedopasowane do siebie koncepcje: obserwacja — jeszcze w imię poszukiwania nieoczekiwanych skojarzeń, nowych zestawień obrazowych, nurt rozważań — w imię nowej, ludzkiej prawdy o życiu. W sumie można dziś przeczytać fragmenty ogólne, bez wartości natomiast wydają się żmudne, zawiłe opisy techniczne, próbujące urzekać dziwacznością nowych linii i kształtów, wprowadzonych do poetyckiego opisu.

Potem Wirpsza przechodzi gwałtowną — a w odniesieniu do swej twórczości — zbyt płytką edukację ideową. System ocen moralnych, filozoficznych pragnie wprost pokryć z systemem estetycznym. Stąd dążenie do zmiany charakteru swej twórczości. Zamiast, jak dotąd, jedynie oceniać świat, poeta pragnie przede wszystkim działać —

polityka zaczyna przyświecać jego muzie. Wirpsza zyskuje nowy światopogląd, ów punkt widzenia partyjnego pisarza, ale zarazem staje się jakby na nowo debiutantem, nie bardzo wie, jak przetworzyć ujrzany w nowym świetle obraz rzeczywistości na materię poetycką. Stąd tak wiele w jego utworach zbyt słabo przeżytych, zbyt słabo przetworzonych poetycko ogólnych haseł politycznych i światopoglądowych, oderwanych od urody konkretnego ich przeżycia (na przykład Na upadek funta). Niekiedy relacja poety niewiele różni się od języka dziennikarskiego, a fakty stanowiące materię wiersza są zbyt ogólne. Ale poprzez Polemiki i pieśni, Pisane w kraju aż do Listu do żony i dość licznych wierszy, z których można by już złożyć następny tomik poety, trwa walka o własne widzenie świata, o prawa własnej biografii, własnych przeżyć, które staną się podstawą do uogólnień. Poeta pragnie każdą prawdę wymierzyć własnym doświadczeniem. Sam pisał o tym niedawno: „...wydaje mi się, że popełniamy gruby błąd, lekceważąc tzw. boczne refleksy. Drobne, »prywatne« wydarzenia, przypadkowe sytuacje, które z natury rzeczy nie mogą wpłynąć decydująco na bieg historii, odsłaniają przecież prawa nią rządzące i pozwalają na wielkie metaforyczne syntezy" (Życie Literackie Nr 19, 1954). Czy wyrażają tę myśl poetycko:

Te słowa piszę do ciebie jak z drogi,
Trochę jak z drogi życia, bo z drogi
doświadczeń.

W starciu między martwym na ogół dla poezji ogólnym hasłem a konkretnością przeżycia poetyckiego i ludzkiego, które często znajduje poeta w drobnych sytuacjach — rozwija się twórczość Wirpszy. Dlatego krajobrazy ze Szczecina podobają się nam bardziej niż anonimowe uroki przyrody u innych, edukacja własnego synka bardziej wzrusza niż kazanie o moralności. Oto pełen uroku fragment z cyklu dla syna O czym będziesz się uczył:

O kwiatach. Będziesz prowadził zielnik.
Do zeszytu wepniesz liść, łodygę,
pąki,
Będziesz chodził nad rzekę, na wzgórza
i łąki,
Będziesz umiał nad wodą cienie od
świateł oddzielić.

Nauczysz się schylać, by postrzec, jak
mdły kiełek
Przebija ziemię. Zrozumiesz słowo:
wiosna.
A gdy najmniejsze już ujrzysz,
zechcesz ujrzeć wiele:
Zepniesz wzrok z horyzontem,
wyprostujesz postać.

Wirpsza zdobywa powoli najważniejszą zaletę i atrybut poety: żywy stosunek do otaczającego świata, ciekawość jego konkretnych przejawów i szczegółów, wrażliwość i chłonność, obserwację gotową w każdej chwili do zadumy nad postrzeżonym, szukanie piękna w tym, co zostało dane jego doświadczeniu. I dlatego wzrusza nas wspomnienie o małym, skromnym, lecz pięknym udziale jego żony w Kongresie Pokoju, opis grobu żołnierzy radzieckich dostrzeżonego wieczorem wśród kwiatów w PGR-ze lub choćby owo poufne a szczere wyznanie o swojej pracy twórczej:

Nienapisanych poematów
Leży przede mną teczka spora —
Patrz, to już prawie cztery lata
I papier zżółkł, atrament spłowiał,
A jednak żyje coś w tych znakach...

Tak więc poeta wraca znów niejako do punktu wyjścia — plastyki poetyckiego opisu, jego konkretności — ale obecnie obraz ten jest odbiciem rzeczywistych spraw i rzeczy. Czy jednak owo dostrzeganie szczegółu, konkretnej barwy przedmiotu nie ma nigdy u poety odcienia natrętnej, nie służącej ukazaniu człowieka wizualności, zbędnego opisu spraw i rzeczy?

Zdarza się to jeszcze często Wirpszy. Należy on do pisarzy, których niekiedy zbyt łatwo ponosi pióro i każdy szczegół wydaje się wtedy ważny. Robi się z tego gadulstwo — dygresja do dygresji, jeszcze jedno postrzeżenie, jeszcze jeden „ornament". Na przykład: utwór Piecowy Jaszczyszyn. Opisuje w nim poeta perypetie kręcących się w nieprawidłowy sposób dmuchaw w wielkim piecu, a człowiek — wbrew woli poety — pozostaje natrętem na tle procesów chemicznych, technicznych. Lub też mamy wrażenie wycinka prozaicznego reportażu. Taka inspekcja Haleny, kontrolera technicznego, nie jest naprawdę warta poematu:

— Nie myślałem, rzekł Halena,
Że tu takie są fajtłapy.
Gdy zajrzałem do dmuchawy,
Stara na łbie moim czapka
Aż pod stropy poleciała!
Bo z dmuchawą kiepskie żarty:
Kręci się w odwrotną stronę,
Kręci się już tak trzy lata.
Potem mówią: piec gazuje!
O, wy niedorajdy stare!

Wirpsza coraz silniej jednak zdobywa panowanie nad szczegółami i całością poetyckiego obrazu — podporządkowuje go ogólnej koncepcji, własnej ocenie zjawiska, przepaja silnie ogólną refleksją. W samej materii wiersza, gdzieś na dnie obrazów, wyrażających nawet czysto uczuciowe prawdy, czujemy oceniającą myśl poety, jego sąd moralny. Wirpsza jest poetą o silnej dozie refleksji, filozoficznego zamyślenia. Często zresztą wyraża dyskursywnie problemy moralne, polityczne, światopoglądowe w formie niejako poetyckiego traktatu. I tutaj też niejednokrotnie daje świadectwo, jak można je ukonkretnić, podać w precyzyjnych, odkrywczych formułach poetyckich. Nurt tych rozważań toczy się prawie z reguły poprzez polemikę z wrogimi poecie postawami — jak z nihilizmem, katastrofizmem burżuazyjnym w Traktacie polemicznym. W Pamiątkach rodzinnych znajdą się fragmenty opisujące złudzenia liberalizmu mieszczańskiego. Przykłady te zresztą nie zostały zaczerpnięte z omawianego tomiku, gdzie tok rozważań nie znalazł wyrazu w tak rozbudowanej formie. Ale i tam zamieszczone utwory świadczą o poecie wielkiej pasji moralnej, szukającym wciąż odpowiedzi na najważniejsze sprawy naszego życia. W ostatnim okresie zaznaczyło się to silnie w jego Liście o sumieniu drukowanym w Nowej Kulturze. Uważam ten utwór za najodważniejszy porachunek z tym, co tak często jeszcze krępuje naszą przyszłość, z zakłamywaniem postaw moralnych i ideowych, politycznych, ukrytą wrogością i niewiarą. Polemika jest wymierzona przeciw tym, którzy

...krzyczą: naród! naród! —
A nie są z narodem. Co krzyczą:
Partia! Partia! — a nie są z partią.
Wśliznęli się w istniejące szczeliny,
Sądząc, że między narodem a Partią
Są niezwykle bezpieczne korytarze,
Gdzie żadne już prawo nie działa...

Ale czujemy, że gorycz tej odwagi dosięga i serca poety. Gdyż jest to za-

razem polemika z tym, co mimowolnie i nieświadomie można niekiedy przejąć od kłamców i wrogów:

A kłamstwo ich było tak nieuchwytne!
Przecież kłamali nawet patrząc. Nawet
Widząc moją albo twoją twarz —
w mgnieniu
Oka okłamywali samych siebie,
I okłamują nadal. Myśli swoje,
Uczucia, wyobraźnię nauczyli
Czołgania się; pełzają w tej szczelinie,
którą brzuchami wydrążyli w próżni.
Każdego katechizmu nauczą się
Na pamięć! Odebrać im katechizmy! —
Wtedy dopiero rozpłaszczą się w
nicość.

Trzeba jednak powiedzieć, że w L i ś c i e d o ż o n y, gdzie poeta kreśli raczej pozytyw, sugestywność jego obrazów jest nieco słabsza, poeta nie potrafi z równą siłą uchwycić całego skomplikowania, różnorodności, siły ludzkich namiętności już w nowym porządku spraw świata. Trzeba jednak przyznać, że odczuwa silnie potrzebę ukazania tego w poezji i dlatego oczekujemy od niego jeszcze głębszego wyrażenia tego, o czym pisał:

I nowe będą walki i zwątpienia,
Z żarliwych zwątpień prawa nowych
prawd.

Lecz i to, co Wirpsza ukazuje, to niejednokrotnie dużo, bardzo dużo. Obrazy są niewyblakłe, na ogół świeże i niebanalne. W najlepszych wierszach poety przeżycie jest przeżyciem, człowiek — konkretnym człowiekiem. Czujemy to wtedy, gdy poeta ukazuje potęgę ludzkiego umysłu, odkrywanie nowych prawd czy też odpowiedzialność własnej pracy pisarskiej, afirmację czynnej partyjnej postawy wobec życia, jego przemożny urok:

Więc kochać także, co nie
wiecznotrwał
Kształtować, co zmienią lata,
Sercem, które kiedyś ustanie,
Myślą, która rozsypie się w pianie,
W burzliwej pianie wszechświata.
(O c z y m b ę d z i e s z s i
u c z y ł)

Skłonni jesteśmy przeczytane utwor
odnieść do tej samej indywidualnośc
osobowości. I dlatego mamy w nic
kreację bohatera lirycznego. Bo boha
ter liryczny — tak czy inaczej wyraża
jący się w wierszu — to nie spraw
formalna, lecz sprawa indywidualnc
ści i talentu, żywej — a więc prawdz
wej sztuki. Nie wystarczy liryczne „ja
do stworzenia bohatera. Nie stworzy g
także poeta, gdy czujemy, że każd
wiersz mógłby zostać napisany prze
kogo innego, gdy nie ma niczego, co b
mogło te utwory łączyć. Tom poetycl
mierzymy zawsze rozpiętością przeży
ich tonacji możliwej dla tego sameg
człowieka.

Tak więc, czy to będzie wzruszając
opowiadanie o troskliwym sercu umie
rającego radzieckiego żołnierza, myś
o żonie czy wspomnienia z agitac
przedwyborczej — łączy te fragment
podobny stosunek do świata. Nie ra
nas ich obecność w tym samym utwo
rze (cykl tytułowy tomu). Bez popada
nia w płaski frazes można powiedzie
że jest to próba odbicia nowej socja
listycznej psychiki i moralności czło
wieka.

Najlepsze z tych utworów przynosz
świeże obrazy poetyckie, które, jak ju
napisałem, noszą na sobie cechę indy
widualności poetyckiej Wirpszy. Jes
to na przykład zdolność ukonkretnia
nia pewnych ogólnych treści, przery
wania toku rozważania dyskursywne
go trafnym i świeżym obrazem meta
forycznym:

akaż między młodością a niemłodością
granica?
zyż jest jak krawędź, gdzie urywa się
stół?
kąd kartka z rymami, biała
nieszczęśnica,
pływa bezgłośnie, kołysząc się, w dół?

Ta celna i zwięzła strofa zdolna jest atrzeć złe wrażenie, jakie czynią w omie nieprzemyślane, zbyt surowe, ełne zbędnych szczegółów utwory, w tórych polityka jest zewnętrznym ornamentem lub frazesem — Gołąb uclos, Rewolucyjna na ebraniu przedwyborzym, 9.I I I.1 9 5 3. Ale skoro znany już dalszy pomyślny kierunek rozoju poety, nie zwalczajmy zbyt uporzywie rzeczy nieudanych. To cenny la poety, choć milczący kruszec dowiadczeń.

Jacek Trznadel

VILHELM SZEWCZYK: *Wiersze wyrane*. Wydawnictwo Literackie, Kraów, 1954; str. 114.

Wydawnictwa nasze coraz częściej pulikują wybrane wiersze autorów, któzy znajdując się w pełni rozwoju mają uż za sobą pewną — dość znaczną — rogę. Nic bardziej pasjonującego i nic ardziej pouczającego zarazem, jak owe amiętniki twórcze, znaczone poszukianiami, osiągnięciami, wysiłkami — zasem nawet chwilowymi załamaniami, zęściej zwycięstwami. Zdarza się, że akieś zjawisko, które nas zastanawia, iepokoi lub raduje w dzisiejszej twórzości poety — znajduje niespodziewane yjaśnienie w przeżyciach zanotowaych przez wiersze dawne. Zdarza się akże, iż dzisiejsza sytuacja twórcy świetla i wyjaśnia jego dawne wiersze, atuje je nie tylko dla niego samego, ale dla nas — czytelników.

Dzięki krakowskiemu Wydawnictwu Literackiemu możemy odbyć tego rodzaju podróż z Wilhelmem Szewczykiem. Oto widzimy go na tle napisanego w roku 1937 poematu górniczego Hanys. Wilhelm Szewczyk miał wtedy, jeśli się nie mylę, lat dziewiętnaście. Ambitny syn ziemi górniczej zdał niedawno maturę. Wzrokiem zaostrzonym przez szkolną naukę rozgląda się wokoło. Tak rodzi się ów swoisty, górnośląski „werteryzm", przedwczesne rozczarowanie i rozgoryczenie młodości:

Daleko rosną myśli. Bliskość przeraża,
straszy,
świat jest nam taki mały, kończy się
już za hałdą.
I nie wypowiesz ziemi uśmiechem ani
płaczem,
gdy dni cię otaczają zaciękłą, psią
gromadą.

Oczywiście, że bohatera poematu, Hanysa, nie należy utożsamiać z autorem. Liryka przybiera tutaj kształt wyraźnie epiczny, młody poeta jest zarazem uczestnikiem opisywanych zjawisk i ich obserwatorem. Hanys, dawny uczestnik trzech powstań śląskich, zrozpaczony i rozczarowany górnik śląski, doznaje uczuć, z którymi w pełni solidaryzuje się autor poematu.

Bunt, który ów poemat zawiera, jest jeszcze niejasny, mgławicowy, nieokreślony. To zarzewie protestu, jakie w sobie zawiera Hanys oraz kilka innych wierszy tego młodzieńczego okresu (U dyrektora Sp. Akc. „Giesche", Do braci hałdziarzy), tłumaczy niejedno w późniejszym o lat kilkanaście Poemacie górniczym (1950), do którego fragmentów możemy sięgnąć odwracając stronice Wierszy wybranych.

Niemal równocześnie z tonami rozgoryczenia i depresji odzywają się

w młodzieńczej poezji Wilhelma Szewczyka tony odmienne. Myślę tu o Wstępie do Poematu „Posągi" oraz o Reportażu znad granicy (1939):

Ja znam dziedzictwo ojców. Moje serce
wątłe
rozumie ból i smutek raciborskich
niw.
Wiem, że tam cienie huczą
z wszystkich szarych kątów
groźbą, upiętą w milion uzbrojonych
cyfr.
Po chałupach migocą słowa zalęknione
i mrok jest jakiś twardy wśród grusz.
Kiedy oddział szturmowy przewali się
wsią,
to długo potem w oknach szare szyby
drżą
i długo szczypie w oczy kurz.

I znów warto przerzucić kilkanaście kartek tej książki, by odnaleźć pełne gorącej radości Pocztówki z odzyskanego Śląska (1947): Legnica, Opole, Nysa czy — wcześniejsze jeszcze (z roku 1945) Pozdrowienie Odrze, czy wreszcie pochwałę ziemi bytomskiej z roku 1951 (Piękna jesteś).

W sercach zrozpaczonych Hanysów, bezrobotnych, przeganianych po „bieda-szybach" — tliła się w roku 1939 gorąca wiara w Polskę, jej rozwój; wyczucie tęsknot okolic tak bliskich a tak ostro odciętych słupami granicznymi:

Wiem, że trza pięścią rąbnąć
w pomalowany słup,
który mi w poprzek piersi stanął
niewzruszony.
Gdy trajkot maszynówki wyrwie się
spod stóp
i zagra — wstaną łupy nad każdym
zagonem.
(Wstęp do poematu „Posągi").

Dzień styczniowy. A tego dnia wieczór
staliśmy nad granicą.

. . . . . .

W dali się rozjarzyły skrzydlate
Gliwice,
a tu wieś zasypiała wśród śniegu jak
pierzyn.

. . . . . .

Niemiecki strażnik albo jakiś złodziej
w krzach stąpał i gałązki łamał
po naszej nienaszej ziemi.

(Reportaż znad granicy)

W jaki sposób rozegrała się walka na śląskim pograniczu, jak się dokonało wielkie rozczarowanie — o tym milczy pamiętnik liryczny Wilhelma Szewczyka. Temu tematowi poświęcony jest inny utwór pisarza — powieść Kleszcze. Wiersze wybrane przenoszą nas od razu w atmosferę okupacyjną: rozpacz i niejasna potrzeba zemsty wyraża się w Nocy (1940), która była kolportowanym konspiracyjnie dalszym ciągiem Hanysa, i w Szubienicach gotartowickich (1943):

Przyszli górnicy z Niedobrzyc i Emy,
spoglądali w szubienice jak w mrok.
Hutnicy, czerwoni i wzruszeni,
u bosych stóp czterech szubiec
podkuty omdlewał krok.

Obrazowość Hanysa czy Hałdziarzy była nieco ciężka. Fraza poetycka nie miała uroku ani subtelności. „Lipiec nam zwisa z nieba, jak blady, wyschły strąk" — mówi twórca Hanysa, osiągając pewne wrażenie, ale tylko w specyficznym klimacie tego młodzieńczego utworu. Obecnie narzędzia poetyckie zaostrzają się, wrażenie zostaje osiągnięte w sposób sugestywny, np. przez porównanie zwisających

szubienicach ciał czterech studentów-skazańców do łopoczących skrzydeł. Rozumiemy, o co chodzi. Całą grozę potworność egzekucji należało opisać osobami godnymi bohaterstwa skazańców, a więc nie brutalnymi, nie naturalistycznymi.

Ale np. w wierszach więziennych pojawia się jakaś myląca idylliczność:

więzień barwy wieczorowe
mieszał,
obniutkimi kwiatuszkami
da noc.

(O więzieniu w Oleśnicy
pieśń wieczorna)

*

Pierwsze wiersze Szewczyka pisane po wyzwoleniu noszą na sobie ślady ciężko przebytej okupacji. Typowym tworem są Wiersze szubienicznе z r. 1945 wspominające bolesny dramat na wzgórzu, gdzie odbywały się egzekucje.

W następnych wierszach dawny, młodzieńczy werteryzm, poczucie, że „bliskość przeraża, straszy", przeobraża się w dojrzały poetycki optymizm. Przypieczętowaniem tej ewolucji jest Poemat górniczy, napisany przez Szewczyka w roku 1952 jako „poetycka monografia" kopalni „Polska" w Świętochłowicach. Właścicielem tej kopalni był dobrze na Śląsku znany niemiecki magnat, książę Henckel von Donnersmarck, który uciekł w roku 1945 do Bawarii. Monografia poetycka kopalni „Polska", jaką jest Poemat górniczy, opisuje m. in. jeden z pierwszych wielkich strajków górniczych w roku 1871 w Świętochłowicach (Królewskiej Hucie (Chorzowie). Ułani, którzy przybyli z terenu walk francuskich, „zrobili z zadziwiającą szybkością i zwrotnością porządek", jak podaje wrocławska Schlesische Zeitung. Siedmiu zabitych górników, dwudziestu rannych i blisko dwustu uwięzionych — oto plon tej zbrojnej interwencji. Dziewięćdziesięciu pięciu — w tym jedną kobietę — skazano później w wielkim pokazowym procesie na wysokie kary więzienne.

Strajk pospólny! Świętochłowiczanie
kto z panami — temu pięścią w ślipia!
Każdy garb starej hałdy to okop
i szaniec,
każda kula nową siłę zaszczepia!

Dzieje kopalni snują się następnie poprzez wydarzenia pierwszej wojny światowej i odgłosy Rewolucji Październikowej:

Rewolucjo w salwach i pożarach,
światło we mgle, młody krzyku trąb!
O którą pięść i kilof błagał.
Gdy syreny uniosły się niby fanfary,
poruszyły ziemię w górę i w głąb
i wezbrała duszona odwaga!
Rewolucjo, wysłanniczko słońca,
świeży szumie w listowiu lat,
każdą krzywdę robotniczą mszcząca,
przyszłym wiekom dająca ślad!

I nie tylko te dramatyczne boje, ale i wyzwolenie w „dobrym, niemroźnym styczniu", gdy „z Donnersmarcków kto żył — uciekał", znalazły poetyckie echo w tym poemacie. A także owe chwile pierwszych sukcesów, gdy w lutym 1945 roku kopalnia „Polska", jako pierwsza w kraju, wydobywała przeciętnie 1.100 ton węgla dziennie, czy rekordy Wiktora Markiewki z r. 1947.

Poemat górniczy, w którym Szewczyk zużytkował swe dotychczasowe doświadczenie, jest najlepszym utworem tego poety. Więc choć zdarzają się na ostatnich kartach tego zbioru utwory niższego lotu, tom Wier-

szy zebranych daje obraz ciekawej i pogłębiającej się ewolucji ideowo-artystycznej.

Wojciech Natanson

BOHDAN CZESZKO: *Krzewy koralowe*. Warszawa, 1954, „Czytelnik"; str. 125.

Kiedy przed pięcioma laty Wojciech Żukrowski pisał recenzję z debiutanckiego tomu opowiadań Bohdana Czeszki, opatrzył ją znamiennym tytułem: Młodość wygarnia bez reszty. Proza Czeszki miała istotnie wiele swoistej zadzierzystości i młodzieńczej przekory w demonstrowaniu wiedzy o życiu. Zrodziła się z trudnych doświadczeń okupacyjnych, ale gorycz ich starała się ukryć głęboko pod sarkastycznym nieco spojrzeniem człowieka, którego życie wyedukowało brutalnie i bez patyczkowania się. Pisarz wysoko cenił ową surowość. Uznał, iż jest najbardziej godna, aby dać jej wyraz w sztuce. Stąd ton opanowania, „wstydliwość uczuć", prostota wyrazu, skrzywiająca się zresztą niekiedy w naturalistyczne przejaskrawienia.

Nowy tomik opowiadań Czeszki jest inny. Wnikliwszy, oryginalniejszy, bardziej samodzielny w realizowaniu zadań artystycznych. W dalszym ciągu wewnętrzną treścią tej pracy jest troska o pomieszczenie trudnej i zarazem nade wszystko cennej surowości życia w ramach sztuki. Ale Czeszko dla wyrażenia jej nie szuka już ani posmaku autentyzmu, ani brutalności opisu, ani nawet owej szorstkości tonu, wymowniejsze niegdyś dla pisarza od subtelności i patosu. Szuka tajemnicy wielkiego skrótu, metafory służącej filozoficznemu zamknięciu jakiejś części wiedzy o człowieku, treści kryjącej się w niedomówieniu. Jego proza staje się niemal aforystyczna. Na stu stroniczkach maleńkiego formatu zawiera się dwanaście króciutkich opowiadań. Ich treś przerasta to, co można powiedzie wprost w niewielkiej liczbie zdań skła dających się na poszczególne opowia dania. Zakończenie każdego z nich je skrótem, który obejmuje bez porówna nia więcej niż fabularny fragment po przedzający jego sformułowanie. Mak simum kondensacji Czeszko uznał z główny swój cel artystyczny. Zadanie pisarza jest pobudzenie czytelnika d myślenia, a nie wyłożenie mu praw życiowych w sposób skończony i wy jaśniający rzecz całą do końca. Dla tego większość opowiadań zawartyc w Koralowych krzewac ma charakter prowokujący. Wymag od czytelnika współpracy.

Opowiadanie Wielka budo waistary człowiek za wiera się na czterech maleńkich stro niczkach. Niesposób mówić o jeg treści w prostym znaczeniu fabular nym. Stary człowiek o bogatym i cię kim życiu przywiązał się do dzikieg uroczyska, na którym osiadł i na któ rym pracował. W perspektywie kilk najbliższych lat na owym uroczysku m powstać wielka tama i elektrowni których budowa zburzy wygląd i cha rakter okolicy a staremu Mateuszov odbierze wielce przez niego cenion styl pracy i życia. To wszystko. Je jeszcze zakończenie:

„—Ty myślisz, że on przywykł? — spytał Tadeusz — Jak można przywy knąć do takiej biedy? Ty myślisz, ż on przywykł...

— Ba — powiedziałem — gdyby t ludzie nie przywykali."

W opowiadaniu nie byłoby nic nad zwyczajnego, gdyby wyczerpywało si całe na sprawie Mateusza. Odczulibyś my wtedy wszystkie niedostatki jeg krótkości, nie zdążylibyśmy się przeja jednostkowym problemem. Ale rzecz tym, że opowiadania Cześzki są ja przypowieści, jak refleksyjne przeży

e. Miarą ich jest nie akcja ani nawet nie bohaterowie, ale głębokość szej wewnętrznej reakcji na nie, zanowienie się nad jedną z licznych awd życia, to wreszcie, co podkładay z naszego doświadczenia pod afostyczne uogólnienia, którymi kończy ię większość opowiadań i które są ersze od materiału w nich zawarte- o całą autorską prowokację do saodzielnej, głębszej interpretacji. Krótość, lapidarność staje się tu całym woistym zamysłem artystycznym — dyby o sprawie Mateusza autor poiedział więcej, w niej samej wyczerałby zainteresowanie czytelnika problemem. W niedomówieniach, w zagęzczonej kondensacji kryje się właśnie , co stanowi o szerokości końcowych efleksji.

Najlepszym opowiadaniem zbiorku są Kłopoty władzy. Problemy, rzed którymi staje młody komendant milicji w pierwszych dniach sprawowania władzy ludowej, są wstrząsające głębokością konfliktów, do rozstrzynięcia i przeżycia których mogłoby ie starczyć nawet najbardziej dowiadczonej życiowej mądrości a nie ylko młodzieńczej rzutkości zaprawionej już zgorzknieniem wynikającym z iż nadto zrozumiałej nieporadności. Wymowa zestawienia tej namiętnej, nieopanowanej, gorzkiej szarpaniny młodego człowieka, na którego barki włożono ciężar trudny do udźwignięcia, ze zmęczeniem i spokojem nie znającego od lat spoczynku starego działacza Partii — jest trudna do nazwania, do określenia jej sugestywnej psychologicznej siły. Oto zakończenie: „Znów wstyd napłynął mi do serca, ale był to inny wstyd, ponieważ nosił w sobie zaród pewności i dokonania". Cały sens tej reakcji mieści się w niedomówieniu, dla którego pisarz nie znalazł nazwy. A przecież rozumiemy je do końca. Jest w tym opowiadaniu nie tylko wielki skrót konfliktów, jakie niesie ze sobą nauka władzy, ale i całe filozoficzne zrozumienie spraw świata tego, mieszczące się w pokorze wobec życia strawionego w walce, zawierające się w najwyższej cenie surowości dla siebie i ludzi, większej od wszystkich subtelności o całe ciężko przeżyte życie.

Trzeba jednak przyznać, że nie wszystkie opowiadania zebrane w tomiku mają jednakową wartość artystyczną i siłę przekonywania. Przede wszystkim w ogóle wyłączyć trzeba liryczne reportaże Zamach na Café Club oraz Powrót na Stare Miasto, które właściwie nie podpadają pod artystyczną analizę prozy. Z pozostałych opowiadań kilka jeszcze można by wymienić jako ciekawe (Opowieść katorżnicza, Słonecznik, Noe czyli o przyjacielskim stosunku do ludzi), inne zaś są raczej eksperymentem nieudanym (zwłaszcza Scena balkonowa i Koral). Sądzę, iż nie jest to sprawą przypadku. Zadanie artystyczne bowiem, jakie postawił sobie autor Krzewów koralowych, tylko przy dużym opanowaniu pisarskiego rzemiosła i dużej samokontroli autorskiej prowadzić może do udanych rezultatów. Niebezpieczeństwa, jakie wynikają z samego założenia artystycznego, są dosyć duże. Pisanie miniaturowych opowiadań — wielka to sztuka. Zwłaszcza, jeśli stworzyć się chce z nich swoiste przypowieści, wyeksponować sens metaforyczny, refleksyjny. Łatwo tu popaść w przesadę lub pustosłowie. Łatwo również o sztuczność. Nie ustrzegł się jej Czeszko. W opowiadaniu Kukułka sztuczne jest powiązanie wydarzenia mającego miejsce we wsi (zabicie przez pozostały w ziemi po wojnie granat małego chłopca) z liczeniem przez starego rybaka lat pokoju wykukiwanych przez kukuł-

kę. Zbyt wyraźnie widać pomysł pisarski łączący te dwa fakty, pisarską koncepcję, która nie wystarcza ani na stworzenie nastroju, ani na pełne umotywowanie końcowego uogólnienia

O ile w Kukułce razi tylko sztuczność połączenia pewnych faktów, o tyle w Scenie balkonowej widać wyraźnie, do jakiej frazeologiczno-sentymentalnej łatwizny może doprowadzić nieprzemyślane, już nieco zmanieryzowane stosowanie trudnej i wymagającej dużego opanowania metody budowy tak skrótowego obrazu artystycznego. Dekoracyjność pierwszego fragmentu z pięknym, obcym miastem, nocą, nagą dziewczyną na balkonie i różami nie odpowiada zupełnie doczepionemu zakończeniu ze społecznym frazesem. W ten sposób można by produkować podobne zestawienia w nieskończoność. Jest to już jednak tylko zwykła gadanina, a pisarza przed gadulstwem, jak widać, nie jest w stanie obronić nawet maksymalna krótkość opowiadania.

Trudno również uważać za udane opowiadanie ostatnie: Koral. Zabrakło autorowi koncepcji opowiadania, pozostała zaś koncepcyjka, wątły pomysł metaforycznego zestawienia żywotności i siły ideowej młodego chłopca, zahartowanego w ciężkiej pracy, ze zwycięską walką o życie raf koralowych. Pomysł nie ratuje opowiadania, w którym mówi się o zbyt wielu i zbyt przypadkowych rzeczach, by mogła ostać się zwartość i jedność obrazu artystycznego. Konceptu pisarskiego nie można eksponować „na siłę". W wypadku Korala lepiej byłoby chyba zrezygnować z utrzymania tonu charakteryzującego poprzednie opowiadania i wrócić do bardziej bezpośredniego opisu fabularnego.

Trudności pisarza próbującego swych sił w miniaturze prozaicznej są różnorodne i nie do najmniejszej z nich należy sprawa stylu. Musi być zagęszczony i pełen wzmożonej ekspresywności jeśli chce oddać tak wielką kondensację treści. Należy dobrze obmyśleć wagę słowa, możliwość udźwignięcia pełnego znaczenia skrótowych scen. Trzeba przyznać, że z tych trudności Czeszko na ogół wychodzi obronną ręką. Znalazłoby się wiele fragmentów o dużej sile sugestywnej, o pięknie przywołującym piękno obrazu malarskiego. Choćby takie dwa przykłady z pierwszego opowiadania: Opowieść katorżnicza:

„Gospodarz domu, czarny i chudy, stał zazwyczaj pod ścianą obracając w dłoni główkę nieodstępnej fajki. Piersi ogrzewała mu obfita czarna broda spływająca w sutych, granatowo mieniących się puklach. Przeczesywał je powolnym ruchem palców. Podziwiałem jego dłonie, białe i suche, w półmroku jurty zdawało mi się, że wydzielają nikłą poświatę, jakby oddają światło zgarnięte za dnia."

„W głębinie nocy narastać począł w pewnej chwili obcy szum. Tnąc twardo od mrozu i wichru powietrze gwizdały lotki w skrzydłach ptaków. Tysiące skrzydeł biło rytmicznie w mroku nad naszymi głowami. Zaniepokojony światłem, gęsior-przewodnik zatrąbił basowo. Odpowiedziały mu żałosne, jękliwe głosy, wysoko i nisko, blisko i daleko. Rozkrzyczało się czarne niebo nad nami, jęk powtarzała tajga i rzeka, i góry twarda od mrozu, napięta jak bęben."

Czeszko radzi sobie ze skondensowaniem obrazu i stylu wystrzegając się nadmiernej stylizacji. Jego prostota jest niekiedy wyrafinowana. Ale dlatego, że słowa kryją tu za sobą niedomówienia, metafory szersze od ich jednostkowego sytuacyjnego znaczenia.

Trudno ocenić, czym jest ów maleńki zbiorek w twórczości Bohdana Czeszko. Jest na pewno próbą szukania nowych ciekawych form wyrazu. Nie wszyst

ie te próby są udane. Jest jednak kil-
a tak dobrych, że wystarczą, by cie-
iutką książeczkę uznać za pozycję,
tórą warto mieć na bibliotecznej półce.

Helena Zaworska

VILHELM MACH: *Doświadczenia i rzypadki.* Opowiadania, essaye, reportaże i felietony 1945—1953. Warszawa, 954, „Czytelnik"; str. 276.

Na wstępie chciałbym się wytłumaczyć z wątpliwości, które nasuwały mi ię przy lekturze zwłaszcza początkowych partii książki Macha. Zdawało mi ię mianowicie, że autor postąpił nierozropnie, publikując w wydaniu książkowym pierwociny i okruchy swego dorobku twórczego. Pierwsze opowiadania omiku wyprzedzają o całe pięć lat wydanie książkowego debiutu Macha, powieści Rdza, i stanowią bardzo jeszcze niedojrzałe próby pisarskie. Cały om zawiera kram pisarski wszelkiego gatunku, niewątpliwy margines twórczy utalentowanego — można to już dziś powiedzieć — powieściopisarza i wnikliwego krytyka. Przyzwyczailiśmy się, że ego typu rozmaitości literackie udane choćby mniej udane wydobywa się z biurek zmarłych klasyków i publikuje jako ważny materiał do studiów nad trwałymi osiągnięciami w ich twórczości. Czasami sędziwy pisarz sam publikuje takie materiały wierząc oczywiście, że prezentacja pisarskiej kuchni w niczym już nie może przyćmić splendoru uznanego dorobku. U Macha ważniejsze jest jeszcze to, co jego talent zapowiada, niż to, co jest jego osiągnięciem. Stąd wątpliwości krytyka.

Nie można jednak starych, choćby nawet dobrych, obyczajów brać za normę współczesności. Współczesność jest inna. Pisarstwo nie jest dziś, a przynajmniej być nie powinno, grą o sławę. Pisarstwo nie tylko w swojej funkcji, ale w całej swej istocie jest sprawą społeczną. Dziś kuchnia pisarska — to nie ćwiczenia stylistyczne, rozwój pisarza — to nie przedmiot zainteresowań uczonych historyków literatury. Na ćwiczenia stylistyczne dla samych ćwiczeń pisarze nie mają czasu, zaś rozwojem pisarza interesują się, nie z samej zresztą ciekawości, współcześni i w dodatku nie tylko ci, których zawodem jest śledzenie literatury. Książka Macha, rozumiana jako dokument rozwoju pisarza, zasługuje na uwagę.

Ewolucję pisarską Macha najznamienniej określają różnice między drukowanym w Twórczości Jaworowym domem, a debiutancką Rdzą, między pracami krytycznymi z lat ostatnich, a pracami, publikowanymi w krakowskiej Twórczości. Doświadczenia i przypadki przynoszą dokumentację tego rozwoju w zakresie małych form beletrystycznych i dziennikarskich, komentują niejednokrotnie tamte osiągnięcia, stanowią interesujący sam w sobie materiał informacyjny i artystyczny.

Na poszątku było słowo, chaos i dobra wola — można powiedzieć o próbach pisarskich Macha. Słowo nie było bogiem, ale przedmiotem szczególnej adoracji początkującego autora, chaos był w myślach i uczuciach, dobra wola zostania pisarzem dopełniała reszty wyposażenia twórczego. Wystarczyło to, by powstały takie utwory, jak opowiadania Lud we śnie, Miasteczko Miłe i Rdza. Trzeba tylko wyjaśnić, że wrażliwość na słowo jest niezbędnym a niestety często w warunkach powojennych możliwości ułatwionego debiutu lekceważonym atrybutem ambicji pisarskich, że chaos był historycznym chaosem światopoglądowym młodej inteligencji, wychowanej w burżuazyjnej szkole, że dobrej woli towarzyszyły zdolności i praca. W trzech opowiadaniach pisanych w r. 1945 dały się poznać znamienne właściwości pisarskie

Macha: oszczędność i zwartość narracji, skłonność do wymyślności kompozycyjnej i upodobanie do stylistycznej niecodzienności. Wszystkie te predyspozycje i właściwości twórcze Macha odczytuje się z satysfakcją w jego pierwszych próbach literackich. Z satysfakcją dlatego, że w próbach pisarskich nic nie jest tak groźne jak gładka, uporządkowana nijakość.

W rozłożonym na głosy wypracowaniu polonistycznym Lud we śnie, w którym drogą historiozoficznych rozważań na temat „młody Mickiewicz, a my" okupacyjna młodzież doszukuje się moralnych racji dla tezy, że mimo wszystko życie ma chyba jakiś sens, uderza wprawdzie naiwność tej historiozofii i poszukiwań jakiejś jednolitej formuły moralnej, która by pasowała do świata widzianego w rozbiciu, bezkształcie i nieokreśloności zasad wartościowania, ale jednocześnie zastanawia powaga niepokoju z powodu nierozumienia tego, co się dzieje. Naiwność historiozofii była rezultatem wyposażenia intelektualnego mieszczańskiego inteligenta, niepokój i poszukiwania świadczyły o możliwości przyszłych odnalezień, świadczyły o koniecznej u pisarza wrażliwości reagowania na konflikty życia.

Poszukiwanie wyabstrahowanych, ponadczasowo obowiązujących racji moralnych nie sprzyjało realistycznemu odbiciu rzeczywistości historycznej. Epoka Mickiewicza jawiła się autorowi tylko w filozoficznych i kulturalnych sprzecznościach, współczesność okupacyjna w dwóch zasadniczych postawach moralnych, reprezentowanych przez swingującego w zamszowych trzewikach fircyka i bohatera ginącego na gruzach Warszawy. Bohaterowie opowiadania zaś są żywiołem pośrednim, tymi, którzy „mieli dość siły i dobrej woli, by po dziesięciogodzinnej pracy zarobkowej przyjść w dziurawych butach, po błocie, z najdalszych peryferii miasta, na czytanie Mickiewicza". Ogólnikowość tego schematu, zdawkowość charakterystyk bohaterów czytających Mickiewicza, ubóstwo realistycznego materiału obrazowego wypływają z zasadniczego założenia, że świat jest jedynie realnością ludzkich podstaw moralnych. Obrazowe odbicie rzeczywistości jest więc potrzebne tylko do metaforycznego nazwania tych podstaw („swingujący fircyk", „bohater na gruzach Warszawy"). Oczywiście było to założenie podświadome, autor widział świat tak, jak go nauczyła widzieć mieszczańska edukacja. Świadomości filozoficznej można by się doszukiwać u autora Ładu serca i Nocy, dla którego rzeczywistość była także realnością konfliktów i postaw moralnych, a świat zmysłowy jedynie scenerią dla ich dramatu. W pierwszych próbach pisarskich Macha konsekwencji i świadomości filozoficznej szukać nie należy. Wnioski światopoglądowe warto z nich wyciągnąć tylko po to, żeby przedstawić niebezpieczeństwa, które czyhały na młodego pisarza, i żeby tym samym uwypuklić znaczenie wpływów, którym podlegał w dziesięcioleciu Polski Ludowej.

Dlatego warto zastanowić się także nad opowiadaniem Miasteczko Miłe, w którym doszły do głosu inne, nie mniej niebezpieczne tendencje. W opowiadaniu chodziło autorowi o zdemaskowanie nonsensowności stosunków życiowych w prowincjonalnym miasteczku, w którym wszystko sprzyja wynaturzeniu człowieka. Na te intencje pisarskie wskazuje zresztą tylko odautorski komentarz, zawierający atak bynajmniej nie na ustrój kapitalistyczny, lecz na drobnomieszczańskie zacofanie. Nieszczęść opowiedzianych można by bowiem według autora uniknąć, „gdyby Miłe nie było odgrodzonym od świata matecznikiem staroświecczyzny — gdyby miało bodaj kolej żelazną, gdyby prywatne biblioteczki luminarzy mia-

teczkowych wyszły poza wielkich romantyków" i tak dalej, i tak dalej. Historię niemieckiej masakry w miasteczku, tragedię księdza i jego nieprawej odziny, zbrodnię prowincjonalnego konspiratora spod ciemnej gwiazdy, śmierć małomiasteczkowego idioty i nieszczęśliwej pary zakochanych przedstawił autor w sposób arcyformalistyczny, konstruując narrację dla spotęgowania ciekawości ze wspomnień narratora, z jego domysłów i ułamkowych relacji osób postronnych. Z tych ułamków wiedzy nie składa się w całości powiązany przyczynowo tok zdarzeń i narrator kokietuje swoją niemożnością dociekniecia prawdy, opowiadając zresztą od czasu do czasu rzeczy, których nie mógł znikąd się dowiedzieć. Niekonsekwencje te wynikają z tego, że Mach nieświadomie stosuje w opowiadaniu konwencje pewnych kierunków prozy okresu imperializmu, w której w oparciu o założenia gnoseologiczne neopozytywizmu rezygnowano z wszechwiedzącego narratora ukrytego na rzecz narratora jawnego, legitymującego się źródłami każdej wiadomości, odnoszącej się nie do niego samego, lecz do osób, o których opowiada. Opowiadanie wykazuje dobitnie, na jakie manowce formalistycznego eksperymentatorstwa i dziwactw artystycznej myśli burżuazyjnej mogły zwieść młodego pisarza wpływy artystycznych konwencji dwudziestolecia.

Dalsza droga twórcza Macha, uwieńczona Jaworowym domem, doskonałymi opowiadaniami Co czytać? i Szkoła wielkiego burmistrza, wiodła poprzez dopracowywanie się metody realizmu psychologicznego w typie zbliżonym do metody Brezy w Murach Jerycha i Niebie i ziemi. Realizm psychologiczny Brezy tym się różni od realizmu Nałkowskiej, że autor przedstawia społecznie i materialistycznie określone losy ludzkie nie drogą bezpośredniej narracji odautorskiej, lecz drogą analizy w mowie pozornie zależnej stanów świadomości bohaterów w określonej sytuacji życiowej. Realizm Rdzy jest bardzo bliski realizmowi cyklu Brezowskiego. W Doświadczeniach i przypadkach realizm tego typu reprezentują opowiadania Rdza i Któraś brama oraz przy całej specyfice gatunku doskonały essay krytyczny o Słowackim, Podróż na wschód. Wyzwolenie się od eksperymentatorstwa opowiadania Miasteczko Miłe i moralistycznego schematyzmu Ludu we śnie... dokonało się u Macha na fali ostrej walki o bezprzymiotnikowy jeszcze wówczas realizm w prozie w latach 1945—1949.

Ani negacja starego w imię nieokreślonych ideałów moralnych w opowiadaniu Rdza, ani psychologiczna dokumentacja rozczarowania wobec mieszczańsko-inteligenckich konwencji życia towarzyskiego w opowiadaniu Któraś brama nie dorównują horyzontom ideowym powieści Rdza, w której staremu światu przeciwstawione są w płaszczyźnie politycznej i moralnej siły ludowe. Zarówno jedno opowiadanie, jak drugie, a zwłaszcza pełne filozoficznych refleksji reportaże z Francji (1948), Cień Laury de Noves i Repatrianci, świadczą jednak o tym, że pisarz zaczyna coraz baczniej obserwować świat i ludzi i że jego wiedza o obiektywnej rzeczywistości nie da się już przykroić do potrzeb formalistycznego eksperymentatorstwa literackiego. Nic nie jest zdrowszym objawem dojrzewania pisarza niż zwrot zainteresowań od literackich wzorów do otaczającego go świata. Porażka pisarska Macha w opowiadaniu Miasteczko Miłe była rezultatem nie tyle nieporadności początkującego literata, ile sprzeczności między tym, co autor chciał powiedzieć, a podpatrzoną u innych for-

mą literacką. Forma reportażu sprzyja najbardziej bezpośredniemu wypowiadaniu się o obserwowanych zjawiskach życia. Będzie się też do niej uciekał autor Jaworowego domu, gdy zacznie się wyzwalać od nawyku patrzenia na świat poprzez zaciemniające okulary mieszczańskiej edukacji. Obserwacja życia, badanie jego potrzeb choćby tylko w zakresie spraw kulturalnych i artystycznych (felietony o potrzebach kulturalnych proletariatu — 1949) doprowadzi Macha do rzetelnych przemyśleń nad problemem charakteru i funkcji społecznej sztuki, która „była piękna i chora, lekkomyślna i zepsuta" a winna być „zdrowa, rozumna i sprawiedliwa".

Nie warto jednak z okazji Doświadczeń i przypadków powtarzać ogólnych prawidłowości rozwoju ideowego i artystycznego inteligencji twórczej w Polsce Ludowej. Wiemy na ogół, jak przebiegała ewolucja twórcza wielu pisarzy, którzy rozpoczęli działalność literacką u progu nowej Polski. Przykłady Kazimierza Brandysa, Borowskiego, Żukrowskiego i dziesiątka innych pisarzy są tu dostatecznie wymowne. Dostrzec można jednak w drodze pisarskiej Macha zjawisko uderzające i szczególnie ważne. Doświadczenia inteligenckiej młodości były jedynym kręgiem doświadczeń życiowych Macha, pasującym do podjęcia przez sztukę „piękną i chorą, lekkomyślną i zepsutą". Opowiadanie Któraś brama, reportaż Cień Laury de Noves dowodzą nawet, że w inteligenckich obrachunkach bez trudu przyszłoby Machowi zdystansować Dygata i Hertza. I nie ma w tym nic dziwnego. Krąg doświadczeń wiejskiego, biedniackiego dzieciństwa, gdyby znalazł się w zasięgu starej sztuki, mógłby co najwyżej przetworzyć się w powojenną wersję Młodości Jasia Kunefała a byłby to czysty anachronizm. Dlatego dobrze się stało, że krąg doświadczeń dzieciństwa wypłynął dopiero na fali nowych tendencji ideowych i artystycznych. Stąd prawda Jaworowego domu i wstrząsające demaskatorstwo Szkoły wielkiego burmistrza. W tym czasie bowiem świat jako realność ludzkich postaw moralnych stał się dla Macha nie tylko realnością ludzkich myśli i uczuć, ale realnością prawdziwych ludzi, myślących, czujących i działających w świecie rzeczy, zjawisk i nieustających procesów życia. Inaczej widział Mach człowieka w opowiadaniu Lud we śnie... inaczej w Rdzy, inaczej w Jaworowym domu. Doświadczenia wiejskiego dzieciństwa mógł objąć dopiero ten trzeci krąg widzenia.

Osiągnięty przez Macha stopień realizmu wystarcza, tak jak powszechnie u naszych pisarzy, do przedstawienia tego co było, nie wystarcza do przedstawienia tego, co jest. Świadczy o tym słabość opowiadań ściśle współczesnych: Konwalii, Marszu defiladowego, Mandarynki i Koncertu mandolinistów. W opowiadaniach tych świat wygląda zbyt cukierkowo, radośnie i prosto. Optymizm jest jedynie w socjalizmie możliwy, ale jeśli się z oczyma otwartymi — tak jak wymaga tego postawa realisty — bada życie, odnaleźć go nie jest wcale łatwo. Łatwy optymizm jest zawsze przejawem naiwności lub, co gorsza, zakłamania. Wydaje mi się, że optymizm Macha jest trochę — niech mi to autor wybaczy — optymizmem, delikatnie mówiąc, egzaltowanym. Nie ma go na szczęście w Jaworowym domu, który traktuje zresztą o tym, co się dokonało. W opowiadaniach naiwnością lub egzaltacją grzeszą wszyscy bohaterowie. Wystarczy przeczytać reprezentatywny pod tym względem Marsz defiladowy. W literaturze bohaterów naiwnych kreowano zawsze

po to, żeby albo z głupia frant negować, albo w sposób ułatwiony aprobować. To drugie miał na celu Mach, kreując postać żołnierzyka Janka Kołacza i jego ojca. Jaś aż piszczy ze szczęścia, że orkiestra, że bęben, że czinele, że dzwoneczki. Jego ojciec płacze z radości, że syn wraz z ziemią, wraz z dobytkiem, wraz z kuźnią dostanie się do spółdzielni. Narzeczona Jasia, biedniaczka Teresa, jest dumna jak paw, bo spółdzielcze krowy, bo grunta, bo zboże, bo świnie, bo drób i inne bogactwa. Ludzie zmieniają się, dojrzewają, rosną jak grzyby po deszczu. Nic łatwiejszego, jak zbudować w Polsce socjalizm na wsi. Takie wnioski podsuwa optymizm spod znaku Kornela Makuszyńskiego choćby nawet ze wszystkimi jego urokami.

W omówieniu książki Macha ograniczyłem się niemal wyłącznie do analizy i oceny zawartych w tomie opowiadań. Zawartość książki jest o wiele bogatsza. Na Doświadczenia i przypadki składają się obok opowiadań reportaże, essaye, felietony i nawet własne komentarze autorskie. Mach — jak wiadomo — jest wybornym esseistą, felietonistą pełnym wdzięku, bystrym i doświadczonym, komentatorem zaś przynajmniej własnych płodów nieco zbyt namaszczonym. Komentarze są jednak krótkie, felietony różne, jednakowo dobre, essaye i reportaże bardzo interesujące. Essay krytyczny o Podróży na wschód Słowackiego sam może zrekompensować wszystko, cokolwiek negatywnego napisało się o książce Macha. A przecież nawet słabe koncepcyjnie opowiadania napisane są ładną i giętką polszczyzną. W pierwocinach pisarskich razić może niekiedy pewna pretensjonalność językowa („zamieć zbędnych ruchów", „cały teatr najbliższych chwil"), w całości jednak zalety stylistyczne prozy Macha usprawiedliwiają publikacje nawet jej słabszych fragmentów. **Henryk Bereza**

WĘGIERSKIE WYDANIE ANTOLOGII POEZJI POLSKIEJ

Zanim przystąpimy do omówienia węgierskiego wydania Antologii Poezji Polskiej, słusznym wydaje się wspomnieć w ogóle o antologiach polskich, jakie ukazały się na przestrzeni ostatnich lat na węgierskim rynku wydawniczym. Tym bardziej że jest ich aż cztery, a mianowicie: Wybór Dzieł Mickiewicza (1950 r.), Antologia Poezji Polskiej (1951 r.), Antologia Współczesnej Noweli Polskiej (1952 r.) i Antologia Polskiej Noweli Pozytywistycznej (1953 r.) Wymienić tu należy również Antologię Literatury Światowej, zawierającą znaczny wybór literatury polskiej. Poza tym w przygotowaniu znajdują się dwa wybory poezji polskiej Słowackiego i Broniewskiego, oraz Pan Tadeusz.

*

Antologię Poezji Polskiej wydało w roku 1951 węgierskie Wydawnictwo Literatury Pięknej pod redakcją Endre Kovacsa i Endre Vészi. Opatrzona jest ona przedmową Ryszarda Matuszewskiego poświęconą wyłącznie współczesnej poezji polskiej, posłowiem Endre Kovacsa omawiającym całokształt rozwoju poezji polskiej oraz notami biograficznymi i objaśnieniami polskich nazw względnie nazwisk. Obejmuje ona 150 wierszy 46 poetów — począwszy od Kochanowskiego, poprzez Mickiewicza i Słowackiego, do poetów współczesnych takich, jak Staff, Tuwim, Broniewski, Jastrun, Ważyk i wreszcie przedstawicieli najmłodszej generacji. Antologia dzieli się wyraźnie na dwie części. Linię podziału stanowi Staff. Przy czym objętościowo ta niejako pierwsza część stanowi jedną trzecią Antologii. Redaktorzy Antologii poświęcili więc

dwa razy więcej miejsca poezji współczesnej.

Pierwszą część Antologii otwiera kilka pieśni ludowych (Czerwony pas, Podkóweczki dajcie ognia, Góralu czy ci nie żal). Potem następują utwory Kochanowskiego (4), Mickiewicza (9), Słowackiego (10), po jednym Ehfenberga, Zmorskiego, Balińskiego, Goszczyńskiego, Konarskiego, Wolskiego, Kondratowicza, Ujejskiego, Asnyka, Konopnickiej (6) Norwida (1), Rydla (1), Kasprowicza (3). Zamyka pierwszą część Mazur kajdaniarski Waryńskiego.

Gdzie literatura plebejska, ariańska? Gdzie ojciec poezji polskiej, Rej? Gdzie wiersze z okresu polskiego Oświecenia i klasycyzmu — z czasów Stanisława Augusta? Gdzie szlifierz klasycznego słowa, Trembecki, gdzie mistrz bajki, Krasicki, gdzie Węgierski, Koźmian czy Jasiński? Już z tej pobieżnej analizy wyraźnie widać, że Antologia nie daje retrospektywnego obrazu rozwoju poezji polskiej od jej początków do końca XIX wieku. Oczywiście o wiele lepiej przedstawia się sprawa, o ile chodzi o poezję współczesną, choćby tylko dlatego, że poświęcono jej dwa razy więcej miejsca.

Czym kierowali się redaktorzy Antologii przyjmując tego rodzaju założenie? Wyjaśni nam to następująca wypowiedź profesora Endre Kovacsa na dyskusji literackiej poświęconej omawianej Antologii, która odbyła się w Budapeszcie na początku ubiegłego roku.

„Przystępując do redagowania Antologii, nie wytyczyliśmy sobie zadania przedstawienia historii poezji polskiej jako działu historii literatury ze ścisłym uwzględnieniem i przestrzeganiem zasady ciągłości historycznej. Sądziliśmy, że raczej wówczas odpowiemy zadaniu, jeśli z przeszłości poezji polskiej przedstawimy te wielkie tradycje postępowe, te osiągnięcia, te wybitne jej dzieła, które mogą pomieścić się w ramach zamierzonej antologii. Co się zaś tyczy teraźniejszości, to naszym poglądem w tej mierze była zasada przedstawienia czytelnikowi węgierskiemu współczesnej poezji polskiej, jej tematyki i formy — w możliwie najszerszej skali, jak najbarwniej i jak najbardziej interesująco" (cytuję za przekładem stenogramu dyskusji).

Czy koncepcja ta jest słuszna?

W odniesieniu do poezji współczesnej — tak. Jeżeli zaś chodzi o poezję dawną, to też założenie ukazania jej nurtu postępowego należy uznać w zasadzie za właściwe. Ale tylko założenie... bo realizacja jego posiada niestety poważne braki. Są one przede wszystkim konsekwencją błędu natury czysto technicznej. Niemożliwością jest bowiem przedstawienie postępowego nurtu poezji polskiej na przestrzeni czterech czy pięciu wieków, choćby tylko posługując się dziełami najwybitniejszymi — jak to założyli sobie redaktorzy Antologii — na osiemdziesięciu stronach. Dlatego brak tam Reja, dlatego między Kochanowskim a Mickiewiczem jest próżnia, dlatego pominięto w ogóle ballady Mickiewicza itd.

Druga część Antologii daje, w znacznym skrócie oczywiście, reprezentacyjny przekrój naszych postępowych osiągnięć poetyckich, uwzględniając ich bogactwo pod względem formy i tematu, ich narodową specyfikę i cechy indywidualne. Antologia w swej części współczesnej obejmuje 29 poetów, począwszy od Staffa, przez Tuwima, Broniewskiego, Jastruna, Ważyka i innych, a skończywszy na wierszu Brauna o Nowej Hucie. Trudno w ramach recenzji przeanalizować gruntowniej słuszność doboru wierszy reprezentujących twórczość poszczególnych poetów. Pewne jest jednak, że zamieszczenie po jednym wierszu Iwaszkiewicza (Oda

do Francji) i Słonimskiego (Wyrok) obok np. dwóch wierszy Ryszarda Kapuścińskiego czy jednego wiersza Stefana Rassalskiego, jest co najmniej zabawne. Czyż może czytelnik węgierski stworzyć sobie jakiś pogląd na twórczość Iwaszkiewicza czy Słonimskiego na podstawie jednego wiersza?

Nie można przecież dokonywać wyboru wyłącznie powodując się tematyką wiersza; antologia powołana jest również do ukazania pewnych zjawisk zachodzących w literaturze. Wielka szkoda, że Antologia nie obejmuje zupełnie wierszy dla dzieci i z wyjątkiem jednego wiersza Konopnickiej. Swojego rodzaju dziwolągiem jest fakt, że wymieniony w przedmowie i posłowiu, w rzędzie wybitnych poetów współczesnych Julian Przyboś w Antologii nie reprezentowany jest ani jednym utworem. Pominięto również zupełnie twórczość kilku znanych i cenionych poetów.

A teraz jeszcze kilka słów o sprawach warsztatu tłumacza.

Nad przekładami pracowało trzydziestu dwóch tłumaczy, z których tylko czterech (Geza Kepes, Eva Sebök, Ferenc Kemeny, György Rado) zna język polski. Kilku z tłumaczy — to wybitni poeci. Trudno Polakowi, choćby najlepiej znającemu język węgierski, w pełni ocenić wartość przekładu, piękno jego brzmienia, kwiecistość i jędrność wyrazu. Toteż musimy się uciec w tym miejscu do recenzji węgierskiej, pióra Laszlo Kardosa (profesora literatury węgierskiej Uniwersytetu Budapeszteńskiego i cenionego poety-tłumacza) zamieszczonej w miesięczniku Związku Literatów Węgierskich, Csillag, w styczniu 1952 roku. Otóż Kardos tak ocenia Antologię z punktu widzenia przekładu.

„Ogólnie biorąc tłumacze wykonali rzetelną pracę. W całym tomie nie ma rażąco słabych tłumaczeń, a niektórymi wierszami można się wprost zachwycać.“

Kardos zwraca jednocześnie uwagę na dwa mankamenty w trybie pracy nad antologią, dotyczące zresztą nie tylko Antologii polskiej, ale w ogóle wszystkich antologii wydawanych ostatnio na Węgrzech. Jednym z nich jest rozdzielanie utworów tego samego poety kilku tłumaczom; na przykład 9 utworów Mickiewicza przekładało 6 różnych tłumaczy, 10 utworów Słowackiego 5 tłumaczy, a z czterech utworów Tuwima, każdy przekładał ktoś inny. Nie wydaje się to słuszne, bo w konsekwencji czytelnik otrzymuje kilka różniących się formalnie przekładów tego samego autora. Kardos uważa, że jednego poetę powinien przekładać w miarę możności jeden tłumacz i to odpowiednio dobrany. Spełnienie tego postulatu wymaga ze strony redaktorów antologii bardziej wnikliwej znajomości zarówno autora, jak i tłumacza — jest więc bez specjalnych trudności do zrealizowania. Oczywiście i ta metoda ma swoje złe strony.

Za drugi zasadniczy błąd Kardos uważa fakt, że większość tłumaczy posługiwała się surowym przekładem węgierskim. Niestety u podstaw tego błędu leżą trudności, których pokonanie wymaga dłuższego okresu czasu. Z tego samego rodzaju trudnościami będą musieli walczyć przyszli redaktorzy polskiego wydania antologii poezji węgierskiej.

Dyskusja węgierska nad Antologią Poezji Polskiej, toczyła się głównie wokół problemu, czy polski trzynastozgłoskowiec należy przekładać w jego oryginalnej formie, czy też należy stosować węgierski dwunastozgłoskowy wiersz, tzw. „aleksandryjski“. Polski trzynastozgłoskowiec jest dla czytelnika węgierskiego dość trudny, toteż wielu tłumaczy stosowało w przekładzie węgierski wiersz aleksandryjski, chcąc w ten sposób ułatwić Węgrom poznanie Mickiewicza. Mamy już jednak w omawianej Antologii bardzo udane przekłady zachowujące oryginal-

ną formę polskiego trzynastozgłoskowca. Większość zabierających głos w dyskusji poetów i tłumaczy węgierskich stanęła na stanowisku zachowania oryginalnej formy przekładanych utworów, uważając, że wzbogaci to w nowe formy ich rodzimą poezję. Wykazano również, że trzynastozgłoskowiec nie jest obcy średniowiecznej poezji węgierskiej (np. hymn węgierski). Znany poeta Gabor Devecsery, laureat nagrody im. Kossutha, na poparcie tezy o możliwości zachowania w przekładzie oryginalnej formy utworu przytoczył własny przekład wiersza Mickiewicza Polały się łzy, nie figurujący zresztą w Antologii. W pięknym przekładzie węgierskim, zachowany jest polski akcent na przedostatnią zgłoskę.

Antologia Poezji Polskiej mimo swoich mankamentów spełniła pionierskie zadanie zbliżenia naszej poezji do szerokich mas węgierskich czytelników, dla których była ona dotychczas całkowicie „nieznaną ziemią". I za to należy się wdzięczność i uznanie zarówno jej redaktorom, jak i tłumaczom.

Na zakończenie warto jeszcze wspomnieć, że dyskusje nad przekładami z literatury polskiej wcale nie należą na Węgrzech do rzadkości. W ostatnich dwóch latach odbyły się, przy udziale czołowych przedstawicieli literatury węgierskiej, 4 takie dyskusje: na temat Antologii Poezji Polskiej, Lalki, Antologii Polskiej Noweli Pozytywistycznej i Pamiątki z Celulozy. Dyskuje te wniosły wiele nowego do pracy tłumaczy węgierskich, a jednocześnie w znacznym stopniu wzmogły zainteresowanie węgierskich kół literackich osiągnięciami i problemami literatury polskiej dawnej i dzisiejszej. Tego rodzaju dyskusje stanowią godny naśladowania przykład dla nas.

Janusz Moszczeński

NA WIDNOKRĘGU

MIODOWY MIESIĄC Z SOJUSZNIKAMI

Amerykański tygodnik Time w swoim pierwszym numerze lipcowym formułuje następującą tezę: „Stany Zjednoczone muszą sobie uświadomić, że są osamotnione". Asumpt do tak radykalnej oceny pozycji USA po 9 latach usilnej organizacji wszelakiego rodzaju sojuszów daje tygodnikowi przede wszystkim rozwój wydarzeń we Francji.

Nie ma potrzeby powtarzać tutaj faktów znanych czytelnikowi prasy codziennej, tym bardziej że w ostatnich miesiącach zajmowały one w niej poczesne miejsce. Warto natomiast zastanowić się, co spowodowało kilka szmatławców amerykańskich oraz taki szanowny dziennik adenauerowski, jak Bonner Rundschau do uznania nowego premiera Francji, p. Mendes-France'a, za „człowieka Moskwy" (dosłownie).

*

Gdy stało się już wiadome, że Mendes-France otrzymał inwestyturę w Zgromadzeniu Narodowym większością głosów od dawna tam nie spotykaną, raczej komiczny efekt sprawiało przerzucanie proamerykańskiej prasy zachodnio-europejskiej z okresu kryzysu rządowego we Francji. Taki The Economist na przykład, zamerykanizowany obecnie tygodnik brytyjski, wiadomość o upadku rządu Laniela przywitał krótką a zgryźliwą uwagą pod adresem deputowanych francuskich: zanim się robi głupstwa, trzeba się zastanawiać, bo przecież koniec końców nastąpi tylko jeszcze jeden kontredans ministerialny i na fotelach gabinetowych zasiądzie jakaś nowa lanielowska ekipa. The Economist, podobnie jak prasa amerykańska i adenauerowska, nie mógł i nie chciał nawet przypuścić, że parlament francuski potrafi się zdobyć i ośmieli się zdobyć na powierzenie władzy gabinetowi, który by spróbował, fragmentarycznie chociażby, sformułować coś w rodzaju francuskiej polityki. Jest to — powiedzmy szczerze — w tej samej mierze rezultat wieloletnich doświadczeń, co wcale nie ukrywanych pragnień tej prasy, w której „rozumowanie marzeniem", tzn. uznawanie własnych życzeń za rzeczywistość, staje się przyzwyczajeniem tym głębszym, im bardziej życzenia te są od rzeczywistości odległe. W myśl starego powiedzonka „przepraszam, że żyję" p. Mendes-France naraził się amerykańskim przyjaciołom przez sam po prostu fakt zostania premierem. Co więcej — cała Francja popadła w taką niełaskę, że, przynajmniej dla amerykańskich senatorów i Departamentu Stanu, „przepraszam, że żyję" z jej strony jest samo w sobie faktem oburzającym.

Tymczasem — nie stało się na pozór nic niezwykle rewelacyjnego. Premier Mendes-France z niemałym naciskiem podkreślił w swym *exposé* wierność dla paktu atlantyckiego. Premier Mendes-France zapowiedział wprawdzie dążenie do rozejmu w Indochinach, ale to samo zapowiadały przecież trzy poprzednie gabinety francuskie. Premier Mendes-France zaznaczył również, że wcale nie rezygnuje z „armii europejskiej", a po prostu chce doprowadzić do konfrontacji poglądów jej przeciwników i zwolenników we Francji. To znowu także nie powinno być taką rewelacją, jako że „konfrontacja poglądów" na ten temat trwa już we Francji od paru lat i zresztą właśnie wskutek tego poprzednie gabinety nie były w stanie doprowadzić do ratyfikacji układu o „armii europejskiej". Na pozór więc — nie nastąpiło

nic niezwykle zaskakującego. A jednak minister Dulles w swoim burzliwym życiu przeżył chyba niewiele tak zaskakujących rzeczy, jak właśnie wiadomość, że adresując swe listy do premiera bądź ministra spraw zagranicznych republiki francuskiej będzie musiał dodawać teraz nazwisko Mendes-France.

Premier Mendes-France i trzon jego ekipy rządowej reprezentują, z grubsza biorąc, dwa odłamy burżuazji francuskiej. Jeden, od wielu lat nie mający reprezentacji w rządzie, można by nazwać grupą poparzonych. Poparzonych mianowicie, i to solidnie, przez lata sojuszu i uległości wobec Stanów Zjednoczonych. Ten odłam burżuazji francuskiej żywi mniej lub bardziej sprecyzowane przeświadczenie, że utrzymanie sojuszu z USA nie powinno likwidować Francji jako samodzielnego państwa, w szczególności zaś nie powinno likwidować tej samodzielności na rzecz niemiecko-amerykańskiego kondominium. Znaczna część tego odłamu zdaje sobie coraz lepiej sprawę z tego, że wzrost napięcia międzynarodowego i prowokacje amerykańskie, padające na podminowany w ten sposób grunt, mogą doprowadzić do eksplozji, w której, kto jak kto, ale francuska burżuazja na pewno nic nie ma do wygrania. Pewna wreszcie część tego odłamu rządzącej we Francji klasy zdaje sobie sprawę, że kraje obozu socjalistycznego traktują sprawę pokoju szczerze i poważnie. Do tych wszystkich elementów dołącza się w łonie wspomnianego odłamu francuskiego mieszczaństwa zrozumienie, że kontynuowanie politycznego spaceru na amerykańskiej smyczy pogłębia radykalnie i w sposób niebezpieczny przepaść pomiędzy narodem a rządem Francji. To zaś redukuje możliwości francuskiego państwa kapitalistycznego tak w pokojowym współzawodnictwie ustrojów, jak i w zażartej konkurencyjnej walce, politycznej i ekonomicznej, w świecie kapitalistycznym, jak wreszcie — myśląc kategoriami przygotowań wojennych — również szanse przetrwania tego państwa na wypadek wojny.

Drugi odłam burżuazji, reprezentowany przez rząd Mendes-France'a, kieruje się podobnym rozumowaniem z jednym wszakże istotnym dodatkiem, a mianowicie orientacją na Wielką Brytanię. Odłam ten dysponuje szczególnie poważnymi tradycjami we Francji i we wskrzeszeniu faktycznej *entente cordiale*, choćby pod brytyjskim kierownictwem, widzi możliwość przeciwstawienia się amerykańsko-niemieckiej spółce.

W kategoriach personalnych te nowe podstawy gabinetu francuskiego wyraziły się przede wszystkim objęciem przez Mendes-France'a teki premiera i ministra spraw zagranicznych, zwłaszcza tej ostatniej. Od wielu lat na Quai d'Orsay królowała partia MRP, wyjątkowo silnie powiązana z polityką amerykańską, m. in. poprzez koligacje watykańskie. Drugą osobą, której obecność w rządzie francuskim zwraca szczególną uwagę, jest minister obrony, gen. Koenig, następca Plevena. Doniosłość tej zmiany ilustruje fakt, że o ile Pleven był do tego stopnia związany z koncepcją „armii europejskiej", że firmował ją swoim nazwiskiem (plan Plevena), o tyle gen. Koenig jest jednym z najbardziej znanych jej przeciwników (jakkolwiek, i tych rzeczy mieszać nie należy, gen. Koenig nie jest bynajmniej przeciwnikiem remilitaryzacji Niemiec zachodnich w warunkach, które by gwarantowały francuską hegemonię wojskową w Europie zachodniej).

W gabinecie francuskim nastąpiła jednak jeszcze jedna ważna zmiana, ważna zresztą od strony negatywnej. Jakkolwiek bowiem nie jest rzeczą specjalnie istotną, iż ministrem spraw wewnętrznych został Mitterand, mieszczański liberał i niezgorszy reakcjonista, jest jednak rzeczą bardzo istotną, że odszedł z

ego stanowiska niejaki pan Martinaud-Deplat, którego nawet amerykański tygodnik The Nation nazwał kiedyś „małym Hitlerkiem". Martinaud-Deplat jest z pewnością najbardziej przez klasę robotniczą znienawidzonym we Francji człowiekiem. Ponieważ na dodatek w polityce zagranicznej Martinaud-Deplat należał do stosunkowo bardzo mało zaangażowanych, jego odejście z rządu wyjaśnić można tylko w ten sposób, że Mendes-France usiłuje pozyskać dla swej polityki poparcie mas na szerszej podstawie niż tylko hasło — doraźnie zresztą decydujące — pokoju w Indochinach. Rzecz jasna, iż tego rodzaju dążenie może służyć próbie umocnienia klasowej pozycji burżuazji we Francji, niemniej jednak francuskie masy ludowe są do tego stopnia politycznie aktywne, że szukanie u nich poparcia w takich choćby rozmiarach, jak to czyni Mendes-France, nie może nie spowodować wzrostu ich wpływu na kształtowanie polityki zagranicznej kraju.

*

Nie będzie przesadą stwierdzenie, że jedną z podstawowych wytycznych polityki amerykańskiej w obecnym momencie jest zmuszenie nowego rządu francuskiego do kapitulacji bądź dymisji. Atak rozwinął się dokładnie w tych dziedzinach, w których nowy rząd Francji spróbował wyłamać się spod kompletnego dyktatu amerykańskiego. O ile jednak w sprawie Indochin sytuacja Stanów Zjednoczonych okazała się bardzo słaba, a ich polityczna izolacja niemal kompletna, o tyle ofensywa w sprawie „armii europejskiej", rozpętana przez Amerykanów, będzie dla rządu Mendes-France'a poważnym orzechem do zgryzienia. Jednym z istotnych czynników jest bowiem w tej sprawie fakt, że dyplomacja brytyjska, przynajmniej w obecnym momencie, przedsięwzięła rodzaj handlu francuską skórą: w zamian za utrzymanie, mniej więcej, brytyjskiej linii politycznej na Dalekim Wschodzie Churchill w rozmowach z Eisenhowerem ponowił poparcie dla planu „armii europejskiej" i zainicjował nowy etap współnacisku na Francję w tej sprawie. W świetle tego, co powiedziano wyżej na temat podstaw francuskiego gabinetu, taka postawa brytyjska nie może nie mieć dużego znaczenia.

Bezpośrednio po zakończeniu anglo-amerykańskich rozmów waszyngtońskich na Francję posypał się dosłownie grad wymysłów, gróźb i szantaży. Sam komunikat waszyngtoński zawierał ostrzeżenie: „Dalsze odraczanie wejścia w życie układu o europejskiej wspólnocie obronnej oraz układu ogólnego (mowa o przyznaniu Niemcom zachodnim tzw. suwerenności) przyniosłoby szkodę solidarności państw paktu atlantyckiego". Bezpośrednio po tym odezwali się amerykański ambasador w Londynie, Dillon, oraz amerykański wysoki komisarz w Niemczech, Conant, zapowiadając, że niezaakceptowanie „armii europejskiej" przez parlament francuski spowoduje uruchomienie planów powołania do życia narodowej armii niemieckiej w Niemczech zachodnich. 2 lipca Adenauer w niesłychanie bezczelnej deklaracji zapowiedział Francuzom to samo — od siebie, a w związku z przypisywanymi Mendes-France'owi zamiarami zrewidowania układu o „armii europejskiej" w kierunku osłabienia jego antynarodowego i antyfrancuskiego ostrza — zgłosił na zapas swoje stanowcze veto. Bezpośrednio po deklaracji Adenauera kanclerz z Bonn otrzymał od Eisenhowera i Churchilla wyrazy solidarności i akceptacji, a w Londynie przystąpiła 5 lipca do pracy odrębna anglo-amerykańska komisja, która oficjalnie, bez konsultowania z Francją, opracowuje „alternatywne rozwiązanie" kwestii zbrojeń zachodnio-niemieckich

na wypadek odrzucenia przez Francję „armii europejskiej". Tym posunięciom oficjalnym towarzyszy oczywiście wściekła kampania prasowa. Począwszy od Die Tat, który z podziwem donosi, że „Adenauer bije młotem" — aż do amerykańskiego US News and World Report, wedle którego Anglosasi „poczęli rozpatrywać zagadnienie, co można by robić dla wykluczenia Francji z kierowniczej trójki wielkich mocarstw".

Nie przeceniając siły odporu rządu francuskiego i nie tracąc z oczu czynnika indochińskiego — zawieszenie broni w Indochinach podnosi w sposób nieunikniony prestiż gabinetu francuskiego i zwiększa jego swobodę manewru — można stwierdzić, że pierwsza odpowiedź Paryża na opisany wyżej nacisk była dość zdecydowana. Mendes-France nie tylko nie zgodził się na zwołanie konferencji 6 państw, sygnatariuszy układu o „armii europejskiej", w sprawie przyśpieszenia jego ratyfikacji, lecz również, po wystąpieniu Adenauera, odwołał zapowiedziany już wyjazd do Bonn francuskiego wiceministra spraw zagranicznych, de Beaumont.

Trzeba stwierdzić, że mimo hałaśliwej i groźnie wyglądającej kampanii pozycja Amerykanów i ich sojusznkiów w sprawie „armii europejskiej" jest właściwie słaba. Londyński korespondent New York Herald Tribune donosi, że „układ o »armii europejskiej« uważany jest za trupa, chociaż nie został on dotąd oficjalnie wciągnięty na listę zmarłych". Rzecz bowiem w tym, że nawet ewentualna ratyfikacja układu jakąś z trudem wyskrobaną większością we francuskim parlamencie nie mogłaby dać w realizacji tego, czego inspiratorzy całej koncepcji oczekiwali: faktycznie ponadnarodowej armii pod niemieckim dowództwem i amerykańskim nadzorem. Jak wskazuje doświadczenie innnych imprez „zjednoczeniowych" w Europie, „armia europejska" okazałaby się po prostu furtką dla nowego Wehrmachtu, którego stosunki z armią francuską byłyby dość odległe od „ideałów europejskiej współpracy". Że jednak inspiratorom „armii europejskiej" chodzi przede wszystkim właśnie o wskrzeszenie Wehrmachtu, a — jak liczą — sposoby zapewnienia mu hegemonii w Europie zachodniej „stworzy praktyka" — więc też „armia europejska" jest dla nich nadal grą wartą wielu świeczek. Wartą tym bardziej, że — i tu leży jeden z kluczy zagadnienia — jest w tej chwili jedyną koncepcją remilitaryzacji Niemiec zachodnich, co do której mogą jeszcze istnieć mniej lub bardziej uzasadnione nadzieje, że da się zrealizować bez najpoważniejszego w skutkach wstrząsu całej atlantyckiej struktury. W propagowanie „armi europejskiej" jako wręcz antytezy Wehrmachtu włożyli jej inspiratorzy tyle wysiłku, że — o, ironio — nie zdoławszy przekonać narodów Europy do tego kłamstwa, przyczynili się jednak niemało do unaocznienia, jak groźną dla tych narodów rzeczą byłby właśnie Wehrmacht. O ile „armia europejska" napotkała na tak potężny opór, że do chwili obecnej nie zdołano jej przeforsować, o tyle opór przeciw niczym nie maskowanemu wskrzeszeniu Wehrmachtu byłby oczywiście jeszcze dużo silniejszy. A poza tym nie można zapominać, że Francja jest jednym z mocarstw okupacyjnych w Niemczech i że zlekceważenie jej nieuniknionego veta wobec reaktywowania Wehrmachtu mogłoby mieć jak najpoważniejsze dla paktu atlantyckiego konsekwencje.

Paryski Monde, za którym powtórzyło te wywody wiele dzienników francuskich, angielskich i również zachodnioniemieckich, pisze w komentarzu uznanym za półoficjalny: „Francja ciągle jest jeszcze mocarstwem okupującym Niemcy. Nie można dokonać niczego bez jej zgody. Okupuje ona określoną strefę,

w której może uniemożliwić tworzenie regularnych jednostek niemieckich. Wszelkie decyzje anglosaskie, które zmierzałyby do usamodzielnienia Niemiec zachodnich, a których nie życzyłaby sobie Francja, implikowałyby rewizję stosunków między Francją a sojusznikami. Należy wątpić, czy Ameryka wybrałaby zbrojenia Niemiec na terenie dwóch stref anglo-amerykańskich, co implikowałoby zmianę stosunków z Francją... Stany Zjednoczone korzystają z dróg przechodzących przez Francję i z jej baz afrykańskich. Kanclerz Adenauer powinien był o tym wiedzieć".

W tym samym czasie Paris Presse w charakterze sensacji doniósł, ze rząd Mendes-France'a „opracowuje plan uwolnienia Francji od amerykańskiej pomocy wojskowej. Plan ten miałby przywrócić równowagę w stosunkach finansowych z zagranicą bez pomocy ze strony zagranicy. W rezultacie miałby on zapewnić naszemu narodowi prawdziwą niezawisłość polityczną w ramach tradycyjnych sojuszów". Nie przesądzając prawdziwości tego doniesienia, można być zupełnie pewnym, że jako „urzędowa niedyskrecja" zrodziło się ono we francuskim prezydium rady ministrów.

Rząd Mendes-France'a w pierwszym miesiącu swego istnienia wykazał, że zdaje sobie sprawę — w przeciwieństwie do poprzednich gabinetów — z tego, iż Francja nie jest pozbawiona ani argumentów, ani możliwości przywrócenia i umocnienia swej mocarstwowej pozycji. Nie przesądza to oczywiście w żadnej mierze zagadnienia, o ile i jak rząd Mendes-France'a potrafi to zrozumienie i te możliwości wykorzystać. Ostrożność w ocenie perspektyw rozwojowych sytuacji tak płynnej i tak zawikłanej, jak we Francji, w obliczu tak różnorodnych nacisków, jest oczywiście zawsze wskazana. Byłoby jednak niesłuszne nie widzieć już w pierwszym miesiącu istnienia nowego gabinetu francuskiego olbrzymiego sukcesu polityki antywojennej. Po raz pierwszy od 7 lat, w efekcie ruchu narodowego w obronie pokoju i suwerenności kraju oraz w wyniku zaostrzenia sprzeczności imperialistycznych, doszło do realnej próby zmiany polityki wielkiego mocarstwa atlantyckiego. Czynniki, które do tego doprowadziły, nie tylko działają nadal, ale dzięki osiągniętemu sukcesowi działają ze wzmożoną siłą. Izolacja awanturników zza Oceanu jest, jak wskazywał cytowany na wstępie Time, dominantą roku 1954 nie tylko we Francji. Dlatego też próby odwrócenia lub choćby zahamowania procesu, który wyniósł do władzy Mendes-France'a, należą z pewnością do przedsięwzięć politycznych i dyplomatycznych dużo trudniejszych niż te, z jakimi dotychczas mieli w swej karierze do czynienia wszyscy razem wzięci waszyngtońscy specjaliści od „ratowania wolnego świata" i zakładania pętli na szyje wolnych narodów. Fakt, że w stolicy USA lato jest upalne i że to, jak wywnioskował brytyjski Times, oddziaływuje najwyraźniej na stan umysłów tamtejszych polityków, dodaje tym próbom wiele hałasu, ale skuteczności ich nie pomnaża.

Krzysztof Wolicki

PROZA RADZIECKA W OGNIU DYSKUSJI PRZEDZJAZDOWEJ

W toczącej się w Kraju Rad wielkiej dyskusji literackiej na czoło zagadnień wysuwają się sprawy prozy, sprawy stworzenia wielkich malowideł epicznych, które dałyby odbicie epoki budownictwa komunizmu. W dyskusji tej wyczuwa się wiele nowych akcentów, które wyciskają piętno na rozważaniach o literaturze w ogóle, szczególnego zaś znaczenia nabierają w przedzjazdowych dyskusjach o prozie.

Do tego poczucia zaapelował Aleksy Surkow w artykule P o d s z t a n-

darem realizmu socjalistycznego (opublikowanym w Prawdzie z 25. V.; tłumaczenie tego artykułu ukazało się w Trybunie Ludu z 27. V). Mówiąc o wielomilionowych rzeszach nowych czytelników książek radzieckich na całym świecie, Surkow podkreślił, że „...to nowe audytorium (bodajże przekraczające ilość czytelników wewnątrz kraju) stawia naszej literaturze szczególne wymagania, nakłada na nią nowe obowiązki". Czytelnikom zagranicznym (zarówno w krajach obozu pokoju i demokracji, jak i w krajach kapitalizmu) książka radziecka przynosi nie tylko wiedzę o człowieku radzieckim. Najcelniejsze utwory prozy radzieckiej wywierają bezpośredni wpływ na żołnierzy armii narodowowyzwoleńczych w krajach podbitych i zależnych, na bojowników o wyzwolenie społeczne w krajach kapitalistycznych. W krajach demokracji ludowej proza radziecka uczy i zapala budowniczych socjalizmu.

W swoim artykule Surkow poruszył — również i u nas wielokrotnie podnoszoną — sprawę wpływu dyskusji literackiej przed II Wszechzwiązkowym Zjazdem Pisarzy Radzieckich ZSRR na literaturę światową:

„Omawiając w dyskusji drogi rozwoju naszej literatury — pisze Surkow — nie możemy zapominać i o tym, że wśród literatów w krajach demokracji ludowej, wśród wszystkich postępowych pisarzy świata z każdym rokiem rośnie zainteresowanie dla naszych doświadczeń twórczych."

Jednym z głównych zadań, jakie ma do spełnienia dyskusja przedzjazdowa, jest w myśl uchwał XV Plenum Zarządu Związku Pisarzy Radzieckich — omówienie pisarskiego dorobku ostatniego dwudziestolecia. Ostatnio wznowiono też gorąco kiedyś przez Gorkiego polecane przeglądy bieżącej twórczości literackiej. W miesięczniku Zwiezda (Nr 4 i 5/54) krytyk B. Płatonow opublikował przegląd prozy za okres półtoraroczny p.t. Nowe w naszym życiu i w literaturze.

Wychodząc z naczelnych zadań, jakie przed narodem i jego literaturą postawiła Partia na XIX Zjeździe KPZR, Płatonow poświęcił swój przegląd analizie utworów o tematyce wiejskiej, analizie głównie pod kątem odzwierciedlenia w nich, uchwycenia przez pisarzy cech i właściwości nowych procesów i zjawisk zachodzących w życiu.

Pod tym kątem widzenia autor omawianego przeglądu dokonał analizy takich utworów, jak Wołga Panfiorowa, opowieść Wśród lasów i inne opowiadania Tendriakowa, szkice satyryczne Notatki agronoma Trojepolskiego, reportaże i opowiadania Owieczkina, m.in. Powszednie dni w rejonie, W pewnym kołchozie.

Przy sposobności pragnę pokrótce popoinformować czytelnika o tym, że opublikowana jesienią ubiegłego roku w miesięczniku Znamia powieść Panfiorowa, Wołga, wywołała od razu bardzo ożywioną dyskusję w prasie literackiej i codziennej, w organizacjach pisarskich, w klubach i czytelniach. Zdania o książce tej są nadal podzielone, przeważają jednak opinie ujemne, a nawet rozległy się głosy (W. Jermitow na łamach Prawdy z 3. VI w artykule O realizm socjalistyczny, I. Kremlew — na zebraniu partyjnym pisarzy moskiewskich w czerwcu), że dyskusja ta została nadmiernie rozdmuchana i na łamach Litieraturnej Gaziety zbyt wiele miejsca poświęcono powieści Panfiorowa.

Jermiłow we wspomnianym arty-

ule doszedł do konkluzji, że w powieści tej Panfiorow „...próbował postawić poważne zagadnienia naszego rudownictwa, niewątpliwie zebrał pewne spostrzeżenia życiowe, ale nie rozwiązał zadania pod względem artystycznym; idąc drogą maksymalnego prymitywizmu nie zdołał odtworzyć ludzi".

Po tej dygresji wracam do Płatonowa. Jego zdaniem — autorzy wymienionych utworów, każdy na swój sposób, starają się poznać do głębi i odtworzyć prawdę życia, uchwycić sprzeczności i konflikty życiowe, dać wierny obraz ich rozwoju, nie zaniedbując twórczego rozwijania tradycyj klasycznej literatury radzieckiej, tradycyj Gorkiego i Majakowskiego. Autorzy ci — pisze Płatonow — dążą do tego, by czynem twórczym odpowiedzieć na zew Partii, domagający się radzieckich Gogolów i Szczedrinów.

Płatonow dochodzi do wniosku, iż wymienione utwory wywierają silny wpływ ideowo-wychowawczy, albowiem autorzy ich pokazali, jak w codziennej walce, prowadzonej pod przewodem Partii, rozwija się potężna ofensywa narodu radzieckiego przeciw wszelkim przeszkodom piętrzącym się na drodze do komunizmu. Płatonow stawia jednak autorom omówionych przez siebie utworów zarzut, że słabo, w minimalnym stopniu odzwierciedlili sojusz klasy robotniczej i kołchozowego chłopstwa. Zdaniem Płatonowa motyw ten raczej zapowiada aniżeli rozwija jedynie Panfiorow.

Oczywiście — zastrzega się Płatonow — postulat opracowania tego motywu niekoniecznie wymaga od każdego autora, by we wszystkich opowiadaniach tworzył bohaterów na miarę Dawydowa ze Zoranego ugoru Szołochowa. Jednakże jest rzeczą zupełnie niemożliwą pokazywać społeczne oblicze radzieckiej wsi kołchozowej w dniach wielkiej ofensywy narodu radzieckiego na odcinku socjalistycznego rolnictwa, nie odtwarzając przedstawicieli milionowej armii robotników — specjalistów, mechanizatorów, starej i młodej gwardii klasy robotniczej, inteligencji. — To są — pisze Płatonow — i wczorajsi Dawydowowie, obecnie inżynierowie-mechanicy, i komsomolcy zagospodarowujący ugory Ałtaju, Kazachstanu. Toteż motyw bojowego sojuszu klasy robotniczej i kołchozowego chłopstwa uważa Płatonow za jeden z najważniejszych w twórczości prozaików piszących o wsi.

W omawianym przeglądzie Płatonow poruszył głównie zagadnienia tematyczne, natomiast sprawy kunsztu pisarskiego, środków artystycznych, jakimi tę treść wyrażają względnie wyrażać powinni pisarze, pominął milczeniem, z czego badacz literatury, Jermiłow, w cytowanym artykule O realizm socjalistyczny uczynił mu zarzut, zwłaszcza jeśli chodzi o ocenę powieści Panfiorowa.

O konieczności pełnego odtwarzania w prozie życia współczesnej wsi radzieckiej pisała Prawda w artykule wstępnym Bliżej życia (12.IV): „Powieści i opowieści z życia kołchozowego chłopstwa — czytamy m.in. w tym artykule — których na dobitek jest niezmiernie mało, w wielu wypadkach wykazują poważne braki, często nie osiągają celu, albowiem napisane są w pośpiechu, bez znajomości przedmiotu". Z powodu luźnej więzi pisarzy z życiem narodu i kraju następuje zubożenie pojęcia realizmu socjalistycznego, zarówno w niektórych artykułach krytyczno-literackich, jak i w praktyce twórczej. Przejawia się to albo w nakładaniu barw sielankowych, albo w przejaskrawianiu zjawisk ujemnych. Lakierując rzeczywi-

stość, autorzy nie mobilizują czytelników do walki z rzeczywistymi trudnościami życiowymi, przedstawiają im życie ułatwione i uproszczone.

Autorzy wpadający w drugą krańcowość — czytamy w Prawdzie — „zapominają o najważniejszym zadaniu naszej literatury: o tworzeniu postaci ludzi nam współczesnych, bohaterskich budowniczych komunizmu, postaci godnych naśladowania przez miliony ludzi".

W dyskusji przedzjazdowej wysuwa się więc na czoło sprawa bohatera pozytywnego i problem konstruowania postaci negatywnych. W związku z tym nie od rzeczy będzie wspomnieć o kwietniowej dyskusji w Związku Pisarzy w Moskwie pt. Pozytywny bohater i jego pozycja we współczesnych sztukach radzieckich. Niektóre ogólne przesłanki i wnioski z wypowiedzi, jakie wówczas padły, mają bezpośredni wpływ na pojmowanie konstrukcji postaci pozytywnych i w prozie.

Między innymi z dłuższym wywodem przeciwko tym pisarzom i krytykom, którzy negują samą zasadę podziału postaci literackich na pozytywne i negatywne, wystąpił Konstanty Simonow (nb. mówił o tym również i na naszym Zjeździe). W tego rodzaju stanowisku Simonow upatruje nader podejrzaną tendencję do obiektywizmu i „wszystkożerności", dążenie do wyrzeczenia się podstawowej zasady realizmu socjalistycznego — partyjności literatury. Myśli takie przemyca się pod płaszczykiem obrony prawdy życiowej, szermuje się argumentem, że w życiu rzekomo nie dzielimy ludzi na pozytywnych i negatywnych.

„Przecież i w życiu — mówił Simonow — wartościujemy napotykanych ludzi, coś w nich rozróżniamy jako wzór i przykład do naśladowania, coś innego potępiamy. Tym bardziej powinna ludzi i zjawiska oceniać literatura." Pozytywny bohater — powiedział Simonow — był i nadal pozostaje centralnym bohaterem literatury radzieckiej.

Nie stworzy takiej postaci pisarz, który zamknął sobie drogę rozwoju twórczego schematami i szablonami literackimi. Pisała o tym w Nr 62 Litieraturnej Gaziety (z 25.V) T. Trifonowa w artykule O cerowanych rękawiczkach i literackich schematach. Na wstępie pragnę wyjaśnić ten niecc dziwny tytuł. W pewnej, opublikowanej przed kilku laty powieści młodego prozaika pozytywny bohater, wybierając się z synkiem na niedzielny spacer włożył mu starannie przez żonę zacerowane rękawiczki. Te „cerowane rękawiczki" stały się kamieniem obrazy dla krytyków-„lakierników", którzy przeciwko powieściopisarzowi wytoczyli taką kolubrynę: „Dlaczego autor akcentuje, że bohater nie jest w stanie sprawić dziecku nowych, nie cerowanych rękawiczek?"

Działo się to jeszcze za „panowania" teorii bezkonfliktowości. „Teorię" t obalono — pisze Trifonowa — „lakierników" wyśmiano, pojawiły się jednak inne, krańcowo różne, nie mnie od starych szkodliwe, nowe schematy nowe szablony. Jedni zwolennicy schematyzmu — wywodzi Trifonowa — upatrują lakierowanie rzeczywistośc w tym, że bohater w końcu triumfuje że usuwa braki i niedociągnięcia. Inn za lakierowanie rzeczywistości uważa ją dążenie pisarza do ukazania odrodzenia moralnego zdemaskowanych no sicieli wad i przywar. Jeszcze inn orędownicy schematyzmu wychodz z założenia, że naczelnym zadaniem pi sarza jest pokazywanie tylko braków

wad, odtwarzanie tylko postaci ujemnych — wszystko inne uważają za bezkonfliktowość i lakiernictwo.

Zwolennicy takich zubożających prawdę życiową schematów literackich — pisze Trifonowa — zapominają, że śmiała krytyka braków i niedociągnięć, jakiej wzory daje nam Partia, opiera się przede wszystkim na potężnej bazie dorobku socjalistycznej gospodarki. „Zapominają — wywodzi Trifonowa — że pokazać prawdę oznacza to: nie tylko wydobyć na jaw sprzeczności, ale i uchwycić dominujące tendencje rozwojowe. Zapominają o tym, że śmiało krytykując braki i niedociągnięcia, literatura powinna popierać i propagować osiągnięcia, demonstrować przykłady godne naśladowania."

Tacy zwolennicy schematów potępiają w czambuł, na przykład, powojenne utwory prozaiczne o tematyce wiejskiej, zarzucając Medyńskiemu, Babajewskiemu, Nikołajewej i innym wybitnym prozaikom, że ich pozytywni bohaterowie nie są pełnokrwistymi ludźmi, lecz postaciami zmyślonymi, owocem lakierowania rzeczywistości. Trifonowa występuje w obronie autorów tych powieści. Nie stały się one co prawda utworami klasycznymi — twierdzi Trifonowa — nie stanęły w jednym szeregu ze Z o r a n y m u g o r e m, niemniej jednak „...odegrały swoją rolę, toteż nie ma żadnych podstaw do negowania prawdziwości nakreślonych w nich postaci, życiowej prawdy konfliktów i sytuacji, do odmawiania ich autorom szczerości".

Sztukę odtwarzania rzeczywistości w jej dynamice rozwojowej, w splocie sprzeczności i w ujęciu rządzących nią tendencji — każdy pisarz osiąga indywidualnie. Pisarz dociera do niej własną drogą, której nie powinien sobie zagradzać szablonami i schematami. Wszelka próba reglamentowania pierwiastków pozytywnych i negatywnych — twierdzi Trifonowa — wszelkie „dawkowanie" z góry barw jasnych i ciemnych — to rzecz bezowocna i szkodliwa, wypacza bowiem rzeczywistość nie mniej niż lakierowanie i bezkonfliktowość, pozbawia jej odbicie w utworze perspektywy, głębi, wielowymiarowości. Wpływa to zgubnie na poziom artystyczny utworu.

W dalszym ciągu omawianego artykułu Trifonowa zanalizowała kilka form „przeżytków bezkonfliktowości" w prozie. Do takich „przeżytków" krytyczka zalicza dążenie do wydobycia na jaw wad i błędów nawet za cenę sztucznego podnoszenia drobnych, społecznie obojętnych, a nawet pozornych zatargów — do rangi konfliktu powieściowego. By się z takim konfliktem uporać, autor ucieka się niekiedy do życiowo nieprawdopodobnego, psychologicznie nieuzasadnionego, słowem — bezkonfliktowego *happy endu.*

Innym przeżytkiem bezkonfliktowości — zdaniem Trifonowej — jest występująca u niektórych pisarzy niechęć do odtwarzania wielkich, silnych indywidualności, do tworzenia postaci istotnie pozytywnych bohaterów. Wiedzie to do pewnego rodzaju bezkonfliktowości, bo tylko silne charaktery mogą podnieść się do wysokości ostrych i wielkich konfliktów.

W postaciach Gorkiego, Szołochowa, Fadiejewa, Ostrowskiego, Furmanowa i in. wielkich prozaików tkwi potężna siła właśnie dlatego, że przełamujące się w nich sprzeczności życiowe, jakimi nabrzmiałe są procesy walki i wyrastania charakterów w walce, pisarze ci oddali nie tylko w całej ich głębi i złożoności, ale uczynili to z maksymalną ścisłością i jasnością ideową.

Dyskusja przedzjazdowa toczy się

więc pod znakiem pogłębienia oddechu twórczego, poszerzenia perspektyw pisarskiego widzenia i ujmowania epoki. Zagadnienie to omówił szerzej krytyk W. Ozierow w artykule Wielkie dokonania a bezskrzydła opisowość (Litieraturnaja Gazieta Nr 66 z 3.VI). Wychodząc z założenia, że ludzkość zachowa w pamięci nasze czasy jako epokę wspaniałych osiągnięć i dokonań, olbrzymich trudności, wzniosłych porywów ducha, ofiarnej pracy — Ozierow wzywa pisarzy do utrwalania w literaturze typowych właściwości epoki, czego nie można dokonać, gdy nie wyczuwa się wielkości spraw i ludzi, nie chłonie rzeczywistości w całej jej różnorodności.

Na przykładzie nowości prozy radzieckiej ostatniego roku Ozierow ilustruje prawdziwość wysnutej w artykule tezy: żywe tętno współczesności oddają te utwory, które odznaczają się rozległością artystycznych uogólnień, głębią przemyślenia i ujęcia napędowych sił rozwoju społecznego. Natomiast autorzy, którym brak jasnego poglądu pisarza, brak szerokiego oddechu, brak wyczucia skali wydarzeń i przemian — nie znają szczęścia odkrywców nowych stron życia, zadowolić się muszą rolą rejestratorów luźnych obserwacji życiowych.

Wśród omówionych przez Ozierowa utworów są dwie powieści, które stały się przedmiotem wielomiesięcznej, niezwykle ożywionej dyskusji, znalazły się w centrum zainteresowania pisarzy, krytyków i czytelników. Są to — Rosyjski las Leonida Leonowa i Pory roku Wiery Panowej *)

*) Rosyjski las — druk mies. Znamia (Nr 10, 11, 12/53). Pory roku były w r. ub. publikowane dwukrotnie: na łamach Leningradzkiego Almanachu (Nr 5) i Nowego Mira (Nr 11 i 12). Tłumaczenie powieści Panowej drukuje tygodnik Przyjaźń. Recenzja Pór roku, pióra Jerzego Putramenta, ukazała się w kwietniowym numerze Twórczości.

Książka Panowej wywołała sprzeczne zdania i opinie. Jedni uważają ją za powieść społeczno-psychologiczną, inni nazywają ją „powieścią obyczajową", „powieścią o wychowaniu", jeszcze inni „kroniką rodzinną miasta N-ska" (pierwodruk powieści autorka rzeczywiście opatrzyła podtytułem: Z kroniki miasta N-ska), „malowidłem" itd., itp. Faktem jest, że jedni pisali pochlebne, a nawet panegiryczne recenzje (np. Cziwilichin na łamach Leningradzkiej Prawdy, Papierny — w Litieraturnej Gaziecie w listopadzie ub. r.), inni mieli wiele zastrzeżeń, jeszcze inni gotowi byli nową powieść wykreślić z twórczości autorki Towarzyszy podróży, Krużylichy i Jasnego brzegu.

Szczegółowe omówienie tej dyskusji przekracza ramy tego artykułu. Wspomnę tylko, że również z grona czytelników Pór roku padły krytyczne głosy. Na przykład kilka drażliwych pytań na temat kształtowania w powieści Panowej charakterów postaci młodocianych (łajdaka Gennadija Kuprianowa) zadał Panowej leningradzki tokarz metalowy Z. Bieriozin w liście zamieszczonym w Nr 56 Litieraturnej Gaziety (z 11.V). Kilka słusznych krytycznych uwag zawierała recenzja czytelników Barsuka i Dnieprowa z Leningradu (Litieraturnaja Gazieta Nr 64 z 29.V).

27.V na łamach Prawdy zabrał głos w tej dyskusji powieściopisarz Wsiewołod Koczetow. Tytuł artykułu — Jakie to czasy? (Uwagi pisarza). Stwierdziwszy na wstępie, że w powieści autorka zebrała obfity materiał życiowy, że książka napisana jest ładnym językiem i stylem, że czyta się ją lekko, że powieść podejmuje pewne zagadnienia życiowe — Koczetow jako pisarz zadaje

lka pytań: „Jakich czasów dotyczy brany z życia materiał twórczy, jak stał przemyślany, ujęty, podany w owieści P o r y r o k u? I w ogóle, y powieść ta płynie w głównym nurcie rozwojowym naszej literatury radzieckiej?“

Zdaniem autora Ż u r b i n ó w — ostacie, które Panowa prezentuje czytelnikowi jako pozytywnych bohaterów, legają dziwnej metamorfozie: nakreślone żywo i prawdziwie w przypadających na okres pierwszych lat po Rewolucji początkach ich drogi życiowej — blakną, szarzeją, zatrzymują się w rozwoju w miarę zbliżania się do dzisiejszych czasów. Według przekonania Koczetowa błąd pisarki tkwi w tym, że z biografii swoich bohaterów wykreśliła ćwierć wieku rozwoju — lata pierwszych pięciolatek, lata Wielkiej Wojny Narodowej. Tym samym Panowa zubożyła te postacie, pozbawiła je cech charakterystycznych dla naszych czasów.

Koczetow stawia też autorce P ó r r o k u zarzut, że opisywane przez siebie tzw. odwieczne zjawiska i sprawy ludzkiego życia (miłość, rodzinę, wychowanie dzieci, pracę, wypoczynek, choroby, śmierć) pozbawiła piętna epoki. Sprawy te, oczywiście, istniały zawsze i istnieją, ale — pisze Koczetow — chodzi przecież o to, jak występują w życiu, jak się przejawiają, jakie przybierają formy charakterystyczne właśnie dla określonej, naszej epoki, jakie w związku z tym n o w e problemy zrodziło życie, jakie postawiło zagadnienia, obok których literaturze i sztuce nie wolno przejść obojętnie.

Dalszy zarzut Koczetowa dotyczy tego, że Panowa ogranicza się do skonstatowania pewnych faktów i przejawów, nie wyciągając z tego w istocie rzeczy — sądów i wniosków, nie potępiając ujemnych stron życia swoich bohaterów (np. antyspołeczne wychowanie Gennadija uszło bohaterce powieści Dorofieji Kuprianowej bezkarnie, co również podkreślił w liście do Panowej wspomniany Bieriozin. Nie jest to zresztą jedyny wypadek bezkarności win popełnionych przez bohaterów P ó r r o k u). Zdaniem Koczetowa — Panowa potraktowała obraz życia raczej naturalistycznie, z obiektywizmem, niż realistycznie, pokazując tylko, że „tak w życiu bywa“ — bez oceny. Czytelnik — wywodzi Koczetow — oczekuje od pisarzy radzieckich nie obrazków z życia, ale odpowiedzi na pytania, jakie nasuwa życie. „Malować prawdę o życiu — to nie znaczy po prostu fotografować jego powierzchnię, ale rozumieć przejawy życia, pokazywać walkę nowego ze starym, współdziałać w przezwyciężaniu tego, co stare, obumarłe, obce. Takie są wymagania metody realizmu socjalistycznego.“ Zdaniem Koczetowa — Panowa tym wymaganiom nie sprostała.

W omówionym wyżej artykule W i e l k i e d o k o n a n i a a b e z s k r z y d ł a o p i s o w o ś ć Ozierow w wyniku analizy krytycznej określa powieść Panowej jako utwór utalentowanej pisarki, który pozostawia jednak niedosyt, nie zadowala czytelnika. Ludzie są jakoś „uziemieni“, do postaci powieściowych pisarka ustosunkowuje się z obiektywizmem, nie zdobywając się na to, by czynnie poprzeć jednych, a surowo potępić innych, jeśli już nie w tekście autorskim, to bodaj w podtekście książki, co bardziej odpowiada jej manierze twórczej.

Zdaniem Ozierowa — nie jest to sprawą przypadku. Powołując się na wypowiedź Panowej w jednym z jej artykułów, Ozierow twierdzi, że w swojej twórczości pisarka wychodzi z fałszywego założenia „teoretycznego“. We-

dług Panowej charakter ludzki nie da się ściśle określić, rzekomo niemożliwy jest dokładny sąd o tym, co w człowieku jest pozytywnego, a co negatywnego. Nieścisłość kryteriów i probierzy etycznych Ozierow uważa za poważną skazę w twórczości pisarza-realisty. Oceniając przebieg dotychczasowej dyskusji Ozierow wysnuwa wniosek, że krytyka braków w twórczości Panowej powinna dopomóc pisarce w uczynieniu nieodzownego kroku naprzód. Z kolei Ozierow przeszedł do krytycznego omówienia innych utworów prozy o podobnym charakterze — powieści Dawydowej Dni powszednie i świąteczne (Almanach, Rok XXXVI, 3/53), opowieści I. Glińskiej Maszynistka (Almanach, Rok XXXVII, 1/54) — w których odczuwa się wpływ Panowej, w których znalazły wyraz twórczy podobne poglądy.

Inaczej potoczyła się dyskusja o nowej powieści Leonowa. I ona wywołała ożywioną polemikę, i co do niej zdania są podzielone. Zacznę od omówienia trzydniowej dyskusji, jaka toczyła się w maju na zebraniu sekcji prozy Związku Pisarzy w Moskwie z udziałem wielu uczonych, badaczy lasu i problemów leśnych. Dyskusja ta, podobnie jak dyskusja w prasie literackiej, codziennej i fachowej, toczyła się w dwóch płaszczyznach: naukowo-gospodarczej i literackiej. W Rosyjskim lesie Leonow postawił bardzo ważne, aktualne zagadnienia gospodarki narodowej — nauki o lesie i gospodarki leśnej. Jak się sam autor wyraził w powieści, zamierzał swoją książką pobudzić „ogólnonarodową zadumę nad sprawami lasu". Jak widać z ostrej polemiki wszechzwiązkowej, cel swój osiągnął: uczeni i fachowcy leśni, literaci i czytelnicy-laicy w sprawach leśnych — wszyscy zawzięcie dyskutują, zaliczają się już to do zwolenników poglądów bohatera powieści, Iwana Wichrowa, na sprawy lasu, już to do jego zagorzałych przeciwników. Leonow osiągnął zamierzony cel twórczy: trafnie wybrał temat powieści, słusznie uczynił las nie tłem, ale naczelnym obrazem powieściowym, uosabiającym tradycje narodowe. Zagajając dyskusję w Związku Pisarzy Konstanty Paustowski nazwał Rosyjski las „ogólnonarodową zadumą nad sprawami kraju".

Niemniej zażarta polemika toczyła się na płaszczyźnie literacko-artystycznej. Powieściopisarz Stiepan Złobin poddał Rosyjski las druzgocącej krytyce, atakując ideę utworu (w sprawach „leśnych" Złobin zalicza się do przeciwników Wichrowa) i dobór materiału twórczego, galerię postaci i kompozycję, styl i język powieści, zarzucając Leonowowi brak realizmu. Tak krańcowego sądu o ciekawym, oryginalnym i skomplikowanym utworze nie podzielili inni uczestnicy dyskusji. Żarliwym obrońcą powieści Leonowa okazał się W. Orłow, autor równie entuzjastycznej recenzji w Izwiestiach (z 11.IV). Wielu dyskutantów — pisarzy i krytyków, wyraziło pogląd, że styl i język Leonowa wymagają szczegółowych i wnikliwych badań, że realizm należy ujmować szerzej, ale zarazem precyzyjniej niż to czynią niektórzy pisarze, że należy właściwie rozumieć charakterystyczną dla realizmu socjalistycznego różnorodność form i stylów.

Krytyk A. Turkow wyraził przekonanie, że taka powieść, jak Rosyjski las, która prawdę życia wyraża w oryginalnej i plastycznej formie, wytrzyma nawet najsurowszą krytykę. Nie można przecież od prozaika żądać, by idąc za radą niektórych krytyków niweczył własny pomysł lite-

ucki, by uwzględniał postulaty sprzeżne z jego indywidualnością twórczą. W odpowiedzi zabrał głos w dyskusji Leonow i zapewnił, że chętnie wiele uwag i zaleceń krytyki uwzględni w dalszej pracy nad książką — jeśli chodzi o artystyczną stronę powieści, nie zamierza natomiast zmieniać swoich poglądów na sprawy leśne.

Wśród uczestników toczącej się nadal dyskusji o Rosyjskim lesie przeważa opinia, że mimo budzącej polemikę i wątpliwości maniery twórczej Leonowa utwór należy uznać za wybitny. „To książka żarliwych myśli — pisze o powieści Leonowa Ozierow w cytowanym wyżej artykule — ostrych problemów, nieustających poszukiwań. Kipią w niej namiętności, ścierają się poglądy, toczy się nieprzejednana walka o najważniejsze sprawy życia."

Józef Spinc

GDYBY HIMMLER WYGRAŁ WOJNĘ...

W dobie remilitaryzowania zachodnich Niemiec i gorączkowych przygotowań do wskrzeszenia Wehrmachtu (pod płaszczem tzw. „armii europejskiej") nie może oczywiście dziwić, że bońska klika i jej propagandowe tuby lansują militarystyczną literaturę, podżegające do odwetu sztuki dramatyczne czy werbujące do walki z Polską i ZSRR scenariusze filmowe. Psychologiczna remilitaryzacja, owa niebezpieczna toksyna propagandowego jadu, który toczy umysły powojennej generalicji na zachodzie Niemiec, jest w programie wojennym uwerturą do wypraw krzyżowych...

Ale nawet wśród licznych, odpowiednio spreparowanych do aktualnych potrzeb reżimu bońskiego generalskich pamiętników i dyplomatycznych wspomnień „z dni chwały" Trzeciej Rzeszy albo z okresu „walki o nowe Niemcy" niewątpliwie na czoło apologetycznych elaboratów wysuwają się dwie książki, apoteozujące nie tylko wyczyny Wehrmachtu, ale również Waffen-SS. Podnoszą one zbrodnie i ludobójstwa pretorianów Himmlera do miana „bohaterskiej walki nie tylko o przyszłość Niemiec, ale i całej Europy"!

Książki te mają na celu wykazanie, iż już Waffen-SS, w której obok hitlerowców walczyły wszystkie szumowiny faszystowskie z krajów okupowanych przez Hitlera (tzw. dywizje ochotnicze), biła się o zjednoczenie Europy, broniła europejskiej kultury przed inwazją ze wschodu (sic!), słowem, że „przelewała na polach wschodnich krew w obronie Europy". Wobec tego — zdaniem autorów — Waffen-SS powinna zostać zrehabilitowana, wciągnięta do nowej „armii europejskiej", której była prekursorem w ostatniej wojnie. Twórcy zaś owych wszystkich dywizji „europejskich", jak „Wallonia", „Wiking" „Norge", „Danmark", „SS-Galizien", „Charlemagne" czy „Nederland", wszyscy owi Degrelle, Musserty, Quislingi, Dorioty czy Clauseny — to po prostu antenaci zrodzonej w Waszyngtonie, a obwieszczonej w Paryżu i Bonn — „armii europejskiej"... Ich zaś patron, czyli twórca „Nation Europa" pod knutem swastyki, to nie kto inny jak właśnie Heinrich Himmler, którego plany germańskiej Rzeszy („Rzesza" ma tu być symbolem germańskiej Europy) w poważnym stopniu pokrywają się przecież z programem waszyngtońskiej EVG, czyli „europejskiej wspólnoty obronnej"...

Owe dwie książki, o których będzie tu mowa — to 1) Paula Haussera Waffen-SS im Einsatz (Plesse Verlag, Getynga 1953, III wydanie) i 2) Felixa Kerstena Totenkopf und Treue (Robert Moelich

Verlag, Hamburg 1953; pierwsze wydanie w Nowym Jorku w r. 1947, bardziej obszerne, pt. The memoirs of Doctor Felix Kersten z przedmową Konrada Heidena, antyfaszystowskiego biografa Hitlera). Obie książki w pewnym stopniu uzupełniają się i są po wojnie — nie licząc oczywiście pewnych prób w takich czasopismach militarystycznych, jak Deutsche Soldaten-Zeitung czy Wiking-Ruf (organ b. żołnierzy Waffen-SS) — pierwszymi pozycjami, które usiłują otwarcie rehabilitować „najwierniejszych z wiernych" siepaczy Himmlera.

Kim są autorzy owych książek?

Paul Hausser był generałem Reichswehry, którego Hitler ściągnął do SS dla wyszkolenia pierwszych regimentów Waffen-SS. Został on inspektorem polowych oddziałów SS, podczas wojny dowodził początkowo dywizją Waffen-SS „Das Reich" na wschodzie, następnie — w 1944 — został mianowany dowódcą grupy armii na zachodzie. Dzisiaj jest najwyższym rangą generałem Waffen-SS i przebywa na wolnej stopie w zachodnich Niemczech.

Felix Kersten, z pochodzenia Finlandczyk, był praktykującym lekarzem w Szwecji. Od 1939 roku przebywa w Niemczech jako przyboczny lekarz Himmlera i kilku jego pomocników ze sztabu SS. Ponieważ Kersten wyleczył Himmlera z uciążliwej choroby żołądka, pozyskał sobie zaufanie i odtąd wszędzie z nim jeździł. Podczas wojny przebywał albo w sztabie polowym Himmlera, albo w majątku Hartzwalde, który otrzymał w prezencie od Himmlera i dokąd często przyjeżdżała cała „elita" SS na pogaduszki przy kominku. Gościem bywał tu Himmler, kiedy wracał z frontu.

Podczas gdy Hausser daje niejako historię Waffen-SS, opis stoczonych przez te oddziały bitew oraz kilka szkiców w sprawie „ochotniczych" dywizji Waffen-SS (z zachodniej Europy), Kersten książkę swoją opracował w formie pamiętnika luźno prowadzonego od 1940 do 1945 roku, a zawierającego rozmowy z Himmlerem (przy różnych okazjach, najczęściej po lekarskich oględzinach), kiedy — jak powiada — „Himmler był bez munduru" albo też pogawędki z rozmaitymi dygnitarzami ze sztabu SS (Fuehrungshauptamt), przede wszystkim zaś z generałem Gottlobem Bergerem, prawą ręką Himmlera. Berger otrzymał swego czasu polecenie od Hitlera uformowania pierwszych „europejskich" legionów Waffen-SS jako „armii europejskiej".

Jaki jest cel książki Haussera?

Na trzystu prawie stronach swojej apologii wyczynów Waffen-SS na rozmaitych frontach, autor pragnie udowodnić, iż oddziały polowe SS nie miały właściwie nic wspólnego z organizacją SS (Schutzstaffel), że byli to po prostu „zwykli" żołnierze frontowi, którzy służyli pod sztandarem swastyki i „trupiej czaszki" (Totenkopf). Że nie mieli nic wspólnego ze strażnikami i katami więźniów obozów koncentracyjnych ani z oddziałami likwidacyjnymi na tyłach wojska („Vernichtungskommando"). Że żołnierzom Waffen-SS stała się „historyczna" krzywda, iż zaliczono ich do oddziałów „Allgemeine SS" albo „Totenkopfverbaende", które mordowały cywilów w obozach i na tyłach frontu. Że Himmler — bez wiedzy Waffen-SS — włączył te właśnie oddziały „likwidacyjne do organizacji Waffen-SS, dając im te same mundury, odznaki i przywileje... Słowem — sama niewinność!

Hausserowi chodzi oczywiście o to aby setki tysięcy oprawców z Waffen-SS, którzy mogą być dobrym materiałem dla nowego Wehrmachtu, wyjąć spod orzeczenia Trybunału Międzyna-

dowego w Norymberdze, który swoim wyroku uznał SS za zbrodczą organizację. Oczywiście, że łatwo nalić wszystkie krętactwa „senioraefa“ Waffen-SS, jak Haussera nazya militarystyczna prasa w zachodnich iemczech. W swojej filipice Hausser m zagalopował się bowiem tak daleo, iż w końcu przyznał, że podczas ojny wszystkie oddziały „Totenkopf“ liczone zostały do „SS-Division-Tonkopf“, które weszły w skład Waffen-S i biły się w ZSRR, później zaś we rancji (1944). Lidice i Oradour — to rwawe dzieło tych wojsk.

Z książki natomiast Kerstena, jak z publikacji Bonn bereitet evanchekrieg vor (Berlin, 954) wynika, że 1) Himmler, jako eichleiter SS, był naczelnym zwierzchikiem Waffen-SS, 2) SS-Fuehrerhauptmt sztab SS, zajmował się rekrutacją ołnierzy do Waffen-SS, mianowaniem ficerów, zaopatrzeniem i uzbrojeniem ych oddziałów, 3) oficerowie przechozili specjalny kurs „ideologiczny“ (czyaj: ludobójczy) na szkołach SS (Orensburgi — na wzór Zakonu Krzyżakiego, do którego przyznaje się zreszą Waffen-SS), 4) inspektorat Waffen-SS miał swoją centralną siedzibę w bozie Sachsenhausen koło Oranienburga, 5) komendant dywizji „SS-Totenkopf“, Eicke, był zarazem inspektoem obozów koncentracyjnych w Niemzech, Czechosłowacji, we Francji i w olsce, 6) szefem wojsk zapasowych Vaffen-SS był osławiony zbrodniarz SS-Obergruppenfuehrer Juettner ze ztabu Himmlera, 7) niezdatni więcej lo służby frontowej żołdacy z Waffen-SS kierowani byli do pilnowania oboów koncentracyjnych.

O tych sprawach wszyscy w Niemzech dobrze wiedzą. Wiedzą o tym politycy z Bonn, i generałowie hitleowscy. Wie o tym — najlepiej! — i sam generał Hausser. Ale w obliczu możliwości znalezienia zatrudnienia dla oprawców ludności europejskiej — Hausser podejmuje się oczywiście niemożliwej roli: obrońcy Waffen-SS! Oczywiście na pożytek osi Bonn-Waszyngton, która w środowisku b. żołdaków z Waffen-SS może znaleźć gorliwych realizatorów nowej krucjaty przeciwko Europie.

Piszą o tym wyraźnie gazety adenauerowskie. W tygodniku „literackim“ Welt und Wort (Sztuttgart, październik 1953) znajdujący taką ocenę intencji autora tej książki Waffen im Einsatz:

„Nazwa SS jest na zawsze związana z wyczynami Hitlera. Ale nikt chyba nie zaprzeczy, że Waffen-SS była dzielnym i wspaniałym wojskiem. SS wierzyła w swoją sprawę, w jednoznaczność antybolszewizmu Hitlera z obroną zachodu. O tym powiada autor zwłaszcza w rozdziale poświęconym europejskim ochotnikom w SS. Trudno zaprzeczyć, że najlepsi SS-mani z wszystkich narodów Europy dążyli do prawdziwej jedności europejskiej. Autor przedstawia ten idealizm bez uprzedzenia. Dlatego też jego obrona Waffen-SS jest przekonywająca. Z takimi książkami i takimi ludźmi można się porozumieć. Hausser patrzy naprzód, nie zaś wstecz...“

Zupełnie zrozumiałe, że Hausser broniąc SS patrzy naprzód, nie zaś wstecz. Za sobą Waffen-SS zostawiła miliony bestialsko pomordowanych na wszystkich frontach Europy. Przed sobą — widzi perspektywę „armii europejskiej“, widzi program boński, faszerowany koncepcjami z „Nation Europa“ wedle założeń Hitlera i Himmlera.

A jak ten program „zjednoczonej Europy“ wedle hitlerowskiej recepty miał wyglądać na wypadek wygrania wojny, dowiadujemy się z kolei z książki dokora Felixa Kerstena. Pokazuje

ona, że nawet jeszcze w 1944 roku, kiedy klęska Rzeszy zbliżała się do bram Berlina siedmiomilowymi krokami żołnierzy radzieckich, ani Hitler, ani jego wierny paladyn, Himmler, nie chcieli rezygnować z planu podboju Europy od Pirenejów aż po Ural, jak to zapowiadał wódz Trzeciej Rzeszy swoim generałom na odprawie 22 sierpnia 1939 roku w kwaterze na Obersalzberg, na tydzień przed najazdem na Polskę.

SS-Gruppenfuehrer Berger, szef sztabu Himmlera, w ten sposób charakteryzuje „program nowej Europy" (pod knutem Hitlera) w rozmowie z Kerstenem:

Oddziały „europejskie" Waffen-SS mają być użyte tylko na froncie wschodnim, aby stworzyć pozory walki Europy z bolszewizmem. Zjednoczona Europa (albo Wielka Rzesza Germanów) ma być związkiem krajów europejskich (Himmler proponuje nawet dla zamydlenia oczu nazwę: europejska Rzesza), posiadających kulturalną i gospodarczą autonomię pod przewodnictwem Rzeszy niemieckiej. Wspólna będzie waluta, policja, polityka zagraniczna oraz wojsko. Oczywiście — znowu pod kontrolą Hitlera. Opracowana zostanie konstytucja europejska i wybrany parlament europejski. W skład takiej europejskiej Rzeszy wejdą następujące państwa: Niemcy (wraz z olbrzymimi połaciami Czech, Polski i ZSRR), Węgry, Kroacja, Słowacja, Serbia, Holandia, Belgia, Luksemburg, Norwegia, Dania, Litwa, Łotwa i Estonia. Francja, Finlandia i Szwecja zostaną zaproszone do przystąpienia, ale dopiero po przeprowadzeniu ludowego referendum. Ponieważ wojska Hitlera stały we Francji i w Finlandii, a Szwecja otoczona była ze wszystkich stron przez Wehrmacht, Hitler był spokojny o wynik „plebiscytu"... Tak Himmler wyjaśnił w każdym razie Bergerowi.

Aby jednak zapewnić sobie kontrolę nad Europą — nie tylko na wschodzie ale i na zachodzie — Himmler zamierzał po wojnie stworzyć... aż pod Uralem i Kaukazem kolonie wojskowe „gdzie byłyby lotniska naszej Luftwaffe, a piechota ćwiczyłaby w śniegu i mrozie, aby nie wyjść z wprawy" — we Francji zaś kreował „wolne państwo SS" (SS-Staat).

Jedną z takich „wizji" owego „SS-Staat" cytuje Kersten w amerykańskim wydaniu swego pamiętnika.

Wzorem krzyżackich praktyk — opowiada 5 marca 1943 roku Himmler Kerstenowi — po wojnie Hitler zamierza oderwać od Francji Burgundię i oddają jako państwo suwerenne namiestnictwu SS. „Po konferencji pokojowej świat dowie się, iż prastara Burgundia wskrzeszona została do samodzielnego bytu państwowego... a nie tylko do produkcji przedniego wina. Stara kultura odżyje w nowej Burgundii, która obejmie francuską część Szwajcarii, Pikardię, Szampanię, prowincję Franche Comté i Luksemburg... Oficjalnym językiem Burgundii będzie niemiecki. Jednakże na początku zezwoli się na dalsze używanie języka francuskiego...

Że nie chodziło tutaj o jakieś mgławicowe majaczenia, ale o całkiem konkretny plan oderwania Burgundii — gdyby oczywiście Himmler wygrał wojnę! — podobnie jak ongiś Krzyżacy oderwali Polsce Prusy Wschodnie wskazują na to dalsze szczegóły związane z administracją SS-Staatu w Francji:

„Państwo to — powiada dalej Himmler — będzie rządzone przez kanclerza który odpowiadać będzie tylko przed wysokim urzędnikiem Rzeszy, noszącym tytuł namiestnika. Niezależnie od tego kto nim będzie personalnie, namiestnikiem mianowany zostanie Reichsfuehrer SS, a Leon Degrelle, przy

ódca belgijskich „rexistów", zostanie anowany pierwszym kanclerzem Burndii. Burgundia będzie miała własną mię, własny rząd, własne prawa, wątę i pocztę. Ustrój — będzie oczyście narodowo-socjalistyczny. Urzędcy wybierani będą spośród ludności, e kanclerz oraz jego pomocnicy i faowcy rekrutować się będą tylko spoód SS..."

Takie oto plany miał Himmler i jego etorianie, gdyby Trzecia Rzesza wyała wojnę, jak to obiecywał swoim ołdakom Hitler. Może oczywiście ktoś owiedzieć, że to są majaki niepoczylnego maniaka. Tak jest. Ale czy inych swoich niepoczytalnych na pozór lanów — jak np. palenie ludzi w kreatoriach obozowych, nie mówiąc wielu innych barbarzyństwach — itler nie realizował konsekwentnie?!

Marian Podkowiński

MISTYKA BEZPIECZEŃSTWA

Combat Forces Journal, czyli Gazeta Sił Zbrojnych, nie jest oficjalnym rganem Pentagonu. Ta czysto formalna strona nie zmienia jednak faktu, że ismo stanowi tubę najwyższych czynników wojskowych USA, podobnie jak p. Polska Zbrojna była tubą Rydza sanacyjnego sztabu. Combat Forces ournal mało jest znany szerszej pubczności. Czytają go sztabowcy, wyżsi ficerowie i eksperci wojskowi. Służy zw. indoktrynacji — urabianiu sposou myślenia tych ludzi — oraz informowaniu ich o najnowszych przeobraeniach amerykańskiej doktryny woennej. Z tych też względów ma chaakter lektury zamkniętej. Czasem tylo któryś rzeczoznawca w zapale argunentacji wymieni nieopatrznie źródło, przekonaniu, że powtarza oklepane kądinąd komunały. Wiemy jednak, że pewnym kontekście nawet komunał oże stać się ciekawy.

W jednym z ostatnich numerów Combat Forces Journal ukazał się artykuł o „nowym kształcie strategii" pióra Lloyda Normana, współpracownika Journalu, a zarazem eksperta wojskowego Chicago Tribune i jej korespondenta w Pentagonie. Ostateczny wynik swoich rozważań Norman ujął następująco: „Nowa strategia jest małżeństwem z musu dwóch wyłączających się nawzajem idei militarnych: 1) nadal niepotwierdzonej i niewypróbowanej teorii lotniczo-atomowej, głoszącej, że wroga można szybko powalić na kolana z pomocą lawiny superbomb; 2) unowocześnionej włączeniem broni i pocisków atomowych tradycyjnej teorii lądowej, utrzymującej, że nieprzyjaciel musi być pokonany na ziemi. Aby skojarzyć te przeciwieństwa, konieczny jest nader potężny »swat«. W tym wypadku jest nim Administracja ze swym dążeniem »rozciągnięcia« doktryny strategicznej tak, aby pozwoliła na zrównoważenie budżetu."

To lakoniczne i rzeczywiście nad wyraz zdawkowe w swej formie stwierdzenie ujawnia jednak dwa wielce znamienne fakty: wskazuje na powiązania strategii z polityką monopoli oraz potwierdza na łamach wysoce miarodajnych agresywny bez reszty charakter amerykańskiej doktryny wojennej i tego wszystkiego, co w USA nosi eufemistyczne miano „Koncepcji obronnej".

Wszelka strategiczna doktryna jest „rozciągliwa" o tyle, że zmienia się w zależności od ewolucji narzędzi wojny, postępu technologii, przeobrażeń w strukturze państwa i jego sytuacji międzynarodowej. W wojnie współczesnej biorą udział nie tylko armie, lecz także ich gospodarcze zaplecze. Więc uprzemysłowienie jakiegoś kraju, jego trwałe sojusze i związki ekonomiczne modyfikują strategię. Innym przykładem może być wzmożona niezmiernie rola brytyjskiego lotnictwa, gdy okaza-

ło się, że Kanał i marynarka wojenna nie dają już poważniejszej ochrony przed inwazją wroga. Doktryna strategiczna nie zawsze dysponuje pełnią środków potrzebnych do jej realizacji. Nie wpływa to jednak na jej treść, co najwyżej dyktuje powściągliwość sztabu. Znane jest powiedzenie, że generałowie są z zasady przeciwnikami wojny, gdyż nigdy nie czują się do niej dość przygotowani. I jeśli jakieś dowództwo przejawia zbytnią wojowniczość, można z góry powiedzieć, że kryją się za tym przesłanki innej natury. A już nic wspólnego z przesłankami natury militarnej nie ma przystosowywanie założeń strategicznych do potrzeb budżetu. O co więc tutaj chodzi?

Z chwilą wyboru Eisenhowera do władzy absolutnej w Stanach Zjednoczonych doszły trzy wielkie koncerny zbrojeniowe — Morgana, DuPonta i Rockefellera — wraz z niezliczonymi swymi przybudówkami. Ich potrzebom, ich interesom służy prezydent, Kongres i podstawa finansowa wszelkiej polityki — budżet. Częścią zaś budżetu najmniej kontrolowaną, z której koncerny czerpać mogą najpełniej i najłatwiej, są wydatki wojenne. Co więcej, ściśle mówiąc nie jest to dzisiaj jakaś część budżetowa, ale prawie całość, gdyż oficjalne pozycje przeznaczone na wojnę wynoszą 75%.

W tym miejscu zbiega się owa „równowaga" budżetu i rola w tym „rozciągnięciu" doktryny strategicznej w jej osobliwej interpretacji *modo americano* z faktem drugim — permanentnej agresji uprawianej przez wielkie monopole.

Można by kwestionować cel takich rozważań, skoro w grę wchodzi notorium. Ale dla większości opinii USA rzecz wcale nie jest zjawiskiem notorycznym i w toku rozumowania trzeba ją rozpatrywać już choćby z tego punktu widzenia.

Budżet państwa jest odbiciem gospodarki kraju. Militarystyczny budżet USA stanowi niezmiernie wymowne zwierciadło. Mówiliśmy, że służy koncernom zbrojeniowym. Ale te koncerny nie działają w próżni kapitalistycznej. Obok własnych realizują dążenia innych jeszcze wielkich interesów. Tak np. planowany od dawna podbój Indochin przez Stany Zjednoczone wymaga wojska i broni zarówno dla zdobycia, jak i utrzymania w ryzach kolonii. To jest cel pierwszy. Celem drugim jest kauczuk indochiński, cynk, ołów, bauksyty i najlepszy ryż świata.

Nie będziemy mnożyć przykładów, wracamy do budżetu. Jest on rozdęty do niepomiernych granic. Ale to nie wystarcza. Chodzi o to, aby rozdęcie miało charakter trwały, charakter trwałej gwarancji dla koniunktury wojennej. Temu służy „rozciągliwość" doktryny. Jej założenia dyktują monopole, sztab ubiera je tylko w tezy militarne, żądania kredytów i formuły strawne dla opinii.

Opinia bowiem, to rzecz, z którą się liczą i zawsze liczyli wszelcy despoci, samowładcy, tyrani. Od cezarów, niosących pospólstwu *panem et circenses*, do poszukującego poklasku Hitlera. I znowu wpadamy w banał. Ale wiedzą nie tylko poeci, „że nie trzeba gardzić banałem". W zarządach koncernów doceniają w pełni, jak trudno podważyć wytarty komunał i truizm, że nie bankierzy idą na wojnę i ponoszą jej koszty, ale *boys i men-of-the-street*. Opinia amerykańska jest naiwna i zahukana, łatwowierna i niewyrobiona. Ale po co ją budzić przed czasem? Więc ekspertów wojennych i członków najwyższego sanhedrynu pieniądza do białej pasji doprowadza pobrzękiwanie szabelką i wszelki w ogóle hałas mogący sen ów naruszyć. Niechże plany agresji zamkną się w murach Pentagonu i Wall Street, niech co najwyżej piszą o nich fa-

howcy dla fachowców na łamach takich pism, jak Combat Forces Journal. Z niepodejrzaną szczerością wołał prezes General Motors i minister wojny, Charles Wilson, do dziennikarzy: „Najgorętszym moim pragnieniem jest, byśmy przestali potrząsać bombą atomową. A wy, panowie, ciągle to robicie".

W odpowiedzi dziennikarze wskazali słusznie, że potrząsaczem głównym jest sekretarz stanu, Dulles. Rzeczoznawca wojskowy New York Herald Tribune, Walter Millis, żalił się w związku z tym na „niebezpieczny język Dullesa", za co winił niezgrany mariaż wspomnianych na wstępie dwóch idei Lloyda Normana. „Nasza polityka militarna — pisał Millis — to nieustanny, przymusowy kompromis inkompatybiliów: bezpieczeństwa i ekonomiki, dążenia narodu do władztwa nad światem i pragnienia jednostki, by pozostać w domu." Podstawmy monopole w miejsce narodu, z domatorstwa jednostki wyłuskajmy konkretną wolę pokoju, a będziemy mieli istotę konfliktu, obaw, niedomówień.

Czy bezpieczeństwo jest mitem?

Tak przynajmniej twierdzi p. Hanson Baldwin, najwybitniejszy komentator wojenny USA, autor wielu książek i stały od lat współpracownik New York Timesa. Należy do zamkniętej, małej grupki wybrańców, do tych kilku ludzi w Ameryce, którzy — choć nie zawodowi wojskowi — reprezentują jednak szczebel najwyższy wiedzy fachowej i wtajemniczenia. Hanson Baldwin jest bezspornym i niekwestionowanym autorytetem w dziedzinie wojskowości, a ścisłe i żywe kontakty ze sztabem czynią go wykładnikiem wobec opinii publicznej poglądów Pentagonu. Więcej nawet. W jego wynurzeniach odczytać można prócz poglądów także i intencje augurów z Pentagonu oraz tych, którzy nad nimi stoją. Już z tego choćby względu tezy i wątpliwości Baldwina warte są baczniejszej uwagi. Wywody swe zresztą buduje na wcale trafnych przesłankach.

„Istnieje zasadniczy paradoks w łączeniu słowa »obrona« z pojęciem nowoczesnych środków i metod wojny. Bomba atomowa, długodystansowy samolot, pociski-olbrzymy, wszystko to zburzyło większość koncepcji »bezpieczeństwa«. W poszukiwaniu obrony człowiek obalił granice przestrzeni i rozwiązał wiele tajemnic przyrody. Ale jak na ironię uczynił swe bezpieczeństwo mniejszym jeszcze niż było. Wojna jest dziś »totalna«, »obrona« zaś nie da się absolutnie pogodzić z realiami wojny współczesnej. Toteż samo już nawet postawienie zagadnień strategicznych stojących przed nami musi poprzedzić zbadanie i rozwiązanie pewnych błędów i półprawd, które wciąż zabarwiają nasze militarne myślenie."

Taki jest punkt wyjścia. W dalszym toku rozumowania Baldwin wylicza ogółem sześć podstawowych fikcji. Przytoczymy je w jego własnym ujęciu:

„Fikcja pierwsza to przekonanie, że pokój zapewnić sobie można z dnia na dzień i za tanią cenę, po prostu opowiadając się za nim. Trwały pokój, czyli świat bez wojny, był celem wielu pokoleń. Ale wszystko przemawia za tym, że niejedno pokolenie przeminie, zanim cel ten zostanie osiągnięty. Pokój to rzecz wychowania, a człowiek uczy się powoli. Każde, jak się zdaje, nowe pokolenie musi od nowa powtórzyć niektóre z gorzkich lekcji przeszłości. Jest w tym postęp i nie ma powodu rozpaczać. Ale żaden naród nie może spocząć na laurach w poczuciu bezpieczeństwa."

„Fikcja druga — fikcja nieprzygotowania. Mówienie o tym jest zwykłą sofistyką. Przygotowanie to pojęcie względne, nie absolutne. Niemcy np.

były przygotowane do kampanii polskiej, ale nie do wojny, jaka się wywiązała. Nie istnieje rzecz taka, jak absolutne przygotowanie, i nigdy do żadnej wojny nie będziemy w pełni gotowi. Zupełna gotowość to miraż, błędny ognik; ściganie go doprowadziło niejeden kraj do samozniszczenia."

Podkreślenie jest nasze. Baldwin ostrzega, ale nie zdaje się widzieć, jak głęboko już zabrnął jego kraj ścigając błędne ognie na moczarach zbrojeń. Ale idźmy dalej.

„Fikcja trzecia, naiwne przekonanie, że silna armia i flota zapobiegną wojnie, jest bliźniaczą tezy o »nieprzygotowaniu«. Całe dzieje powszechne zaprzeczają twierdzeniu, że zbrojenia dają bezpieczeństwo. Nigdy zbrojenia nie zapewniały ani nietykalności przed możliwym atakiem, ani nie zagwarantowały zwycięstwa. Przeciwnie, im większe zbrojenia, tym większa pokusa rozpętania wojny imperialistycznej i dążenia do »absolutnej« gotowości, co musi przemienić całą resztę świata w potencjalnych wrogów. Rozlazła słabość zachęca do ataku. Ale nie wolno z tego powodu przerzucać się w drugą ostateczność — nadmiernych zbrojeń. Rozbuchana potęga wojskowa może łatwo sprowokować wojnę."

I znów żadnego wniosku. Baldwin z niezmąconym spokojem zimnego obserwatora traktuje fakt, że jego nauki idą sobie w las, zamiast stać się naczelnym *credo* Waszyngtonu. Ta beznamiętność ma swoje przyczyny.

„Fikcja czwarta głosi, że »rozbrojenie oznacza brak bezpieczeństwa« i jest niejako uwieńczeniem tamtych. Wypływa ona ze zniekształconej oceny historii lat dwudziestych i znajduje dziś wielkie uznanie w szowinistycznych odłamach opinii. Chodzi głównie o Waszyngtońską Konferencję Rozbrojeniową, kiedy rzekomo daliśmy się nabrać. W rzeczywistości konferencja ta położyła kres wyścigowi zbrojeń na morzu między W. Brytanią i USA, co dało bezcenne korzyści i stało się podwaliną późniejszej współpracy morskiej. Ta sama konferencja dała co prawda Japonii hegemonię na Pacyfiku Zachodnim, był to jednak nasz własny błąd (Stany Zjednoczone chciały wówczas wygrać Japonię przeciw W. Brytanii — J. S.). Ograniczenie zbrojeń nie jest oczywiście żadnym zmniejszeniem bezpieczeństwa, chyba że jakieś mocarstwo zacznie zbroić się jednostronnie, czego dotąd nigdyśmy nie robili. Ograniczenie zbrojeń jest ważne, bo zmniejsza możliwości wojen, choć nie stanowi ich kresu, gdyż zbrojenia nie są ich główną przyczyną, ale raczej zewnętrznym przejawem głębszej infekcji nurtującej politykę państwa."

„Fikcja piąta: »W razie wojny Stany Zjednoczone będą pierwsze przedmiotem ataku«. »W zasadzie jest to, rzecz jasna, możliwe. Bardziej niż kiedykolwiek jesteśmy dzisiaj podatni na atak. Po raz pierwszy w dziejach mamy »żywe« granice i wojna może się zacząć od ataku na nasze miasta. Ale tylko wówczas, jeśli nasza polityka dojdzie do zupełnego bankructwa."

„Fikcja szósta: »Inwazja Stanów Zjednoczonych jest teraz możliwa«. Otóż inwazja na wielką skalę jest mało prawdopodobna zarówno teraz, jak i w najbliższej przyszłości. Teraz jest właściwie prawie niepodobieństwem. Trzeba pamiętać, że warunki geograficzne i odległości, choć skurczyły się w naszym stuleciu, nadal mają swe wielkie znaczenie strategiczne, a w zakresie koordynacji i synchronizacji zaopatrzenia znaczenie rozstrzygające."

Tak wyglądają przesłanki słynnego komentatora. Wnioski zdają się same nasuwać i są oślepiająco proste. Stany Zjednoczone nie mają powodu do obaw,

ich bezpieczeństwu zagrozić mogą jedynie ich własne, niepomierne i niepotrzebne zbrojenia. Mobilizują tylko przeciw sobie całą resztę świata, z ich przeciążonych arsenałów wojennych bez przerwy padają iskry na beczkę prochu, w jaką ich polityka zmienia kulę ziemską, a pewności zwycięstwa, przy największych wysiłkach, nie mogą mieć żadnej.

Cóż, kiedy w tym właśnie momencie Hanson Baldwin robi ostrą woltę i stawia trzy tezy, które przekreślają bez reszty całe jego poprzednie rozumowanie: 1. Stany Zjednoczone muszą być głównym arsenałem i bazą wielkiego wojennego wysiłku Ameryki; 2.' Ofensywa jest najlepszą obroną; 3. Bomba atomowa i wiek wojny totalnej czynią koniecznością wzmożenie przygotowań wojennych, podporządkowanie wszystkich dziedzin życia narodowego potędze militarnej i rozciągnięcie wpływów wojskowych na całokształt narodowego istnienia.

Rozumiemy teraz przyczyny powściągliwości Baldwina i jego niechęć do wysnuwania wniosków przy wyliczaniu poszczególnych fikcji. Przesłanki oparte są na oczywistości i trudno je pominąć bez obawy narażenia własnego autorytetu, choćby nawet odbiorca był dość bezkrytyczny. A Baldwin pisze dla czytelnika o pewnym wyrobieniu. Ale ma określone zadania, postawione mu przez Pentagon, o wiele trudniejsze, niż te, jakie spełnia Combat Forces Journal. Sztabowców amerykańskich nie odstrasza myśl wojny agresywnej można otwarcie mówić im o trudnościach na drodze jej realizacji. Trudniejsza jest rola „swata", by użyć zwrotu Normana, który ma skojarzyć wielce oporne stadło: podatnika skłonić do ponoszenia dotkliwych ciężarów, a boysów do wyprawy za morza po złote runo zgarniane do cudzych skarbców.

Przymusowy związek wykluczających się antynomii powtarza się zatem i w sylogizmach Baldwina. Co więcej, sięga także do jego założeń, gdyż podany ciąg fikcyj da się wyraźnie podzielić na dwie zupełnie odrębne grupy. O ile pierwsze cztery przesłanki cechuje zwartość żelaznej logiki, to dwie ostatnie wiszą w powietrzu na więcej niż wątłej niteczce „celności" polityki USA.

Treść tej polityki ujawnia bez osłonek wspomniany już Walter Millis· „Mówiąc brutalnie zasadnicza polityka zagraniczna Republikanów sprowadza się do tego, by skłaniać innych do bicia się za nas, podczas gdy my stać sobie chcemy z tyłu, wygrażając atomowym »odwetem«. Choć wynaleziono wiele górnolotnych nazw dla tej polityki — »strategia wywikłań«, »giętkości«, »odstraszenia« — w istocie swej na tym ona polega. I mimo sporej dozy wewnętrznej logiki, są w tej polityce pewne groźne braki. Bomby, zwłaszcza wodorowe, to broń zbyt potworna, by można jej użyć inaczej niż w ostateczności. Ciągłe nią potrząsanie jest tylko pustą groźbą. Ponadto nasi przyjaciele mogą się zmęczyć prowadzeniem różnych wojen za nas i wreszcie będziemy musieli liczyć się z ich wolą, albo walczyć sami."

Tej zaś ostatniej alternatywy nie życzy sobie żaden Amerykanin. Żaden w każdym razie spośród tych, którzy osobiście mieliby stać się jej wykonawcami. W słowach bardzo prostych wyraził to nie komentator wojenny, ale czołowy publicysta republikański, Walter Lippmann: „Są wszelkie dane, że w obecnym czasie — a może to okazać się czasem bardzo długim — nie będzie i nie może być żadnej wojny z tej przyczyny, że naród wojny prowadzić nie chce. A nie będzie także porozumienia, gdyż pogląd rządu na to, co ma stanowić porozumienie, jest zbyt krańcowy."

Widać zatem, że nawet w oczach gorących jej zwolenników polityka USA niezbyt daleko stoi od bankructwa, którego obawia się Baldwin. Ale ważniejsza jest jeszcze inna rzecz. Baldwin ma również świadomość immanentnej słabości tej polityki. W zasadzie jego trzy tezy miały pogodzić opinię z rozbuchanym budżetem wojennym i nieuchronną militaryzacją, a tym samym faszyzacją Ameryki. Lecz formułując swe tezy Baldwin jednym tchem zaopatrzył każdą z nich w wątpliwości, które automatycznie odbierają im wszelki sens. Przytoczymy je w pełnym kontekście: „1. USA mają być arsenałem i bazą; ale skoro bardziej niż kiedykolwiek w historii wydane są na atak (*„the United States is more vulnerable than ever before in history"*) — jakże możemy ich bronić? 2. Ofensywa jest najlepszą obroną; ale jak demokracja, miłująca pokój i wroga imperializmowi, może w czasie pokoju przygotowywać siły napastnicze? 3. Koniecznością jest wzmożenie przygotowań wojennych, podporządkowanie życia potędze militarnej i rozciągnięcie wpływów wojskowych na całokształt bytu narodu; ale jak to uczynić bez zupełnego osłabienia naszej demokracji? Jak przygotować wojnę totalną bez przekształcenia naszego kraju w »państwo garnizonowe«, bez uprzedniego zniszczenia tych właśnie wartości i zasad, które pierwotnie chcieliśmy ocalić?"

Jest taki sposób i Baldwin sam wskazał go w swoich pierwszych czterech przesłankach: wytrwałe budowanie pokoju, zrezygnowanie z wyścigu zbrojeń, wyrzeczenie się błędnych ogni „zupełnej gotowości" i częściowe przynajmniej rozbrojenie. Wtedy odpadnie potrzeba godzenia krańcowych przeciwieństw, swatania podatnikom rozpaczliwego budżetu, a młodzieży amerykańskiej — wojny, kalectw i śmierci.

Ale odpadną także wielkie zyski przemysłu wojennego. Przeciętny Amerykanin z pewnością je odżałuje. Czy jednak zdoła skłonić do tego zainteresowane koncerny? Odpowiedź padnie być może w pierwszy wtorek po pierwszym poniedziałku w listopadzie br. Wtedy właśnie odbędą się wybory do Kongresu.

Julian Stawiński

AMERYKA I PROCES SPOŁECZNY CZASÓW

Podręczniki, monografie oraz inne książki omawiające dzieje poszczególnych narodów amerykańskich tworzą już dziś olbrzymich rozmiarów bibliotekę. Nie ma jednak żadnej, która by choć w ogólnych zarysach ukazywała najważniejsze, podstawowe kierunki rozwoju. Dzisiaj dopiero dostaliśmy w ręce odpowiednie narzędzie. Każdy gruntowniejszy badacz historii USA zna z lat dawnych wielki tom Beardów The Rise of American Civilization. Niejeden z pokolenia starszego widział za młodu w tej księdze, błyszczącej erudycją i świetnością stylu, biblię liberalizmu. Ale nie znajdował w niej całości obrazu Półkuli Zachodniej, nie znajdował i znaleźć nie mógł wyjaśnienia licznych zagadek, racjonalnej, właściwej interpretacji sprzeczności.

Toteż monumentalna praca ogłoszona niedawno przez Williama Fostera * i tłumaczona obecnie na język polski dla „Książki i Wiedzy" jest dziełem pionierskim, pierwszą rzeczywistą próbą dania wielkiej syntezy. Autor we wstępie wymienia — przez sumienność raczej i bibliograficzną lojalność naukowca niż dla jakiejkolwiek wartości realnej — dwóch swoich poprzedników.

---

* William Z. Foster: Zarys historii politycznej Ameryki, New York, 1951.

Robert Mackenzie wydał w 1894 w Londynie Dzieje Ameryki; ale nie kusił się nawet o wydobycie związków współzależności politycznych, gospodarczych i kulturalnych. A Historia Ameryk H. E. Boltona, jakkolwiek zawiera wiele interesujących spostrzeżeń, jest tylko zbiorem treściwych notatek i dość bogatym jak na szczupłe wymiary, lecz nie usystematyzowanym zestawieniem faktów. Nie trzeba dodawać, że wszystkie dotychczasowe prace ujmowały temat z pozycji burżuazyjnych, a nieuchronnym tego następstwem była płytkość i spaczone wejrzenie.

„Podstawowym zadaniem książki — pisze Foster we wstępie — jest uwydatnienie sił, które złożyły się na dzisiejszy szeroki nurt przemian społecznych na obszarze obu Ameryk, a tym samym ukazanie postępowego stosunku narodów wobec ich problemów tudzież ich przyszłości. Książka ma w szczególności wciąż na uwadze stosunek ludów i narodów naszej półkuli (zachodniej — j.s.) do najbardziej zasadniczego procesu społecznego naszych czasów, a mianowicie narastania powszechnego kryzysu i upadku świata kapitalistycznego oraz narodzin i wzrostu świata socjalistycznego.“

Osoba autora, przewodniczącego KP USA, znana jest w Polsce niewątpliwie każdemu, kto interesuje się ruchem robotniczym i walką proletariatu w Stanach Zjednoczonych. Przypomnijmy więc tylko, że William Foster urodził się 73 lata temu w Taunton pod Bostonem jako syn emigranta z Irlandii, któremu w „starym kraju“ groziła kara śmierci za udział w akcji rewolucyjnej i niepodległościowej. Foster zaczął pracować już jako dziecko, ale zarobkując od początku pracował nad sobą i swoim wykształceniem. Świadomość społeczna zbudziła się w nim wcześnie. Będąc młodziutkim chłopcem został socjalistą, a do Partii Komunistycznej należał od początku jej powstania. Samouk wyrósł stopniowo na działacza społecznego, polityka, czołowego przywódcę partii, uczonego, a także pisarza. Miarą jego talentu na tym ostatnim odcinku mogą być choćby wspaniałe Kartki z życia robotnika, których fragmenty drukowała Twórczość w nr. 2/54.

Talent pisarski wywarł swój wpływ na charakter omawianej książki; na jej styl, barwę, tonację, a chwilami nawet melodykę, choć to słowo wydać się może dziwne w odniesieniu do *compendium* wiedzy politycznej. Komu zdarzyło się czytać pamiętniki któregoś z wybitnych mężów stanu, a przy tym wybitnego pisarza, ten z pewnością zrozumie, o co tu chodzi. Ma to zresztą niekiedy swe ujemne strony. Ferwor polemiczny porywa czasem Fostera tak bardzo, że zawiesza na chwilę zimny tok wykładu, by chlusnąć warem namiętnej filipiki. Dotyczy to zresztą tylko samej formy. Oceny zjawisk i w tych wypadkach z reguły pozostają bezbłędnie słuszne. A trzeba przyznać, że dzieje Ameryki, zarówno Łacińskiej jak Anglosaskiej, obfitują w tak potworne sprzeczności i niedorzeczne absurdy, że trudno mówiąc o nich nie sięgnąć po ostrze satyry lub nie wybuchnąć pasją. Charakteryzując konkwistadorów pieniądza z epoki powstawania wielkich monopoli Foster mówi: „Nienasycona chciwość walczyła w nich o lepsze z ignorancją, a ich kultura równała się zeru. Nie mieli żadnego poczucia patriotyzmu czy obowiązku wobec narodu.“ I jest w tych słowach coś więcej niż proste stwierdzenie złowrogiego faktu — jest pasja, która udziela się czytelnikowi, urabia jego myśl i staje się źródłem działania. Tu do głosu dochodzi działacz polityczny i osiąga cel.

Całość dzieła, mającego ponad 600 stron druku, nie licząc map, indeksów i dokładnej a cennej bibliografii, rozkłada się na 3 części: czasy kolonialne;

rozwój niepodległości narodów (do I wojny światowej); zmierzch kapitalizmu. W ten sposób już w samym układzie książki uwypuklone zostały trzy wielkie etapy ewolucji, krótkiej, bo mieszczącej się na przestrzeni niecałych pięciu wieków, ale brzemiennej w następstwa dla całego świata. Foster wydobywa i ujawnia przed nami to, co jest najistotniejsze w każdym zjawisku i procesie, zdarzenia układają się nie w mechaniczne szeregi, lecz w ciągi rozwojowe, naświetlone wskazaniem związków przyczynowych, zależności i kierunku dziejowego pochodu. Odkrywają się nam nieoczekiwane zupełnie perspektywy, dowiadujemy się rzeczy, jakich nie podejrzewaliśmy wcale.

Któż z nas uprzytamnia dziś sobie, że jeszcze pod koniec epoki kolonialnej kraje łacińskie stały o niebo wyżej od półdzikich terenów ekspansji anglosaskiej? Niemal powszechnie utarło się zdanie, że mieszkańcy ziem na południe od Rio Grande mają we krwi fatalistyczną jakąś indolencję, którą w najlepszym razie składa się na karb klimatu i w ogóle geografii, jeśli już nie rasy. I trzeba świetnej analizy Fostera, by nas przekonać, że na tym obszarze dwukrotnie zostały zniszczone wielkie, kwitnące cywilizacje — najpierw przez Corteza, Pizarra i ich komparsów, a później wskutek najazdu raubritterów Wall Street. Że nędza Ameryki Południowej nie jest wytworem żywiołów i losu, ale czynników ustrojowych, politycznych i gospodarczych, jest rezultatem dotychczasowego przebiegu walki klasowej, na co szczególnie złowieszczy wpływ wywierają od przeszło stu lat Stany Zjednoczone. I że te same czynniki są przyczyną tragedii murzyńskiej w USA, która nie jest tragedią rasy, ale kwestią agrarną.

Trzeba się cofnąć daleko w głąb dziejów, by ujrzeć, jak powstawał klasowy mechanizm, który sprawia, że z tak magnetyczną siłą przyciągają się dwa bieguny wstecznictwa: klątwa naszych czasów, imperialistyczny kapitał finansowy i Kościół katolicki, od wieków leżący kłodą na drogach ludzkości. Przeciwieństwo Północ-Południe narastało powoli, ale systematycznie. Aż doprowadziło do stanu dzisiejszego — przemysłowego północnego kolosa i jego dwudziestu surowcowych wasali: USA i republik środkowych i południowych, zgniatanych w kleszczach obcych monopoli — nafty, cyny i przetwórczości rolnej — dławionych przez monokultury, a politycznie rządzonych przez dyktatury wzniesione na bazie zacofania, szczątkowego feudalizmu, półpańszczyzny i półniewolnictwa; gnijące, lecz mocno zdrutowane przez wszechpotężny tam klerykalizm. Kto chciałby naocznie zobaczyć replikę jezuickiej Polski XVII i XVIII stulecia, zrozumieć prawdziwą treść słów „państwo katolickie", jak je pojmuje i wprowadza w życie Watykan — niech zajrzy do małego miasteczka czy wioski w Brazylii, Kolumbii lub którejkolwiek zresztą łacińskiej republiki. Tylko że pod spodem kotłuje się i narasta inne życie i raz po raz dobywa się na powierzchnię — jak tylokrotnie w Meksyku, ostatnio zaś w Gwatemali.

Dzieło Fostera ma tę cenną zaletę, że uwzględnia szeroko wszystkie elementy składające się na ową niewątpliwą całość, jaką mimo różnorodności tworzy Półkula Zachodnia w znaczeniu geopolitycznym, rozwojowym, socjalnym. Rzut dziejowy, chronologiczny, przekrój współczesności, perspektywy dalszego rozwoju, siły, które rządzą dynamiką przemian obecnie, i te, które coraz bardziej dochodzą do głosu — wszystko to ukazane jest w świetle najgłębszych związków przyczynowych, z wydobyciem dialektyki przemian, z zachowaniem rzeczywistych proporcji.

Ma to ogromne znaczenie dla właś-

iwego ustawienia obrazu. Państwem iążącym nad całym kontynentem, państwem o ludności równej niemal zaudnieniu wszystkich pozostałych krajów razem wziętych, a gospodarczo rzytłaczającym te kraje bez reszty, są zisiaj Stany Zjednoczone. Toteż wciąż eszcze są osią i motorem wydarzeń. Lecz coraz więcej mnoży się oznak wiadczących, że wkrótce oś może przeunąć się radykalnie.

Stany Zjednoczone rodowód swój wiodą z rewolucji i każdy okres ich dzieów burżuazyjni historycy i historiozoowie usiłują przedstawiać jako dalszy ej ciąg. Sycony taką interpretacją hitorii ogół obywateli Stanów aż nazbyt zęsto wierzy naprawdę, że w poczynaiach tych, co nim rządzą, wyraża się ywa tradycja rewolucyjna. I jej wcieenie gotów jest widzieć w najbardziej awet brutalnych aktach podboju, agreji, ucisku.

Tradycja rewolucyjna rzeczywiście stnieje w USA i przejawiła się dwaroć z ogromną siłą. Lecz wnioski wciąż eszcze czekają. Rewolucja amerykańka daleka jest od spełnienia, została aledwie rozpoczęta. Pamiętajmy, że łynna, zuchwała i buntownicza Deklacja Niepodległości wcale nie zawiera słowa „republika", choć stanowiła program. Z tradycji rewolucyjnej ostało się po latach, jakże jednak spaczone, pojęcie przemocy i znaleźć je można na każdym kroku w myśleniu i działaniu klas panujących. A klasy rządzone, których elita poddawana jest systematycznym zabiegom burżuazowania i które są przedmiotem bezustannej presji psychologicznej, dywersji, terroru i zręcznych kaptowań gospodarczych, wykazują daleko posuniętą bierność.

Wyższą natomiast bez porównania dynamikę przejawiają kraje Ameryki Środkowej i Południowej. Tam też, sprzęgnięte z dążeniem do prawdziwej niepodległości i zrzucenia jarzma Jankesów, przejawiają się coraz wyraźniej drgania zwiastujące początek nowego aktu rewolucji amerykańskiej — rewolucji XX wieku.

Uwydatnieniem tych ruchów kończy się książka Fostera. Ale przywódca proletariatu Stanów Zjednoczonych nie zamyka swej pracy akcentem pesymizmu w stosunku do własnej ojczyzny. Przeciwnie, widzi pod skorupą faszyzmu, jakim chcą ją powlec wielkie monopole, początek nowego świata i blask bijący z podziemi wolności.

j. st.

SPIS TREŚCI

Str.

Ludmiła Marjańska: Miasto młodości 3
Jan Śpiewak: * * *; * * *; * * * 5
Anna Kamieńska: Bicie serca 7
Jerzy Hordyński: Z Mielna 8
Jerzy Feliksiak: Droga pokoju 10
Z listów Czechowa do Gorkiego 11
Maria Jarochowska: Dziadowska miłość 18

Z POEZJI TARASA SZEWCZENKI: Królowie (fragmenty poematu) — przeł. Stanisław Strumph-Wojtkiewicz; Opętany — przeł. Włodzimierz Słobodnik; * * * — przeł. Eugeniusz Żytomirski; Do Gogola — przeł. Marian Piechal; Topielica — przeł. Włodzimierz Słobodnik; * * * — przeł. Włodzimierz Słobodnik; * * * — przeł. Marian Piechal; * * * — przeł. Tadeusz Chróścielewski 121
Maciej Gryfin: Mistrz urodzaju 135

VI ZJAZD LITERATÓW POLSKICH:

Apel do pisarzy świata; Deklaracja VI Zjazdu Związku Literatów Polskich; Po Zjeździe Literatów — Zbigniew Bieńkowski 148
Kazimierz Koźniewski: Pisarz w terenie 156
Bronisław Baczko: Za waszą i naszą wolność 163

WŚRÓD KSIĄŻEK: Lech Budrecki — Jarosław Iwaszkiewicz „Wiersze z różnych epok"; Jacek Trznadel — Witold Wirpsza „List do żony"; Wojciech Natanson — Wilhelm Szewczyk „Wiersze wybrane"; Helena Zaworska — Bohdan Czeszko „Krzewy koralowe"; Henryk Bereza — Wilhelm Mach „Doświadczenia i przypadki"; Janusz Moszczeński — Węgierskie wydanie Antologii Poezji Polskiej 182

NA WIDNOKRĘGU: Krzysztof Wolicki, Józef Spinc, Julian Stawiński, j. st. 207

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"

Redaktor Naczelny: Adam Ważyk

Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 8-95-07, centr. 8-24-11, wewnętrzny 54

Administracja: Wiejska 12, tel. 8-24-11

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju za zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych P. P. K. „Ruch", Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 805-05.

Cena zeszytu zł 7.—. Prenumerata kwartalna zł 21.—, półroczna zł 42.—

Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca

0301903

Cena zł

DM 9.- auf